# SPRAWY OBCE

Pismo kwartalne

Lipiec 1930 Zeszyt IV

Drukarnia Wł. Łazarskiego
Warszawa, Złota 7/9

MICHAŁ SOKOLNICKI.

# POLACY WOBEC ZAGADNIEŃ MIĘDZYNARODOWYCH.

Każdy bezstronny obserwator — swój czy obcy — zauważy z łatwością nienormalny stosunek ogółu opinji polskiej do zagadnień międzynarodowych. Afekt, jakiemu ulega Polak, gdy mówi, lub pisze o tych kwestjach, rządzenie się w skomplikowanych problematach polityki zagranicznej odruchami uczucia, a nie kategorjami wiedzy, stąd łatwe podleganie przesądom, plotkom, lub nawet obcym suggestjom, stąd wreszcie popadanie w ciągłą sprzeczność i krańcową chwiejność od naiwnej wiary do nieufnej podejrzliwości, od bezkrytycznego entuzjazmu do bezprzedmiotowych rozczarowań — oto są, najogólnej wzięte, kryterja opinji publicznej u nas.

Już na niejeden objaw z tej dziedziny mieliśmy sposobność zwrócić uwagę na łamach recenzyjnych naszego młodego pisma. Autorzy nietylko artykułów w gazetach, lecz broszur i książek ulegają dziecinnym zapędom ufności i zwątpienia. W dziełach polityce zagranicznej poświęconych znajdujemy śmiałe sądy o całych narodach, bez żadnej próby rzeczowego uzasadnienia. Od bezprzedmiotowego osądzenia jeden tylko krok do posłusznego naśladownicwa. Od czarnych widzeń wysnutych z własnego afektu, polski idealista, czy doktryner przeskakuje z łatwością do pierwszej lepszej myśli bezkrytycznie przyjętej od obcych. Istnieje przerażająca łatwość beztreściwych kombinacyj w naszym narodzie. Istnieje jeszcze bardziej może przerażający brak politycznego instynktu, odpowiadającego narodowym interesom. W takich warunkach ideje rzuca się lub chwyta, często i pohopnie i na każdym kroku można spotkać frazesy bez programu, programy polityczne bez przemyślenia konsekwencyj, myśli bez związku

z realnemi faktami — a na miejsce wniosków logiki i obserwacji postawione życzenia wyobraźni, odruchy afektów.

Nie należymy do optymistów łatwych, którzyby sądzili, że samo wskazanie źródeł zadawnionej choroby zdolne jest uleczyć chorego. Niełatwą rzeczą jest walka z własnym charakterem. Powoli tylko i stopniowo żłobią się nowe rysy na obliczu narodu. Ale stałe badanie objawów i przyczyn musi zrobić swoje. Stwarzanie krytycznej atmosfery pomoże z czasem do opanowania odruchów. Apelowanie ciągłe od sentymentu do interesu zbudzi w końcu samopoczucie nowoczesnego człowieka. Z tem przeświadczeniem przystępujemy do analizy przyczyn tej dziwnej apolityczności Polaków.

Djagnozą narzucającą się i najprostszą byłoby przypisywanie chorobowego stanu brakom edukacji narodowej. W istocie, każda polityka jest tradycją, każda tradycja jest szkołą. Jakżeż daleko w przeszłości trzebaby szukać pokolenia, któreby z punktu widzenia własnego, polskiego, uczyło się patrzeć na zagadnienia obce. Starsze pokolenie kształciło się na podręcznikach niewoli i żyjąc od święta nierealnem wspomnieniem ojczyzny, miało za pokarm codzienny wiadomości i nauki ze źródeł obcych, przesiane przez sita wrogie. Pokolenie młodsze kształciło się w okresie niebytu i stawania się Polski i odrazu z niczego musiało zostać wszystkiem: wolnym człowiekiem i niezawisłem państwem; nie było czasu ni miejsca skąd czerpać, prócz z własnej niedojrzałości. To połączenie źródeł i nauk cudzych a chęci swoich, ambicji dużej z rozległą niewiedzą, wolnych odruchów z nawykami niewolnika nie mogło tworzyć szkoły politycznego myślenia.

Dopiero po czterech — pięciu latach niepodległego państwa — już po zawarciu wszystkich najważniejszych umów i traktatów — zjawiły się pierwsze, niepokaźne broszurki o polityce zagranicznej Polski. Do 1925 nie przetłomaczyliśmy żadnej poważnej książki politycznej obcej — a od tego czasu niewiele. Pisma polityczne były efemerydami, powstawały i ginęły — nie zdobywały się zresztą na ambicję stawiania własnych drogowskazów politycznej myśli. Na polu myślenia panoszyła się tylko prasa codzienna, którą ktoś z obserwatorów obcych nazwał fałszywem źwierciadłem polskiego życia, odbijającem jego braki i wady w potęgującej karykaturze.

Otóż elementarny brak edukacji wzmaga naturalnie bezcelowe odruchy. Nieznajomość faktów ułatwia odczucia, sprzyja grasowaniu plotek i przesądów. Niezrozumienie podstawowej gry sił i interesów przyczynia się do błądzenia między wiarą a zaparciem się, nadzieją a zwątpieniem. Kto się przez te gąszcze nieuctwa przedarł, kto braki współczesne edukacji narodowej ocenił i zmierzył, ten musi, jako do politycznego lekarstwa sięgać do najprostszych formuł: nie rezonować — iść najpierw do szkoły i nauczyć się; nie sądzić przedwcześnie — lecz najprzód wiedzieć.

Ale djagnoza ta — tak przemawiająca do rozumu i tak naturalna, nie wystarcza, jeżeli tylko wejdziemy nieco wgłąb, jeżeli przemyślimy problemat do końca. Z łatwością zauważymy wtedy, że stopień uzyskanego wykształcenia nie wpływa u nas na zmianę ustosunkowania psychicznego w stosunku do problematów zagranicznych. Właśnie wśród tak zwanej inteligencji widzi się często irracjonalność afektu w polityce. Ludzie wysoko wykształceni, o głębszej kulturze, obyci w dyscyplinach prawa czy techniki, w myśleniu o zagadnieniach zagranicznych ulegają najzwyklejszym, prymitywnym odruchom. Co zaś ważniejsza, stwierdzimy, iż stosunek do zagadnień politycznych wogóle, a międzynarodowych w szczególności jest kwestją nie intelektu a etyki. Stany etyczne nie podlegają tak szybkim i bezpośrednim zmianom, jak intelekt, pod wpływem wykształcenia. Formują się one powoli, zmieniają się trudno, niosą w sobie tendencję powrotu i powtarzania. Należą do kompleksu, zwanego charakterem narodowym, po analizę ich przejawów skierować się trzeba do historji.

Polska żyła w ścisłem czuciu wspólności z Europą aż po wiek XVII. Polska piastowska obejmowała swymi interesami, swoją polityką całą dzisiejszą Europę Środkową — Czechy i Węgry. Polska jagiellońska torowała szlaki ku Morzu Czarnemu, przez zhołdowanie Mołdawji, zbliżenie do Węgier. Polska Batorego rozgrywała kwestję panowania na Bałtyku, uczestniczyła w problemacie skandynawskim. W tych trzech okresach młodzież polska kształci się w świetnych szkołach Zachodu, a młodzież obca zgłasza się na wszechnicę krakowską. Ambasady polskie są w Rzymie i Londynie, a spotykamy je także u Osmanów i Persów. Kościół powszechny w okresie Gotyku, potem Odrodzenie i Reformacja znajdują w Polsce, narówni z innymi krajami Zachodu, obszar

swych wpływów, teren swoich walk, objawy swoich uniesień i upadków.

Polska przestaje współżyć z Europą po przełomowym okresie wojen połowy XVII stulecia i po wyprawie Sobieskiego pod Wiedeń. Przecięta została wówczas więź wspólnej kultury i łączność wzajemnych interesów. Powiał na Polskę jakiś wiatr od udzielnej Hiszpanji, zagrody szlacheckie zamknęły się przed wpływami idącemi ze świata, zatarasowały się na głucho przed „nowinkami", zatęchły i zaczadziały w sobkostwie i w przesądach. Wtedy to już w Polsce *drzwi od Europy* zamknięto *hałasów*. Z tamtych już dni pochodziło wrosłe potem w krew całych pokoleń hasło: *niech na całym świecie wojna, byle polska wieś wesoła, byle polska wieś spokojna....* Nawet od swoich królów obcych Polska nic europejskiego nie przejęła, i styl Augustów, sztuka okresu Sasów, pozostały, za nielicznymi wyjątkami, w Saksonji.

Z ostatniego półtorawieku istnienia Rzplitej pozostały w charakterze narodowym polskim zaściankowe przesądy, nieufność do zagranicznych „nowinek", niechęć uczenia się i korzystania od obcych, uparty nacjonalizm własnych przywar i błędów, — odwrócenie od Europy i niedotrzymywanie Europie kroku.

Cóż zaś pozostało z następującego półtora wieku niewoli? Istniała w Polsce przez czas długi teorja wysnuta z chęci samopocieszenia. Niewola — mówiono — uszlachetnia charaktery; dobywa z nich struny najwyższego natężenia; pobudza do bohaterstwa i poświęceń. W ten sposób Polska uzyskiwała jakiś prymat męczeństwa przed innymi narodami, a idąc jeszcze o krok dalej, zrównywaną była z najwyższymi wzorami religijnej ofiary. Już sama teorja taka, pomijając jej wpływ demoralizujący, chorobliwą megalomanję w niej zawartą, powodowała fałszywe ustosunkowanie się Polaków do innych narodów. Poza tem jednak fakty porozbiorowej historji mówią coś wręcz przeciwnego.

Wpływ i skutek niewoli muszą być obliczane w stosunku do całości narodu — a nie do garści wybrańców lub wyrodków; pod tym kątem widzenia cała historja porozbiorowa wymaga rewizji [1]). Owóż przedewszystkiem brak ogniska narodowego wywoły-

---

[1]) Przykładem tej koniecznej rewizji może posłużyć np. skontrolowanie legendy o ks. Ściegiennym, lub też legendy o Matce Makrynie Mieczysławskiej.

wał rozproszkowanie społeczeństwa, lub też masową w niem depresję. Polacy, których nic nie trzymało razem, coraz to rozpryskiwali się po cudzych ziemiach, wśród obce ludy; wszędzie ich było pełno, a nigdzie ich istnienie nie było celowem. W masie zaś, w kraju, odbywało się powoli lecz nieuchronnie wrastanie w organizmy państw zaborczych. Tej dwoistości istnienia — ciągłej migracji i ciągłemu osuwaniu się gruntu z pod nóg — towarzyszył objaw stały: wypaczenie charakterów. Charaktery nie były już swoje, więc nie były pewne. Dotyczyło to mas — szlachty sejmikującej i niezaradnej w 1831, chłopstwa zaagitowanego przez agentów wrogich w 1846 i w 1863; dotyczyło to również i jednostek. Nawet wpośród najlepszych, najbardziej ideowych — rewolucjonistów, spiskowców i żołnierzy — spotykamy zastraszające objawy słabości i upadku. Dziś, w wolnej Polsce, kiedy już śmielej patrzy się w oczy prawdzie, choćby nieprzyjemnej, mnożą się w tej dziedzinie fatalne rewelacje [2]).

I wreszcie, na tem podłożu rozproszkowania i masowej depresji, osłabłych i wyczerpanych charakterów, zjawiło się raz poraz, rozwijające się w miarę trwania niewoli, zanarchizowanie umysłów. Jakże daleką jest droga od zwartości myśli Kołłątaja, od jasnych obrazów Staszica do ciemnych i dziecinnych powikłań mistycyzmu! Z upadkiem niepodległego życia państwowego, wdał się rozstrój w prozę polityczną, umilkli mówcy większej miary. A co dziwniejsza: w miarę jak myśliciele, teoretycy religijni i poeci zdawali się tworzyć dla znękanej ojczyzny własne drogi ducha, w miarę jak chora ambicja twórców dochodzić poczęła do złudzeń własnego polskiego systemu, w istocie rzeczy odbywał się proces ścisłego, niewolniczego uzależnienia myśli polskiej od obcych wzorów. Pozornie będące szczytami ideologji polskiej, samotne dumania mistyczne, zarozumiałe próby tworzenia polskiego religijnego świata, ciemne proroctwa, zagadkowe wizje, poza swą większą czy mniejszą wartością poetycką, językową i stylistyczną, okazują się obecnie, w rezultacie szczegółowych analitycznych ba-

---

[2]) Rewelacja o roli Zygmunta Kaczkowskiego w książce Eug. Barwińskiego; rewelacja o zeznaniach Heltmana u Szymona Askenazego w *Łukasińskim,* II wyd.; fakty dotyczące słabości charakteru generała Skrzyneckiego, czy Maurycego Mochnackiego były znane już dawniej.

dań, produktem wpływów, częstokroć nawet ślepem powtórzeniem czy naśladownictwem podsuniętego obcego wzoru [3]).

W ten sposób niewola wyrobiła ostatecznie typ stosunku Polaków do obcych, do Europy, do zagadnień międzynarodowych. Odjęła Polakom ufność w siebie, wiarę we własne siły, zachwiała przekonaniem w możliwość skutków praktycznych i w wartość objektywną, w europejskie znaczenie własnych poczynań i działań. Na gruncie dawniejszego skarłowacenia, zacieśnienia w zaściank, wyrobiła fałszywą ambicję odrębności bez podstaw, oryginalności swojej, narodowej, za wszelką cenę. I to społeczeństwo niesporne, i tę myśl niedojrzałą a lotną i bujną wydała na pastwę codziennych obcych wpływów, stałych i nieodpartych uzależnień. Dawna nieufność do „nowinek" skojarzoną została w swoisty sposób z niewolniczem poddaniem się cudzoziemskim koncepcjom. Z instynktu pozostaliśmy sobki, z umysłu staliśmy się — międzynarodowcy.

Nic tak jaskrawo nie odsłania tej hypnozy niewoli jak pokutujący jeszcze niekiedy w Polsce dzisiejszej przesadny stosunek do ewentualnej „pomocy" obcej, oraz do „wiary" lub „niewiary" w obcych, w ich „szczerość", lub w to, że coś „dla nas zrobią". Źródła tych przesądów są ściśle historyczne. W 1796—9 Polacy wierzyli, że coś dla nich zrobi Rewolucja Francuska; istotnie, w 1807 „coś dla nich zrobił" spadkobierca Rewolucji, Napoleon— i w 1812 coś więcej jeszcze zrobić zamierzył. W 1815 dla Polski coś zrobił cesarz rosyjski Aleksander. Przeto Polacy uwierzyli i sądzili napewno, iż w 1831 — i wierzyli w to jeszcze długo potem — Europa, a w szczególności Francja, coś dla nich zrobić powinna, zrobić musi — i napewno zrobi. Gdy w tem się zawiedli, gdy w latach trzydziestych pozbyła się ich i sprzedała za własne bezpieczeństwo Francja Orleańska, gdy w latach czterdziestych Niemcy, dla zrealizowania własnych celów, „wiosnę ludów" obrócili sobie na użytek, a Polakom na szkodę, gdy wreszcie w 1863

---

[3]) Por. J. Gw. Pawlikowskiego *Mistyka Słowackiego*, dalej, rewizję poglądów na towianizm u Kallenbacha *Towianizm na tle historycznem* i u Boya Żeleńskiego *Bronzownicy*, rewizję, która powinnaby być uzupełniona analizą krytyczną źródeł, z jakich czerpał Towiański; wreszcie, rewelacje dotyczące źródeł obcych — małej, bez znaczenia, broszurki trzeciorzędnego francuskiego pisarza — tajemniczej cyfry „44" z Widzenia ks. Piotra w III Części *Dziadów*.

Anglja i Napoleon III zawiedli i obiecawszy pomoc, od dania pomocy się cofnęli: — wówczas Polacy zwątpili w „interwencje“, w „pomoc“, w „robienie“ czegoś przez innych dla nas, i orzekli, że „nikt nam nigdy nic nie da“. Ten trafny wniosek krył w sobie fatalną restrictio mentalis. W duchu Polacy dopowiadali sobie, iż Polska sama niczego już nie zdziała i niczem nie będzie, p o n i e w a ż nikt jej nie pomoże. Ten proces myślowy stał się przeto źródłem ugody przed wojną światową, bierności w czasach wojny, defetyzmu w Polsce niepodległej. Ponadto, zawarte w nim było wciąż jeszcze istniejące w umysłowości politycznej polskiej rozróżnianie między tymi, którym można wierzyć — i tymi, którym ufać niepodobna, między takimi co są szczerzy, a takimi, których intencje są fałszywe; — zupełnie jak gdyby wszystkie te stany uczuciowe miały cośkolwiek wspólnego z polityką; jakgdyby intencje stanowiły o stosunkach pomiędzy narodami a nie fakty realne, jakgdyby wreszcie zasługiwała na jakąkolwiek uwagę albo szacunek taka szczerość lub przyjaźń, której podstawą nie byłby własny istotny interes.

Oto spadek pojęć i usposobień politycznych, jaki pokolenie nasze otrzymało w dziedzictwie po pokoleniach ojców, z trzech niespełna ubiegłych stuleci. Ale, poza tem dziedzictwem charakteru i usposobień, na ustosunkowaniu się Polaków do zagadnień międzynarodowych zaważyła paradoksalna konjunktura epoki, w której państwo polskie powołane zostało do ponownego niepodległego życia.

Głębię tego paradoksu można ocenić, zestawiając dobę upadku Polski z okresem jej zmartwychwstania.

Już od schyłku XVII wieku Polacy stali się szczerymi zwolennikami wieczystego pokoju. W okresie wojen tureckich Sobieskiego szlachta musiała być zniewalaną do zaciągów i pogłównych, będąc wroga wszelkim przedsięwzięciom wojennym „królów i generałów“, jakby powiedziano dzisiaj. W okresie następnym ani przez myśl nikomu z Polaków nie przyszło salwować się z mizerji stosunków wewnętrznych wojną z wrogiem zewnętrznym. Teoretycy XVII i XVIII wieków propagowali pokój, opierając go na bezinteresowności Rzpltej względem sąsiadów, żądali zniesienia urządzeń wojskowych i umocnień celem przekonania wszystkich o tych intencjach. Jak się obecnie wyjawia, polscy myśliciele polityczni, a nadewszystko Stanisław Leszczyński, byli właściwymi

inicjatorami idei wieczystego pokoju, na lat dziesiątki przed Bernardin de Saint-Pierre'm i Kantem. Nawet u źródła fatalnych i samobójczych pomysłów możnowładców polskich z końca XVIII stulecia tkwiły niejasne, lecz niewątpliwe w swej pokojowej intencji, pomysły federacyjne i unjalne w stosunku do sąsiadów.

Ta ideowość Polski w dobie upadku — świadcząca zresztą, że pokojowość czy ideały pokoju nie zawsze płyną z czystych pobudek i nie w każdym wypadku są szlachetne — stała w krańcowem przeciwieństwie do usposobień ówczesnej Europy. Ludwik XIV z bronią w ręku dochodził swych praw do dynastycznej sukcesji. Anglja wojną zaczepną przeciw Ludwikowi XV, a potem przeciw Rewolucji Francuskiej, fundowała swoje stanowisko mocarstwowe za morzami i swe panowanie na tych morzach. Fryderyk II pruski wojną zaczepną przeciw Austrji dokonał podboju Śląska, a program zagraniczny Katarzyny II opierał się przedewszystkiem na tak zwanym „projekcie greckim" — podboju Turcji, następnie zaś, wraz z Fryderykiem II, na wspólnym podboju Polski. Celem ówczesnej Europy, przejawiającym się we wszystkich dziedzinach, było założenie silnych i zwartych państw o jednolitych podwalinach. Cel ten pozostał całkowicie niezrozumiałym dla żyjącej innemi kategorjami Polski, co się odbiło zarówno na przebiegu jej państwowego upadku, jako na dość ogólnej pogardzie, z jaką ją wówczas i potem traktowano.

Na krańcowo odmienną konjunkturę Europy trafia Polska odbudowana XX stulecia. Tendencja czasów nie wiedzie dzisiaj ku wzmacnianiu i wyosabnianiu państw; wprost przeciwnie, kieruje się ku zrzeszeniom państw, unjom, federacjom, międzynarodowym związkom, umiędzynarodowieniu politycznego życia. Idea omnipotencji państwa, wyhodowana na gruncie faktów XVIII wieku przez wiek XIX, została zachwiana i ulega ograniczeniom. Natomiast rozwinęła się i wybujała powszechnie myśl wieczystego pokoju. W programie wszystkich wielkich partyj politycznych, w celach stowarzyszeń i związków, w całej publicystyce politycznej, w języku, w którym wypowiada się prasa, w hasłach, któremi żyją tłumy, pokój zajmuje pierwsze, bezkonkurencyjne miejsce. Działania polityczne rządów, stosunki wzajemne państw — cała więc akcja dyplomatyczna, zmuszona jest, chcąc nie chcąc, hasłom tym podporządkować się i conajmniej, ulegając prawom mimikry, przybiera barwę powszechności. Pokojowe współżycie narodów

za wszelką cenę — a więc także za cenę niezależności poszczególnych państw — oto jest atmosfera zachodu Europy.

W tych okolicznościach i na podłożu takiego psychicznego nastawienia Europy Polska zmuszoną była budować swoje niezawisłe, udzielne, wyodrębnione państwo. Polska musiała nadrobić rozwój całego, wykreślonego z jej dziejów, stulecia, musiała tworzyć i organizować własny ustrój państwowy, urabiać swą ideologję mocarstwową, w chwili, gdy to najmniej mogło być w Europie zrozumiałe i popularne. Stąd te objawy zupełnego nieporozumienia: idea niezależnej Polski nagle, nieomal jednocześnie z jej zrealizowaniem, przestała być dla Europy sympatyczną, a wojna Polski z bolszewikami w 1920, w której Polska uratowała Europę współczesną i jej cywilizację od groźniejszego niźli za czasów Sobieskiego niebezpieczeństwa, była chyba najbardziej niepopularną, zwalczaną i wyklinaną ze współczesnych wojen [4]).

Wzajemnie, Polska nie zrozumiała w tych latach idej i dążeń europejskiego Zachodu. Dziś jeszcze nie jesteśmy skłonni oceniać i pojmować wagi i siły prądów przenikających do głębi tamtejsze społeczeństwa. W dobie naszych wewnętrznych kłopotów, wpośród trudności z jakiemi walczymy, budując własny dom państwowy i jego urządzenia, nie czujemy problematów Europy. Pokój konstruktywny, konstrukcja kooperacji międzynarodowej, gospodarcze zrzeszenie europejskie, nie są dla nas dość zrozumiałe, nie są dla naszej psyche politycznej dość dostępne. Nie bierzemy tych rzeczy prosto, w świetle faktów; szukamy czegoś, co się kryje poza tem; pokój i pokojowość, wynikająca z natury rzeczy z przełomu wielkiej wojny, z zagadnień powojennego świata, wydaje nam się podstępną grą, skomplikowaną intrygą. Naiwne czasem, szczere najczęściej, a odpowiadające zawsze potrzebie gospodarczej i położeniu społecznemu zachodnio-europejskie prądy

---

[4]) Ujawniło się to w szczególności w stosunku społeczeństwa anglosaskiego do Polski. Idea tworzenia nowego państwa wpośród Europy XX w. gdzie nie o państwo i nie o władzę, ale o byt, o wyżywienie i o ustrój społeczny chodziło — wydała się opinji publicznej jako rzecz nawskroś reakcyjna (poglądy *Labour Party),* nic do życia i idej europejskich nie wnosząca nowego (pogląd Johna Middletona-Murray'a). Wojna 1920, ratująca zwycięstwo Zachodu w 1918, była tam okrzyczana jako wojna zaborcza i agresywna, do tego stopnia, iż lord Edward Grey został skłoniony do wystąpienia w lipcu 1920 z publicznym listem, w którym protestował przeciw napaści wojennej polskiej na Rosję.

pacyfistyczne, opierają się na dążeniach mas i na interesach kapitałów. Pamiętając kapitalizm przedwojenny, przemysł wojowniczy Rosji czy Niemiec początku XX wieku, skłonni jesteśmy dopatrywać się również i w kapitale dzisiejszym aktywności zaborczej, której Europa spółczesna, nawpół zrujnowana, powoli się odbudowująca, częściowo zepchnięta z światowych dróg i odsunięta od światowego władania, nie ma — i mieć już nie może[5]).

Tempora mutantur — powiada nam mądrość z przed wieków: zmieniają się — i zmienią czasy: zmieniamy się i my, ludzie swego czasu, wraz z jego przepływaniem, z jego odmianą. Narodowi, którego kręgosłup skrzywił się i skurczył w niewoli, kość pacierzowa wyprostuje się w czasach wolności. Naród, który przez półtora wieku odwykł od współżycia z Europą, a potem, przez drugie półora, był jej więźniem — „maską żelazną“ XIX wieku— i ofiarą, zaczyna z Europą współpracować, już przez rok dwunasty, już ku połowie życia jednego pokolenia. Wzrosną dekady lat następnych, wraz z nimi pokolenia, które już niewoli nie znały, zrodzone w dobie wojny, dorastające za lat kilka, poznające świat i w nim Polskę jako całość, której my jesteśmy jedną z części — nie najlepszą, ale i nie najgorszą, nie wybraną i jedyną, ale i nie wyłączoną, sponiewieraną i wyklętą: częścią współczynną, współpracującą i równouprawnioną.

Na to odrośnięcie charakterów, na tę poprawę etyczną, od której zależy pogląd ludzki na śwat, nie ma innego sposobu i nie ma innego lekarstwa jak czas. Zanim czas zmian przyjdzie, można conajwyżej się kusić o sformułowaniu znaków pochodnych rozwoju.

Pierwszym z tych znaków jest fakt współzależności krajów i narodów. Współzależność rozciąga się dziś na cały świat; a polityka, będąca współcześnie niczem innem jak wnioskiem wyciągniętym z faktów gospodarczych, idzie w ślad za ekonomiką.

---

[5]) Ciekawym przejawem tych stałych nieporozumień był, w końcu ubiegłego roku, wiersz J. Tuwima *Do prostego człowieka,* wraz z echem polemicznem, jakie wywołał. Wiersz ten, osądzony przez opinję polską za swój ton niepatrjotyczny, broniony był w niektórych czasopismach jako moment swobody pisarskiej. Nikt jednak nie zwrócił uwagi na nonsens polityczno-międzynarodowy, tkwiący u podstaw myślowych tego wiersza. Pan Tuwim przypisuje w nim intencje wojenne kapitalistom, w szczególności interesom nafty i węgla. Trudno jest o bardziej rażące niezrozumienie sytuacji przemysłów światowych wogóle, a europejskiego w szczególności.

Współzależność gospodarcza i polityczna krajów europejskich pomiędzy sobą jest powszechnie już dzisiaj przyjętym truizmem. Z tej współzależności wypływa jednak cały szereg konsekwencyj: nietylko więc fakt tendencyj pokojowych i przewaga ich nad tendencjami wojny; nietylko potrzeba faktów wspólnych, porozumień i zrzeszeń międzynarodowych, które pewnemi przynajmniej cechami swojemi przypominają koncepcje unjalne dawnej Rzeczypospolitej polskiej; lecz także, i w niemniejszym stopniu, inny typ i inny poziom stosunków sąsiedzkich pomiędzy narodami i pomiędzy państwami. Na dłuższy dystans, w obrębie okresów dziejowych, pomyślność narodów jest również wzajem od siebie zależną i na nieszczęściu sąsiada niepodobna jest na dłużej opierać pomyślności własnej, lub chociażby poczucia własnego bezpieczeństwa. Polacy są już dzisiaj dość silni na to, aby móc tę zasadę uznać za swoją i swoim sąsiadom również przyjęcie jej doradzać.

Drugim faktem wytycznym jest, iż w przepływie poszczególnych okresów dziejowych minął już czas, do którego psychika nasza przez tak długo przywykła — przeminęła epoka rozbiorów, a więc również i geograficzno-politycznych zasięgów, dokonywanych pomimo nas na naszej własnej ziemi. Istnienie narodu przestało być rzeczą skądkolwiekbądź kwestjonowaną. A któżby jeszcze mógł — choćby w najchłodniej teoretycznym rachunku — kwestjonować istnienie narodu polskiego, który zmartwychwstał po trzywiekowem uśpieniu, po półtorawiekowej niewoli, wykreślającej go z rzędu żywych? Era rozbiorów przeszła, nie odpowiada już psychice obecnej Europy, nie jest aktualna i stanie się wkrótce niezrozumiała na podłożu obecnych żywych kwestyj: socjalnej, społeczno-gospodarczej, społeczno-narodowościowej. Na straży istnienia udzielnej polskiej w Europie jednostki stoi siła polska. Ale prócz siły — i w jej podstawie — gwarancją europejską naszego istnienia jest, że odpowiada ono epoce, głębszym jej nurtom, zasadniczym jej prawom.

Trzecim faktem jest wreszcie dziwny nawrót epok historji polskiej. Konjunktura polska — to znaczy nasze uwarunkowanie europejskie, położenie naszych sił i możności w chwili obecnej przypomina o wiele więcej okresy XV czy XVI stulecia aniżeli wieki późniejsze. Układ kwestyj bałtyckich zbliża nas do epoki Batorego. Stosunki za ścianą naszej wschodniej granicy przypo-

minają Rosję z przez Iwana Groźnego. Podział ziem na południowych rubieżach o wiele łacniej jest pojąć, pomnąc strukturę dawnych państw Renesansu Europy środkowej, z przed powstania i rozrostu habsburskiej monarchji. O wiele bliżej jesteśmy, pod względem faktycznym, okresów naszej wielkości państwowej, aniżeli późniejszych — i tak niedawnych — czasów naszego zaniku i niewoli. Stąd otwiera się przed narodem polskim nieograniczona wprost możność czerpania nauk i wzorów, zarówno z własnej historji mocarstwowej, jak z realnej teraźniejszości. I otwierają się jednocześnie widoki na doniosłe w najbliższej przyszłości, z punktu widzenia historycznego konieczne, z punktu widzenia faktów społecznych naturalne, z punktu widzenia polityki polskiej zbawcze, zmiany w psychice Polaków: na odrastanie ludzi, którzy się staną sami sobą i którzy, zbytnio się nie kwapiąc, nie będą się już bali porozumiewać lub współpracować z obcymi.

KAZIMIERZ SMOGORZEWSKI.

# FRANCJA I POLSKA.

Francuzi do Polaków i Polacy do Francuzów żywili i żywią serdeczne uczucia. Nie jest to frazes. Francuskie sympatje do Polski przejawiały się nieraz żywiołowo, czasem może zbyt hałaśliwie. Kiedy demokraci paryscy, 15 maja 1848, wtargnęli na salę Zgromadzenia Narodowego i zerwali jego obrady, wołając *Vive la Pologne!* — oddali sprawie polskiej usługę raczej wątpliwą. W Polsce już za naszych czasów widzieliśmy manifestację analogiczną: żegnanie odjeżdżającego do Paryża gen. Weygand'a nie miało tylko na celu złożenia należnego hołdu wybitnemu przedstawicielowi armji sprzymierzonej Francji. Czyżby to była prawda, że w polityce kocha się zawsze przeciw komuś? W każdym razie nikt w Polsce nie ma monopolu na frankofilizm. We Francji ma Polska oddanych i pewnych przyjaciół we wszystkich obozach politycznych.

W ciągu całych naszych dziejów właściwie do Francji jedynie mieliśmy trwały i głęboki sentyment. Nie zgasiły go ani zawody, ani wypadki historyczne, które Francję od Polski oddaliły. Ale — pisze p. Juljusz Cambon — „polityka zagraniczna nie jest sprawą sentymentu; jej przedmiotem jest dostrajać wypadki do stałych praw rządzących losami narodów". Istotnie, kiedy się jest odpowiedzialnym za losy państwa, trzeba brać pod uwagę przedewszystkiem interesy. Można współpracę dwu państw opierać tylko na interesach, ale nie można tylko na sentymentach. Nie lekceważmy przecież tych ostatnich, bo sentyment w stosunkach międzynarodowych — to opinja publiczna, a jakiż rząd może dziś uprawiać *à la longue* politykę niepopularną? Nie lekceważmy sentymentu z innego względu. Opinja prawie zawsze wyprzedza nastroje sfer rządowych, pisarze niezależni wyrażają swą myśl wyraźniej, rozumują głośniej, a jeśli ich przewidywania i na-

dzieje są równoległe, jeśli się harmonizują z upodobaniami mas, wtedy można twierdzić z całą pewnością że polityka rządu musi prędzej czy później ulec zmianie.

Idealną i dość rzadką jest sytuacja, kiedy interesy dwu państw idą w parze z sentymentami dwu narodów. Pomiędzy Francją a Polską sytuacja taka istniała przed rozbiorami; istnieje także w chwili obecnej. Naturalnie, sentyment w tamtych czasach był inklinacją warstw oświeconych, albowiem wówczas na tej tylko płaszczyźnie istniała opinja publiczna. Ale sentyment był i interesy wspólne istniały. Po obu przecież stronach popełniano błędy, nie umiano sytuacji wykorzystać, nie doceniano się nawzajem i zniechęcano. Franciszek I był skłonny zawrzeć z nami przymierze, ale Zygmunt Stary, choć pan wielkiego wówczas mocarstwa, moralizował dwory europejskie i chwiejną prowadził politykę; dla nikogo nie był groźny, więc się z nim nie liczono. Druga w naszych dziejach próba sojuszu francusko-polskiego, z ofiarowaniem korony polskiej Henrykowi Walezemu związana, skończyła się dla Polski niefortunnie. Kiedy w następnem stuleciu Richelieu proponował znów sojusz Polsce, Władysław IV oferty nie docenił, bo myślą o szwedzkiej koronie głowę miał zaprzątniętą. Mija parę dziesiątków lat i znów Ludwik XIV sojuszu z Sobieskim pragnie, ale intrygi próżnej „Marysieńki" i błędne wielkiego króla Francji manewry pchnęły tylko Sobieskiego pod Wiedeń, gdzie nie w naszym interesie państwowym krew polska się polała. W wieku XVIII Polska, już osłabiona i do upadku się chyląca, nie mogła być dla Francji sojusznikiem w całem tego słowa znaczeniu: w ręku dyplomacji Ludwika XV atut polski był tylko jednym z paru atutów mniej lub więcej pewnych, które się w potrzebie poświęca; kartę polską przecież starano się zachować jaknajdłużej i uwikłano się nawet z tego powodu w drażliwą politykę „sekretu królewskiego"... Napoleon kartę polską wygrywał już bezceremonjalnie, odbudowy państwa polskiego nie doprowadził i tego żałował, ale już... na Św. Helenie.

Historja stosunków francusko-polskich każe nam pamiętać o dwu rzeczach:

1° słabość jednego z sojuszników jest fatalna dla trwałości i skuteczności sojuszu; 2° współpraca dwu narodów niefortunne przybiera formy, jeśli jeden niedocenia interesów i tendencyj drugiego.

W świetle tych dwu prawd widzimy, że sojusz francusko-polski, odbudowany po odrodzeniu się państwa polskiego, uległ w cią-

gu ostatniego dziesięciolecia pomyślnej ewolucji w tym sensie, że wewnętrzna siła i zewnętrzny *prestige* Polski znacznie wzrosły. Istnieje natomiast w Polsce opinja, że ta druga wytyczna nie jest we Francji w dostatecznym stopniu przestrzegana.

Co o tem sądzić? W swoim czasie, nazajutrz po układach lokarneńskich, przeprowadziliśmy na ten temat ankietę wśród setki wybitnych polityków i działaczy społecznych francuskich. Stawiając naszym rozmówcom zapytanie co myślą o polityce polskiej Francji, nie mieliśmy oczywiście wątpliwości co do ogólnego sensu ich odpowiedzi. Chodziło nam jednak o to, aby z ust miarodajnych wyszły sformułowania zasad, jakiemi Francja kieruje się wobec Polski.

Pierwszą zasadę — współzależności losów obu krajów — sformułował najlepiej p. Gaston Doumergue, prezydent Republiki, oświadczając, że „w coraz intymniejszem praktykowaniu sojuszu, na poszanowaniu traktatów opartem, jak również w ich przywiązaniu do Ligi Narodów, Francja i Polska znajdą najpewniejsze gwarancje pokoju“. „Wiemy — mówił p. Rajmund Poincaré— że możemy liczyć na Polskę tak, jak Polska może liczyć na nas“. P. Ludwik Loucheur oświadczył: „Nasze bezpieczeństwa są z sobą nierozerwalnie złączone“.

Jerzy Clemenceau zaszczycił nas autografem, w którym pisał: „Wszyscy we Francji pragniemy Polski naprawdę silnej...“ Jest to druga zasada polityki polskiej Francji, albowiem — jak to stwierdził ks. biskup Alfred Baudrillart — „Polska słaba jest niebezpieczeństwem dla Francji“.

Ale jednym z warunków istnienia silnej Polski jest zdecydowane i pozytywne stanowisko Francji w sprawie zakusów na całość naszego terytorjum. P. Arystydes Briand zapewnił nas, że „naruszenie podstaw statutu europejskiego byłoby narażeniem całego gmachu na ruinę“, a p. Edward Herriot stwierdził, że „granice polskie są sprawiedliwe i ostatecznie wykreślone“.

Obrona nienaruszalności granic Polski nie jest Francuzom dyktowana tylko przez wzgląd na interes francuski. P. Paweł Painlevé jest głęboko przekonany, że „Polska niepodległa i zjednoczona — to zasadniczy warunek panowania sprawiedliwości w Europie“, a p. J. Paul-Boncour, socjalista, nie wahał się stwierdzić, że „Polska, kresy wschodnie cywilizacji łacińskiej, jest niezbędna

nietylko dla bezpieczeństwa Francji, ale również dla równowagi i pokoju Europy".

Nikt dziś z odpowiedzialnych polityków francuskich nie zdaje się w to wątpić, a p. Edward Daladier, obecny prezes partji radykalnej, zapewnił nas, że „Polska jest jednem z rzadkich państw świata, skupiających dokoła siebie sympatje wszystkich politycznych ugrupowań francuskich".

Dziś nie do mężów stanu ani do przywódców stronnictw francuskich się zwracamy, ale do pisarzy i publicystów politycznych. Przeprowadzamy „djagnozę" opinji francuskiej głównie na podstawie powojennej produkcji książkowej tu i ówdzie przyłączając tylko wynurzenia polityków lub głosy prasy. Nie wyczerpujemy oczywiście materjału, ograniczając się albo do nazwisk już wybitnie znanych, albo do „młodych", reprezentujących nowe prądy. Wśród jednych i drugich przeważają zwolennicy sojuszu, względnie przyjaznego porozumienia Francji z Polską. Ale wczytując się w ich prace widzimy, że są w tym kraju dwie główne koncepcje współpracy politycznej francusko-polskiej:

1° wśród zdecydowanych przeciwników pojednania z Niemcami uważa się sojusz z Polską za bardzo ważne ogniwo polityki solidarności, mającej na celu utrzymanie obecnego statutu europejskiego;

2° wśród zwolenników polityki sojuszów przeważa jednak coraz bardziej tendencja, że negatywna obrona zdobyczy zwycięstwa nie wystarcza, że polityka osaczania Niemiec jest niebezpieczna, że trzeba jednocześnie dążyć do odprężenia stosunków z tem mocarstwem.

Wśród tych pierwszych spotyka się ludzi, którzy stracili wszelką wiarę w Rosję, oraz takich, którzy na Rosję obecną lub przyszłą liczyć nie przestali.

Wśród tych drugich można odróżnić znów dwie tendencje: z jednej strony sojusze są celem, a zbliżenie do Niemiec — taktyką; z drugiej — jest akurat odwrotnie. W tym ostatnim wypadku mamy do czynienia z oportunistami, dążącymi do całkowitego pojednania z Niemcami i sceptycznie oceniającymi wartość sojuszu z Polską, choć życzącymi nam jaknajlepiej.

Wreszcie mamy do czynienia z wyraźnymi przeciwnikami współpracy francusko-polskiej działających z przekonania lub... bez.

Pomimo swej logiczności, plan naszego studjum może się wydać arbitralny. Jest nim niewątpliwie, jak każdy plan. Zastrzegamy się zgóry, że nie chcemy każdemu z omawianych poniżej autorów przylepiać jakiejś trwałej etykiety lub zamykać go w jakiejś „szufladce". Jest to niemożliwe w dziedzinie idei politycznych, które w każdym umyśle, zależnie od konjunktur, ulegają pewnym wahaniom. Polityka nauką ścisłą nie jest. Ale jakiś porządek przyjąć musieliśmy.

## I.

Jednego tylko znamy pisarza francuskiego, który publicznie manifestuje swój polonofilizm, nie chce pojednania z Niemcami i zwalcza ideę współpracy francusko-rosyjskiej, dziś czy w przyszłości. Jest to p. Jerzy Oudard, utalentowany powieściopisarz i „essayista". Już swój życiorys Piotra Wielkiego zakończył stwierdzeniem, że „Europa kończy się dziś na odrodzonej Polsce", że „Moskwa wróciła do swego naturalnego barbarzyństwa" i że „czeka tylko sposobności, aby rzucić się znów na znienawidzoną Europę" (str. 415).

W roku 1928 p. Oudard odbył podróż po Polsce, a swe przychylne dla nas wrażenia ogłosił w miesięczniku *Les Oeuvres Libres.* Rozszerzywszy i uzupełniwszy ten opis, żywy i trafny, autor wydał go obecnie w osobnej książce p. t. *Pologne.* Polemizując z niemieckimi poglądami na Polskę, broni Pomorza, którego utrata „uniemożliwiłaby Polsce oddychanie i życie" (str. 225); zwalcza pomysły p. Rechberga, których Francja „nie ma interesu brać pod rozwagę" i które są „szantażem" (str. 226), poczem konkluduje:

> Polska nie da się zastraszyć. Jej sojusznicy spaliliby się ze wstydu, nie zachowując, podobnie jak ona, zimnej krwi. Nadejdzie dzień — mam nadzieję, że jest bliski — kiedy Niemcy zgodzą się na stan rzeczy drażniący raczej ich miłość własną, niż szkodzący ich interesom. Jedynym sposobem przekonania Niemców o tem, jest zdecydowanie odmowne stanowisko w stosunku do ich rozumowań (str. 227).

W Rosję p. Oudard nie wierzy:

> Sojusz francusko-rosyjski jest dziś martwą kartą. Nic go nie odrodzi. Statut nowej Europy mu się sprzeciwia... Kosztował nas drogo, bardzo drogo. Kosztowałby jeszcze drożej, nietylko

> w pieniądzach, gdyby okoliczność pozornie katastrofalna, a w gruncie rzeczy opatrznościowa, nie uwolniła nas odeń (str. 243).

Są jeszcze inni pisarze francuscy, podobne opinje o sojuszu francusko-rosyjskim głoszący. Naprzykład p. Jerzy Michon wydał o tym sojuszu duże studjum, w którego zamknięciu pisze:

> Sojusz francusko-rosyjski jest jedną z najciemniejszych kart naszych dziejów. Pod jakimkolwiek go się rozpatruje kątem. stwierdzić trzeba, że zbankrutował najżałośniej... Sojusz ten był olbrzymiem oszustwem *(immense duperie)*... (str. 305—306).

Autor żywi coprawda sympatje lewicowe i jest zasadniczo przeciwny polityce sojuszów.

Wracając do książki *Pologne* p. Oudard'a stwierdzamy, że autor wierzy w Polskę, — *une grande nation en puissance* (str. 246), — wie, że „Polska musi być silna, nie po to aby prowadzić wojnę, co byłoby sprzeczne z jej żywotnemi interesami, ale celem przeszkodzenia, aby jej wojny nie wypowiedziano". A oto jego konkluzja:

> — Czy dobrze uczyniliśmy, wkładając do naszej gry kartę polską?
> — Tak, pod warunkiem, że dobrze grać będziemy, aż karta stanie się atutem (str. 248).

## II.

Monarchiści francuscy nie są obozem licznym, ale wywierają niewątpliwy wpływ na elitę społeczeństwa francuskiego. P. Karol Maurras głosi tezę, iż Republika nie może prowadzić stanowczej, godnej i ciągłej polityki zagranicznej. Rozpatrywanie tego twierdzenia nie wchodzi w zakres niniejszego studjum. Monarchiści zalecają nazewnątrz politykę absolutnego egoizmu narodowego. Do Polski odnoszą się przychylnie i serdecznie. W swej odpowiedzi na naszą ankietę z 1926, p. Maurras przyznał nawet, że monarchja francuska ma na sumieniu szereg *„abandons, oublis et négligeances"* w stosunku do nas. Nie przyznaje tego historyk i publicysta obozu, p. Jakób Bainville. Wybitny ten pisarz jest niewątpliwie naszym przyjacielem i stale nam oddaje usługi. Niemcom nie ufa, w pojednanie z nimi nie wierzy i wszelkie inicjatywy ku temu zmierzające krytkuje; wogóle p. Bainville chętnie

ironizuje i moralizuje, dość sceptycznie zresztą patrząc na świat. Jego *Histoire de France* zawiera oczywiście ustępy „sprawiedliwe i nawet dla Polski przyjazne“ — jak zauważa prof. St. Wędkiewicz w zbiorze *Z motywów polskich w publicystyce francuskiej* (str. 14) — ale są tam również ustępy inne. Omawiając politykę Ludwika XV i kardynała Fleury, p. Bainville pisze:

> Nienaruszalność Polski i sojusz z nią były wówczas zasadami, które Francja odnalazła w roku 1918, ale które w wieku XVIII sprawiły jej kłopoty ogromne... (str. 270).

A w innem miejscu swego szkicu historycznego powiada, że za Napoleona, podobnie jak w wieku XVIII, *la Pologne altérait notre politique et nos alliances* (str. 419).

Tę samą tezę znajdujemy w innej książce p. Bainville'a poświęconej „politycznym skutkom pokoju“. Czytamy tam:

> Polska, mająca być naszą ochroną przeciw Niemcom, państwem buforowem między Niemcami a Rosją, nie ma środków, jakichby potrzebowała, aby rolę tę wypełnić. Nie ona dla nas będzie punktem oparcia, ale my jej będziemy musieli bronić. Będzie dla nas ciężarem... (str. 130).

Nieco dalej pisał p. Bainville, że Polska, dziś tak jak przed rozbiorami, będzie dla Francji *un souci quotidien* (str. 134). Aby zrozumieć ten egoistyczny pesymizm autora zważyć trzeba, że jego *Conséquences politiques de la paix* były pisane latem 1920; że 3 maja tegoż roku, po zwycięstwach wojsk polskich na Ukrainie, p. Bainville napisał w *Action Française*, iż „Polska, rozpraszając wątpliwości i obawy, jakie można było żywić co do jej zdolności stworzenia państwa, wzmacnia się z dniem każdym“; że nasz odwrót podciął rodzący się optymizm p. Bainville'a w stosunku do Polski. Od tego czasu minęło przecież dziesięć lat i Polska istotnie rozproszyła wątpliwości, jakie jej przyjaciele mieć mogli. P. Bainville, powtarzamy, przyjacielem jest i życzy nam jaknajlepiej:

> Pragniemy — pisał nam w roku 1925 — aby państwo polskie było kwitnące, potężne nazewnątrz i zwarte nawewnątrz, bo będzie zagrożone jak w wieku XVIII, z kilku stron naraz... *(La politique polonaise de la France,* str. 44).

A ostatnio, polemizując z publicystami lewicowymi, krytykującymi politykę wewnętrzną Marszałka Piłsudskiego, pisał p. J. Bainville na łamach *Liberté* (3 listopada 1929):

Trzeba wiedzieć czego się chce. Jeśli się jest zwolennikiem Polski niepodległej i jeśli się pragnie, aby ta Polska nie upadła, to musi tam powstać silna władza. Otóż Piłsudski jest najlepszą gwarancją przeciw anarchji w Polsce.

P. René Pinon jest jednym z najwybitniejszych pisarzy politycznych umiarkowanego obozu republikańskiego. Prowadzi obecnie kronikę polityczną w *Revue des Deux Mondes* (jego poprzednikiem był, do roku 1922, p. R. Poincaré). Mamy w tym pierwszorzędnym znawcy polityki międzynarodowej przyjaciela dawnego i aktywnego. W swem dziele poświęconem nowej Europie i wydanem nazajutrz po wojnie p. Pinon pisał:

Logika faktów i charakterów stwarza nieuniknione przeciwieństwo interesów Polski i Niemiec... Polska albo będzie wielka, albo nie będzie jej wcale... Polska musi więc być czujną, mocną, wewnętrznie zjednoczoną; musi szukać gwarancyj po stronie mocarstw, których zwycięstwo ją wyzwoliło (str. 142—143).

W jednym ze swych odczytów wygłoszonych w roku 1921, p. René Pinon, mówiąc o „roli Francji i Belgji nad Renem“, oświadczył, że „Polska jest konieczna dla ładu europejskiego, oraz dla bezpieczeństwa Francji i Belgji“.

W swem ostatniem dziele, dającem przejrzystą syntezę historji dyplomacji francuskiej ostatnich pięciu wieków, p. Pinon pisze:

Odbudowa Polski niepodległej nadaje Europie z roku 1919 jej cechę najbardziej charakterystyczną... Polska jest dowodem, że narodu zamordować nie można... Przyznanie Polsce Pomorza stwarza niewątpliwie sytuację trudną, która dla narodu niemieckiego jest namacalnym dowodem jego klęski, ale ta restytucja zgadza się z nakazami sprawiedliwości i logiki politycznej... (str. 631).

W przedmowie do książki Mgr-a Baudrillart'a, opisującej podróż biskupów francuskich do Polski, niedawno zmarły arcybiskup Paryża, kardynał Ludwik Dubois, pisał:

Jednolitość Polski jest dziś mocniejsza, niż kiedykolwiek... My nie uprawiamy polityki, ale czy możemy zamykać oczy na niebezpieczeństwo, jakie Francji groziłoby na wypadek ponownego upadku Polski?... Niech Bóg chroni odbudowaną i zjednoczoną Polskę! (str. IV—V).

P. Andrzej Soulange-Bodin, dyplomata francuski poza służbą, ogłosił niedawno szereg studjów o nowej Europie. Już w przed-

mowie stwierdza, że Polska jest „jednym z kamieni węgielnych nowego ładu europejskiego“ (str. 2). Rozdział poświęcony Polsce jest pełen zdrowego optymizmu:

> Dostatecznie wykazaliśmy — pisze w konkluzji, — że nowa Polska ma wszelkie dane żywotności, pomyślności i siły... Jest czynnikiem gwarantującym trwałość nowego statutu europejskiego i gdybyśmy pozwolili ją ruszyć — drogo moglibyśmy później za błąd ten zapłacić... Polska nie uważa narazie za wskazane przystąpić do Małej Ententy, ale prowadzi politykę równoległą... Polska zresztą jest głównym fundamentem nowej Europy środkowej... Pomiędzy Francją a Polską istnieje stała, niby fale elektryczne, wymiana sympatyj, które musimy podtrzymywać... Wszystko nas łączy, nic nas nie dzieli (str. 174—176).

P. Jerzy Leygues, obecny minister marynarki, pisze w przedmowie do książki *La Pologne au travail:*

> Na Polsce spoczywa równowaga Europy środkowej i wschodniej. Zerwanie tej równowagi oznaczałoby zniszczenie systemu kontynentalnego z wojny zrodzonego, pogrążenie Europy w chaosie i wznowienie ery konfliktów (str. X).

Takich głosów jest więcej. W 1923, w towarzystwie kilkunastu kolegów, zwiedził Polskę p. Karol Delvert, nauczyciel szkół średnich. Swój opis Polski wydał dopiero w cztery lata później, przez co traci on na aktualności. Już na wstępie stwierdza, że sojusz z Polską jest „jedynym pozytywnym aljansem, jaki Francja od roku 1919 zawarła“ (str. 5). Autor wierzy, że Polska „pokona wszystkie trudności, jakie na drodze swej napotyka“ (str. 182) i konkluduje, że „od siły Polski, tak jak od siły Francji i jej innych sojuszników, zależy pokój świata“ (str. 183).

P. G. Peytavi de Faugères, dziennikarz francuski, zwiedził Polskę w 1927 i wydał wkrótce potem w książce swe wrażenia i wnioski. Wrażenia wyniósł z Polski dobre, a jego wnioski polityczne są słuszne. Nie bagatelizuje układów lokarneńskich, ale rozumie, iż Polsce one nie wystarczają; widzi potrzebę istnienia „mocnego państwa polskiego pomiędzy Niemcami a Rosją, państwa będącego punktem oparcia dla zaprzyjaźnionej z Francją Europy środkowej i wschodniej“ (str. 170); nie ma też autor obaw co do przyszłości Polski: „Polska żyje i żyć będzie (str. 187).

P. L. Barot-Folière, b. mer miasta Angers, zwiedził Polskę w 1927 w towarzystwie swej małżonki, p. Matyldy Barot-Folière.

Po powrocie, państwo Folière ogłosili niezwykle serdeczną książkę o Polsce, której konkluzja brzmi:

> Demokracja francuska i polska, pomimo intryg mających na celu ich rozdzielenie, muszą utrzymać w całości wiążący je sojusz, będący jedyną realną gwarancją równowagi europejskiej (str. 226).

P. P.-Louis Rivière jest ciekawym przykładem „przeciętnego Francuza". Nie znajdując żadnego podręcznika, któryby mu dał w skrócie polityczny obraz powojennego świata sam zabrał się do napisania takowego. Jest w jego książce dużo usterek w datach i cyfrach, ale jego opinje godne są uwagi. Trzy widzi powody odbudowy Polski: „zbieg okoliczności", „wolę sojuszników", oraz zjawienie się w Polsce „człowieka przeznaczenia: Piłsudskiego". Jest zwolennikiem sojuszu z Polską: „Armja polska, pisze, gotowa w razie potrzeby podać dłoń armjom Francji i Małej Ententy, jest mocnym czynnikiem bezpieczeństwa Europy...".

Jest jeszcze parę książek i opracowań Polsce poświęconych, życzliwych i pożytecznych; nie będziemy ich tu analizowali, bo są to rzeczy przeważnie specjalne. Ale nie możemy w tym rozdziale pominąć głosu posła Ludwika Marin'a, b. ministra i przywódcy Federacji Republikańskiej, prawego skrzydła Izby francuskiej, stronnictwa Polskę zdecydowanie popierającego, a odnoszącego się do Niemiec z najwyższą nieufnością. P. Marin wydał w broszurze swe mowy wygłoszone w Izbie 27 lutego i 1 marca 1926 w przedmiocie układów lokarneńskich. P. Marin stwierdza, że największą luką tych układów jest rozróżnienie pomiędzy granicą zachodnią a wschodnią Niemiec; mówi się, że wstęp do konwencji arbitrażowej polsko-niemieckiej zawiera jednak pewne gwarancje interesujące Polskę; p. Marin powiada, że takie czy inne zwroty wstępu nie obowiązują trybunałów arbitrażowych, a zatem: *„Rien ne jouera, c'est une clause de style"* (str. 32).

Krytykując politykę p. Arystydesa Briand'a, wówczas premjera i ministra spraw zagranicznych, p. Marin mówił:

> — Musimy przedewszystkiem dbać o siłę własną, a następnie zapewnić sobie sojusze...
>
> P. BRIAND: Trzeba być we dwoje, aby był sojusz.
>
> P. MARIN: Dowiodę panu, że można być we dwoje i więcej...
>
> P. BRIAND: O, w mowie może pan zrobić sojusz w dziesięciu
>
> P. MARIN: Mowy nie są wszystkiem, ale wyrażają idee, które mogą skupić narody w sojusze. Temu pan nie zaprzeczy. Wszyst-

> ko mi jedno, że moje idee są przyjmowane sceptycznie: wierzę głęboko, że ja mam rację... Jeśli nie dziś to jutro sojusz połączy wszystkich zwycięzców kontynentu europejskiego: Francję, Belgję, Polskę, Czechosłowację, Rumunję i Jugosławję... (str. 74—75).

Tak sformułowaną politykę sojuszów popierał Marszałek Foch i koła wojskowe francuskie. Pomimo całej sympatji, jaką Polak żywić musi do takiego programu, stwierdzić trzeba, że tylko mniejszość elity umysłowej Francji na takie godzi się metody. Odważna prostolinijność polityki p. Marin'a nie bez ironji jest przyjmowana przez niektórych dyplomatów z *Quai d'Orsay*. Stawiają bowiem pytania: Czy to wystarczy? Co począć z Rosją? Jak się ustosunkować do Niemiec? Czy nie zadrogo kosztowałby italski sojusznik? A Wielka Brytanja?

## III.

Wspomnienia sojuszu francusko-rosyjskiego i rachuby na przyszłość z Rosją związane mącą trochę stosunki francusko-polskie. W ciągu ostatniego dziesięciolecia zaszły w tym względzie wielkie zmiany na naszą korzyść i dziś żadne nam bezpośrednio z tej strony nie grozi niebezpieczeństwo. Musimy przecież zawsze wiedzieć co się dzieje, jakie są w tym kierunku nastroje.

W 1919, w trakcie debaty nad Traktatem wersalskim w Izbie deputowanych, p. Marin żałował (19 września), że „aljans francusko-rosyjski jest chwilowo sparaliżowany". Złudzenie powyższe było wówczas we Francji dość powszechne. Cytowany już przez nas p. René Pinon uważał w 1920, że „Francja byłaby mniej zwycięska, gdyby nie uczyniła wszystkiego co od niej zależy i nie przyszła swej rosyjskiej sojusznicy z pomocą w chwili ciężkiego doświadczenia" (*Le reconstruction de l'Europe politique,* str. 179). W 1926 pisał p. Pinon w naszej ankiecie:

> Kiedy Rosja również stanie się czynnikiem ładu i równowagi, Polska będzie musiała powziąć doniosłą decyzję. Byłoby dla niej śmiertelnem niebezpieczeństwem pozostawać jednocześnie wrogiem Niemiec i Rosji... Polska powinnaby wówczas zbliżyć się do Rosji i nawiązać z nią stosunki dobrego sąsiedztwa i przyjaźni choćby nawet kosztem pewnych drobnych ustępstw... *(La politique polonaise de la France,* str. 97).

Według p. Emila Haumant'a, profesora uniwersytetu paryskie-

go, wybitnego znawcy Rosji ale bardziej jeszcze znanego rusofila, owe „ustępstwa“ będą konieczne i to nie „drobne“ tylko:

> Sytuacja Polski jest tragiczna... — pisze [22]). — Położona pomiędzy dwoma wrogami, którzy się połączą, Polska znów upadnie o ile na czas nie uprzedzi ich sojuszu zbliżeniem się do jednego lub drugiego sąsiada... Zbliżenie z Niemcami jest wykluczone... Zgoda z Rosją jest, *à priori*, łatwiejsza... Chodzi tu jednak o prowincje, których zwrotu domagają się Rosjanie, prowincje tak liczne i rozległe, że na pierwszy rzut oka ich utrata wydaje się oznaczać koniec Polski... (str. 79—82).

I tu szanowny profesor wyraża nadzieję, że Rosja mogłaby przecież pozostawić Polsce... Chełmszczyznę i Galicję wschodnią (*sic!*), ale nie Grodzieńszczyznę i nie Wileńszczyznę... Co najwyżej mogłaby w tych ostatnich prowincjach zgodzić się na „bezstronny“ blebiscyt...

P. Ludwik Naudeau, były korespondent *Temps*'a w Rosji, który w 1918 parę miesięcy przesiedział w Butyrkach, wyraża taki pogląd na przyszłość stosunków francusko-rosyjskich:

> Dziś Francja nie potrzebuje silnej Rosji, ale jest dla nas rzeczą niezbędną, aby Rosja się ocknęła i była dość zdrową, kiedy stare prądy imperjalizmu niemieckiego znów się staną niebezpieczne... (str. 241).

W przedmiocie do książki p. Ernesta Lagarde'a, jaka ukazała się wiosną 1924 i dowodziła potrzeby uznania rządu sowieckiego, p. Lucien Romier, autor wielu interesujących studjów z pogranicza polityki i historjozofji, wpada w ton nemal mistyczny kiedy twierdzi, że Francja i Rosja nigdy nie przestały *se sentir plus ou moins vouées par la nature à un rapprochement de fait*, że mamy tu do czynienia z *alliance prédestinée* (str. 9).

P. Anatole de Monzie, dawniej senator a dziś poseł, radykalizujący arystokrata, nietylko był tego samego co p. Romier zdania, ale — jako logiczny z sobą samym bojownik „dyplomacji obecności“ — jeszcze za rządów Bloku narodowego domagał się uznania Sowietów i nawiązania z Moskwą normalnych stosunków dyplomatycznych. Z liryzmem mówił w Senacie (5 kwietnia 1924) o „tradycjach sojuszu francusko-rosyjskiego“... Richelieu, Napoleon, Polignac, Morny i Gambetta — wszyscy byli zwolennikami tego sojuszu. „Czem jest nasz antybolszewizm wobec tej odwiecznej tradycji, wobec oczywistości naszego interesu narodowego?...“. A ponieważ emigracja rosyjska agitowała wówczas

gorliwie przeciwko uznaniu Sowietów, p. de Monzie pisał: „Niech mi będzie wolno domagać się nawiązania kontaktu z nową Rosją bez pozwolenia pp. Kokowcowa i Miliukowa“ *(Du Kremlin au Luxembourg,* str. 166).

P. Edward Herriot, szef radykałów francuskich, jeszcze w 1922 odbył podróż do Rosji sowieckiej; relację swoją drukował na łamach *Petit Parisien*'a a potem wydał ją w książce. Nie ma wątpliwości, że „dawna Rosja zginęła bezpowrotnie“ (str. 288), że „rząd sowiecki jest trwały“ (str. 291), aczkolwiek jego „program pierwotny jest złamany“ (str. 292). „Europa potrzebuje rosyjskiej produkcji“, a Rosja „nie może puścić w ruch swego olbrzymiego mechanizmu bez pomocy Europy“... Ale gdyby Francja miała nazawsze stracić sumy Rosji powierzone „jak Rosja mogłaby odzyskać swój kredyt na rynku francuskim“? Kończąc, domagał się p. Herriot „wymiany delegacyj“ pomiędzy dwoma państwami, przyczem „sławetna sprawa uznania *de jure* byłaby zarezerwowana“ (str. 296).

W dwa lata potem, kiedy p. Herriot był u władzy, uznał rząd sowiecki *de jure* (28 października 1924) „jako rząd ziem b. Cesarstwa rosyjskiego tam, gdzie jego władza przyjęta jest przez mieszkańców, i jako spadkobiercę poprzednich rządów rosyjskich na tych ziemiach“. P. Jan Herbette został ambasadorem francuskim w Moskwie, a p. de Monzie objął przewodnictwo specjalnej delegacji francuskiej do uregulowania sprawy długów i majątku francuskiego w Rosji. „Wymiana ambasadorów — pisał p. de Monzie w *Petit Parisien* (29 października 1924) — to tyle co nic, o ile nie będzie ona prologiem do czegoś innego...“ Ale dziś zarówno koła urzędowe jak i wszystkie odłamy opinji francuskiej stwierdzają, że „coś innego“ nie nastąpiło.

Eksperyment został dokonany i złudzenia się rozwiały. W warunkach obecnych szanse jakiejkolwiek stałej i lojalnej współpracy francusko-„rosyjskiej“ są nikłe, jeśli nie żadne. Oczywiście, Z. S. R. R. ludzi zaciekawia, a „podróże do Moskwy“, szczególnie w jubileuszowym roku 1927, były liczne. Im szersze jest społeczne serce autora, im większy jego dyletantyzm lub snobizm, tem więcej w jego opisie słabości i powierzchowności. Nie mówimy tu naturalnie o książkach sowieckich najmitów. Ale, dziwna rzecz, nawet pisarze znani, w których niezależność i intelektualną uczciwość nie wątpimy, nie mogli do swych sprawo-

zdań z podróży do Rosji nie wsadzić bodaj paru przykrych uwag pod naszym adresem.

P. Henryk Béraud, pisarz zdolny i ciekawy ale zarozumialec, impertynent i reklamista niesłychany, był w Rosji w 1925; napisał potem książkę dla Sowietów nieprzychylną i był za to przez komunistów francuskich bezceremonjalnie zwymyślany, bo ośmielił się powiedzieć, że moskiewscy potentanci mają „maski humanitarne, ale twarze imperjalistyczne". Wsunął jednak p. Béraud zdańko o *vieille turbulence polonaise* (str. 218), a zaraz na wstępie swego opisu z niechęcią się wyraża o „korytarzu polskim", w którym *on fourre tout le monde pêle-mêle dans les wagons plombés* (str. 5). Tę plotkę o „korytarzu" p. Béraud powtórzył i pogłębił w innej swej książce.

W 1927 zjechało do Moskwy z tuzin literatów i publicystów francuskich. PP. Jerzy Duhamel i Luc Durtain podróżowali razem. Autor *Vie des Martyrs* jest wielkim pisarzem, ale małym obserwatorem politycznym. Powiada w swej książce, że Rosja „funkcjonuje z każdym dniem coraz lepiej, albowiem inteligencja prawie wszędzie wróciła na swe stanowiska", a „ustrój, pewien swej siły i przyszłości, stał się bardziej ludzkim" (str. 45). Mówi też p. Duhamel o „wrogach Rosji", o „tłumie małych narodów sąsiednich". Jest szlachetny i raczy przyznać, że „odbudowa Polski była jednym z rzadkich aktów sprawiedliwości dokonanych przez wersalskie zbiegowisko" (str. 193), ale zaraz potem prawi o Polakach, którzy *traînent le sabre avec une dangereuse complaisance* i czekają tylko na rozkaz Marszałka aby rozpocząć jakąś wojnę... Z kim? W Warszawie, w 1927, „nie bez zachwytu", powiedział ktoś rzekomo p. Duhamel'owi: *Nous ne savons pas quelle surprise le Maréchal nous réserve pour le printemps*... A dalej jest mowa o „niezręcznościach i okrucieństwach rządu polskiego w stosunku do mniejszości narodowych" (str. 194), co naturalnie propaganda moskiewska „zręcznie wyzyskuje" i w rezultacie „moralne naprężenie pomiędzy dwoma krajami jest bolesne i groźne" (str. 195).

P. Luc Durtain wsławił się dwiema książkami o Stanach Zjednoczonych, będących czemś pośredniem między reportażem a powieścią, w których z werwą i z ironją odmalował obyczaje amerykańskiego *high life*'u. Jego książka o Rosji jest barwna, interesująca i bardziej krytyczna od wypracowania p. Duhamel'a.

I on przecież przypiął nam „łatkę“. Polskę widział tylko z okien wagonu między Zbąszyniem a Niegoriełoje, a jednak wyczuł, że „w żadnym kraju Europy zachodniej nie możnaby wykreślić linji prostej, która, na przestrzeni 100 mil, natknęłaby się na tak mało ludzkich skupisk, woli i realizacji jak w Polsce“... (str. 17). Ciekawe, choć niezawsze trafne są uwagi p. Durtain'a o polityce zagranicznej Sowietów.

Autor nie ukrywa imperjalistycznych zapędów Moskwy, porównywuje jej postępy do „zdobyczy Islamu, na poły politycznych, na poły mistycznych“; wewnętrzna budowa Z. S. R. R. przypomina mu „konstrukcję Rzymu“, a politykę narodowościową Moskwy ocenia jako *merveilleusement adroite* (niechby tak teraz pojechał do Charkowa i Kijowa i zapytał o zdanie Ukraińców!). Wie dobrze, że sowieccy dyplomaci niewiele mają do powiedzenia, albowiem „prawdziwe wypadki dzieją się wysoko ponad ich głowami“. Cóż więc rządy zachodnio-europejskie mają czynić? Nowa blokada? — *Redoutable imprudence*... Zerwać stosunki gospodarcze? — *Coûteuse absurdité*... Prowadzić politykę strusią? — *Puérilité*... Agresja i koalicja europejska? — *Il est heureusement trop tard*... Europa bez Rosji jest niekompletna, Europa potrzebuje tej „drugiej Europy“, jaką jest Rosja (str. 281—283).

P. Alfred Fabre-Luce, były sekretarz ambasady francuskiej w Londynie (którego p. Poincaré usunął ze służby), jako syn jednego z dyrektorów *Crédit Lyonnais*, jest człowiekiem materjalnie niezależnym; umysł ma żywy, kulturę dużą, zaciekawienia wszechstronne. Jego książka o Rosji jest najlepszą z całej serji „podróży do Moskwy“. Zarzuca p. Duhamel'owi, że „nie zaznaczył wyraźnie absolutnego i głębokiego przeciwieństwa moralnego istniejącego między naszą cywilizacją a komunizmem“ (str. 7). Zaś czyniąc aluzję do uwag p. Luc Durtain'a na temat stosunków Europy z Sowietami, p. Fabre-Luce pisze:

> Europa z trudem może czekać. Chce znaleźć w Rosji albo wroga, który ją zmusi do jedności, albo rynek, na którym upust znajdą i gdzie się stowarzyszą siły zwalczające się w samej Europie. Będą więc dokonane kroki, mające na celu położyć kres sowieckiej polityce trwonienia. Jednocześnie dyktatorowie moskiewscy, wobec ich niepowodzeń, zaczną się denerwować. Padnie iskra. Nacjonalizm i komunizm staną oko w oko. Która Europa zmusi drugą do przyjęcia jej systemu?... Walka zbrojna jest możliwa. A jednak niema wojskowego rozwiązania kon-

> fliktu. Wojna tylko pośrednio rozstrzygnie problem społeczny... Tak czy owak bolszewizm już zbankrutował, choć bolszewicy są silni. Wojna byłaby szaleństwem, ale trudno sobie wyobrazić kompromis pomiędzy nimi a Europą... (str. 160—162).

Pozostawmy te hipotezy. Wróćmy do naszej Europy. *Agissons comme si la Russie n'existait pas* — mówił nam niedawno p. Henryk de Jouvenel. Istotnie, niema dziś państwa r o s y j s k i e g o: jest tylko Z. S. R. R. To prawda, że polityka zagraniczna Sowietów, jeśli nie w swych celach, to przynajmniej w środkach, przypomina tradycyjną politykę imperjalizmu rosyjskiego. Atoli rząd sowiecki w drobnym tylko stopniu rozporządza środkami normalnej polityki zagranicznej. Z. S. R. R. jest w rodzinie narodów cywilizowanych ciałem duchowo obcem, wobec którego (ze względu na jego zamierzenia) trzeba stosować wyjątkowe środki ostrożności.

Polityka zagraniczna Z. S. R. R. nie rozporządza wpływami natury gospodarczej lub finansowej; nie jest w stanie ani dopomóc przyjacielowi, ani wywrzeć presji na współzawodnika czy przeciwnika. Związek sam na gwałt potrzebuje kredytu, a ewentualne korzyści ekonomiczne wynikające z zamówień *Wniesztorgu* są skromniutkie wobec wielkiego skurczenia się wewnętrznego rynku rosyjskiego.

W zakresie stosunków politycznych Z. S. R. R. nie może być ani sojusznikiem, ani pewnym przyjacielem; conajwyżej może być protektorem liliputów i mocodawcą agentów... Wreszcie — *last but not least* — Z. S. R. R. nie jest w stanie przejść od pogróżek do wykonania takowych. Nietylko z powodu finansowego i gospodarczego marazmu (rząd tak nieludzki jak rząd sowiecki z temby się nie liczył), ale przedewszystkiem dlatego, że wojna oznaczałaby w polityce wewnętrznej Rosji przejście do dyktatury wojskowej i obalenie obecnego ustroju z niewiadomemi dla jego głów skutkami.

Gdyby więc w polityce międzynarodowej nie grały żadnej roli *imponderabilia* natury psychologicznej, ministrowie spraw zagranicznych naszej Europy mogliby doskonale rozumować i działać tak „jakgdyby Rosji nie było". Ich koledzy ze spraw wewnętrznych wystarczyliby, aby zwalczać propagandę komunistyczną. Ale tu właśnie w grę wchodzą *imponderabilia*. Rosja działa przedewszystkiem na wyobraźnię przeciętnego Europejczyka swym

geograficznym rozmiarem i dyplomacja sowiecka bardzo zręcznie na tej sugestji dotychczas grała. Polityka przecież — to nie sztuczki magiczne. Kiedy widzowie *truc* zrozumią, gra już ich nie interesuje.

Jak długo to będzie trwało? Przyszłość Rosji mrokami jest spowita, ale kiedyś ta Rosja stanie się państwem narodowem. Jak się wówczas ułożą stosunki francusko-polskie? „Nasze z Rosją stosunki — pisał parę lat temu p. Jakób Bainville — zależne będą od stosunków polsko-rosyjskich". A w konkluzji swego interesującego studjum o „przyszłej Rosji", pisał p. Roger Labonne: „Niema sojuszów tradycyjnych... Są wspólne konieczności, które dwa narody zbliżają, są też rozbieżne potrzeby, które je oddalają... Rzeczywistość nam wskazuje, że po odbudowaniu Polski współpraca francusko-rosyjska, przynajmniej w jej dawnej formie, jest już niemożliwa".

IV.

Pomimo prac Ligi Narodów, pomimo układów lokarneńskich, pomimo mozolnego „likwidowania wojny", trudno jest twierdzić, że mamy już w Europie trwały pokój i spokój. Zbyt wiele w Genewie, w Locarno i w Hadze było i jest niedomówień, nieszczerości nawet. Kiedy wszelkie wysiłki skonsolidowania pokoju — z całym korowodem ustępstw dla Niemiec — czynione są przez byłych sojuszników w nadziei s k r y s t a l i z o w a n i a powojennego, na sprawiedliwości opartego statutu, to Niemcy wstępują do Ligi, podpisują układy lokarneńskie i po swojemu współdziałają w „likwidacji wojny" w Hadze w tej przedewszystkiem nadziei, że te posunięcia ułatwią im owego statutu z r e w i d o w a n i e. Dążenie do hegemonji na kontynencie europejskim uznać trzeba za jedno z praw polityki niemieckiej; walka z Traktatem wersalskim jest głównym jej celem. Atoli równowaga sił w Europie jest dziś tak niestała, że różne obozy niemieckie różne zalecają metody. Nacjonaliści idą śladami polityki Fryderyka Wielkiego i „prą na wschód"; socjaliści i demokraci wolą się raczej układać z zachodem; katolicy, najbardziej niezdecydowani, pożądliwie patrzą na południe i myślą o *Anschluss*'ie, gdzie się zresztą spotykają z socjalistami; nie zapominają też o „niemieckim wschodzie" i tu idą równolegle z nacjonalistami.

Wszystkie jednak obozy niemieckie czynią na zachodzie wysiłki zmierzające do rozluźnienia węzłów łączących Francję z Polską. W umyśle Niemców taki powinien być rezultat polityki pojednania francusko-niemieckiego. Tylko reakcje nie są jednakowe: protestuje się szczerze, protestuje dla formy, uważa się za najlepszą taktykę pozostawić Niemcy w niepewności, w duszy przyznaje się niektórym rewindykacjom niemieckim rację, albo wprost głośno się to mówi.

Weźmy przykład konkretny, a mianowicie stanowisko opinji francuskiej wobec agitacji niemieckiej w sprawie t. zw. „korytarza".

P. René Pinon, którego zacytowaliśmy wyżej, broni naszej tezy w tej sprawie. Jakób Seydoux, niedawno zmarły wielki dyplomata francuski, choć zwolennik współpracy francusko-niemieckiej, pisał w przedmowie do książki „Augur'a" o Pomorzu:

> Proces się odbył i sprawa jest wygrana. Nie trzeba tracić nadziei i mówić, iż niema zadawalającego rozwiązania sprawy „korytarza" dla Niemiec i dla Polski. Niemcy muszą się pogodzić z faktem, że „korytarz" jest i musi pozostać polski; zawsze był polski przed zbrodniczemi rozbiorami... Niemcy muszą się przyzwyczaić do istnienia Polski, a nawet do jej rozrostu... (str. 12—13).

Prof. René Lote, znany germanista, powiada, że „Polsce własny port jest potrzebny", że „Gdańsk zyskał na zmianie" i że na Pomorzu „wszędzie są duże większości polskie".

P. Maurycy Pernot ogranicza się do stwierdzenia, że nie spotkał „ani jednego Niemca, któryby się zgadzał na utratę Gdańska i istnienie korytarza".

Już w innym tonie zabiera głos prof. Henryk Lichtenberger, germanista francuski. W swej książce o położeniu w Niemczech, wydanej w okresie okupacji Ruhr'y, wypowiada się za „porozumieniem" z Niemcami i usiłuje wytłumaczyć opinji francuskiej niemiecki *esprit:*

> Odbudowa Polski niepodległej, utrata Poznańskiego i części Śląska Górnego, sytuacja Prus wschodnich stworzona przez sławny „korytarz", zapewniający Polsce dostęp do morza, — to wszystko Niemcy odczuli jako bardzo bolesne ciosy w całość ich organizmu politycznego i gospodarczego... Opinja niemiecka Francję czyni odpowiedzialną za takie rozwiązanie sprawy polskiej... Niemcy są przekonani, że wschodnia polityka sojuszni-

ków jest chimeryczna... Francja, mówią, chce stworzyć wielką Polskę z 35 miljonami mieszkańców, która, zanim odbuduje się Rosja i sojusz francusko-rosyjski, ma być barjerą przeciw germanizmowi. Jest to utopja... Prof. Hötzsch powiada, że Francja chciałaby pogodzić swą politykę sojuszu polskiego z XVIII wieku z polityką sojuszu rosyjskiego z XIX wieku. Łatwiej znaleźć kwadraturę koła! Próba wzniesienia barjery pomiędzy Rosją a Niemcami nie może mieć trwałego powodzenia. Polska i Rumunja są państwami zbyt kruchemi... Rosjanie, Niemcy, Austrjacy i Madziarzy znów są solidarni wobec polityki Entente'y... (str. 41—43).

Po tak rozczulająco objektywnem przedstawieniu punktu widzenia niemieckiego cóż o tem myśli szanowny profesor? Powiada krótko, że „trudno sobie wyobrazić niebezpieczniejszą dla Francji sytuację“ (str. 45). A w konkluzji dodaje, że „istnieją już wszystkie warunki wybuchu nowej wojny“ o ile Francja nie znajdzie na czas „rozsądnej formuły porozumienia“ (str. 272).

Cały szereg pisarzy politycznych, zwolenników francusko-niemieckiego porozumienia, tej formuły szuka.

P. Jakób Bardoux jest naszym przyjacielem i zawsze bronił polityki utrzymania obecnego statutu europejskiego. w 1927, znany ten pisarz ogłosił niewielką ale bardzo cenną książkę o dyplomacji francuskiej, napisaną wraz z p. Janem Allary, młodym i zdolnym publicystą, będącym dziś sekretarzem redakcji *Europe Nouvelle*. PP. Bardoux i Allary, w rozdziale poświęconym Francji i jej przyjaciołom, stwierdzają na wstępie, że „Traktat wersalski jest fundamentem pokoju światowego“ i że „jego wykonanie wymaga ciągłej czujności“ (str. 80). A dalej:

Przyjaźń mocarstwa wschodniego jest jedną z najstarszych zasad zagranicznej polityki Francji. Po upadku Rosji było rzeczą naturalną, że szukaliśmy przeciwwagi w odrodzonej nareszcie Polsce... Polska stanęła w szeregu wielkich mocarstw. Ale grożą jej ciągle liczne niebezpieczeństwa... W miarę jak postępuje naprzód odprężenie francusko-niemieckie, wzrasta naprężenie niemiecko-polskie. Z zastanawiającą stałością wszystkie rządy Rzeszy odmawiają uznania swych granic wschodnich za ostateczne, spodziewają się w niedalekiej przyszłości poważnej rewizji. Francja, która niejednokrotnie złożyła dowody przyjaźni, jaką dla swej słowiańskiej sojusznicy żywi, winna zamanifestować w Warszawie swój autorytet na straży pokoju stojący. Groźną być może ta polska debata, ale fakt, że toczyłaby się przed Ligą Narodów, uprawnia nas do pokojowych nadziei.

Odkładania, ekspertyzy i kontr-ekspertyzy pozwolą nam manewrować. Rzeczoznawcy amerykańscy, którzy wykreślili granicę „korytarza", z pożytkiem będą przesłuchani. Ich absolutna bezstronność wzmocni wagę ich słów. Kto wie czy w przyszłości jeszcze dalekiej, albo drogą porozumienia polsko-litewskiego, albo przez demilitaryzację strefy polsko-niemieckiej, albo drogą wymiany ludności nie będzie można znaleźć podstaw tranzakcji, którąby — nie zamykając Polsce dostępu do morza, ani uniemożliwiając kontaktu Rzeszy z Prusami wschodniemi — byłaby przyjęta przez obie strony? W każdym razie Francja, wierna przyjaciółka Polski, pomna ducha swego z nią sojuszu mającego na celu zapewnienie ładu europejskiego, powinna czuwać nad zagojeniem ran i konsolidacją pokoju... (str. 92—93)

Hr. Włodzimierz d'Ormesson dużo miejsca poświęca „korytarzowi" w swej głośnej książce *La confiance en l'Allemagne?* Wie on dobrze, iż „obecna pozycja Prus wschodnich w stosunku do Rzeszy jest tylko powrotem do położenia, jakie istniało przed pierwszym rozbiorem Polski" (str. 189); słusznie zauważa, że pomiędzy Niemcami a Polską istnieje głuche nieporozumienie psychologiczne" i że „Niemcy osądzają Polaków z najwyższą niesprawiedliwością" (str. 190). Bardzo wymownie pyta się hr. d'Ormesson czy Polska, aby zapewnić sobie pokojowe sąsiedztwo Niemiec, „ma sobie własnemi rękoma wydrzeć płuca"? (str. 193). Niemcy zrozumieją w końcu, że Gibraltar należy do Anglji już dwa wieki, a „jednak Hiszpanja nie cierpi z tego powodu"; „granice polityczne utracą z czasem charakter niemal mistyczny" i narody się przyzwyczają do *régime de condominium* (str. 195). A ponieważ „bezpieczeństwo Europy w znacznej mierze jest podporządkowane porozumieniu niemiecko - polskiemu", przeto hr. d'Ormesson zastanawia się, czy Francja i Wielka Brytanja nie mogłyby porozumienia tego ułatwić „przewidując z ich strony, na rzecz Niemiec, pewną rewizję mandatów kolonjalnych" (str. 199—200).

Trzej młodzi publicyści lewicowi, pp. Jacques Kayser, Paul Franck i Camille Lemercier ogłosili jeszcze w 1926 książkę p. t. *Stany Zjednoczone Europy*. Jest to książka pełna dobrej woli, ale dokumentacja autorów szwankuje. Stwierdzają, że granica na Śląsku „nie może być kwestjonowana" (str. 148), ale co do Pomorza nieco innego są zdania. Oczywiście, Polska „absolutnie potrzebuje wolnego dostępu do morza" (str. 149), ale istnienie „ko-

rytarza“ jest dla Niemiec „szczególnie bolesne“ (str. 151). Oto ich recepta:

Zwykły zwrot Niemcom terytorjum polskiego, stanowiącego „korytarz“, jest niemożliwy i byłby nie do przyjęcia... Gdańsk musi być wolny portem; do tego wolnego portu musi Polska mieć wolny dostęp; nie może go mieć przez terytorjum niemieckie, bo takowe odcięłoby niewątpliwie Gdańsk od Polski; a zatem ta okolica musi mieć statut specjalny, będący czemś pośredniem pomiędzy krańcowem rozwiązaniem obecnem a zwrotem absolutnym, którego domagają się Niemcy... Rozwiązanie może być znalezione tylko w niewidzialności granic „korytarza“. Powinny być powzięte wszelkie decyzje zapewniające, że „korytarz“, będący pod kontrolą Ligi Narodów, choć pozostający na terytorjum polskiem, nie będzie tworzył żadnej tamy pomiędzy Prusami wschodniemi a Rzeszą... Ten pas ziemi mógłby wreszcie być zneutralizowany... (str. 152).

P. Alfred Fabre-Luce nie mógł oczywiście nie zająć się „korytarzem“ w swej książce *Locarno sans rêves.* Wie on dobrze, że „komunikacja przez korytarz odbywa się w nienagannym trybie“ (str. 69), ale jednak wywodzi:

Jesteśmy sprzymierzeńcami Polski i żaden rząd francuski, godny tej nazwy, nie może nawet pomyśleć o niewykonaniu naszych zobowiązań. Ale właśnie z tego powodu uważamy za niebezpieczną taką politykę, która nie stara się ani o złagodzenie ewentualności konfliktu, ani o oparcie na realnych podstawach technicznej wykonalności przyobiecanej wojskowej pomocy. Ta ostatnia mogłaby się skutecznie urzeczywistnić tylko w postaci ofenzywy francuskiej na Niemcy. Któż się ośmieli twierdzić, że nasz system wojskowy i nasza polityka wewnętrzna są przygotowane do tej hipotezy?... Niebezpiecznem byłoby, gdyby nasi przyjaciele polscy spoczywali na laurach odniesionych korzyści i zamykali oczy na możliwości niepokojące... Przywódcy Polski powinni dążyć do takiej sytuacji, w której kraj ich byłby mniej zagrożony, a sojusze łatwiej wykonalne... (str. 125—127).

Autor powiada dalej, że ponieważ chodziło o sojusz, któryby był „narzędziem polityki antyniemieckiej“, przeto „przydzielono Polsce obszary, których się nawet najbardziej uprawnieni przedstawiciele tego narodu w formalny sposób nie domagali“ (str. 128). P. Fabre-Luce myli się tu całkowicie, poczem takie czyni sugestje:

Układ berliński (niemiecko-sowiecki z 24 kwietnia 1926) zawarty został na lat pięć. Kiedy termin minie, czy ta konwencja neutralności zamieni się w sojusz? A może Niemcy zrezygnują z odnowienia układu i pod jakiemi warunkami? Gdyby Polska,

dla tych względów, skłonna była do poczynienia Niemcom ustępstw, to wydaje się słusznem, aby Niemcy odszkodowały Polskę gwarancją terytorjalną, chociażby nawet skierowaną przeciw Rosji... Spodziewamy się zresztą, razem z wszystkimi przyjaciółmi Polski, że oszczędzoną jej będzie jakakolwiek ofiara poważniejszej natury. Jest to możliwem, a zależy przedewszystkiem od Polski samej, od sytuacji międzynarodowej, jaką zdoła sobie wyrobić, od jej siły wewnętrznej i od sympatyj, jakie potrafi sobie zaskarbić. Jeżeli będzie dostatecznie roztropną i zręczną, jeśli doprowadzi do politycznego i ekonomicznego zbliżenia z Niemcami, zanim jeszcze przyjdzie czas na dyskusję o sprawach terytorjalnych — to, być może, poprawki granic Polski będą w nieskończoność odkładane, albo też przeprowadzone drogą kompensat ku ogólnemu zadowoleniu... (str. 129—130).

P. Fabre-Luce uważa wreszcie, że „byłoby nonsensem szukać w ściślejszej solidarności z rządem warszawskim zwiększenia gwarancyj obronnych Francji", która „nie może liczyć na interwencję polską", a zresztą skuteczność tej ostatniej „nie może być porównywana z obiecaną przez nas Polsce pomocą" (str. 131—32). Mamy więc w tym młodym, utalentowanym pisarzu przeciwnika sojuszu z Polską, przeciwnika polityki sojuszów antyniemieckich wogóle, bo p. Fabre-Luce jest zdecydowanym zwolennikiem zbliżenia francusko-niemieckiego; liczy tylko na „poparcie Anglji", bo Anglja jedna może „skutecznie ochronić Francję przed wrogim nastrojem Italji" (str. 149).

A oto inny „młody" zalecający bardzo podobną politykę: p. Georges Roux. Uważa, że z pośród dwu swych wielkich sąsiadów Francja powinna wybrać Niemcy i zawrzeć z niemi „aljans"; będzie to wprawdzie *un mariage de raison,* ale „wszak te są najtrwalsze" (str. 79). Natomiast Italja — to „wielki wróg" (str. 234). Aljans angielski? — Niemożliwy, bo Anglja nie chce: pomiędzy nią a Francją realizować można tylko *accords partiels* (str. 231). Aby jednak doprowadzić do całkowitego i szczerego pojednania francusko-niemieckiego trzeba załatwić trzy sprawy: Ren, *Anschluss* i „korytarz". Ren? — ewakuować jaknajprędzej; *Anschluss?* — „nieunikniona konsekwencja wojny" (str. 103)... Korytarz?...

Zanim autor przedłoży swoje tej „sprawy" rozwiązanie, zamieszcza szereg uwag dla Polski niewątpliwie sympatycznych, tembardziej, że uważa ją za „jeden z dwu krajów żywotnych i zainteresowania godnych Europy środkowej i wschodniej"; inne są

„pierwotne i skorumpowane“ (str. 230). Pisze więc p. Georges Roux:

> Polskę zazwyczaj źle się ocenia... Przedewszystkiem mamy absolutnie opaczne pojęcia o narodzie polskim. Wiemy, że jest dzielny; myślimy, że jest płochy, niezdolny się organizować... To, co było prawdą w XVIII wieku nie jest prawdą dziś... W doświadczeniach dusza polska się zahartowała. Uderzająca dziś jest jej żywotność, jej temperament, jej głębia... W 1918 stanęły przed Polakami zadania ogromne; można było nie podołać. Ale cechą charakterystyczną tego narodu jest niezrównana wiara. Ona dokonała cudu... Polska się organizuje i rozwija... Ma największy przyrost naturalny na kontynencie... Żywotność i zapał do pracy zadziwiają wszystkich zwiedzających... Naprawdę — wielki to naród! Nietylko ma prawo żyć, ale ma jeszcze wszelkie ku temu możliwości. Cała Europa ma obowiązek mu dopomóc. Leży to w jej interesie. Wobec Rosji sowieckiej, granica Polski jest granicą Europy. Polska jest dziś niezbędnym czynnikiem europejskiej harmonji (str. 104—106).

A teraz kolej na sugestje „korytarzowe“. I tu autor wykazuje pewne zrozumienie interesów Polski, ale w końcu wykoleja go sztywność i ciasność jego tezy: A l p y c z y R e n? Wie, że Polska, aby żyć, „literalnie potrzebuje dostępu do morza“; przykłady Czechosłowacji lub Szwajcarji bez dostępu dających sobie radę „nie dają się tu zastosować“, bo kiedy dwa te kraje mają do wyboru szereg portów różnych narodowości konkurujących z sobą, „Polska niema wyboru“ (str. 107). P. Georges Roux wie, że „po jego inkorporacji do obszaru celnego Polski, port gdański bardzo się rozwinął (str. 109), że „korytarz ma charakter wyraźnie słowiański“ i że „tranzyt odbywa się poprawnie“ (str. 111). A przecież uważa to wszystko za niewystarczające i proponuje „zwrócić Gdańsk Niemcom“, pozostawić „Gdynię na własność Polsce“, a „w korytarzu przeprowadzić rodzaj neutralizacji lub *condominium* polsko-niemieckiego, z przewagą prawa kontroli Warszawy“ (str. 116—117).

Nie jest to bardzo logiczne z jego o Polsce wstępnemi uwagami. Polska, rzecz jasna, ani na jego, ani na żadne sugestje jej statut terytorjalny naruszające się nie zgodzi. Pamiętając o tem, p. L. Naudeau wogóle nie widzi wyjścia z sytuacji i uważa, że konflikt może być rozstrzygnięty tylko *par un recours à la force*.

Literatura na temat zbliżenia francusko-niemieckiego się mnoży i niema miesiąca, aby nie ukazała się na półkach księgarskich

jakaś nowa relacja z podróży do Niemiec lub zbiór rozważań politycznych z tego zakresu. Zajrzyjmy do paru z nich.

Generał Denvignes, który przez sześć lat spełniał różne misje w Niemczech, nie wierzy w trwałość systemu sojuszów *à la Mariu*. Pan generał nie jest mocny w sztuce pisania i dał nam książkę kompilacyjną, ale są tam przecież sugestje wyraźne:

> Ani naród niemiecki, ani naród rosyjski nie zgodzą się żyć długo *en vase clos*... Barjera rumuńsko-polska pęknie, podminowana lub zmiażdżona, jeśli jakaś organizacja pokojowa, jeśli porozumienie paneuropejskie nie zmieni zasadniczo obecnego systemu zatruwającego Europę... Nie zapominajmy, że dawny spór francusko-niemiecki został dziś zastąpiony w Europie przez spór niemiecko-polski... (str. 73—74).

> Europa jest jeszcze panią swego przeznaczenia. Jeśli rządy nie zorganizują unji europejskiej, to przeprowadzi ją Trzecia Międzynarodówka... Czy Europa zachodnia, chcę powiedzieć Europa kontynentalna, zdoła stworzyć blok przeciwko inwazji barbarzyństwa, przeciwko Azjatom? Będzie to zależało od Anglji... (str. 317).

Wybitny germanista, profesor uniwersytetu strasburskiego, p. Edmund Vermeil, tak kończy swe studjum o *Współczesnych Niemczech:*

> Jeśli chcemy aby Europa, która już straciła swą hegemonję światową, zachowała przynajmniej swe miejsce na globie, musimy wszystko uczynić, aby Francja i Niemcy, — świadome solidarności, jaka powinna oba kraje zjednoczyć wobec nowych niebezpieczeństw, wobec kapitalizmu anglo-saskiego i bolszewizmu rosyjskiego, — uniknęły nowej wojny mogącej je tylko zrujnować i odnowiły fizjonomję starego kontynentu przez ich owocną współpracę (str. 251).

PP. Henryk Béraud, Jerzy Bonnamour, Jakób Mortane i Gabriel Perreux zamykają swe ankiety w sposób podobny. Jeden z „wywiadowców“, p. Juljusz Chancel, czyni pewne zastrzeżenia; nie łudzi się, że warunki francusko-niemieckiego porozumienia będą „dość trudne“, ale nie wierzy w „zamiary agresywne“ Niemiec; wierzy natomiast w ich „istotne pragnienie porozumienia“ (str. 250).

I taki autorytet jak p. Maurycy Pernot nie wątpi, że „pragnienie trwałego porozumienia z Francją jest u Niemców ogólne i szczere“. Domagają się przecież Niemcy aby Francuzi „zapomnieli o przeszłości“. Na tym punkcie trudności są „nietylko głębokie, ale wprost nie do pokonania“, bo Francuzi „nigdy nie powinni

zapomnieć, iż wojna została im narzucona. P. Pernot niebardzo rozumie co ma oznaczać zbliżenie intelektualne francusko-niemieckie, a co do zbliżenia politycznego, to ocenia jego szanse bardzo sceptycznie:

> Ani krasomówcze i sentymentalne demonstracje niedyskretnych i niecierpliwych apostołów zbliżenia francusko-niemieckiego, ani łzawe wystąpienia paru pacyfistów, ani misje parlamentarne, ani nawet wymiana studentów i profesorów, nie zmienią tej oczywistej i niezaprzeczalnej prawdy: pomiędzy Francją a Niemcami jest obecnie przepaść nieufności...
>
> Być może na terenie gospodarczym trzeba szukać pierwszych podstaw porozumienia francusko-niemieckiego... Oddzielmy prowizorycznie ekonomję od polityki... Systemy gospodarcze francuski i niemiecki nawzajem się uzupełniają... Niech tu nastąpi naturalne zbliżenie, kierowane oczywiście przez wprawne dłonie i pod kontrolą czujnych oczu... A potem, zobaczymy... (str. 196—200).

Jeszcze w 1922 ukazała się ankieta p. Maxa Hoschiller'a poświęcona wyłącznie sprawie odszkodowań. Zaopatrzył ją ciekawą i zawsze aktualną przedmową p. Andrzej François - Poncet, jeden z wybitnych polityków młodszej geenracji, obecnie podsekretarz stanu w ministerstwie oświaty:

> Nie od dziś — pisze — patrzymy na Niemcy jak na zagadkowego potwora, którego myśli, uczucia i gesty nas dziwią, oburzają, niepokoją i — czasami — przyciągają. Od wieku Francuzi przyglądają się ich dziwnemu sąsiadowi, najbliższemu i najdalszemu zarazem. To wzajemne niezrozumienie się i wzajemne na się wpływy, ta mieszanina atrakcji i wstrętu odczuwana przez oba narody, te długie i płonne wysiłki, zmierzające do ułożenia jakiegoś *modus vivendi,* to wszystko stanowi jedną z najbardziej charakterystycznych cech Europy zeszłego stulecia... (str. V).

Kończąc swą przedmowę p. A. François-Poncet wypowiada się za współpracą z Niemcami, ale dodaje, że *la manière douce a plus de chances de réussite si l'on sait qu'à son défaut, la manière forte sera employée* (str. XXI). Słowa te, coprawda, były napisane przed okupacją Ruhr'y. Dobrze wiemy, że *manière forte* z 1923 dała rezultaty tylko częściowe. Powodów roztrząsać tu nie będziemy. Ale kiedy się patrzymy na stosik książek poświęconych polityce niemieckiej Francji z okresu 1919—1923, książek odnotowanych i czerwonym ołówkiem upstrzonych, kiedy mierzymy odchylenie pomiędzy rozwijanemi tam planami a stanem dzisiejszym, to

stwierdzamy ile już zawodów i rozczarowań przyniosła Francji jej polityka niemiecka wogóle, a reńska w szczególności.

Dziś, pomimo przestróg ludzi wytrawnych, którzy przyczynili się do tryumfu dyplomatycznego Trzeciej Republiki w 1914, pomimo wyraźnie formułowanych nadziei niemieckich, polityka francusko-niemieckiego pojednania zatacza coraz szersze kręgi. Ci, którzy się jej zasadniczo sprzeciwiają są w mniejszości i zostaną pokonani. Wśród zwolenników tej polityki przeważnie się pamięta, iż dyplomacja pruska zawsze stosowała potrójną metodę siły, sojuszu i podstępu, ale... pocóż jest dyplomacja francuska?

Jeden ze znanych publicystów francuskich, p. Emil Buré, wówczas dyrektor *Avenir*'u, napisał 5 stycznia 1927 w swym dzienniku, że p. Briand, udając się do Locarno przed zrealizowaniem sojuszu wszystkich państw mających wraz z Francją interes w utrzymaniu traktatów, postawił *la charrue devant les boeufs*. Na co mu 6 stycznia odpowiedział poseł Eugenjusz Lautier na łamach *L'Homme Libre:*

> Pańska idea nie jest nowa. Pomiędzy nami, powiem panu na ucho, że nawet spróbowano ją realizować. Myślę, że raczej dla zaspokojenia sumień, albowiem, jeśli ją dobrze rozważyć, odrazu widać jak dziecinna jest to koncepcja. *La charrue devant les boeufs?* Ależ, biedny mój Buré, to wcale nie są woły. To nie są nawet barany, to są kundle i mopsy, które zaprzęgłoby się do pługa *(ce sont des caniches, des toutous, qui seraient attachés à la charrue)...*

Oto jak politykę zagraniczną zalecaną przez pp. Millerand'a i Marin'a ocenia członek komisji spraw zagranicznych Izby i osobisty przyjaciel p. Briand'a. Ci politycy polscy, którzy ją zbyt długo za urzędową politykę francuską uważali, zapędzają się poprostu w ślepą uliczkę występując dziś przeciw nowym formom współżycia i wzajemnego ustosunkowania się narodów. Bo z tego wszystkiego, co wyżej przytoczyliśmy nie wynika, że tracimy przyjaźń i poparcie Francji. Ale ani Francji przyjaźń Polski, ani Polsce przyjaźń Francji nie wystarcza.

## V.

W 1925, p. Henryk de Jouvenel, senator, były minister oświaty, a dziś jeden z trzech poważnych kandydatów do spuścizny po

p. Briand'zie (dwaj inni — to pp. Tardieu i Paul-Boncour), oświadczył nam co następuje:

— Sojusz francusko-polski jest konieczny dla bezpieczeństwa dwu naszych krajów i utrzymania pokoju w Europie. Ale sojusz ten nie wystarcza. Jest tylko jedną z metod polityki mającej na celu odbudowanie Eurpoy... (*La politique polonaise de la France*, str. 78).

9 października 1926 pisał p. de Jouvenel na łamach *Europe Nouvelle:*

Niebezpieczeństwo nie jest dziś na zachodzie, ale na wschodzie Europy. Tam są nasi sojusznicy. Tam skupić musimy naszą uwagę... Porozumienie francusko-niemieckie jest drogą wiodącą do porozumienia europejskiego. Dlatego pożądamy go, ale dlatego również nie zrealizujemy go sami, bez Europy.

16 stycznia 1927 p. de Jouvenel ogłosił artykuł w berlińskim *Lokal Anzeiger,* do którego wkradło się takie zdanie:

Nie twierdzę, jak mi się to błędnie przypisuje, że jestem przeciwny wszelkim poprawkom wschodnich granic Niemiec...

Dwaj wybitni publicyści francuscy, pp. Jakób Bainville (*Action Française*) i Piotr Bernus (*Journal des Débats*) wyrazili zaraz swoje zdziwienie z powodu tak „lekkomyślnego wyrażania się" P. de Jouvenel skorzystał z pierwszej sposobności, aby się wycofać. 26 lipca 1927 berliński *Der Tag* zamieścił z nim wywiad, w którym czytaliśmy:

— W Niemczech przykłada się przesadne znaczenie do spraw czysto terytorjalnych. Przyszłość Europy nie zależy od przynależności danej strefy do takiego czy innego państwa, ale od głębokiego przejęcia się ideą solidarności i wspólnych interesów wszystkich narodów europejskich. Gdyby podniesiono sprawę wschodnich granic Niemiec lub przyłączenia Austrji do Niemiec, osiągniętoby tylko ogólne rozognienie umysłów. Siłą faktów musimy więc zgodzić się na stan obecny, jako na rozwiązanie ostateczne, bo inaczej utrzymanie pokoju nie jest możliwe...

1 lipca 1929 pisał p. de Jouvenel w prowadzonej przez siebie *Revue des Vivants:*

Wschodnie granice Niemiec nie są zagwarantowane. Podpisy Anglji i Italji nie figurują pod paktami gwarantującemi pokój pomiędzy Niemcami a Polską. Tylko Francja gwarantuje pokój na wschodzie. Ciężki to dla niej obowiązek i zarazem miara, jak bardzo jej bezpieczeństwo związane jest z bezpieczeństwem europejskiem... (str. 1006).

Wreszcie 3 grudnia 1929 ukazał się w *Quotidien* wywiad z p. de Jouvenel'em na temat federacji europejskiej. Cieszy się p. de Jouvenel, że p. Briand rzucił w Genewie ideę federacji europejskiej, uważa ją za wykonalną, ma nadzieję, że „będziemy jeszcze świadkami jej pierwszych kroków", poczem dodaje:

— Jednym z głównych argumentów przemawiających za federacją europejską, jest konieczność stworzenia w Europie systemu innego niż system sojuszów. Ta stara trącąca myszką formuła już się przeżyła... Jest to, zresztą, głównym celem p. Briand'a: przez federację europejską odwrócić Europę od staroświeckiego systemu sojuszów.

Te kilka cytat nie świadczy tylko o ewolucji jednego polityka francuskiego. Poza obozem nacjonalistów (rojalistów czy republikanów), wszystkie partje francuskie z mniejszym lub większym entuzjazmem godzą się dziś na pojednanie francusko-niemieckie. a w celu uniknięcia niewygodnego *tête-à-tête* i niebrania zarazem na siebie zbyt ciężkich obowiązków, wypowiadają się za współpracą europejską. Na dowód przytoczymy tu wyjątek z deklaracji programowej ostatniego kongresu Stronnictwa Demokratyczno-Ludowego *(Parti Démocrate Populaire),* jaki odbył się w Nancy 9, 10 i 11 listopada 1929. Czytamy tam:

Uregulować drażliwe problemy, odsunąć powody konfliktów, starać się w każdym razie o uniemożliwienie zatargów zbrojnych przez przyjęcie arbitrażu lub medjacji przymusowej, przygotować współpracę Francji i Niemiec, będącą nieuniknionym wstępem do porozumeinia i współpracy europejskiej, — taka jest polityka Stronnictwa Demokratyczno-Ludowego...

Jest to opinja stronnictwa zasiadającego na prawicy Izby francuskiej, tuż na lewo od grupy p. Marin'a; prezes tego stronnictwa, p. Champetier de Ribes, jest podsekretarzem stanu w ministerstwie finansów.

„Europejskość" staje się najpopularniejszem dziś hasłem francuskiej polityki zagranicznej. Nie jest to tylko moda. Jest to ruch żywiołowy, powojennej psychice młodego pokolenia odpowiadający. Taki Drieu la Rochelle, twardy i dzielny w czasie wojny żołnierz, już w 1922 zachęcał Francję aby stanęła na czele „konstelacji europejskiej"; w sześć lat potem Drieu la Rochelle ogłasza książkę pod wymownym tytułem: *Genève ou Moscou* (N.R.F. 1928). Inny kombatant z wielkiej wojny, Gaston Riou, utalento-

wany autor *Aux écoutes de la France qui vient* (1913), ogłasza dwa tomy propagandy paneuropejskiej. Roland Dorgelès, sławny autor *Croix de Bois*, kombatant, dziś członek Akademji Goncourt'ów, oświadcza w *Quotidien*'ie (7 grudnia 1929), że „federacja europejska rozsłoneczni nam przyszłość"...

P. Francis Delaisi, oryginalny pisarz ekonomiczny, dokładnie o życiu narodów poinformowany autor *Les contradictions du monde moderne*, wydał właśnie ciekawą i bardzo na czasie będącą książkę o „dwu Europach" [58]). Jego teza da się streścić w paru zdaniach.

Pomiędzy Gdańskiem a Bilbao i Glasgow'em a Florencją skoncentrowane są kopalnie węgla, przemysł mechaniczny, włókienniczy, a także rynki pieniężne i instytucje naukowe: jest to *Europa konia parowego*, pojęcie geograficzne nic wspólnego nie mające z granicami politycznemi; do tego obszaru zaliczają się w całości tylko: Francja, Niemcy, Belgja, Holandja, Danja, Szwajcarja i Austrja; a dalej: Anglja bez Szkocji ani Irlandji, południe Szwecji i Norwegji, zachodnia Polska, Czechy bez Słowacji, skrawek Węgier, Chorwacja, północna Italja i północny skrawek Hiszpanji; ludność tej „Europy A" wynosi 240 miljonów mieszkańców (86 na km. kw.).

Poza tym obszarem żyje drugie tyle ludności wiejskiej, ciemnej, politycznie mało wyrobionej i mało spożywającej — to *Europa konia pociągowego*, „Europa B", licząca tylko 33 mieszkańców na km. kw.

Europa „A" musi kupować za morzami brakujące jej środki żywności, których nie może jej dostarczyć Europa „B"; ta pierwsza musi więc wywozić za morza produkty swego przemysłu (100 miljonów jej mieszkańców żyje z handlu zagranicznego), aby mieć za co kupować żywność; Europa „B" nie jest zresztą w stanie spożywać nadwyżkę produkcji przemysłowej Europy „A". Dziś zatem część świata Europą zwana nie jest samowystarczalną jednostką gospodarczą. Aby nią była, trzeba zwiększyć możność produkcji rolnej mieszkańców Europy „B", przez co rozszerzy się automatycznie rynek zbytu dla produkcji przemysłowej Europy „A". Mieszkańcom Europy rolniczej „potrzeba tylko maszyn i kredytów" (str. 205). Jak widzimy, teza prosta, ciekawie przedstawiona. Szereg zastrzeżeń się nasuwa, ale to nie jest przedmiotem niniejszego studjum.

Federacja europejska ujęta w formy organizacyjne — to jeszcze muzyka przyszłości. Słuchając jej, nie możemy zapominać o klasycznych metodach polityki międzynarodowej, ani o tem — mówiąc słowami Jana Kochanowskiego — że „za fraszkę stanie rozum... jeśli nie będzie pewny żołnierz na granicy“. Ale opieranie naszego bezpieczeństwa tylko na żołnierzu — to problem nie do rozwiązania; z drugiej zaś strony polityka polska we własnym interesie nie może odnosić się negatywnie do przeważających w Europie prądów. Biorąc w budowie nowej Europy czynny udział, otwarte mając oczy i mocne serca, wzmacniamy międzynarodowe stanowisko Polski. Umiarkowana mistyka i dyskretny realizm — oto metody współczesnej dyplomacji.

## VI.

Ukazała się niedawno w Paryżu książka ciekawa, nietyle przez swoją treść, ile przez refleksje, jakie budzi: są to artykuły Karola Marxa o sprawie polskiej, a raczej wybór jego sprawozdań na łamach kolońskiej *Neue Rheinische Zeitung* z tych posiedzeń frankfurckiego zgromadzenia narodowego, jakie polskiej debacie były poświęcone. Do listów Marxa napisał przedmowę jego wnuk (przez matkę), socjalista francuski, p. Jan Longuet. Podkreśla w niej powiedzenia Marxa, że „są narody niezbędne, a naród polski niewątpliwie do takich się zalicza“, że „odbudowa demokratycznej Polski jest zasadniczym warunkiem odbudowy demokratycznych Niemiec“. P. Longuet konkluduje:

> Te karty są miarą długu wdzięczności, zaciągniętego przez Polskę nietylko wobec Karola Marxa, ale także wobec socjalizmu międzynarodowego, który nie przestał jej bronić, jej tyranów i katów piętnować, jej zmartwychwstania przygotowywać w czasach kiedy ją opuściły wszystkie stronnictwa burżuazyjne, wraz z naszymi klerykałami i nacjonalistami, afiszującymi dziś swe polonofilskie sympatje, choć do 1917 z lekkiem sercem ją na ołtarzu sojuszu z carską Rosją poświęcali (str. XI—XII).

Polska wdzięczną być umie i jest. To prawda, że ugrupowania socjalistyczne i demokratyczne, szczególniej we Francji, manifestowały szczere dla ujarzmionej Polski sympatje. Ale rzecz nie jest tak prosta, jak to p. Longuet przedstawia. O ile chodzi o międzynarodowy socjalizm, to w miarę jak rosły w jego szeregach

wpływy niemieckiej socjal-demokracji, jego stosunek do sprawy niepodległości Polski stawał się coraz bardziej chłodny. W szeregach socjalizmu francuskiego manifestowały się przed wojną dwa prądy: jeden, wierny tradycjom ruchu, uznawał konieczność obrony ojczyzny w razie napaści i ten był czynnie polonofilski; drugi uznawał przesłanki tego skrzydła międzynarodówki, z którego wyszedł komunizm — ten akcję niepodległościową P. P. S. zwalczał. W czasie wojny francuska partja socjalistyczna występowała bezsprzecznie w obronie Polski, ale po rewolucji rosyjskiej stanowisko jej bardzo się zmąciło. Nieżyjący dziś Marceli Sembat, aczkolwiek maszerował na prawem skrzydle partji, wyraził na łamach *Humanité* z 10 stycznia 1918 życzenie, aby „w interesie Francji i Europy zachodniej zachowany został węzeł federacyjny pomiędzy Polską a Rosją". A p. Jan Longuet, dziś do naszej wdzięczności apelujący, pozwoli, że mu przypomnimy jak sobie Polskę wyobrażał tuż przed końcem wojny. 7 października 1918 pisał na łamach *Populaire'a:*

> Prezydent Wilson wypowiedział się za „Polską niepodległą, obejmującą wszystkie ziemie polskie zamieszkałe przez ludność bezsprzecznie polską, z dostępem do morza". Jest to tylko uznanie praw Polaków do zachodniej Galicji i do Poznańskiego, ale wyklucza zupełnie aneksję do przyszłego państwa polskiego ziem zamieszkałych w większości przez Niemców, jak się tego niektórzy z naszych niebezpiecznych warjatów domagają...

Pomorze zatem miało pozostać niemieckie. P. Longuet stał wówczas na lewicy swej partji. Ale jego kolega z prawicy, Marceli Sembat, był w tej sprawie tego samego zdania. W swej mowie wygłoszonej w Izbie deputowanych 4 września 1919, w czasie debaty nad Traktatem wersalskim, Sembat mówił:

> — Trzeba było zrobić z Gdańska wolny port i dać Polsce linję kolejową, znajdującą się pod jej kontrolą. Wraz z umiędzynarodowioną Wisłą, ta linja kolejowa zapewniłaby jej dostęp do Gdańska... Tymczasem „korytarz" i „wolne" miasto Gdańsk — to zarodki nowej wojny...

Zabierając głos w tej samej debacie, dnia 18 września 1919 r., p. Longuet, wówczas poseł, mówił o „duchu ucisku i reakcji budzącym się u polskich kierowników", o „ujarzmianiu przez Polskę ludności, która nie chce być polską"; żałował, że Traktat przyznaje Polsce „okręgi niemieckie, o których losie zdecydowano bez zasięgnięcia opinji o woli ludności drogą plebiscytu".

Nasi niektórzy socjalistyczni przyjaciele we Francji zajęli więc w sprawie granic Polski stanowisko sprzeczne z naszymi najżywotniejszymi interesami. Musimy też przypomnieć tu choć w paru słowach, jakie było wobec Polski stanowisko całej partji socjalistycznej francuskiej latem 1920. 7 sierpnia *Humanité* ogłosiła apel zarządu partji kończący się słowami:

> Ani jednego człowieka, ani jednego grosza, ani jednego pocisku dla Polski reakcyjnej i kapitalistycznej! Niech żyje rewolucja rosyjska! Niech żyje międzynarodówka robotnicza!

Tego samego dnia, w tym samym numerze *Humanité,* p. Leon Blum zalecał Polsce układać się z Sowietami; twierdził, że Anglja i Italja już pozostawiły Polskę swemu losowi i radził rządowi francuskiemu uczynić to samo. 21 sierpnia, p. Paul Louis (Lévy) szydził w *Humanité,* że „Polacy uważają się za zwycięzców“, ale napewno „jutro poniosą nowe klęski“, bo... „nie mają ideału“. Obrona dopiero co odzyskanej niepodległości nie była ideałem... A kiedy jeden z socjalistów polskich napisał do pana Paul Louis list, w którym dziwił się jak autor godzi swoje stanowisko z polonofilskiemi tradycjami socjalizmu francuskiego, ten cynicznie odpowiedział, że „przecież Sowiety nigdy nie zaprzeczały polskim robotnikom i chłopom prawa decydowania o swoim losie“.

Są to przypomnienia zapewne mocno niedyskretne ale konieczne. Konieczne i bardzo na czasie, bo w imię swoich wobec Polski zasług pp. Leon Blum i Paul Louis pouczają dziś Polaków jak się mają rządzić. Dodajmy, że wśród socjalistów francuskich dużo jest przeciwników sojuszu francusko-polskiego. Poseł Paul Faure, sekretarz partji, powiedział w jednej ze swych mów, że układ francusko-polski „przeszkadza zbliżeniu francusko-niemieckiemu i ewentualnemu zbliżeniu francusko-rosyjskiemu“. Mamy przecież i dobrych przyjaciół w szeregach socjalistycznych. Jeden z nich, Dr. Paul Nicollet, poseł z dep. Ain, odpowiedział panu Paul Faure'owi na łamach *Ere Nouvelle* (2 kwietnia 1929) pisząc: „Czy w imię zbliżenia francusko-niemieckiego mamy zniszczyć Polskę?“

Rozmawialiśmy na ten temat niedawno z wybitnym publicystą socjalistycznym francuskim, który nam odpowiedział:

— *Naus n'avons pas changé, la Pologne a changé...*

Słaba to obrona. Polska, rzecz jasna, przez odzyskanie niepodległości zmieniła się, ale i nastroje socjalistów francuskich niezależnie od nas bardzo się zmieniły. Pod wpływem czego? Na te-

renie polityki międzynarodowej, ludzie lewicy, nietylko we Francji zresztą, mają głównie na celu ideały międzynarodowe, kiedy ludzie prawicy hołdują przedewszystkiem nacjonalizmowi. Lewica jest śmielsza w swych inicjatywach, łatwiej się entuzjazmuje do nowych idej, chętniej się godzi na ustępstwa, dalej wzrokiem sięga... Niesą to tylko cechy ujemne. Prawica jest ostrożna, nieufna, bardziej nieprzejednana, egoistyczna... Nie są to zawsze cechy dodatnie. Nie ma przecież tablic, któreby męża stanu pouczały, jak się ma temi dwiema siłami posługiwać i jak niemi w każdej sytuacji operować: jest to kwestja jego własnego wyczucia, rozumu i serca.

Ma rację p. Longuet kiedy pisze w swej przedmowie, że francuskie ugrupowania prawicowe jeszcze w 1917 do postulatu niepodległości Polski z wielką się odnosiły rezerwą. Dlaczego? Bo toczyła się wojna, bo należało ją za wszelką cenę wygrać, bo nie chciano drażnić i tak już niepewnego bardzo sojusznika. Z punktu widzenia interesu Francji było to stanowisko widocznie słuszne, skoro podzielił je p. Briand, który nigdy „klerykałem“ ani „nacjonalistą“ nie był, kiedy 11 marca 1917 tak groźny dla Polski układ z Izwolskim zawierał...

Inaczej postępują przywódcy socjalizmu. Wsłuchani w zgiełkliwą muzykę duszy tłumu, darzyli swemi sympatjami „nieszczęśliwą i uciśnioną“ Polskę „rosyjską“, bo z nienawiścią się odnosili do caratu, ale już wielkie zdradzali zakłopotanie kiedy należało zająć stanowisko wobec prześladowań Polaków w Prusach, bo tu trzeba było przeciwstawiać się niemieckim „towarzyszom“. Ale oto carat pada, a „lud“ rosyjski dochodzi do władzy. Polska wprawdzie się wyzwala, ale dawna „ofiara“ przestaje masy robotnicze interesować. Ich serce, zawsze pełne namiętności, zwraca się teraz ku rewolucji rosyjskiej, ku czerwonej zorzy zwiastującej rzekomo nowe życie, ku biednemu, osaczonemu i „blokowanemu“ ludowi rosyjskiemu. Polska jest teraz tylko „narzędziem“ międzynarodowego kapitalizmu w jego walce z rewolucją rosyjską... Psychologja tłumu jest prosta i obfituje w nagłe przemiany. Jeśli agitatorzy trochę się na tem znają, nietrudne mają zadanie.

Tyle o polonofiliźmie socjalistów francuskich. Analogiczną, choć nie tak krańcową ewolucję zauważyć można w kołach radykalnych, demokratycznych i wolnomyślnych Francji. Tu również Polska ujarzmiona miała entuzjastycznych przyjaciół. Wolne

państwo polskie ma ich mniej... W czasie wojny Liga Obrony Praw Człowieka domagała się niepodległości Polski, a dziś jej organ urzędowy zamieszcza artykuł sugerujący rewizję obecnego stanu rzeczy na Pomorzu; prof. Gabrjel Séailles, wybitny członek zarządu Ligi, ogłosił w 1916 niezwykle sympatyczną, przez cenzurę zmasakrowaną, broszurę p. t. *La Pologne,* a 9 lutego 1921, nazajutrz po wizycie w Paryżu Marszałka Piłsudskiego, pisał na łamach *Ere Nouvelle,* że Polska powinna zrezygnować z kresów wschodnich, a jeśli nie — to „za błąd swój zapłaci".

W tych kołach, naturalnie, przyjaciół nam pozostało więcej, bo więcej tu ludzi odpowiedzialnych, z interesami Francji i jej sojuszników się liczących. Przykładem stałości i wierności jest p. Louis Ripault, który w 1926 wydał w książce swe artykuły, jakie w kwestjach polskich napisał od marca 1916 aż do maja 1923 na łamach *Radical'a.* Ten publicysta i polityk radykalny oddał nam duże usługi i zawsze z wielkim taktem unikał wybierania pomiędzy polskiemi ugrupowaniami partyjnemi. Zbiór artykułów p. Ripault'a poprzedził przedmową p. Edward Herriot. Ze słuszną dumą przypomina francuski mąż stanu swoje tytuły do naszej wdzięczności, poczem pisze:

> My, ludzie lewicy, dla których przywiązanie do Polski jest tradycją, przyglądamy się z najwyższą sympatją rozwojowi tego narodu... Polska, naród idealistyczny, zrozumiała swój interes i udzieliła swego poparcia pracom Ligi Narodów, zmierzającym do zorganizowania Europy i świata na podstawach solidarności międzynarodowej... Troski idealistyczne nie wykluczają oczywiście, ani dla Polski, ani dla Francji, najczujniejszego realizmu... Ze względu na szlachetną przeszłość Polski, oraz mając na uwadze jej szeroką przyszłość, postanowiłem, jako szef rządu francuskiego, stworzyć pomiędzy nią a nami nowy węzeł w postaci Ambasady. Polska wyszła z burzy dziejowej odbudowana. Może dziś z ufnością patrzeć przed siebie.

Prawie wszyscy wybitni przedstawiciele radykalizmu francuskiego myślą jak p. Herriot, ale nie możemy zamykać oczu na fakt, że na lewem skrzydle elity umysłowej francuskiej mamy też przeciwników.

W lipcu 1925, miesięcznik *Evolution* ogłosił *Appel aux Consciences,* domagający się skreślenia z Traktatu wersalskiego ustępów stwierdzających odpowiedzialność Niemiec za wywołanie wojny. Tekst apelu ułożył redaktor naczelny przeglądu, Wiktor

Margueritte, a podpisali go: Henryk Barbusse, Wiktor Basch, Jerzy Duhamel, Marek Sangnier, Karol Gide, Juljusz Romains, Karol Seignobos i inni; zgórą sto osób.

W grudniu 1928, z tego samego źródła wyszedł *Appel au bon sens* domagający się rewizji traktatów i wymieniający pomiędzy „wrzodami, jakie trzeba wyciąć" także... „korytarz gdański". Tym razem, wśród 134 podpisów — poza autorem *Garçonne*'y, — niema wyżej wymienionych. Najwybitniejszymi politykami, którzy manifest podpisali są pp. Ferdinand Buisson, b. prezes Ligi Obrony Praw Człowieka, i... Jan Longuet; wśród literatów takie widnieją nazwiska: Alain, Félicien Challaye, Michel Corday, Charles Géniaux, Georges Pioch, Paul Reboux, Gabriel Reuillard, Charles Vildrac, Romain Rolland i inni. Ci ludzie nie są zaagitowani przez jakąś wrogą nam „propagandę". Mają oni swoją, może błędną, dla nas napewno krzywdzącą, opinję o organizacji pokoju i przedstawiają razem siłę moralną, z którą liczyć się trzeba. Liczyć, to nie znaczy bać się, ale rozumieć trudne stanowisko lewicowych polityków francuskich; liczyć, to znaczy iść do tych ludzi z informacją i próbować pozyskać tych, co są szczerzy.

## VII.

Oczywiście, istnieje także na terenie Francji wroga nam propaganda. Czasami ją uprawiają ludzie, których sobie zraziliśmy, a którzy chcieli w Polsce czy na Polsce robić karjerę lub interes; powróciwszy do Francji wylewają swą żółć na papier. Tak powstały książki pp. Guibal-Roland'a i d'Etchegoyen'a. Pozatem pracują przeciw nam najmici w rodzaju pp.: Roberta Tourly. Piotra Valmigère'a, W. K. Korostowca, lub René Martel'a. Ten ostatni jest najbardziej ruchliwy, stara się być niby to „objektywnym", ale jest tylko tanio perfidnym; jest pracowity i mógłby zrobić karjerę uniwersytecką (był lektorem literatury i języka francuskiego na uniwersytecie w Ljubljanie), ale brakło mu charakteru; w 1927 jeździł do Rosji sowieckiej i jest paryskim korespondentem *Lietuvos Aidas* (kowieńskiej półurzędówki).

Nie uważamy za wskazane ani analizować „dzieł" obcych agentów, ani polemizować z nimi. Dziwimy się tym polskim publicystom, którzy sobie taki trud zadają i w prasie polskiej dowodzą p. Martel'owi historycznie i statystycznie, że się myli. On dobrze

o tem wie... Naturalnie, na terenie zagranicznym musimy się akcji tych panów przeciwstawiać. To się robi. Ale z naszą propagandą powinno współpracować społeczeństwo, a specjalnie prasa. Publicysta polski powinien pamiętać o skuteczności tej wielkiej broni, jaką jest przemilczanie. Powinni o tem wiedzieć przedewszystkiem korespondenci pism polskich zagranicą i nie nadsyłać sensacyjnych sprawozdań swym dziennikom o paszkwilu pierwszego lepszego łobuza. Sami, przez naszą niemęską wrażliwość, dopomagamy w rozszerzaniu tego paszkwilu. Śledzenie za robotą nieprzyjaznej nam propagandy jest konieczne, ale tem się zajmują ludzie do tego powołani. W sprawach propagandy trzeba umieć być dyskretnym.

## VIII.

Gdyby z powyższej analizy polofilstwa powojennej Francji czytelnik wyciągnął pesymistyczne wnioski co do przyszłości stosunków francusko-polskich — byłby w błędzie. Przyjaźń francusko-polska istnieje i jest czynnikiem pokoju europejskiego. Ale nie wystarcza ona jako pokoju tego gwarancja. Nie wystarcza przyjaźń francuska Polsce, bo nie jest Polska małym krajkiem, bo jest na drodze do wielkomocarstwowości, bo krąg jej interesów się rozszerza, a choć w niczem nie mąci kręgu interesów francuskich, to przecież niezupełnie się z nim pokrywa. Nie wystarcza przyjaźń polska Francji, bo Francja, jako wielkie mocarstwo kolonjalne, musi uprawiać politykę morską na porozumieniu angielskiem opartą, a jako wielkie mocarstwo kontynentalne nie uważa, aby polski *allié de revers* dostatecznie ją przed obcą hegemonją zabezpieczał.

Pragnąc zapewnić sobie i innym wykonywanie i poszanowanie traktatów, oraz doprowadzić do oczyszczenia atmosfery politycznej w Europie, dyplomacja francuska stosuje dwie metody pozornie sprzeczne, a w gruncie rzeczy, z punktu widzenia interesów Francji, nieźle się w obecnych warunkach uzupełniające. Z jednej strony wierna jest dyplomacja francuska metodzie solidarności państw zainteresowanych w utrzymaniu obecnego statutu politycznego Europy, a z drugiej — praktykuje metodę pojednania francusko-niemieckiego. Nie można powiedzieć, aby to postępowanie nosiło charakter „lewicowy“, aby krytyki przeciw niemu

formułowane pochodziły tylko z prawicy. P. Arystydes Briand, minister spraw zagranicznych, oraz p. Filip Berthelot, sekretarz generalny na *Quai d'Orsay,* nadali niewątpliwie metodom dyplomacji francuskiej piętno indywidualne, ale jej założenia odpowiadają wymogom tradycji i są kompromisem między dwoma sprzecznemi kierunkami. Tradycja dyplomacji francuskiej — to dążność do jaknajwiększej swobody ruchów, wielka ostrożność w wyborze przyjaciół i sojuszników, unikanie sztywnych systemów.

Dwa są systemy, jakie się obecnej dyplomacji francuskiej przeciwstawia. Jedni zalecają powrót do historycznej doktryny opartej na zasadach obrony narodowej i sojuszów; drudzy radzą radykalnie ze zbrojeniami zerwać, sojuszów zaniechać, a pokój oprzeć na wzajemnem zaufaniu, na dobrej woli, jaka ma się zrodzić z międzynarodowych konferencyj, wieców i bankietów... Pierwszy system zaleca skrajna prawica, drugi — skrajna lewica, ale ani jeden, ani drugi nie mogą obecnie liczyć na poparcie umiarkowanej większości opinji publicznej. Nie znaczy to wcale, aby życzeniom owej większości odpowiadała metoda pojednania francusko-niemieckiego tylko. Prawe jej skrzydło żywi nadal głęboką do Niemiec nieufność, do taktyki pojednania odnosi się ostrożnie i uważa je za etap tylko; na skrzydle lewem istnieje obawa, że to pojednanie przerodzićby się mogło w *tête-à-tête* czy w sojusz nawet, a temu lewy odłam opinji francuskiej zasadniczo jest przeciwny.

Współczesna dyplomacja francuska jest wypadkową dwu różnych tendencyj, jest akcją przejściową tłumaczącą się niejasnem naogół położeniem w Europie powojennej, gdzie szereg państw, i to największych, jeszcze się waha z wyborem swej polityki zagranicznej, również akcję przejściową prowadzi i podwójne metody stosuje. Obecna taktyka *Quai d'Orsay* napewno nie jest sprzeczna z interesami państw mających z Francją traktaty sojuszu, współpracy czy przyjaźni, a przecież niektóre jej akcenty budzą w tych państwach niepokój. Z drugiej strony opinja niemiecka powątpiewa nieraz o szczerości polityki pojednania dlatego tylko, że Francja z europejskich sojuszów i przyjaźni nie rezygnuje, że nie chce „wybrać". „My albo oni" — mówi się Francji. „To znaczy my z wami przeciw tamtym? Nie!" — odpowiada Francja. To samo na jej miejscu odpowiedziałaby Polska, to samo odpowiadają państwa Małej Ententy.

Każdy sojusz podobny jest do asekuracji: im większe ryzyko — tem większą trzeba płacić premję; im więcej jest w danem towarzystwie zaasekurowanych — tem mniejsze płaci się premje, a tem większa jest gwarancja przeciw ryzyku. Idealnem rozwiązaniem sprawy bezpieczeństwa byłoby zapewnienie pokoju jeśli nie całemu światu, to przynajmniej poszczególnym kontynentom drogą zbiorowych umów międzynarodowych określających każdą wojnę zaczepną jako przestępstwo, oddających spory między państwami pod arbitraż przymusowy, urzeczywistniających częściowe ograniczenie zbrojeń i zapewniających państwu napadniętemu pomoc wojskową, ekonomiczną i finansową wszystkich innych „ubezpieczonych“. Jest to oczywiście ideał, ale zarówno francuska jak i polska dyplomacja za cel swych wysiłków go uważają. Sławny protokuł genewski z 1924, będący pierwszą próbą praktycznego sformułowania powyżej naszkicowanych zasad, został wskutek oporu konserwatystów angielskich narazie zaniechany ale jego idea bynajmniej nie jest pogrzebana.

Zarówno wysiłki Francji, jak Polski i całego szeregu państw do Ligi Narodów należących ku odbudowie protokułu zmierzają. „Rezolucja polska“ przyjęta jednomyślnie przez Zgromadzenie Ligi z 1927, pakt Briand-Kellogg z 1928, oraz inicjatywa europejskiego „węzła federacyjnego“ wysunięta przez p. Briand'a na ostatniem Zgromadzeniu genewskiem — to etapy na drodze do zorganizowania bezpieczeństwa europejskiego w myśl zasad protokułu. Jego odbudowa leży w interesie Polski i ten fakt określa jedną z metod naszej dyplomacji; drugą jest czuwanie nad solidarnością interesów z naszemi identycznych, co nie wyklucza jaknajwiększej dobrej woli w stosunku do naszych sąsiadów z zachodu i ze wschodu.

DYMITR PROSKURA.

# WATYKAN A ROSJA.

Odkąd na skutek upadku Konstantynopola (1453) faktyczne centrum kościoła wschodniego poczęło stopniowo przenosić się do Moskwy [1]) zagadnienie stosunku katolicyzmu do wielkiej schyzmy kościelnej staje się zagadnieniem stanowiska Rzymu wobec Rosji. Ani bowiem patrjarchat ekumeniczny, pozostały w zdobytym przez Turków Carogrodzie, ani tembardziej trzy inne patrjarchaty wschodnie (Jerozolima, Aleksandrja i Antjochja) nie mogły pretendować w tym czasie, już nietylko do jakichkolwiek wpływów, ale nawet do pośredniego udziału w polityce międzynarodowej. Natomiast młodociany patrjarchat moskiewski, utworzony przez Borysa Godunowa w 1589, oparty o prężny i agresywny aparat rozwijającej się państwowości rosyjskiej, wysuwa się szybko na naczelne miejsce. Ustępując innym pod względem protokularnym, cerkiew rosyjska poczyna temniemniej sprawować faktyczną prymaturę w kościele wschodnim. Zostaje zapoczątkowany okres podróży egzotycznych patrjarchów w hyperborejskie krainy „białego cara". Moskwa, przejęta swą rolą spadkobierczyni Bizancjum, zaczyna marzyć z kolei o moralnem dziedzictwie dynastji Paleologów [2]). „Trzeci Rzym" pod 60 stopniem szerokości geograficznej zaprząta na długo umysły. Pomimo skasowania patrjarchatu przez Piotra Wielkiego, zasadnicza linja rozwojowa cerkwi rosyjskiej nie uległa zmianie. Przeciwnie, uzależniona od państwa, zbiurokratyzowana i pozbawiona własnej treści duchowej, cerkiew rosyjska z tem większą gorliwością angażowała się w imperjalistyczną politykę czynników rzą-

---

[1]) Charles Diehl. *Bysance*. Str. 331.

[2]) ibid.

dzących. Huzarskie akselbanty, jakiemi Paweł I obdarzył pskowskiego metropolitę Ireneusza [3]) symbolizują wymownie charakter tej współpracy. Ale w stosunku do obcokrajowych wyznawców kościoła wschodniego, cerkiew rosyjska, dzięki tej właśnie „współpracy“ mogła zająć stanowisko możnej protektorki. Sprawa dyzunicka w Polsce (w XVIII wieku jest tego dobitnym przykładem. W wieku XIX dyplomacja rosyjska posługuje się tą samą metodą w stosunku do chrześcijan bałkańskich. Cerkiew była więc narzędziem w ręku rządu rosyjskiego, ale jednocześnie cerkiew ta stanowiła punkt atrakcyjny dla całego prawosławia. Dopóki w Rosji przebywał car „prawosławny“, dopóki „święta Ruś“ wybijała pokłony na całej przestrzeni olbrzymiego imperjum, zagadnienie religijne powrotu do jedności kościołów mogło być rozwiązane tylko tam, a nie gdzieindziej. Rzym to rozumiał. Przez wieki całe uwaga Rzymu zwrócona była na Rosję. Z przenikliwością wielką analizowano szanse ważkiego przedsięwzięcia, z wytrwałością niestrudzoną czyniono przygotowania do właściwej akcji. Sama akcja następuje dwukrotnie i w obu wypadkach przybiera formy dobrowolnej unji pomiędzy kościołami. Pierwsza z tych unij, florencka (1439) zawiodła całkowicie, druga, brzeska (1596) wydała jedynie częściowe rezultaty. Ale Rzym trwał w niezłomnem postanowieniu, wynikającem z podstawowych zasad nauki katolickiej i z niezachwianej wiary w nadprzyrodzoną misję kościoła. I oto przychodzi moment, kiedy cerkiew rosyjska załamała się nagle [4]), kiedy na całej przestrzeni olbrzymiego państwa zamilkł głos dzwonów, a wybijanie pokłonów przed ikonami świętych stało się równoznaczne z przestępstwem przeciw państwu. Elementy stosunku zmieniły się wówczas niezmiernie, ale sam stosunek, jako zagadnienie religijno-międzynarodowe nie utracił bynajmniej na znaczeniu. Watykan dziś, jak przed wiekami, nie może pominąć problematu Rosji, nie może nie zająć wobec niego ściśle określonego teoretycznego i praktycznego stanowiska. I stanowisko to nie może zasadniczo się różnić od stanowiska Rzymu w wiekach poprzednich. Zagadnienie powrotu do jedności kościołów nie utraciło zatem na

[3]) Aksakow. Pisma, tom IV, str. 119.

[4]) Dymitr Proskura. Upadek cerkwi prawosławnej w Rosji. *Sprawy obce.* Styczeń 1930.

swej aktualności, a nawet stało się, może bardziej niż kiedykolwiek, aktualne. Wiek XX pod tym względem żywo przypomina drugą połowę XVI wieku, kiedy taksamo jak dziś, zagadnienie unji kościołów stanowiło przedmiot głębokich studjów i różnorodnych pomysłów. I jak wówczas, praktyczna strona zagadnienia, jego realizacja, skoro do niej doszło, musiała się rozstrzygać nie gdzieindziej, niż na ziemiach polskich, taksamo i obecnie wszelka próba konkretna, każdy nowy realny wysiłek nie może mieć miejsca z pominięciem Polski. Ze względów historyczno-geograficznych postawa czynna Watykanu wobec Rosji musi się opierać o bazę terytorjalną, ciągnącą się od Niemna do Karpat, a stanowiącą od wieków integralną część Państwa Polskiego. I w tym oto znaczeniu zagadnienie stosunku Stolicy Apostolskiej do Rosji staje się dla Polski poniekąd zagadnieniem wewnętrznem. Skoro więc mówimy: Watykan a Rosja, nie możemy z konieczności pominąć czynnika trzeciego — Polski.

## I.

Zagadnienie powrotu do jedności kościoła występuje w historji jednocześnie z dokonanym faktem rozłamu. Jest ono nietylko jego konsekwencją, ale jakby jego odmiennym aspektem. Bez przesady można powiedzieć, że gdy Michał Cerularjusz łamał w Konstantynopolu pierwotną jedność chrześcijaństwa, w tym samym czasie, niemal w tym samym dniu i godzinie rodziła się w Rzymie myśl o powrocie do utraconej jedności. Bo zasada jedności, odpowiadająca zasadzie powszechności, czyli uniwersalizmu jest naczelną zasadą kościoła. Z punktu widzenia katolickiego słowa „unus Pastor“ zawierają w sobie nietylko przyrzeczenie, ale i nakaz moralny. Złamanie jedności, uznanie równorzędności czyż nie jest w gruncie rzeczy pośrednim stwierdzeniem relatywizmu religji? Czynnik boski w życiu i rozwoju ludzkości może być tylko jeden, równorzędność stanowi tu zaprzeczenie boskości. Głębokie zrozumienie tej prawdy stanowiło zawsze moralną potęgę Papiestwa [5]).

> ...W rzeczy samej Papieże wychodzili z zasady jedności kościoła i jedności swej władzy najwyższej. Jeżeli prawda jest jedna, je-

---

5) P. Pierling. *La Russie et le Saint Siège*. Tom I, str. 5.

den może być tylko jej nieomylny depozytarjusz, t. j. jeden tylko kościół prawdziwy. Czy kościół taki znajduje się w Rzymie, w Bizancjum, czy może w Moskwie nazywającej się chętnie trzecim Rzymem? Katolicy uznają za jedyny kościół prawdziwy ten tylko, który został założony przez Jezusa Chrystusa na niewzruszonej opoce Piotrowej i wyposażony przyrzeczeniem wieczności w osobie pierwszego apostoła, oraz jego prawowitych następców, biskupów rzymskich. Taka jest nauka Soborów powszechnych, Ojców Kościoła wschodniego i zachodniego, potwierdzona przez praktykę pierwszych wieków. W oczach Papieży cerkiew moskiewska, podobnie jak kościół bizantyjski, była jedynie gałęzią, oddzieloną od pnia. Ze względu na boskie swe posłannictwo uważali oni za swój obowiązek pracować nad przywróceniem pierwotnej jedności. Kościół ten (katolicki) nie może nic zmienić w prawdzie objawionej, powierzonej mu, celem nienaruszonego przechowania. Kościół winien jest żądać uznania praw dogmatycznych, których naucza. Natomiast okazuje się on bardzo wyrozumiały we wszystkiem, co ulega wpływowi czasu, a to zarówno w zakresie liturgji, jak też i prawa kościelnego...

Takie było stanowisko Rzymu i takiem pozostało do dzisiaj. Ale ani Bizancjum, ani Moskwa następnie nie były skłonne do przyjęcia tego stanowiska. Zbyt wiele różnic psychologicznych nagromadziła historja pomiędzy Zachodem i Wschodem, aby prawdy Zachodu mogły stać się oczywistemi dla Wschodu. Wszak zasada jedności, tak charakterystyczna dla kultury rzymskiej nie była nigdy dobrze znana na Wschodzie. Nie znała jej Grecja, podzielona na szereg udzielnych państewek, nie znał jej Wschód azjatycki, skłębiony w drgawkach prymitywnego despotyzmu. Nie znała tej zasady Moskwa przedewszystkiem, łącząca w sobie słowiańską rozpierzchliwość z mongolską pasją buntu i negacji. Tylko ludy Zachodu wychowane w orbicie wpływów klasycznego Rzymu, były przygotowane do przyjęcia i to stopniowego prawd nowych, głoszonych przez Rzym chrześcijański.

W tym właśnie braku przygotowania psychologicznego, w tej niemożności przyswojenia sobie odmiennych pierwiastków duchowych, należy upatrywać zatem główne źródło zawodów i niepowodzeń, jakie na przestrzeni wieków napotkała idea jedności Kościoła w zetknięciu ze światem bizantyjsko-rosyjskim.

Rzym wprawdzie przewidział tę trudność i usiłował umiejętnie jej zapobiec, wysuwając koncepcję nie unifikacji, ale unji kościo-

łów. Aby cel ten osiągnąć, nie wahano się posunąć w ustępstwach do możliwie najdalszych granic. Przez zachowanie tych wszystkich miejscowych tradycyj i obyczai, które nie przecząc samej zasadzie jedności, dają przecie ujście poszczególnym dążeniom do różnorodności form i obrzędów, nie wahano się podkreślić szacunku kościoła katolickiego dla wschodniej gałęzi chrześcijaństwa. Lecz i te próby nie przyniosły zadawalniających wyników. Idea unji rozbijała się stale o zaciekły opór czynników wschodnich świeckich i kościelnych przeciwko uznaniu samej zasady jedności, wyrażającej się w jednolitem kierownictwie kościołem, t. j. przeciwko prymaturze Papieży. Zanarchizowana dusza Wschodu nie była w stanie zrozumieć nakazów ładu i dyscypliny moralnej, ani też odczuć piękna, płynącego z doskonałej celowości organizacji powszechnej i jedynej. Przeciwko tej właśnie podstawowej zasadzie, bez której oczywiście niema i nie może być unji w pojęciu katolickiem, występowała Rosja, główna szermierka kościoła Wschodniego w czasach nowożytnych. Historja unji właściwie mówiąc nie jest niczem innem, jak walką Rosji z unją, bez względu na to, czy unja ta mogła być posądzona o tendencje polskie, czy też pochodziła bezpośrednio z Rzymu. Przyjrzyjmy się faktom, które to stwierdzają.

Dnia 6 lipca 1439 w katedrze florenckiej Santa Maria Del Fiore nastąpiło uroczyste ogłoszenie zjednoczenia kościołów. Ze strony greckiej podpisali bullę: cesarz bizantyjski, Jan Paleolog, 20 metropolitów, 4 dostojników świeckich, biskup moskiewski Awrami i 7 opatów. Pośród metropolitów znajdował się metropolita Kijowski Izydor, jeden z twórców Unji i jej gorliwy obrońca. Niezwłocznie po zakończeniu uroczystości Izydor udał się do swej metropolji, aby wprowadzić w życie powzięte postanowienia. W Polsce uchwały florenckie zostały przyjęte przychylnie i Izydor bez przeszkód mógł dokonać w Chełmie aktu ogłoszenia unji. Na wiosnę 1441 Metropolita przybył z kolei do Moskwy.

> Niezwłocznie po przybyciu Izydor udał się do katedry. Ku wielkiemu zgorszeniu prawosławnych niesiono przed nim łaciński krzyż z wizerunkiem Chrystusa, lecz nikt nie śmiał przeszkodzić Metropolicie w odprawieniu mszy. Nabożeństwo miało miejsce, jak zazwyczaj, z tym jeno wyjątkiem, że w momencie komemoracyj liturgicznych z ust Izydora padło imię (Papieża) Eugenjusza IV. Podrażniony tą nowością Wasyl (Wielki książę

moskiewski) wpadł w gniew bezprzytomny, gdy po skończeniu mszy Izydor ogłosił ponadto bullę zjednoczenia, podpisaną przez biskupów wschodnich i zachodnich. Powyższy postępek usprawiedliwiał obawy, żywione na Kremlu w przededniu soboru, rzeczywistość zaś przewyższała wszystko, czego się można było spodziewać: prawosławny książe zelżył metropolitę, nazywając go wyrodnym pasterzem, wilkiem, rabusiem i zamiast podług obyczajów otrzymać błogosławieństwo, rozkazał uwięzić go w klasztorze Czudnowskim i stale mieć na oku. Kardynał legat w ten oto sposób stał się więźniem oddanym na łaskę władzy świeckiej [6]).

Wypadek powyższy jest niezmiernie znamienny. Określa on już u samego wstępu do prac nad odzyskaniem utraconej jedności kościoła zasadnicze stanowisko Moskwy. Odtąd Wielki kniaź Wasyl staje się wzorem dla wszystkich swoich następców, a zachowanie się jego wobec metropolity Izydora — zasadniczą podstawą Rosji wobec unji. Niezależnie od tego, czy na tronie moskiewskim zasiada Iwan Groźny, Mikołaj I, czy Mikołaj II, zasada jedności kościoła jest dla nich wszystkich zarówno nie do przyjęcia. Moralnie są oni wszyscy spadkobiercami kniazia Wasyla i jego „bezprzytomnego gniewu". I ta bezwzględna wrogość wynika nie skądinąd, jak właśnie z braku psychologicznego przygotowania Rosji i jej władców do zrozumienia obcych sobie dążeń innego świata — świata zachodniego.

Ale wypadek powyższy należy ująć i z innego punktu widzenia. Unja florencka była pierwszą konkretną próbą powrotu do jedności kościoła, była jednak próbą, podjętą może w najwłaściwszy sposób i przy najbardziej sprzyjających okolicznościach. Cesarstwo bizantyjskie trwało jeszcze, ogromnie zagrożone przez potęgę ottomańską, ale pełne wspomnień niedawnego splendoru. Traktując z Konstantynopolem — autorem rozłamu, Rzym niewątpliwie uderzał w sedno rzeczy. Cesarze bizantyjscy w myśl właśnie zasad kościoła wschodniego (idea cezaro-papizmu) sprawowali może w większym stopniu, niż patrjarchowie, naczelną władzę w tym kościele. Uzyskując na bulli papieskiej podpis cesarza Jana Paleologa, Rzym otrzymywał faktycznie poparcie największego autorytetu, jaki istniał na wschodzie. I oto kniaź Wasyl moskiewski nie zawahał się z dziką zajadłością przeciw-

---

[6]) P. Pierling. *La Russie et le Saint Siège*. Tom I, str. 56—57.

stawić się dziełu pojednania, uznanemu przez jego moralnego suzerena w rzeczach wiary — cesarza bizantyjskiego.

I wreszcie trzeci moment. Unja florencka nie miała żadnych związków z polityką polską. Żaden z polaków nie zasiadał pod kopułą Santa Maria del Fiore, niema polskich podpisów na akcie zjednoczenia. Kardynał Oleśnicki przyjął wprawdzie w Krakowie metropolitę Izydora, udającego się do Moskwy, ale jak zawsze przewidujący i ostrożny, nie angażował ani siebie, ani Polski ponad konieczną potrzebę[7]). Skończyło się na odprawieniu mszy greckiej w Sączu i w Krakowie, oraz na proklamowaniu aktu unji w Chełmie. To była wyłącznie religijna strona zagadnienia i Izydor, jako metropolita kijowski, występował w roli przypadającej mu z jego urzędu. Nie może więc być mowy o wpływach Polski, o polskiej ingerencji politycznej, o akcji polonizacyjnej, posługującej się rzekomo unją. Te wszystkie utarte formułki powstały znacznie później i w zastosowaniu do unji brzeskiej. Unja florencka natomiast była ponad wszelką wątpliwość dziełem Rzymu wyłącznem i niepodzielnem. Jeżeli zatem ta właśnie unja spotkała się z bezwzględnym oporem Moskwy, to w imię bezstronności stwierdzić należy, że odegrały tu rolę nie jakiekolwiek względy na politykę polską, a w szczególności nie antagonizm polsko-moskiewski, ale jedynie kompleks czynników wewnętrzno-narodowych, których wykładnikiem nazewnątrz stał się moskiewski kniaź Wasyl. Co więcej, jeżeli następcy Wasyla przez szereg wieków pozostali jego kontynuatorami i naśladowcami, to znowu stwierdzić należy, że wzmiankowane czynniki musiały mieć charakter zasadniczy i nieprzemijający, to jest, że musiały wypływać z psychologicznego podłoża narodu rosyjskiego i logicznie się wiązać z całokształtem jego pojęć i zainteresowań religijno-politycznych.

W przeciwieństwie do unji Florenckiej, unja Brzeska (1596) była dziełem wybitnie polskiem. Była niem nietylko dlatego, że w zjeździe w Brześciu wzięli udział polacy tej miary, co Piotr Skarga, lub biskup Maciejowski, ale przedewszystkiem dlatego, że warunki niezbędne dla przeprowadzenia wielkiego przedsięwzięcia zostały zrealizowane nie gdzieindziej, a w Polsce właśnie. Brześć był nietylko dalszym ciągiem, ale i bezpośrednią konse-

---

[7]) P. Pierling. *La Russie et le Saint Siège*. I.

kwencją Horodła i Lublina. Dwa wieki wspólnych dziejów związały kulturalnie prawosławną ludność ziem ruskich z Polską jagiellońską. W chwili, gdy Piotr Skarga ogłasza swe słynne dzieło *O jedności kościoła* głos jego już nie jest głosem wołającego na puszczy, jak był nim swego czasu głos Metropolity Izydora. Ludność ruska pod koniec XVI stulecia nie jest już obca pojęciom i dążeniom Zachodu, które za pośrednictwem Polski docierają do niej coraz potężniej. Pomędzy Zachodem, a Rusią powstał pomost duchowy, stworzony przez Polskę, przez jej instytucje, obyczaje, piśmiennictwo. Jeśli bojarzyn ruski słyszy o rozprawach w Senacie, gdzie panowie polscy zwykli przemawiać w języku Cycerona, jeśli syna posyła do szkół, aby łaciny czemprędzej się nauczył i przez to otworzył sobie drogę do urzędów, jeśli do dworków ruskich dociera wreszcie książka Kochanowskiego, nastrojona na nutę Wirgila, lub Ronsarda, — to już krok jeden tylko pozostaje uczynić, aby tę więź duchową transponować w dziedzinę stosunków religijnych. Tym krokiem właśnie była unja Brzeska. Nie zakładała ona fundamentów pod budowę nową, lecz realizowała skrzętnie pracę poprzednich pokoleń. W ten sposób zamykał się okres powolnej ewolucji, trwający od czasu politycznego zjednoczenia prawosławnej Rusi z Polską katolicką. Cała mądrość polityczna Polski jagiellońskiej występuje tu w tej umiejętności osiągania celów wielkich, nie w drodze doraźnych porywów, lecz przez stopniowe nawarstwianie posunięć przygotowawczych, powstałych z planowego, nieprzerwanego wysiłku. I dlatego Unja Brzeska jest dziełem polskiem, dziełem kultury polskiej i polskiej myśli politycznej.

Związana tak ściśle z wewnętrznem tętnem życia polskiego, unja Brzeska z konieczności musiała dzielić jego losy. Otóż Rzeczpospolita, od połowy XVII wieku uwikłana w nieustanne wojny kozackie, moskiewskie, tureckie, zwraca się stopniowo frontem ku Wschodowi. Wojna nietylko przeciwstawia, ale i zbliża narody. Polska walcząc bez przerwy na wschodnich rubieżach, zatracała powoli dawną swą łączność z Zachodem, orjentalizowała się. Szlachcic polski przyjmował strój wschodni (kontusz, podgolone czupryny), co gorsza, duchowo przeobrażał się również. Coraz rzadziej wędruje on na studja do Italji lub Paryża. W zubożałym kraju ideał zacisznego dobrobytu, ideał ziemiański zastępuje dawne żywiołowe ciążenie ku ośrodkom europejskiej kultury umysłowej.

W wieku XV Jan Strzembosz, późniejszy profesor Akademji Krakowskiej, wysprzedawał w Sandomierskiem folwarki, aby — jeden z pierwszych — przywieźć doktorat z Bolonji. W wieku XVIII jest to już nie do pomyślenia. Folwark przytłacza całkowicie rzeczywistość szlachecką. Następuje szybkie cofnięcie się kultury, Polska traci zdolność kulturalnego oddziaływania, a wraz z nią główne źródło swej dotychczasowej potęgi politycznej. Przychodzi fala odwrotna, wpływy wschodnie, wpływy Rosji wdzierają się do Polski. Przychodzi sprawa dyzunicka, rządy Repnina, rozbiory i wreszcie (w pewnych sferach) myśl ugody z Rosją, czyli myśl rezygnacji z Zachodu i poszukiwanie sposobów dostosowania się do warunków świata wschodniego.

Czemżesz mogła być unja w tej orjentalizującej się Polsce? Oczywiście w stopniu wyższym od obrządku łacińskiego ulegała ona nowym przeobrażeniom i wpływom. Długo tłumione instynkty wylewały się na powierzchnię życia, atawizm występował z naturalną siłą. Był to jakgdyby powrót do stanu pierwotnego, wyzbywanie się związków nabytych żmudnie przez zbyt krótkie współżycie z katolickim Zachodem. Dzieło Brześcia musiało się załamać, skoro już przedtem załamało się dzieło Horodła i Lublina. Ruś, politycznie wcielona do Rosji, powracała do dawnej tradycji orjentalnej, do tradycji moskiewskiego kniazia Wasyla. I na to nie było już rady. „Wraz z rozbiorami i upadkiem Polski, — stwierdza uczony Jezuita O. Adrian Boudou, — znikła barjera, która strzegła kościoła unijnego“ [8]).

Zbyt mało wie się naogół o tej wewnętrznej ewolucji unji pod rządami rosyjskiemi. Pomiędzy pierwszym rozbiorem, a datą zniesienia unji (1839) upłynęło lat przeszło 60. Dwa pokolenia unitów wychowały się w tym okresie. Połock z roku 1839 nie mógł już pamiętać Połocka z czasów Rzeczypospolitej. Cóż więc mogło pozostać z tradycji zachodniej pośród młodszego duchowieństwa unickiego? Prawdopodobnie, — nic prawie.

Siemaszko, burzyciel unji, należał właśnie do najmłodszych wiekiem. Mianowany biskupem sufraganem w 1829, był on już przedtem agentem rządu rosyjskiego. Zamiary jego stały się wyraźne, gdy obejmując w 1833 stanowisko ordynarjusza dla djecezji litewskiej, zażądał i otrzymał od podległych sobie bisku-

---

[8]) Adrian Boudou. *Le Saint Siège et la Russie.* I, str. 154.

pów-sufraganów deklarację na piśmie, stwierdzającą gotowość powrotu do prawosławia. W ten sposób na szereg lat przed oficjalnem zniesieniem unji przez rząd rosyjski, kościół unijny został opuszczony przez własnych swoich pasterzy.

Duchowieństwo wyższe podzielało w większości wypadków poglądy swoich biskupów. „Z pośród kanoników, członków konsystorzy i dziekanów, rekrutowali się ci, co podpisali akt apostazji 1839 roku“ [9]). „W prowincjach zachodnich — brzmi raport hr. Protazowa, oberprokuratora Synodu rosyjskiego, — kościół grecko-unicki pamięta o swojem rosyjskiem pochodzeniu. Unja nie zwalcza obecnie prawosławia, ale stopniowo zbliża się ku niemu i to zarówno zewnętrznie przez stronę obrzędową, jak też wewnętrznie przez treść swej nauki“.

Wyrazem powyższego stanu rzeczy był wynik ankiety zorganizowanej pod koniec 1838 przez Siemaszkę i dwóch jego satelitów biskupów Łużyńskiego i Zubkę. Na mniejwięcej 2000 duchownych unickich — 1305 wypowiedziało się imiennie za przejściem na prawosławie. Petycja przeciwna, domagająca się zachowania unji, zdołała uzyskać zaledwie 111 podpisów [10]). Uwzględniając nawet znaczenie presji rządowej, stwierdzić należy, że kościół, w którym wszyscy biskupi i około $^2/_3$ ogółu kapłanów wyraża otwarcie wolę zmiany wyznania, nie może liczyć na trwałość. Już przed ukazem Mikołaja I i niezależnie od tego ukazu Unja w państwie rosyjskiem była martwym tworem.

Dlatego więc Siemaszko mógł był odnieść tryumf ostateczny, doprowadzając na Synodzie biskupów unickich w Połocku 12 lutego 1839 do ogłoszenia formalnego aktu zjednoczenia kościoła unijnego z cerkwią prawosławną. Sprzeciwów nie było. Zarówno biskupi jak delegaci kleru złożyli swoje podpisy i akt przesłano do zatwierdzenia w Petersburgu. Dopiero 25 marca Mikołaj I wydał ukaz wprowadzający w życie postanowienia Synodu połockiego. Tak się właściwie przedstawia w świetle faktów historycznych sprawa zniesienia unji Brzeskiej w Cesarstwie rosyjskiem.

W tak zwanem Królestwie Kongresowem Unja przetrwała do 1875. Składała się ona z jednej już tylko djecezji Chełmskiej,

---

[9]) Adrian Boudou. *Le Saint Siège et la Russie*. I, str. 156.

[10]) Adrian Boudou. *Le Saint Siège et la Russie*. I, str. 220.

liczącej około 200.000 wiernych. Gdy i tu na skutek zabiegów części duchowieństwa grecko-katolickiego Unja została zniesiona, władze rządowe napotkały niespodzianie na bierny opór ludności, która nie chciała się uznać za prawosławną. Pomimo prześladowań „oporni“ w wielu wypadkach przetrwali potajemnie do 1905 i w tym czasie na mocy edyktu tolerancyjnego przyjęli obrządek łaciński. Zjawisko to łatwo wytłumaczyć. W Kongresówce oddziaływanie polskości było naturalnie znacznie silniejsze, niż w krajach zabranych. Istniała tutaj przed 1863 pewna fikcja państwowości polskiej, instytucje narodowe, a przedewszystkiem szkolnictwo zachowały się przeważnie do 1864. Rolę „barjery“, ochradawnej Rzeczypospolitej, w okresie 1815—1864 spełniały częściowo szczupłe granice Królestwa Kongresowego. Nie można wreszcie pominąć czynika narodowościowego. W przeciwieństwie do krajów zabranych, Unja w Kongresówce liczyła w swych szeregach znaczny odsetek rodowitych polaków. Ci oto podlasiacy — mazurzy tworzyli główne ogniska oporu i oni to przeszli następnie na obrządek łaciński, aby zachować swój związek z pniem macierzystym narodu. Sprawa Unji na Chełmszczyźnie i Podlasiu była więc nietylko sprawą wyznaniową, ale również sprawą narodową polską i tem tłomaczy się fakt, że pośród 200.000 unitów chełmskich mógł zrodzić się opór przeciwko zniesieniu Unji, wówczas gdy przeszło 1.500.000 unitów białoruskich i ruskich wyrzekło się swej wiary niemal bez protestu.

Tak więc oto od 1875 unja brzeska nie istniała już w zaborze rosyjskim. Natomiast zachowała się ona w Małopolsce Wschodniej pod osłoną „barjery“ ochronnej, jaką stanowiły dla niej granice Monarchji habsburskiej. Austrja od dawna obawiała się możliwości ekspansji rosyjskiej, posługującej się, jak wiadomo, propagandą panslawizmu i prawosławia, i dlatego dla obu tych kierunków zamknęła swoje granice. Poza tem, rządowi wiedeńskiemu zależało na osłabieniu elementu polskiego, któremu przeciwstawiono ukraińców unitów. Ze względów politycznych katolicka Austrja opiekowała się gorliwie Unją i unitami, ochraniając ich zarówno przed zetknięciem ze wschodniem prawosławiem, jak też i przed ewentualną latinizacją. W tych sztucznych warunkach Unja zaskrzepła w sobie. Dopiero wojna przyniosła radykalne zmiany. Wraz z armją rosyjską wdarło się prawosławie na ziemie małopolskie. Za hr. Bobryńskim, gubernatorem Lwowa, zjechał

prawosławny biskup Eulogjusz, wioząc z sobą pociąg ikon, popów i mniszek. Nastąpiło pierwsze po trzech wiekach zetknięcie bezpośrednie Unji z rosyjskiem prawosławiem i odrazu zetknięcie to wykazało wewnętrzną słabość Unji. W oczekiwaniu zwycięstwa rosyjskiego ludność grecko-katolicka przyjmowała chętnie prawosławie, misja Eulogjusza miała niewątpliwie powodzenie. Gdyby losy wojny zakończyły się inaczej, naprzykład wcieleniem Wschodniej Małopolski do Rosji, pochłonięcie Unji przez Cerkiew Rosyjską nastąpiłoby prawdopodobnie w niedalekiej przyszłości. Najbardziej uderzającym jednak jest fakt, że Unja nawet pod rządami polskiemi i po zawarciu przez Polskę konkordatu, zachowującego dla niej specjalną hierarchję kościelną, nie zdołała wykazać dostatecznej odporności w stosunku do prawosławia. Akcja propagandowa prawosławnego metropolity Dyonizego, prowadzona z konieczności w ograniczonych rozmiarach i wyzyskująca jedynie wewnętrzne braki samej Unji, doprowadziła w krótkim czasie do wyników, których bynajmniej nie można lekceważyć. W latach 1927—1929 około 20.000 greko-katolików przyjęło w ten sposób prawosławie na Podkarpaciu, w Sokalskiem, Samborskiem, Stanisławowskiem. Konwersje miały charakter masowy, ludność wiejska gromadnie zmieniała wyznanie, usiłując zabrać na rzecz prawosławia dotychczasowe kościoły unickie. Dopiero na skutek zarządzeń władz polskich udało się zwrócić te kościoły ich prawowitym posiadaczom. Ale ruch religijny nie został całkowicie opanowany, jak świadczy świeży wypadek przejścia na prawosławie, 200 unitów we wsi Turze Górne w powiecie Starosamborskim.

W ten oto sposób, jeżeli chodzi o stronę historyczną, ujętą w najogólniejszych linjach, przedstawia się stosunek Watykanu do Rosji. Cechą najistotniejszą tego stosunku jest systematyczne dążenie Rzymu do odbudowy jedności kościoła, utraconej niegdyś wskutek schyzmy greckiej, a niemożliwej do odzyskania bez udziału Rosji. Do osiągnięcia zamierzonego celu miały służyć dwie kolejne unje: Florencka i Brzeska. Pierwsza, dokonana całkowicie poza Polską, nie przyniosła żadnych realnych wyników, pozostała jedynie pięknym gestem ludzi wczesnego Renesansu. Druga, podjęta i uskuteczniona przez Polskę, trwała tak długo, jak i Polska sama. Pozbawiona „barjery ochronnej“ jaką były dla niej granice Rzeczypospolitej, Unja Brzeska okazała się we-

wnątrz zbyt mało odporną na wpływy prawosławia. Załamała się i załamuje się dotąd, o ile nie może, lub nie chce z Polski właśnie czerpać swych soków żywotnych.

Wszakże zagadnienie stosunku Watykanu do Rosji nie ogranicza się do tych momentów historycznych. Życie współczesne wnosi z dniem każdym nowe pierwiastki, z których powstaje zwolna zaczyn przyszłych dziejów. Aczkolwiek z ostrożnością wielką, musimy się wśród nich rozglądać. I tu oto leży druga część niniejszego zagadnienia: stosunek Watykanu do Rosji teraźniejszej.

II.

Stosunek Rzymu do Rosji był na przestrzeni wieków stosunkiem dwuch potęg o odmiennych źródłach cywilizacji, obcych sobie duchowo, częstokroć reprezentujących krańcowo rozbieżne cele i dążenia. Co więcej, był stosunkiem dwuch odmiennych koncepcyj religijnych, wyrażających bądź rzymską zasadę jedności i powszechności, bądź też wschodnie zaprzeczenie tej idei. Stosunek ten posiadał zatem w pewnym znaczeniu tego słowa charakter interkonfesyjny. Zagadnienie dogmatyczne, spory teologiczne, sięgające wstecz znacznie dalej, aniżeli sięga historja samej Moskwy, ciążyły nad tym stosunkiem w sposób decydujący. Była atoli jedna więź wspólna, dzięki której w momentach najostrzejszych starć i konfliktów mogła być zachowana nadzieja lepszej przyszłości. Tą wspólną więzą była nauka Chrystusa.

Dopóki rząd rosyjski pozostawał urzędowo prawosławnym, a więc chrześcijańskim, dopóty jego walkę z Rzymem można było uważać za wewnętrzne spory w łonie chrześcijaństwa. Wychodząc z tego założenia, Papieże wielokrotnie brali Rosję w rachubę, gdy szło o zorganizowanie jednolitej akcji całego chrześcijaństwa, naprzykład w okresie tworzenia Lig anti-tureckich. Obok pierwiastków rozbieżnych usiłowano wówczas wynaleść pierwiastki wspólne i te w pewnych okolicznościach mogły stanowić podstawę porozumienia. Stosunek Watykanu do Rosji był przeto stosunkiem odmienych wyznań, ale jednocześnie stosunkiem wspólnej religji.

To, co zaszło w Rosji na skutek przewrotu komunistycznego, zmienia radykalnie zasadnicze elementy omawianego stosunku. Po raz bodaj pierwszy w dziejach ludzkości, a w każdym razie bezwzględnie po raz pierwszy w dziejach cywilizacji europejskiej

powstało państwo teoretycznie i urzędowo bezwyznaniowe, ateistyczne i anti-religijne. Stosunek Watykanu do Rosji teraźniejszej (urzędowej) nie może być zatem określony jako stosunek interkonfesyjny, ani nawet jako inter-religijny, ale staje się niezaprzeczenie stosunkiem religji do ateizmu.

Mylnem jest przypuszczenie, jakoby ateizm komuny rosyjskiej miał być zjawiskiem przypadkowem i przemijającem, oraz że przyczyn jego poszukiwać należy w licznym udziale żydowstwa w rewolucji październikowej, tudzież w wpływach filozofji materjalistycznej XIX wieku. Ateizm rosyjski zwraca się równie bezwzględnie przeciwko wszystkim religjom świata, nie wyłączając żydowskiej i Islamu, wpływom zaś zachodniego materjalizmu filozoficznego ulegały swego czasu jedynie wyższe sfery rosyjskie, obecnie niemal doszczętnie wytępione przez rewolucję. Ktokolwiek zresztą mógł poznać przeraźliwie niski poziom intelektualny Rosji współczesnej, dla tego jest rzeczą nieulegającą wątpliwości, że jakikolwiek system filozoficzny jest dziś niedostępny zarówno dla mas rosyjskich, jak i dla ich przywódców. Walka z religją w Rosji ma swoje specjalne podłoże psychologiczne, mało znane i mało zrozumiałe dla ludzi wychowanych w cywilizacji zachodniej.

Przedewszystkiem nie jest zgodne z prawdą rozpowszechnione mniemanie, aby lud rosyjski odznaczał się wrodzoną pobożnością. Lud rosyjski był i pozostał zabobonny, jak zabobonnemi są wszystkie ludy prymitywne. Cerkiew, dostosowana do wymagań politycznych państwa, nie troszczyła się o religijne wychowanie ludności. Chłop rosyjski od wieków zwykł był na własną rękę poszukiwać prawd i objawień mistycznych. Sekty, pełne ciemnoty, szerzyły się wśród ludu z niezwykłem powodzeniem. Sekty te dyskredytowały religję panującą, podkopywały jej autorytet, nie mogąc oczywiście, zastąpić jej formalnie. W walce z rodzimem sekciarstwem (starowierzy, duchoborcy, mołokanie, chłysty, skopcy) cerkiew rosyjska zwykła była uciekać się nie do katechizacji, a do interwencji władz państwowych. Prześladowanie religijne było więc zjawiskiem stałem w życiu społeczeństwa rosyjskiego.

Pośród sfer wyższych sceptycyzm religijny stanowił zjawisko niemal powszechne. Cerkiew oficjalna służyła prawie wyłącznie do wystąpień polityczno-państwowych, pozatem nie posiadała ona

żadnego autorytetu moralnego. Duchowieństwo było lekceważone traktowane nieraz wprost pogardliwie. W słynnej galerji Tretjakowskiej w Moskwie istnieje zbiór obrazów wybitnych malarzy rosyjskich z drugiej połowy XIX wieku, wyszydzający obyczaje duchowieństwa. Obrazy te służą obecnie do celów propagandy antireligijnej, ale powstały one przed kilkudziesięciu laty i stanowiły wyraz poglądów ówczesnego społeczeństwa rosyjskiego. W jeszcze wyższym stopniu kierunek areligijny występuje w literaturze rosyjskiej. Największy pisarz Rosji współczesnej, potomek znakomitego rodu hr. Leon Tołstoj w utworach swoich występował sale i jawnie przeciwko panującej religji. Sam żył on i umarł w całkowitym rozbracie z cerkwią urzędową. Dzieła Tołstoja szerzyły prawdziwe spustoszenie pośród inteligencji rosyjskiej. Jego naczelna idea „nie sprzeciwiania się złu" (fatalizm orjentalny) tak ściśle związana z przyrodzoną pasywnością psychiki rosyjskiej, przeprowadziła moralne rozbrojenie społeczeństwa na wiele lat przed wybuchem rewolucji. Obok Tołstoja inni utalentowani pisarze jak Gorkij, Kupryn, Andrejew stanowili czynnik intelekualnego rozkładu i negacji. Całkowity brak ideału, chorobliwa beznadziejność i rozgoryczenie stanowią najistotniejszą cechę tej literatury. Indyferentyzm moralny, a nawet *sui generis* uwielbienie zła (satanizm, naprzykład Andrejewa) znajdowały wyraz w licznych dziełach rosyjskich. Stan umysłów w Rosji pod koniec XIX wieku i na początku XX nie da się porównywać ani ze zmysłową wybujałością renesansu, ani z wolterjanizmem szlachty francuskiej *ancien regime'u*. Stanowi on zjawisko swoiste, wylęgłe w potwornych lękach narodu, od niepamiętnych czasów rządzonego przez despotyzm wschodni i nie mogącego się zdobyć na afirmatywną postawę wobec życia.

Komunizm potrafił zdyskontować niejako powyższy stan rzeczy, wyzyskać go na swoją wyłączną korzyść. W zasadzie komunizm był oczywiście ateistyczny, — nie filozoficznie, a utylitarnie

Dokryna gospodarcza, z której powstał, miała na względzie produkcję i rozdział dóbr wyłącznie materjalnych. Ewentualnie wprowadzenie pojęcia dóbr niematerjalnych, duchowych groziło w konsekwencji rozsadzeniem całego systemu, skądinąd logicznie zbudowanego. Aby pozostać w zgodzie z sobą, komunizm musiał wyrzec się religji. Co więcej, musiał wyraźnie jej się przeciwstawić. Ale kwestja miary, w jakiej miałoby to nastąpić, nie była

nigdzie z góry ustalona. Mogło wystarczyć teoretyczne zaprzeczenie religji, wyeliminowanie jej z życia państwowego, jak są wyeliminowane naprzykład systemy filozoficzne, teorje naukowe, albo kierunki estetyczne. To, że komunizm rosyjski, przeciwstawił się religji w takim, a nie innym stopniu, wypływa nie z samej doktryny gospodarczej, ale z całokształtu warunków lokalnych, w jakich doktryna ta znalazła po raz pierwszy swoje praktyczne zastosowanie.

Wskazówką, że komunizm już w pierwszym okresie swego istnienia zamierzał rozwiązać sprawę religijną w Rosji w myśl teoretycznych założeń swej doktryny, jest dekret Rady Komisarzy Ludowych z 23 stycznia 1918. Dekret ten odpowiadał zasadniczym tendencjom materjalizmu filozoficznego, jakim przejęli się naogół teoretycy komunizmu rosyjskiego podczas lat wygnania, spędzonych w Europie zachodniej i środkowej. Wspomniany dekret zawierał:

1. Oddzielenie Kościoła od Państwa,

2. *Wolność sumienia i równouprawnienie obywateli bez różnicy wyznania,*

3. Podporządkowanie związków wyznaniowych przepisom o stowarzyszeniach prywatnych z tem jednak zastrzeżeniem, że związki te nie mogą posiadać osobowości prawnej i być podmiotem praw majątkowych,

4. Upaństwowienie majątku stowarzyszeń kościelnych i religijnych z zastrzeżeniem, że budynki i przedmioty, przeznaczone wyłącznie dla kultu, oddawane będą, na podstawie specjalnych rozporządzeń, państwowej władzy centralnej, lub lokalnej do użytku odpowiednim stowarzyszeniom religijnym.

Było to zatem uznanie religji za sprawę osobistą jednostki ludzkiej, wyeliminowanie jej zupełne z życia państwowego, oraz pozbawienie w bardzo znacznej mierze podstaw majątkowych. Ale z drugiej strony dekret z 23 stycznia 1918 zawierał ustawowe zagwarantowanie wolności sumienia, czyli umożliwiał jednostkom wierzącym publiczne wyznanie swej religji. W ogólnych przeto zarysach dekret ów nie różnił się zasadniczo od ustawodawstwa niektórych państw kapitalistycznych (naprzykład Stanów Zjednoczonych, lub Francji) uznających również religję za sprawę osobistą swych obywateli i przeprowadzających konsekwentnie zasadę ścisłego oddzielenia kościoła od państwa. Podobne stano-

wisko zajął również Rząd sowiecki, przyjmując zobowiązania, zawarte w art. 7 Traktatu Ryskiego.

> Rosja i Ukraina, głosi ów artykuł, zapewniają osobom narodowości polskiej, znajdującym się w Rosji, Ukrainie i Białorusi, na zasadzie równouprawnienia narodowości, wszystkie prawa, zabezpieczające swobodny rozwój kultury i języka, o r a z w y k o n y w a n i e o b r z ą d k ó w r e l i g i j n y c h.

I dalej:

> Kościoły i stowarzyszenia religijne, do których należą osoby narodowości polskiej w Rosji, Ukrainie i Białorusi, mają prawo w granicach prawodawstwa wewnętrznego, samodzielnie urządzać swoje wewnętrzne życie kościelne.
>
> Wyżej wzmiankowane kościoły i stowarzyszenia religijne mają prawo, w granicach prawodawstwa wewnętrznego, użytkowania i nabywania majątku ruchomego i nieruchomego, koniecznego dla wykonywania obrządków religijnych, utrzymywania duchowieństwa, i instytucyj kościelnych.
>
> Na tych samych zasadach mają one prawo korzystania z kościołów i instytucyj, koniecznych dla wykonywania obrządków religijnych.

Ponieważ w momencie ratyfikacji Traktatu Ryskiego obowiązywał w Rosji dekret z 23 sycznia 1918, jasnem jest, że zastrzeżenie „w granicach prawodawstwa wewnętrznego" mogło odnosić się wówczas jedynie do postanowień wspomnianego dekretu, czyli, że Rząd sowiecki zobowiązywał się w każdym razie do szanowania zasady wolności sumienia w stosunku do swych obywateli narodowości polskiej. Ponieważ z drugiej strony „osoby narodowości polskiej" w Rosji, Ukrainie i Białorusi były za nielicznemi wyjątkami, wyznania katolickego, przeto słusznie można było sądzić, że odnośne klauzule Traktatu Ryskiego stwarzają podstawę prawną dla katolicyzmu w Rosji. I jakkolwiek już wówczas położenie kościoła było tam nader ciężkie, to jednak dekret z 23 stycznia 1918 w połączeniu z art. 7 Traktatu Ryskiego zawierały w sobie możliwości przystosowania się do zmienionych warunków bez narażenia się na całkowite rozbicie, lub eksterminację.

Jeżeli wypadki nie potoczyły się w tym kierunku, jeżeli przeciwnie, z biegiem czasu, zamiast stopniowego uspokojenia nastąpił gwałtowny wzrost prześladowań religijnych, organizowanych przez rząd z głęboką premedytacją to istotne przyczyny niezrozumiałego napozór zjawiska nie leżą w takich, czy innych teoretycz-

nych przesłankach doktryny komunistycznej (wszak dekret z 23 stycznia 1918 czynił jej zadość), ale wyłącznie i jedynie należy ich poszukiwać w warunkach specyficznie rosyjskich. Doktryna komunistyczna zaszczepiona na tym gruncie, wydała owoc rosyjskiej glebie właściwy.

Aby człowiek zachodu mógł należycie ocenić te specyficzne warunki rosyjskie, musimy w pewnym stopniu uciec się do analogji. Europa Zachodnia i Środkowa, trawiona od czasu Reformacji straszliwą kląską wojen religijnych, przyjęła w Traktatach Westfalskich (1648) osobliwą z naszego punktu widzenia zasadę: *cujus regio, ejus religio.* W myśl tej zasady wybór religji stawał się wyłącznym przywilejem panującego, ludność natomiast winna była stosować się do teologicznych poglądów swego władcy. Otóż jeżeli na Zachodzie formuła powyższa nie okazała się trwałą (rewolucja francuska zmiotła ją ostatecznie) to na Wschodzie Europy jej wpływ przeciągnął się znacznie dłużej. Rosja nie brała wprawdzie udziału w Traktatach Westfalskich, ale tę samą zasadę odziedziczyła w spadku po Bizancjum, gdzie miała ona niegdyś szerokie zastosowanie (walki ikonoklastów, wielka schyzma). Dynastja Romanowych stosowała w całej pełni to rzekome prawo monarsze (prześladowanie staroobrzędowców przez cara Aleksego, zniesienie patrjarchatu przez Piotra Wielkiego, zniesienie unji przez Mikołaja I i Aleksandra II). Do ostatnich lat rządów cesarskich identyfikowano w praktyce pojęcia władzy, państwa i religji. Formuła Traktatów Westfalskich była do ostatka w Rosji faktycznie obowiązującą normą prawną, jednym z podstawowych zrębów rosyjskiej państwowości.

I oto zmieniła się władza (1917). Z konieczności, nowa władza musiała stać się równie absolutną, jak była nią swego czasu władza cesarska. Tolerowanie jakichkolwiek rozbieżności pomiędzy władzą i wiarą groziło w konsekwencji załamaniem się władzy. Komisarze ludowi w mniemaniu swojem weszli byli całkowicie i niepodzielnie w uprawnienia poprzedniego rządu. Otóż według zasady *cujus regio, ejus religio* do nich, jako do władzy państwowej, należało wskazanie ludności nowej religji państwowej. Ale doktryna komunistyczna, jak widzieliśmy, wyklucza wszelką religję, jest ateistyczna. Nie mając innych możliwości, przywódcy komunizmu wskazali na ateizm, jako na urzędowe wyznanie wiary swego państwa.

Jakież stanowisko mógł zająć Watykan w stosunku do tak swoistego zjawiska, jakim jest urzędowy ateizm rosyjski? Decyzja nie była łatwa. Zbyt wiele względów wchodziło tu w rachubę, aby decyzja mogła przyjść pośpiesznie. Watykan z właściwą sobie przezornością badał przedewszystkiem istotę zagadnienia, ale jednocześnie rozwijał on działalność stosownie do okoliczności i w miarę środków, jakimi rozporządzał.

Należało w pierwszym rzędzie uchronić kościół w Rosji od zagrażającej mu zagłady. Rząd republik sowieckich nie ograniczył się do ustawowego wyeliminowania religji z życia państwowego (dekret z 23 stycznia 1918) ale w szybkiem tempie przeszedł do czynnej walki z religją, sprowadzoną do roli osobistych wierzeń obywateli. Prześladowania stały się powszechne, ogarnęły kraj cały i dotknęły zarówno wiernych, jak też duchowieństwo [11]). W tych warunkach konieczność natychmiastowej akcji ratowniczej nie mogła budzić żadnych wątpliwości. Watykan niezwłocznie wystąpił z odpowiednią inicjatywą dyplomaczną.

Dnia 5 maja 1922 Sekretarjat Stanu rozesłał delegatom państw europejskich, biorącym udział w konferencji Genueńskiej, specjalny memorjał w sprawie położenia religji na terytorjum Rosji i Ukrainy sowieckiej. Wskazując na prześladowania religijne, gwałty i bezprawia, memorjał ten zalecał, jako warunek wstępny do uznania *de jure* rządu republik sowieckich, uzyskanie od tegoż rządu zobowiązań o charakterze międzynarodowym, zapewniających: a) poszanowanie wolności sumienia wszystkich obywateli, b) wolność kultu, c) poszanowanie względnie restytucję świątyń, należących do któregobądźkolwiek wyznania.

Memorjał watykański był niezwykle trafny zarówno co do ujęcia przedmiotu, jak też samego momentu poruszenia sprawy. Przedewszystkiem nie było tu mowy o katolicyzmie wyłącznie, lecz o religji wogóle. Pius XI zwracając się między innemi i do przedstawicieli państw niekatolickch, musiał z góry liczyć się z ich obojętnością dla spraw katolicyzmu. Stawiając kwestję znacznie szerzej, występując w obronie wszystkich bez wyjątku wyznań, tych nawet, które nie uznają Jego władzy, Pius XI nietylko wy-

[11]) Prześladowanie religijne, oraz propaganda antireligijna (bezbożnictwo) będą stanowić przedmiot osobnego artykułu, jaki ukaże się w jednym z najbliższych numerów *Spraw Obcych,* wobec czego narazie pomijam szczegóły odnoszące się do tej strony zagadnienia.

kluczał możliwość zarzutu jednostronności, ale wystąpieniu swemu nadawał charakter powszechny, ogólnoludzki. Apelował do sumień całego chrześcijaństwa, pojętego jako zgromadzenie narodów starsze i bardziej spoiste od zgromadzenia Genewskiego, a jednocześnie dawał wyraz zasadniczej idei kościoła, jaką jest idea jedności duchowej wszystkich wiernych.

Również moment wystąpienia wybrany był nader umiejętnie. Cziczerin w Genui zabiegał o uznanie *de jure* rządu sowieckiego, o nawiązanie z nim przez Wielkie Mocarstwa regularnych stosunków dyplomatycznych i handlowych. Zabiegi te miały na celu z jednej strony zapewnić Rosji uzyskanie korzystnych kredytów względnie zawarcie dogodnych tranzakcyj, z drugiej zaś strony winny były wykazać wobec własnych obywateli, że nadzieje na interwencję mocarstw są bezpodstawne i że rząd sowiecki należy uważać za ostatecznie ugruntowany nawet w opinji sfer zagranicznych. Stawka niewątpliwie była duża, co pozwalało mniemać, że dla jej osiągnięcia rząd sowiecki będzie istotnie skłonny poczynić pewne realne ustępstwa w zakresie swojej polityki wewnętrznej. Inicjatywa Watykanu miała więc poważne widoki powodzenia i trzeba przyznać niestety, że rozbiła się ona nietyle o opór delegacji rosyjskiej, ile o brak porozumienia pomiędzy rządami Wielkich Mocarstw, które w problemacie rosyjskim nie potrafiły zająć wspólnego stanowiska.

Niezależnie od powyższego, Watykan 14 maja 1922 interwenjował bezpośrednio u Cziczerina na rzecz uwięzionego patrjarchy moskiewskiego Tichona, oraz innych biskupów prawosławnych, ofiarowując jednocześnie złożenie odkupu w gotówce za naczynia i sprzęty kościelne, konfiskowane przez władze sowieckie pod pozorem użycia ich na przyjście z pomocą ofiarom głodu w Rosji[12]).

Obok tej akcji dyplomatycznej Stolica Apostolska rozwinęła równoległą akcję charytatywną. W końcu lipca 1922 wyruszyła z Rzymu misja Ojca Walsha, złożona z dwunastu zakonników, mająca za zadanie nieść pomoc ofiarom głodu w południowej Rosji. Środki, jakimi rozporządzała ta misja, powstały ze składek zbieranych w kościołach całego świata na wezwanie Papieża. Sam Pius XI przeznaczył na cele misji 2.500.000 lirów. Misja O.

---

[12]) List Mgr. Pizzardo do Cziczerina, ogłoszony przez Mac Cullagh *The bolshevik persecution of Christianity*. Str. 368.

Walsha pozostawa w Rosji do września 1924 karmiąc codziennie przez ten czas około 160.000 dzieci rosyjskich i udzielając dorosłym doraźnej pomocy i wsparcia.

Wszakże ani wysiłki dyplomacji, ani humanitarna działalność Watykanu nie zdołały wpłynąć na zmianę polityki rządu sowieckiego. Prześladowania religijne wzmogły się jeszcze bardziej. Na wiosnę 1923 nastąpił proces arcybiskupa Cieplaka, rozstrzelanie prałata Budkiewicza, pierwsze masowe zesłania księży na wyspy Sołowieckie. Hierarchja kościelna w Rosji przestała prawie istnieć, procesy księży zataczały coraz szersze kręgi, inscenizowane rozmyślnie dla wywołania zgorszenia.

Przedsięwzięte w tych oto warunkach trzykrotne podróże do Rosji Mgr. d'Herbigny, dyrektora Papieskiego Instytutu Orjentalnego w Rzymie (1925—1926) miały na celu poza zbadaniem faktycznego stanu rzeczy, opracowanie i przeprowadzenie takiego planu reorganizacji kościoła, któryby pozwalał (w granicach możliwości) zadośćuczynić religijnym potrzebom ludności, oraz zachować ciągłość hierarchji katolickiej.

Na zasadzie posiadanych przez siebie specjalnych pełnomocnictw Mgr. d'Herbigny przeprowadził nowy podział djecezyj, a w pierwszym rzędzie wydzielił z pod jurysdykcji biskupów polskich te części dawnych djecezyj katolickich, które na zasadzie Traktatu Ryskiego pozostały przy Rosji. W ten sposób odpadły: Witebszczyzna i Mohylowszczyzna (dawna archidjecezja Mohylowska) Mińszczyzna i wschodnie Polesie (dawna djecezja Mińska) Kijowszczyzna i Wołyń Wschodni (dawna djecezja Łucko-Żytomierska) oraz Podole (dawna djecezja Kamieniecka). Odtąd biskupi polscy zachowali w swojej jurysdykcji jedynie terytorja położone w Polsce. Dla katolików zamieszkałych w Rosji Mgr. d'Herbigny konsekrował nowych biskupów, a mianowicie: ks. Neveu, Francuza, dla Rosji środkowej i Ukrainy lewobrzeżnej, ks. Słoskana, Łotysza dla Witebszczyzny, Mohylowszczyzny, Mińszczyzny i Polesia, ks. Małeckiego, Polaka dla Petersburga i Rosji północnej, a podobno i ks. Frisona, Niemca, dla Rosji wschodniej, Odesy i Krymu. Ponadto administratorem apostolskim dla Kaukazu został ks. Wardidze, Gruzin, a egzarchą dla obrządku wschodniego ks. Fiodorow, Rosjanin. Ukraina prawobrzeżna nie dostała własnych biskupów, lecz rządy kościelne spoczęły w ręku administratorów: ks. Skalskiego w Kijowie i ks.

Świderskiego w Winnicy na Podolu, obu rodowitych Polaków i zasłużonych kapłanów.

Reformy Mgr. d'Herbigny miały charakter tajny, nawet konsekracji biskupów zmuszony był on dokonać w tajemnicy. Podział teryorjalny, zdaje się, nie był przeprowadzony zbyt szczegółowo. Natomiast w zakresie jurysdykcji wewnętrzno-kościelnej poszczególni biskupi otrzymali szerokie uprawnienia, pozwalające im na załatwianie szeregu spraw kanonicznych i administracyjnych bez odwoływania się do Rzymu. Ogólne kierownictwo Kościoła Katolickiego w Z. S. R. R. spoczęło prawdopodobnie w ręku ks. Neveu. W ten sposób została przywrócona hierarchja katolicka w Rosji, a życie kościelne zyskało nowe podstawy prawne.

Naczelną cechą reform przeprowadzonych przez Mgr. d'Herbigny jest jego staranie o wyraźne zaznaczenie powszechności, a zatem międzynarodowego charakteru Kościoła Katolickiego. W Rosji identyfikowano zazwyczaj katolicyzm z polskością, co było zresztą zjawiskiem zrozumiałem wobec faktu, że od wieków katolicyzm był tam reprezentowany niemal wyłącznie przez Polaków. Po rozbiorach stosunek wzajemny katolicyzmu i polskości zacieśnił się jeszcze bardziej ku niezadowoleniu władz rosyjskich, upatrujących w tym sojuszu niepożądane dla siebie wzmocnienie zarówno katolicyzmu jak polskości. Kiedy Mikołaj I w 1845 odwiedził w Rzymie Grzegorza XVI, tematem jego skarg wobec Papieża było właśnie patrjotyczne duchowieństwo polskie.

> „Cesarz wytoczył wówczas — pisze Ojciec Boudou — oskarżenie przeciw duchowieństwu katolickiemu, a w szczególności polskiemu. Uczynił to bezwzględnie, niemiłosiernie, a także niesprawiedliwie, zaślepiony przez swą nienawiść i przesądy. Ten przedmiot tak mu leżał na sercu, że podczas swego krótkiego pobytu w Rzymie powracał doń przynajmniej trzykrotnie [13]).

Tezę Mikołaja I przejął rząd sowiecki, posługując się stale w procesach przeciwko duchowieństwu katolickiemu zarzutami swierdzającemi rzekomo polityczne związki księży z Polską.

Nazewnątrz w swojej propagandzie zagranicznej rząd sowiecki usiłuje przedstawić prześladowanie katolicyzmu, jako represje skierowane przeciwko politycznym dążeniom kleru. Księża, podług wersji puszczanej w obieg przez koła komunistyczne, są skazy-

---

[13]) Adrien Boudou. *Le Saint Siège et la Russie*. I, str. 430.

wani jedynie za przestępstwa antipaństwowe, noszące charakter zdrady stanu (szpiegowstwo). W ten sposób, wyzyskując teorję stworzoną przez Rosję mikołajowską, rząd sowiecki pragnie odciążyć własną odpowiedzialność, a jednocześnie zdyskredytować duchowieństwo.

Reformy Mgr. d'Herbigny zmierzały właśnie ku wyraźnemu rozgraniczeniu polskości i katolicyzmu. Mgr. d'Herbigny zerwał w tym celu z wielowiekową tradycją, w myśl której biskupami w Rosji byli prawie wyłącznie Polacy, jako przedstawiciele ogromnej większości tamtejszej ludności katolickiej (około 90% ogółu katolików). Czy jednak reformy te przyniosły spodziewany skutek, czy wpłynęły na zmianę polityki władz sowieckich, czy zapewniły ludności większą, niż dotąd wolność religijną? Najbliższa przyszłość wykazała niezbicie, że fala prześladowań nietylko nie osłabła, ale przeciwnie wzrosła niebywale. Rząd sowiecki nie wyciągnął żadnych konsekwencyj z reform Mgr. d'Herbigny.

Przedewszystkiem w praktyce okazało się niemożliwe zachowanie w tajemnicy godności i stanowiska nowo konsekrowanych biskupów. W bardzo krótkim czasie władze były poinformowane o faktach dokonanych. Niezwłocznie zastosowano najbardziej surowe represje. Biskup Słoskan, aczkolwiek Łotysz, został aresztowany we wrześniu 1927 pod zarzutem szpiegowstwa na rzecz Polski i na zasadzie „dowodów" przedstawionych przez G. P. U. skazany na wygnanie, na którem dotychczas przebywa. Na wygnaniu również znaleźli się biskup Aleksander Frison (Niemiec) i egzarcha Leonidas Fiodorow (Rosjanin). Administrator apostolski ks. Wardidze (Gruzin) aresztowany w 1927 przebywał dłuższy czas w więzieniu i dopiero na skutek zabiegów Ambasady włoskiej został zwolniony latem 1929. Biskup Neveu, jako obywatel francuski, mógł wprawdzie dzięki opiece swojej Ambasady uniknąć represyj osobistych, ale władze sowieckie odmówiły mu prawa wykonywania jakichkolwiek czynności kościelnych w charakterze biskupa i zgodziły się jedynie, aby obsługiwał kościół francuski w Moskwie. Biskup Neveu był zmuszony więc przelać swe funkcje na proboszcza kościoła św. Piotra i Pawła ks. Łupinowicza, który go zastępuje w administrowaniu djecezją. Natomiast biskup Małecki, wywiezony początkowo na Sołowki, zdołał następnie powrócić do Leningradu i on to właśnie jest dziś jedy-

nym biskupem katolickim sprawującym czynnie swój urząd na terytorjum Rosji europejskiej.

Trudno jest dzisiaj przedstawić w całej pełni martyrologję Kościoła pod rządami sowietów. Europa, pochłonięta zagadnieniami natury gospodarczej, w niedostatecznej mierze ocenia znaczenie czynników duchowych w dziejach cywilizacji. Prześladowania religijne, teoretycznie potępiane przez współczesną opinję, w praktyce nie budzą większego zainteresowania. Opinja świata zbyt łatwo przyjmuje je do wiadomości, zbyt słabo reaguje na nie. Istnieje zresztą w wielu wypadkach świadoma wola przemilczania tych zagadnień. Aby dać wyraz prawdzie, potrzeba było wystąpienia o historycznem znaczeniu. Za takie wystąpienie uważać należy niewątpliwie uroczyste pismo Piusa XI z 2 lutego 1930 do kardynała Pompilego w sprawach rosyjskich.

> Od pierwszej chwili Naszego Pontyfikatu — brzmi list papieski — idąc śladem Poprzednika Naszego, ś. p. Benedykta XV, pomnażaliśmy wysiłki Nasze, by wstrzymać okropne prześladowanie i oddalić wielkie nieszczęścia od tych narodów. Zwróciliśmy się również z wnioskiem do państw, reprezentowanych na konferencji Genueńskiej, proponując, by za wspólną zgodą, wydać deklarację, która mogłaby oszczędzić wielu plag Rosji i całemu światu i by w tym celu ogłosić wspólnie, jako uprzedzający warunek przed uznaniem rządu sowieckiego, poszanowanie przezeń sumień, wolności kultów i dóbr Kościoła.
>
> Niestety, te trzy punkty, które miały być przedewszystkiem deską ratunku dla tych hierarchij kościelnych, nieszczęśliwie odłączonych od jedności katolickiej, zostały odrzucone ze względów doczesnych, które z drugiej strony byłyby pewniej osiągnięte, gdyby różne rządy uszanowały przedewszystkiem prawa Boga, Jego królowanie i Jego sprawiedliwość. Niestety, po raz wtóry odrzucona została Nasza bezpośrednia interwencja, podjęta dla ocalenia przed zniszczeniem i dla zachowania dla ich tradycyjnego i religijnego użytku naczyń świętych i obrazów, które stanowią skarbiec pobożności i sztuki, drogi dla wszystkich serc w Rosji.
>
> Mieliśmy jednak pociechę, że udało Nam się uratować od grożącego śmiercią procesu i wspomóc skutecznie Głowę tej hierarchji, niestety odłączonej od jedności z Nami, patrjarchę Tichona, gdy jednocześnie z ofiar całego świata katolickiego ratowano od głodu i strasznej śmierci więcej niż 150.000 dzieci, żywionych codziennie przez Naszych wysłanników, dopóki ci ostatni nie byli zmuszeni opuścić swą szlachetną pracę, bo tam godzono się raczej na wydanie wyroku śmierci na tysiące niewin-

nych istot, niż na to, by pozwolić na ich żywienie przez miłość chrześcijańską.

Słowa powyższe nie potrzebują komentarzy, stanowią one dokument historyczny, którego istotne znaczenie dopiero w przyszłości zostanie ocenione. Ku przyszłości też, może nawet ku dalszej przyszłości zwracają się oczy Piusa XI, kiedy mówi o Opatrzności Bożej, „która w chwili przez Nią wybranej przygotuje i udzieli koniecznych środków, by naprawić zniszczenie moralne i materjalne tych niezmiernych przestrzeni“, ale treść cała, treść przeszła, teraźniejsza i przyszła, wyrażająca najwierniej istotny stosunek katolicyzmu do Rosji, spoczywa w słowach końcowych, wzywających „miłosierdzia Bożego nad narodem rosyjskim“.

Jakież stanowisko wobec tej akcji Watykanu, a w szczególności wobec ostatniego listu Piusa XI zajęła Rosja, oczywiście nie urzędowa, lecz Rosja prawosławna, wierząca i prześladowana? — Ścisłej odpowiedzi niepodobna udzielić. Opinji kraju, w którym wolność słowa od dawna nie istnieje, można się tylko domyślać. Ale zachodzą pewne fakty, które, zdaje się, stwierdzają dostatecznie wyraźnie oficjalne stanowisko rosyjskich czynników cerkiewnych i one przedewszystkiem wymagają szerszego uwzględnienia.

W dwukrotnych wywiadach, udzielonych prasie sowieckiej 16 lutego i prasie zagranicznej 19 lutego 1920, Metropolita Sergjusz, antikanonicznie rządzący dziś rosyjską cerkwią patrjarszą [14]) przeciwstawił się w sposób zdecydowany akcji Watykanu.

> Wystąpienie Papieża oświadczył on, uważamy za zbyteczne i niepotrzebne. My prawosławni nie potrzebujemy go wcale. Możemy sami bronić naszą cerkiew prawosławną. Od dawna marzeniem Papieża jest katolicyzacja naszej cerkwi, która będąc zawsze stanowczą w stosunku do katolicyzmu, jako do kłamliwej nauki, nigdy nie będzie mogła wejść z nim w jakiekolwiek stosunki.

Jeżeli nawet uwzględnimy możliwość presji rządowej, to i w tym wypadku rola Metropolity Sergjusza, pozwalającego się użyć za narzędzie urzędowego ateizmu, jest dziwnie marna i pozbawiona godności.

---

[14]) Dymitr Proskura. Upadek Cerkwi Prawosławnej w Rosji. *Sprawy Obce*. Styczeń 1930.

Atoli w tymże wywiadzie Metropolita Sergjusz powołał się na szereg rosyjskich hierarchów przebywających poza granicami Z. S. R. R., a znajdujących się w jego bezpośredniej obedjencji. Mianowicie wymienił on: Metropolitę Eulogjusza wraz z podwładnymi mu biskupami i duchowieństwem (Europa zachodnia), Metropolitę Euleterjusza (Litwa), Arcybiskupa Sergjusza (Japonja) i Biskupa Nestora (Chiny). Otóż ci hierarchowie są bezsprzecznie wolni, żaden przymus do nich nie jest stosowany. Jeżeli nie protestują przeciwko deklaracjom moskiewskim, to znaczy, że je w zasadzie podzielają. A jeśli tak jest, to trzeba uznać oświadczenie Metropolity Sergjusza za miarodajne, przynajmniej dla tego odłamu (najliczniejszego) prawosławia, któremu dziś on przewodniczy.

Historja się powtarza. Tak jak niegdyś upadający Konstantynopol bardziej się trwożył na myśl o unji z Rzymem, niż o zwycięstwach tureckich [15]), taksamo dziś ginące prawosławie rosyjskie przenosi raczej zgubę nad ratunek, pochodzący z Rzymu. Idea jedności Kościoła jest mu całkowicie obca. Tradycja, atawizm przemożny popycha je w kierunku wręcz przeciwnym. Zaślepienie szczególne nie pozwala nawet w tak krytycznym, jak obecny, momencie wyzbyć się dotychczasowych przesądów i uprzedzeń. Prawosławie rosyjskie, gnębione przez ateizm, wyrzeka się przecie samej myśli o związku religijnym z katolicyzmem.

Jakiż skutek w tak niesprzyjających warunkach może osiągnąć szlachetna inicjatywa Piusa XI, któremu już dziś nadawane jest miano „Papieża Wschodu“ i „Papieża Unji“. [16]). Czy Rzymska idea jedności zdoła zatryumfować nad tym Wschodem, tak psychologicznie różnym od świata Rzymskiego? Kto będzie ostatecznym duchowym zwycięzcą Rosji: Kardynał Izydor, czy Wasyl, książę moskiewski?

Oto jeden z najistotniejszych problematów współczesnych, od rozwiązania którego, być może, zależą przyszłe dzieje Europy, a w każdym razie w bardzo znacznym stopniu przyszłe losy Polski.

---

[15]) Charles Diehl. *Bysance.* Str. 257.

[16]) De Belloy. *Pie XI et le retour à l'unité de l'Orient séparé.* Orientalia Christiana. Wrzesień 1929.

WŁADYSŁAW KULSKI.

# KILKA UWAG O PAKCIE PARYSKIM.

I. Pakt Paryski, podpisany 27 sierpnia 1928, a obowiązujący od 24 lipca 1929, składa się z 3-ch artykułów, z których trzeci zawiera postanowienia odnoszące się do jego wejścia w życie. Właściwa treść zobowiązań, zaciągniętych przez państwa z chwilą podpisania lub przystąpienia do Paktu, znajduje się w dwuch pierwszych artykułach.

> Art. 1: Wysokie Układające się Strony uroczyście oświadczają, w imieniu swych ludów, że potępiają ucieknięcie się do wojny celem regulowania sposów międzynarodowych i wyrzekają się wojny, jako narzędzia polityki narodowej w swych wzajemnych stosunkach.
>
> Art. 2: Wysokie Układające się Strony uznają, że uregulowanie albo rozwiązanie wszystkich sporów lub konfliktów, bez względu na ich naturę lub pochodzenie, które mogłyby powstać między niemi, nie powinno nigdy być poszukiwane w inny sposób, jak tylko pokojowy.

Jak wiadomo, zawarcie Paktu było poprzedzone wymianą not między pierwotnymi sygnatarjuszami. Korespondencja dyplomatyczna, spowodowana przez orędzie p. Briand'a do narodu amerykańskiego z 6 kwietnia 1927, rozpada się na dwa okresy: pierwszy, w czasie którego wymiana not odbywa się tylko między Rządem amerykańskim a Rządem francuskim, kończy się wysłaniem noty amerykańskiej z 13 kwietnia 1928 i noty francuskiej z 20 kwietnia 1928 do Rządów — niemieckiego, brytyjskiego, włoskiego i japońskiego, które przez to zostają zaproszone do negocjacyj; drugi obejmuje korespondencję między Stanami Zjednoczonemi, a innemi państwami, zaproszonemi do podpisania Paktu.

Prócz Niemiec, Wielkiej Brytanji, Francji, Stanów Zjednoczonych, Japonji i Italji, w drugiej fazie wymiany not biorą także

udział Belgja, Polska, Czechosłowacja, zaproszone razem z Dominjami Brytyjskiemi w czerwcu 1928, do wzięcia udziału w negocjacjach. Rezultatem tej korespondencji było podpisanie Paktu 27 sierpnia 1928 w Paryżu przez wszystkie wyżej wymienione państwa, a więc przez Stany Zjednoczone, Wielką Brytanję, Nową Zelandję, Indje, Irlandję, Kanadę, Południową Afrykę, Australję, Niemcy, Francję, Japonję, Italję, Polskę, Czechosłowację i Belgję.

Pakt, po podpisaniu go przez powyższe 15 państw, został otworzony do akcesu wszystkich innych państw świata.

Jakoż od końca sierpnia 1928 do chwili obecnej przystąpiło już do Paktu 39 państw, a mianowicie: Afganistan, Albanja, Austrja, Bułgarja, Costa-Rica, Chili, Chiny, Danja, Republika Dominikańska, Egipt, Estonja, Finlandja, Guatemala, Grecja, Holandja, Honduras, Hiszpanja, Islandja, Jugosławja, Kuba, Litwa, Liberja, Luxenburg, Łotwa, Meksyk, Nikaragua, Norwegja, Panama, Paragwaj, Persja, Peru, Portugalja Rumunja, Syjam, Szwajcarja, Szwecja, Turcja, Venezuela, Z. S. R. R.

Z pośród członków Ligi Narodów dotychczas nie przystąpiły do Paktu: Abisynja, Argentyna, Boliwja, Haiti, Kolumbja, Salwador i Urugwaj. Z innych ważniejszych państw nie zgłosiła jeszcze swego akcesu Brazylja.

II. Wśród not, które poprzedziły zawarcie Paktu Paryskiego centralne miejsce zajmuje nota amerykańska z 23 czerwca 1928, w której Rząd Stanów starał się dać wyczerpującą odpowiedź na wiele kwestyj wątpliwych, podniesionych przez Rząd francuski. Nota ta może być uważana za wyraz wspólnych intencyj wszystkich pierwotnych sygnatarjuszy, gdyż poglądy w niej wyrażone przez sekretarza stanu Kellogga odpowiadały opinjom innych państw, jak to zostało stwierdzonem w toku dalszej wymiany not. To też nota ta ma pierwszorzędne znaczenie dla wykładni Paktu Paryskiego, usuwając z góry pewne wątpliwości, które może mogłyby nasunąć się co do Paktu Ligi Narodów, umów lokarneńskich i innych układów tego typu, co do prawa koniecznej obrony i stosunku do państwa, któreby pogwałciło Pakt. Ta ostatnia kwestja została zresztą przesądzona również przez zmieniony w czasie negocjacyj dyplomatycznych wstęp do Paktu.

Jednakże nie należy przeceniać wartości korespondencji przygotowawczej i nie trzeba sądzić, że wszystkie trudności interpreta-

cyjne zostały w niej z góry rozstrzygnięte. Wprost przeciwnie, niektóre kwestje, bardzo skomplikowane, zostały umyślnie pozostawione w cieniu, żeby przez wyjaśnienie ich nie przeciągać, a może nawet nie rozbić rokowań. Przy rozstrzyganiu tego rodzaju kwestyj trzeba z konieczności opierać się tylko na samym tekście Paktu, który nie jest ani zbyt jasny, ani zbyt dokładny.

Przy wyjaśnianiu nawet takich kwestyj, co do których można znaleść wzmianki w korespondencji poprzedzającej zawarcie Paktu, należy przedewszystkiem opierać się na tekście, a korespondencji używać tylko, jako argumentu pomocniczego. Odsuwanie korespondencji przy wykładni Paktu na drugi plan tłumaczy się nietylko zasadą, której się trzyma Stały Trybunał Sprawiedliwości Międzynarodowej, że prace przygotowawcze, jakkolwiek rzucające światło na intencje stron, mogą przy interpretacji tekstów mieć tylko znaczenie pomocnicze, ale także faktem, że w korespondecji, wymienionej przed zawarciem Paktu, brały udział tylko państwa, zaproszone do podpisania Paktu. Natomiast państwa, które potem do niego przystąpiły, nie miały możności wypowiedzieć swej opinji w razie negocjacyj dyplomatycznych, do których nie były dopuszczone, i dlatego miałyby prawo wykładać Pakt, opierając się wyłącznie na tekście i nie biorąc zupełnie pod uwagę not, wymienionych bez ich udziału. W niedawnym procesie o kompetencję Międzynarodowej Komisji Odry, Stały Trybunał nie zgodził się na cytowanie przez Polskę protokułów Konferencji Pokojowej, stojąc właśnie na stanowisku, że dla niektórych państw, należacych do strony przeciwnej, mianowicie dla Niemiec, Szwecji i Danji, jedynie miarodajnym jest tekst Traktatu Wersalskiego, że natomiast prace przygotowawcze, w których te państwa nie brały udziału, nic je nie obchodzą. Powyższy wzgląd trzeba mieć na oku, interpretując Pakt, ponieważ wykładnia powinaby być jednakowa dla wszystkich państw, które są Paktem związane.

III. Pakt Paryski proklamuje dwie uzupełniające się zasady, które nawet w gruncie rzeczy są tylko jedną zasadą, dwa razy innemi słowy wypowiedzianą: 1) potępienie wojny, jako narzędzia polityki narodowej i 2) zalecenie niezałatwiania sporów międzynarodowych w inny sposób, jak tylko pokojowy. Z powodu uderzającej lakoniczności Paktu, trudnoby w nim szukać rozwinięcia i sprecyzowania tych dwuch kardynalnych zasad. Te

ostatnie są dopiero fundamentem, na którym będzie mógł być w przyszłości wzniesiony cały systemat prawny dzięki czy to wykładni, czy to późniejszym umowom uzupełniającym. Znaczna część elementów takiego systematu już istnieje w postaci Paktu Ligi Narodów oraz innych konwencyj międzynarodowych, które już weszły w życie, jak klauzula fakultatywna i Akt Generalny Arbitrażu, lub są dopiero opracowywane przez Ligę Narodów, jak naprzykład Konwencja o pomocy finansowej lub Traktat o środkach prewencyjnych przeciw wojnie.

W proklamowaniu tych dwuch zasad: potępienia wojny i pokojowego załatwiania sporów międzynarodowych, Pakt Paryski był wyprzedzony przez Protokół Genewski z 1924, który miał tę bezsprzeczną wyższość nad Paktem, że obie zasady szczegółowo rozwijał. W bliższej przeszłości obie te zasady zostały solennie ogłoszone przez VIII Zgromadzenie Ligi Narodów na wniosek polskiej delegacji. Jak wiadomo, delegacja polska dążyła do opracowania przez Ligę Narodów ogólnego paktu o nieagresji, a zatem starała się zrealizować na terenie G e n e w y to, co w rok później stało się w P a r y ż u, poza udziałem Ligi. Jednakże pierwotna propozycja polska natknęła się na opór Wielkich Mocarstw i VIII Zgromadzenie ograniczyło się tylko do przyjęcia deklaracji o potępieniu wojen napastniczych, co zresztą też miało duże znaczenie polityczne, ponieważ przyczyniło się do wytworzenia atmosfery przychylnej dla negocjacyj o zawarciu Paktu Paryskiego.

Dlaczego jednak Wielkie Mocarstwa nie chciały się w 1927 zgodzić na ogólny pakt o nieagresji, a już w 1928 taki pakt podpisały? Na to pytanie ścisłą odpowiedź będzie mógł dać dopiero historyk, kóry będzie w posiadaniu wszystkich potrzebnych dokumentów. Ale już dziś możnaby zaryzykować pewną hipotezę, opierającą się na zestawieniu dat.

Francuski minister spraw zagranicznych p. Briand, rzucił po raz pierwszy ideę dwustronnego paktu o nieagresji między Francją a Stanami Zjednoczonemi w swem orędziu do narodu amerykańskiego z kwietnia 1927. Tekst paktu został sprecyzowanym 20 czerwca w nocie p. Briand'a, doręczonej ambasadorowi amerykańskiemu w Paryżu, p. Myron T. Herrick. Tekst ten został następnie niemal dosłownie powtórzony w Pakcie Paryskim, oczywiście z temi zmianami redakcyjnemi, których wymagał uniwersalny charakter Paktu. Odpowiedź sekretarza stanu Kellogga na

propozycje p. Briand'a, w której p. Kellogg zaproponował zamiast dwustronnego paktu francusko-amerykańskiego, zawarcie powszechnego układu, otwartego do podpisu ogółu państw, nastąpiła 28 grudnia 1927. W międzyczasie, bo we wrześniu tegoż roku, delegacja polska na VIII Zgromadzeniu wystąpiła z propozycją opracowania przez Ligę Narodów powszechnego paktu o nieagresji, któryby był oparty na tych samych zasadach, co późniejszy Pakt Paryski. Otóż możnaby przypuszczać, że kancelarje dyplomatyczne Wielkich Mocarstw wiedziały już we wrześniu o zamiarach sekretarza Stanu Kellogga, który od czerwca mógł już urobić sobie opinję o inicjatywie p. Briand'a. Wydaje się bowiem mało prawdopodobne, żeby amerykański Departament Stanu nie miał we wrześniu 1927 żadnego poglądu na sprawę paktu o nieagresji, skoro już od kwietnia tegoż roku opinja publiczna amerykańska namiętnie dyskutowała o propozycji p. Briand'a. Gdyby więc przypuścić, że pod wpływem publicznych dyskusyj na łamach prasy amerykańskiej p. Kellogg powziął już przed zebraniem się VIII Zgromadzenia zamiar przekształcenia dwustronnej umowy na pakt uniwersalny, to wstrzemięźliwe zachowanie się Wielkich Mocarstw wobec propozycji polskiej tłumaczyłoby się chęcią zarezerwowania inicjatywy ogólnego paktu o nieagresji dla Rządu amerykańskiego. Takie stanowisko dałoby się usprawiedliwić tem, że Stany Zjednoczone nie zgodziłyby się nigdy przystąpić do paktu, opracowanego przez Ligę Narodów, natomiast, biorąc inicjatywę w swe ręce, mogły uniknąć, przynajmniej pozornie, wiązania się jakiemikolwiek zobowiązaniami wobec organizacji genewskiej. Czy jednak take były istotne motywy postępowania Wielkich Mocarstw, o tem obecnie nie można z pewnością sądzić i z konieczności trzeba poprzestać na hipotezie.

IV. W kwietniowym orędziu do narodu amerykańskiego p. Briand użył zwrotu następującego: „Francja byłaby gotową publicznie, wraz ze Stanami Zjednoczonemi zaciągnąć wszelkie, wzajemne zobowiązania, zmierzające do w y j ę c i a w stosunkach między obu krajami, wedle wyrażenia amerykańskiego, „w o j n y z p o d p r a w a". Od czasu orędzia p. Briand'a tego wyrażenia o „wyjęcia wojny z pod prawa" często używa się w popularnych dyskusjach dla określenia potępienia wojny, jako narzędzia polityki narodowej, i przez to niekiedy zaciemnia się pojęcie o prawdziwych celach Paktu. Przedewszystkiem, skoro

mówi się o wyjęciu wojny z pod prawa, można wywołać wrażenie, że Pakt Paryski pozbawia państwo, któreby w przyszłości wywołało wojnę, wszelkiej ochrony prawnej. Tymczasem tak zgoła nie jest. Mimo zawarcia Paktu Paryskiego, międzynarodowe prawo wojny nie zostało uchylone nawet w stosunku do państwa, któreby chwyciło za broń z pogwałceniem Paktu. W razie dojścia do skutku międzynarodowej akcji represyjnej przeciw takiemu państwu, przepisy prawne o sposobie prowadzenia walki musiałyby być przestrzegane przez narody, biorące udział z stosowaniu sankcyj wojskowych. Naprzykład nie wolnoby było używać kul dum-dum, zatruwać studni, rozstrzeliwać jeńców i parlamentarjuszy. W tym więc znaczeniu wojna nie została wyjętą z pod prawa.

Ale ten termin *mise de la guerre hors la loi* mógłby też kazać mniemać, że inicjatywa p. Briand'a miała coś wspólnego z amerykańskim ruchem pacyfistycznym *to outlaw war.* W istocie zaś poza tym terminem wspólnym, zapożyczonym przez p. Briand'a od pacyfistów amerykańskich, wspólną inicjatywie francuskiej i ruchowi amerykańskiemu była tylko chęć zapobiegnięcia wojnie. Lecz wrogie ustosunkowanie się do wojny, jako narzędzia polityki, wspólne jest wszelkim ruchom i inicjatywom pacyfistycznym. Poza tem, jak słusznie zauważa Shotwell, wszystko dzieliło pomysł p. Briand'a od programu amerykańskiego ruchu *to outlaw war.* Ten ostatni, którego inspiratorami byli pp. S. O. Levinson i C. C. Morrison, posiada wybitnego przywódcę w postaci senatora Borah, prezesa Komisji Spraw Zagranicznych Senatu. Jeżelibyśmy sięgnęli do rezolucji Borah'a, zgłoszonej w Senacie poraz pierwszy 19 stycznia 1922, a powtórnie 12 grudnia 1927, to znaleźlibyśmy tam zwięźle ujęty program *to outlaw war* i zobaczylibyśmy odrazu, że program ten nietylko nic nie ma wspólnego z propozycją p. Briand'a, ale nawet był z nią w swych teoretycznych przesłankach sprzeczny. Program ten możnaby streścić w kilku punktach następujących: 1) Wojna jest zbrodnią międzynarodową. Wobec tego narody powinny zobowiązać się układem międzynarodowym do karania winnych podżegania do niej. 2) Podstawą współżycia międzynarodowego powinno być prawo, które należałoby skodyfikować i rozwinąć. 3) Wojnę, jako sposób pozaprawny załatwiania zatargów międzynarodowych, należy zastąpić przez procedurę sądową. Wszystkie spory mię-

dzynarodowe powinny być poddawane sądowi międzynarodowemu, wzorowanemu na Najwyższym Sądzie Federalnym. 4) Na straży prawa międzynarodowego i wyroków sądu powinna stać tylko oświecona opinja publiczna. Sankcje, jako nową formę wojny, należałoby zupełnie wyeliminować z życia międzynarodowego.

Powyższy program wynikał nietylko z nieco naiwnej wiary we wrodzoną dobroć człowieka, który jakoby cofał się przed dokonaniem antyspołecznych aktów li tylko pod wpływem moralnej presji, ale także z wyraźnej niechęci do Ligi Narodów, przeciw której skierowany był ruch *to outlaw war*. Europa, mniej ufająca w naturalną dobroć natury ludzkiej, za to przywiązana do Ligi Narodów, jako do centralnej instytucji nowego porządku rzeczy, nie mogłaby nigdy zgodzić się na taki program. To też p. Briand, jako europejski mąż stanu, wziął z tego programu tylko nagłówek, natomiast w słowa *to outlaw war* wlał inną treść, zaczerpniętą z tradycyj genewskich. Potępienie i wyrzeczenie się wojny w tym znaczeniu, w jakim pojmował je p. Briand, było koncepcją nie amerykańską, a, jeśli się tak można wyrazić, ligową. Z punktu widzenia nie terminologji, a treści Pakt Paryski wywodził swój rodowód od zapomnianego już Projektu Traktatu o Pomocy Wzajemnej z 1923, w którym po raz pierwszy wojna została ogłoszoną za zbrodnię międzynarodową, oraz od Protokułu Genewskiego i od Paktu Reńskiego. Projekt pierwotny p. Briand'a podobnie jak Pakt Paryski są wykwitem ideologji genewskiej, podczas gdy ruch *to outlaw war* starał się przeciwstawiać tej ideologji, jak to wynika naprzykład z takiego ustępu wspomnianej wyżej rezolucji sen. Borah'a:

> ...Wszelkie przymierza, albo ligi, albo systemy, które opierają się na wojnie, jako na ostatecznej sile, mającej zabezpieczyć pokój, zawierają w sobie zarodki albo własnej destrukcji, albo też militarnej hegemonji, prowadzącej do zupełnego unicestwienia wolności i sprawiedliwości...

V. Jak z samego tekstu Paktu odrazu wynika, wyrzeczenie się wojny obejmuje tylko wzajemne stosunki między kontrahentami, którzy zachowują swobodę działania wobec innych państw. Mogłoby także wydawać się, że skoro tekst mówi tylko o „wojnie", to inne gwałtowne sposoby regulowania sporów międzynarodowych, mianowicie represalja pozostają dozwolone w ramach Paktu Paryskiego. Nie sądzimy jednak, żeby tak było; raczej wydaje

się nam, że Pakt Paryski, podobnie jak Pakt Ligi, potępiając wojnę, zabronił także pośrednio represalij, połączonych z użyciem siły. Art. 2 Paktu pozwala tylko na pokojowe załatwiania sporów międzynarodowych, tymczasem represalje tego rodzaju co bombardowanie wybrzeży, okupacja obcego terytorjum, blokada portów, nie mają bynajmniej charakteru pokojowego. Stosowanie więc tego rodzaju represalij byłoby niezgodnem z Art. 2 Paktu. Ale również Art. 1, choć używający słowa „wojna", a nie „siła" *(force)*, pośrednio wyklucza represalja o charakterze wojskowym. Jak bowiem wiadomo, granica między temi ostatniemi a wojną jest niezmiernie płynną i przekroczenie jej zależy tylko od woli zainteresowanych państw. Jeżeli państwo, przeciw któremu są zwrócone represalja, chce je uważać za akt wojenny i odpowiada na nie wypowiedzeniem wojny, to jakiekolwiek byłyby intencje drugiego zainteresowanego państwa, które może nawet wojny pragnęłoby uniknąć, represalja jednostronne zmieniłyby się w walkę dwustronną, to znaczy wojnę. Uważanie represalij, połączonych z użyciem siły, za dozwolone w ramach Paktu Paryskiego, zmusiłoby do równie absurdalnego, jak niesprawiedliwego twierdzenia, że winnem pogwałcenia Paktu Paryskiego byłoby nie to państwo, które użyło represalij, lecz to, które na nie odpowiedziało czynną obroną, gdyż pierwsze dokonało aktu, dozwolonego przez Pakt, a drugie wywołało wojnę. Tymczasem zdrowy rozsądek kazałby odwrotnie widzieć w użyciu siły, jako odpowiedzi na represalja, tylko akt słusznej obrony, natomiast w represaljach, które uczyniły wojnę nieuchronną, pogwałcenie Art. 1 Paktu.

VI. Dla stwierdzenia, czy wojna wybuchła i czy zatem Pakt Paryski został pogwałcony, trzeba wziąć pod uwagę tak stan faktyczny, jak intencje stron. Natomiast nie miałby żadnego znaczenia fakt, że działania nieprzyjacielskie zostały rozpoczęte bez uprzedniego zastosowania się do Konwencji haskiej z 1907 o wypowiedzeniu wojny. Naprzykład w czasie ostatniego zatargu chińsko-sowieckiego strony nie wypowiedziały sobie wojny, ale walki zbrojne były mimo to w toku i jedna ze stron, Chiny, słusznie uskarżała się na złamanie przez drugą stronę zarówno Art. 2 jak Art. 1 Paktu Paryskiego. Na tle polityki sowieckiej wobec Chin w czasie zatargu o kolej wschodnio-chińską dość zabawnie wygląda następujący ustęp noty Sowieckiego Komisarjatu Spraw

Zagranicznych z 31 sierpnia 1928 o przystąpieniu Związku Sowieckiego do Paktu:

> Ze swej strony Rząd sowiecki uważa, że powinna być zakazana wszelka wojna międzynarodowa tak, jako narzędzie tak zwanej „narodowej polityki", jak również służąca innym celom (naprzykład mająca na celu stłumienie wolnościowych ruchów narodowych i t. d.). Według Rządu sowieckiego, powinny być zakazane nietylko wojny w ściśle prawnem tego słowa znaczeniu (to jest uzależnione od „wypowiedzenia" wojny i t. d.), ale także i takie działania wojenne, jak interwencja, blokada, wojenna okupacja cudzego terytorjum, cudzych portów i t. d. Historja ostatnich lat zna wiele działań wojennych tego rodzaju, które przyniosły ludom wiele nieszczęść. Republiki sowieckie same były przedmiotem tego rodzaju napaści, a w chwili obecnej 400-miljonowy lud chiński cierpi wskutek takich agresyj.

Sowiecki Komisarjat Spraw Zagranicznych nie spodziewał się zapewne, że powyższe słowa będą w rok później tak dokładnie charakteryzowały politykę Z.S.R.R. wobec Chin.

VII. Czy tylko przez działania wojenne można złamać Pakt Paryski, czy też pewne akty mogą być przyrównane do operacyj strategicznych i uważane za pogwałcenie Art. 1 Paktu? To pytanie nasuwa się w związku ze specjalną sytuacją nad Renem, gdzie między terytorjum, na którem może znajdować się wojsko niemieckie, a granicą francuską istnieje zona zdemilitaryzowana. Chodzi o to, czy pogwałcenie statutu zony przez Niemcy byłoby równocześnie pogwałceniem także Art. 1 Paktu Paryskiego, a co zatem idzie, czy Francja i Belgja mogłyby w takiej sytuacji korzystać z prawa koniecznej obrony. W nocie z 20 kwietnia 1928 Rząd francuski, proponując własny tekst Paktu, starał się z góry położyć kres wszelkim wątpliwościom. Mianowicie w Art. 1 tekstu francuskiego znajdujemy przy wyrzeczeniu się wojny takie zastrzeżenie: „nie zamierzając ograniczać wykonywania swego prawa koniecznej obrony w ramach istniejących traktatów, zwłaszcza kiedy te ostatnie przyrównywują pogwałcenie swych niektórych postanowień do aktu nieprzyjacielskiego". To zastrzeżenie odnosi się newątpliwie do Art. 44 Traktatu Wersalskiego, oraz do Art. 2 Paktu Reńskiego. Jednakże w Pakcie Paryskim napróżno byśmy szukali tego rodzaju rezerwy. Czyż stąd możnaby wnosić, że Niemcy mogłyby pogwałcić statut zony zdemilitaryzowanej bez pogwałcenia jednocześnie Paktu Paryskiego? Wy-

daje się nam, że nie, o ile pogwałcenie zony polega na gromadzeniu wojsk niemieckich nad Renem bez żadnej prowokacji ze strony Francji lub Belgji. Jak wynika z korespondencji dyplomatycznej, wymienionej przed zawarciem Paktu Paryskiego, Pakt Reński nie został ani całkowicie, ani częściowo uchylonym przez podpisanie Paktu Paryskiego. Naprzykład p. Stresemann w nocie z 27 kwietnia 1928 powiada wyraźnie, że „poszanowanie zobowiązań, wynikających z Paktu Ligi Narodów i z Paktu Reńskiego, musi, zdaniem Rządu niemieckiego pozostać całkowicie. Ale Rząd niemiecki jest przekonany, że te zobowiązania nie zawierają nic, coby mogło w jakikolwiek sposób być sprzecznem z zobowiązaniami, przewidzianemi w projekcie Paktu Stanów Zjednoczonych". Jeżeli więc Pakt Reński pozostał w mocy to zgodnie z jego Art. 2 trzeba uważać, że zgromadzenie wojsk niemieckich w zonie zdemilitaryzowanej stanowiłoby akt wojenny i dawałoby prawo do obrony zarówno Francji, jak Belgji, a Niemcy nie mogłyby uważać akcji zbrojnej Francji lub Belgji za pogwałcenie Art. 1 Paktu Paryskiego.

VIII. W korespondencji przygotowawczej wojnie jako narzędziu polityki narodowej została przeciwstawiona wojna obronna, która przez Pakt nie została zabronioną. Sekretarz stanu Kellogg w nocie z 23 czerwca 1928 wyraźnie to powiada:

> W amerykańskim projekcie traktatu antywojennego niema niczego, coby ograniczało lub osłabiało w jakikolwiek bądź sposób prawo obrony koniecznej. To prawo jest właściwe każdemu suwerennemu państwu i jest zawarte implicite w każdym traktacie. Każdy naród jest zawsze wolny, niezależnie od postanowień traktatowych, w obronie swego terytorjum przeciw napaści albo inwazji i tylko on jest kompetentny do zdecydowania, czy okoliczności wymagają ucieknięcia się do wojny obronnej.

Powyższe uwagi, najzupełniej słuszne, nie wyjaśniają kwestji, kiedy wojna byłaby obronną, a kiedy stanowiłaby narzędzie polityki narodowej. Jak słusznie zaznacza sam Kellogg, określenie prawa koniecznej obrony napotyka na te same trudności, co określenie agresji, ponieważ „jest to ta sama kwestja, oglądana z przeciwległego punktu widzenia".

Na pytanie, jak rozróżnić wojnę obronną od wojny potępionej przez Pakt Paryski, anglosascy komentorowie, jak Miller, Shotwell, Brievly, szukali odpowiedzi w Art. 2 Paktu, który ma rze-

komo być kamieniem probierczym wojny obronnej. Wedle tych autorów, Art. 2 zawiera pozytywne zobowiązanie się państw-kontrahentów do załatwiania sporów międzynarodowych na drodze pokojowej. Zatem, ich zdaniem, państwo napadnięte, któreby przed wybuchem wojny odmawiało swej zgody na pokojowe uregulowanie zatargu, byłoby winne pogwałcenia Art. 2 i wobec tego pozbawione byłoby korzyści płynących z Paktu Paryskiego. Natomiast państwo, które rozpoczęło wojnę, nie mogłoby być oskarżone o pogwałcenie Art. 1, o ileby starało się pokojowo załatwić zatargi dopiero, zmuszone do tego pasywną postawą swego przeciwnika, chwyciło za broń. W interpretacji anglo-saskiej wojna nie mogłaby być uważana za akt „polityki narodowej", o ile zgodnie z Art. 2, możliwości pokojowego załatwienia sporu zostałyby wyczerpane i pozostała tylko siła, jako *ultima ratio*.

Podobna teza pojawiła się też raz na gruncie francuskim, mianowicie w raporcie p. Pierre Cot, złożonym Izbie Deputowanych w imieniu Komisji Spraw Zagranicznych.

Teza ta, naszem zdaniem, niezgodną jest z tekstem Art. 2, który używa formy negatywnej *(ne devra jamais être recherché que par des moyens pacifiques)*, a co więcej otwiera ona nową furtkę wojnie. Gdyby bowiem sygnatarjusz Paktu Paryskiego mógł oświadczyć w pewnym momencie, że wyczerpał wszelkie możliwości pokojowego załatwienia sporu i wobec tego zmuszony został do chwycenia za broń celem dochodzenia siłą swych praw czy też tylko swych pretensyj, to byłby to bardzo łatwy i wygodny sposób potrakowania Paktu Paryskiego, przy sprzyjających okolicznościach jak świstka papieru. Negatywny tekst Art. 2 nie zobowiązuje państw do z a ł a t w i a n i a w sposób pokojowy wszyskich sporów, lecz tylko do n i e z a ł a t w i a n i a i c h w inny sposób, jak pokojowy, co wcale nie jest tem samem.

Interpretacja rozszerzająca Art. 2 wydaje się tem mniej uzasadnioną, że arykuł ten mówi o w s z y s t k i c h sporach i konfliktach bez względu na ich naturę lub pochodzenie. Trudno przypuścić, żeby państwa, które przysąpiły do Paktu, wzięły na siebe pozytywny obowiązek poddawania wszystkich bez wyjątku spornych kwestyj pod arbitraż, koncyljację lub inną procedurę pokojową. Gdyby tak było, to cały dotychczasowy systemat pokojowego regulowania sporów międzynarodowych zostałby zachwiany w posadach. Jakiż bowiem sens miałyby w świetle tak poję-

tego Art. 2 rezerwy, zawarte w konwencjach koncyljacyjno-arbitrażowych lub w deklaracjach o przystąpieniu czy to do klauzuli fakultatywnej, czy też do Aktu Generalnego Arbitrażu, a przedewszystkiem jaki sens miałby al. 8 Art. 15 Paktu Ligi Narodów, skoro zarezerwowane kwestje, na mocy Art. 2 Paktu Paryskiego, i tak musiałyby być poddane jakiejś międzynarodowej procedurze? Raporty Komisji Koncyljacyjnej, jak również raporty Rady Ligi Narodów stałyby się wiążącemi dla stron, bo, jeżeli jedna z nich, powołując się na ich fakultatywność, nie chciałaby przyjąć konkluzji raportu, to druga strona miałaby prawo uznać to za odmowę pokojowego załatwienia sporu, zpogwałcenie zatem Art. 2 Paktu i przy sprzyjających okolicznościach za *casus belli*. Gdyby Art. 2 miał mieć aż tak rozległe znaczenie, to dziwić się tylko należy, że nie wywołał on żadnych sprzeciwów, zastrzeżeń, ani uwag w czasie negocjacyj wstępnych. Przemilczenie tego artykułu w wymienionych między Mocarstwami notach świadczyłoby raczej o tem, że Mocarstwa uważały go za inaczej sformułowaną replikę Art. 1.

Trudno jednak twierdzić, aby w interpretacji anglosaskiej niebyło nawet ziarnka słuszności. Jeżeli bowiem narody wyrzekają się całkowicie wojny, jako sposobu załatwiania sporów międzynrodowych, to logicznie z tego wynika konieczność pokojowego regulowania spornych kwestyj. To też Pakt Paryski niewątpliwie przyczyni się dorozwoju pokojowych procedur. Już na X Zgromadzeniu dał się odczuć wpływ Paktu, ponieważ kilkanaście państw, na czele z Wielką Brytanją, Dominjami, Italją i Francją przystąpiło do klauzuli fakultatywnej. W przyszłości coraz bardziej i coraz szybciej będziemy zbliżać się do takiej organizacji międzynarodowej, w której każdy spór będzie musiał być poddanym procedurze pokojowej z tem, że procedura ta zakończy się wyrokiem wiążącym dla stron.

Podczas gdy komentatorowie anglosascy szukają wyjaśnienia słów: „narzędzie polityki narodowej" w Art. 2 i dość bezceremonjalnie nadają sens pozytywny negatywnie ujętemu tekstowi, komentator belgijski baron Descamps idzie bardzo daleko w przeciwnym kierunku twierdząc, że prawo do obrony koniecznej może być wykonywane dopiero wówczas, kiedy państwo już zostało zbrojnie zaatakowane. Ale, jeżeli Pakt Paryski został pogwałcony i działania wojenne już się rozpoczęły, to jak stwierdzić, która

ze stron walczących złamała Pakt, a która chwyciła za broń tylko w obronie własnej? Ustalenie faktów, które dały początek wojnie, nie należy do rzeczy łatwych. Rówież bardzo trudnem jest stwierdzenie tego, jakie są istotne intencje walczących stron. Nawiasem zauważymy, że z punktu widzenia Paku Paryskiego niema żadnego znaczenia kto m a r a c j ę w sporze, który dał początek wojnie, ale chodzi tylko o stwierdzenie tego, która strona p r a g n i e z a t a r g s i ł ą r o z s t r z y g n ą ć.

Pakt Paryski nie dostarcza żadnego objektywnego kryterjum, któreby służyło za kamień probierczy inencji stron wojujących. W ramach Paktu trzebaby zadowolić się w każdym wypadku wojny zmudną i wątpliwej wartości analizą stanu faktycznego i intencyj państw wojujących. Ale zagadnienie upraszcza się, jeżeli chodzi o członków Ligi Narodów, którzy Pakt Paryski mogą uzupełnić innemi elementami pomocniczemi. Liga Narodów od pewnego czasu powraca do idei rozejmu, która stanowiła jedną z głównych części składowych Protokółu Genewskiego. Mianowicie X Zgromadzenie poleciło Komitetowi Arbitrażu i Bezpieczeństwa opracowanie projektu traktatu powszechnego o środkach zapobiegawczych przeciw wojnie. W traktacie takim ma figurować artykuł, upoważniający Radę Ligi do zaproponowania dwum walczącym ze sobą członkom Ligi zawarcia rozejmu. Oczywiście państwo, któreby odmówiło przyjęcia rozejmu lub, przyjąwszy go, złamało, mogłoby być uważane z zupełną niemal pewnością za napastnika w sensie Art. 1 Paktu Paryskiego. Z chwilą kiedy traktat o środkach zapobiegawczych przeciw wojnie wejdzie w życie, rozróżnienie między wojną obronną a wojną, jako narzędziem polityki narodowej, przestanie nasuwać tyle trudności, co dzisiaj.

IX. Wyobraźmy sobie, że jednak w ten czy inny sposób udało się stwierdzić, która ze stron wojujących złamała Pakt. Jakie są wówczas obowiązki innych kontrahentów? We wstępie do Paktu Paryskiego znajdujemy takie zlanie: „Jakiekolwiek z Mocarstw podpisujących, któreby odtąd starało się zabezpieczyć rozwój swych interesów narodowych przez uciekanie się do wojny, powinno być pozbawione korzyści, wynikających z niniejszego traktatu“. W pierwotnym tekście projektu amerykańskiego nie było powyższego zdania. Natomiast w kontrprojekcie francuskim z 20 kwietnia 1928 postanowienie tego rodzaju było zawarte w Art. 3. Zresztą Rząd amerykański nigdy nie zaprzeczał słuszności samej

zasady, lecz uważał, że umieszczanie o niej wzmianki w Traktacie byłoby zbytecznem. Jednakże wobec nalegań Rządu francuskiego zasadę tę umieszczono we wstępie, co w niczem nie umniejsza jej znaczenia, mimo że zwykle wstęp nie stanowi obowiązującej części umowy.

Jeżeli zatem Pakt Paryski zostanie złamany, to inni, niż strony walczące, kontrahenci zostają *ipso facto* zwolnieni z obowiązków, wynikających z Paktu, w stosunku do tego państwa, które pogwałciło Pakt; natomiast nadal związani pozostają zakazem wojen wobec państwa napadniętego. Wolno im zatem albo zachować neutralność, albo wypowiedzieć wojnę państwu-napastnikowi. *Tertium non datur,* a więc nie mogliby wypowiedzieć wojny państwu napadniętemu.

Mimo zatem zawarcia Paktu Paryskiego, państwa, związane umowami o wzajemnej pomocy w rodzaju Paktu Ligi Narodów, Paktu Reńskiego, przymierzy obronnych, jak naprzykład Układ polsko-francuski lub Konwencja polsko-rumuńska, mogą wypowiedzieć wojnę państwu-napastnikowi celem przyjścia z pomocą państwu napadniętemu. Pakt Paryski nie uchylił zobowiązań międzynarodowych o wzajemnej pomocy, co wynika zresztą nietylko ze wstępu Paktu, ale również z wyraźnych wzmianek o zobowiązaniach tego rodzaju w korespondencji przygotowawczej, w szczególności zaś w nocie amerykańskiej z 23 czerwca 1928.

X. Wyżej zacytowane zdanie wstępu do Paktu Paryskiego ma duże znaczenie zwłaszcza z punktu widzenia wzajemnych stosunków członków Ligi i państw, do niej nie należących. Do chwili wejścia w życie Paktu Paryskiego te ostatnie miały zupełną swobodę działania, o ile oczywiście nie były skrępowane umowami dwusronnemi lub regjonalnemi w rodzaju rosyjsko-niemieckiego Paktu o nieagresji lub Waszyngtońskiego Układu o Pacyfiku, i mogły przyjść ze zbrojną pomocą państwu, uważanemu przez członków Ligi za napastnika. Obecnie hipoteza tego rodzaju przestaje być prawdopodobną. Napastnikowi nie może, bez pogwałcenia zobowiązań międzynarodowych, pomagać ani członek Ligi, ani żadne inne państwo, które przystąpiło do Paktu Paryskiego.

Każde państwo pozostaje jednak i nadal swobodnem w ocenie sytuacji faktycznej i intencji stron wojujących, oraz w wydaniu sądu o tem, która ze stron wojujących winna jest pogwałcenia Paktu Paryskiego. Pod tym względem członkowie Ligi mają nie-

mal taką samą swobodę, jak państwa, nienależące do Ligi, ponieważ, jak wiadomo, opinja Rady Ligi wydana na mocy Art. 16 Paktu Ligi, ma znaczenie tylko nieobowiązującej, choć posiadającej wysokie znaczenie polityczne rady i wskazówki.

XI. Państwo, nienależące do Ligi Narodów, może, lecz bynajmniej nie musi przyjść z pomocą państwu napadniętemu. Jeżeli tego nie uczyni, to pozostanie neutralnem. Ale wówczas, na tle tej neutralności, mogłyby wybuchnąć konflikty między Ligą Narodów, obowiązaną przez Art. 16 swego Paktu do stosowania sankcyj, przedewszystkiem zaś do ogłoszenia blokady przeciw napastnikowi, a państwami, nienależącemi do Ligi, które mogłyby powoływać się na swe prawo państw neutralnych do podtrzymywania swobodnego obrotu gospodarczego z obu stronami wojującemi. Państwa, nienależące do Ligi, małyby za sobą przedwojenne prawo międzynarodowe, które przyznaje państwom neutralnym prawo do utrzymywania stosunków gospodarczych z obu stronami wojującemi z tem, że te ostatnie na pełnem morzu mają prawo do wykonywania pewnej kontroli nad handlem państw neutralnych (blokada, kontrabanda, usługi nieprzyjazne). Pakt Paryski przez to samo, że zezwala na zachowanie neutralności, nie pozbawia sygnatarjuszy praw do utrzymywania stosunków gospodarczych z państwem, które pogwałciłoby zakaz wojen.

Tymczasem Liga Narodów ma obowiązek zastosowania sankcji, przedewszystkiem zaś odcięcia państwa-napastnika od reszty świata przez ogłoszenie blokady. Teza Ligi Narodów — blokady zupełnej — stoi w oczywistej sprzeczności z tezą państw, nie członków, — swobody pełnego morza. Pakt Paryski prawnie nic nie zmienił w tej syuacji, wytworzonej przez Pakt Ligi Narodów. Teoretyczna możliwość konfliktów pozostała w całej pełni, co byłoby szczególnie niepokojące ze względu na Stany Zjednoczone, które mogłyby dzięki swej potędze ekonomicznej, finansowej i morskiej stawić czoło Lidze Narodów.

Jeżeli jednak spojrzymy na to zagadnienie nie z prawnego a z politycznego punktu widzenia, to prawdopodobieństwo konfliktów między Ligą Narodów a Stanami Zjednoczonemi wyda nam się zupełnie nikła. Czyż bowiem można przypuścić, żeby Stany Zjednoczone, które dzielą z Francją zaszczyt zaprojektowania powszechnego traktatu o potępieniu wojny, mogły bez narażenia się na zarzut zupełnej niemoralności politycznej podtrzymywać sto-

sunki gospodarcze z państwem-napastnikiem i ułatwiać mu w ten sposób walkę z Ligą Narodów? Zamiast odpowiedzi przytoczymy następujące oświadczenie sen. Borah'a, złożone w wywiadzie z *New York Times* 25 marca 1928:

> Innym ważnym rezultatem tego rodzaju traktatu byłoby zapewnienie pomocy Stanów Zjednoczonych dla wspólnej akcji przeciw każdemu narodowi, któryby był winien oczywistego pogwałcenia tego układu o wyjęciu wojny z pod prawa. Naturalnie Rząd Stanów Zjednoczonych musi zarezerwować sobie prawo zdecydowania kwestji, po pierwsze czy traktat został pogwałcony, a następnie jakie środki przymusu uważałby, że powinien przedsięwziąć. Ale zupełnie jest nie do pomyślenia, żeby nasz kraj nic nie uczynił w wypadku poważnego pogwałcenia wielostronnego traktatu, którego jest jedną ze stron.

Zagadnienie stosunku państw neutralnych do państw wojujących, które w skali światowej sprowadza się do zagadnienia swobody mórz, stało się niezmiarnie aktualnem po zawarciu Paktu Paryskiego, jakkolwiek dla państw morskich, przedewszystkiem zaś dla Wielkiej Brytanji i Stanów Zjednoczonych, zagadnienie to było już i przedtem ze wszech miar interesującem z powodu zakwestjonowania przedwojennego prawa morskiego przez praktykę zarówno Aljantów, jak Mocarstw Centralnych w czasie Wielkiej Wojny, oraz z powodu skomplikowania tego zagadnienia przez Pakt Ligi Narodów.

Opinja amerykańska wyciągnęła z doświadczenia wojennego taką konkluzję, że przedwojenne prawo morskie, którego autorytet został w latach 1914—1918 poważnie nadwyrężony, powinno zostać zrewidowane i skodyfikowane, przytem rewizja powinna by mieć na celu rozszerzenie praw państw neutralnych ze szkodą oczywiście dla praw państw wojujących. Takie stanowisko Ameryki, odpowiadające zresztą więcej, niż stuletniej tradycji Stanów Zjednoczonych, godziło pośrednio w Art. 16 Paktu Ligi Narodów i nie dałoby się pogodzić z obowiązkami członków. Wśród tych ostatnich najbardziej zainteresowanem w zagadnieniu swobody mórz było i jest Imperjum Brytyjskie, którego flota miałaby ewentualnie czuwać nad poszanowaniem przez wszystkie państwa blokady, ogłoszonej przez Ligę. Imperjum Brytyjskie, jako pierwsze Mocarstwo morskie świata, posiada tradycje wręcz odwrotne od amerykańskich i zawsze zajmowało stanowisko nieprzychylne wo-

bec zasady swobody mórz, utrudniającej blokadę przeciwnika. Przynależność do Ligi i związanie się Art. 16 Paktu mogło tylko wzmocnić tradycyjne stanowisko Imperjum Brytyjskiego, które w danym wypadku, broniąc praw państwa wojującego do wykonywania kontroli nad transportami morskiemi państw neutralnych, broniło także zasad Paktu Ligi. Do czasu zawarcia Paktu Paryskiego, nie było żadnej wspólnej podstawy do dyskusyj anglo-amerykańskich na temat swobody mórz. Zawarcie Paktu pozwoli zbliżyć do siebie stanowisko amerykańskie i stanowisko angielskie, ponieważ Ameryka nie może bronić z taką siłą, jak dotąd prawa państw neutralnych do swobodnego handlu z obu stronami wojującemi.

W chwili obecnej znaczna część opinji publicznej angielskiej, uznając konieczność zrewidowania dotychczasowego prawa wojennego morskiego, chciałaby układ międzynarodowy w tej dziedzinie oprzeć na Pakcie Paryskim i Pakcie Ligi Narodów. Układ tego rodzaju opierałby się na rozróżnieniu dwuch rodzajów wojen: 1) wojen prywatnych, które wybuchłyby bez pogwałcenia żadnego z dwuch Paktów, i które byłyby możliwe tylko między państwami, nie związanemi między sobą zakazem wojen, oraz 2) wojen międzynarodowych, to znaczy akcyj kolektywnych społeczności międzynarodowej, skierowanych przeciw państwu, które rozpoczęło wojnę z pogwałceniem jednego z dwuch Paktów. W razie wojny prywatnej, która wydaje się być zupełnie nieprawdopodobną wobec niemal powszechnego przystąpienia państw cywilizowanych do Paktu Paryskiego, państwom neutralnym byłaby zagwarantowana zupełna swoboda komunikacyj morskich. Natomiast w razie akcji kolektywnej, skierownej przeciw państwu, które chwyciło za broń z pogwałceniem Paktu Paryskiego lub Paktu Ligi Narodów, zasada swobody mórz musiałaby ustąpić miejsca zasadzie powszechnej blokady; w tym wypadku nawet państwa neutralne to jest nie biorące czynego udziału w akcji represyjnej musiałyby zgodzić się w interesie całej społeczności międzynarodowej na zerwanie stosunków gospodarczych z państwami blokowanemi.

Powyższe stanowisko w sprawie swobody mórz nietylko znalazło poparcie znacznej części opinji publicznej angielskiej, nietylko zdaje się odpowiadać zapatrywaniom obecnego Rządu Brytyjskiego, ale co więcej stanowi jedyną formułę uzgodnienia praw

państw, nienależących do Ligi, z obowiązkami członków Ligi Narodów, któraby nie naruszyła zasad Paktu Ligi, w szczególności zasad Art. 16. Takie rozwiązanie zagadnienia swobody mórz było już proponowane światu dwanaście lat temu przez Prezydenta Wilsona, który domagał się uznania w drugim z 14 punktów następującej zasady: „Zupełna swoboda żeglugi na morzu, poza wodami terytorjalnemi, tak w czasie pokoju, jak w czasie wojny, z wyjątkiem, kiedy morze mogłoby być zamknięte całkowicie lub częściowo przez akcję międzynarodową, zmierzającą do zabezpieczenia paktów międzynarodowych". Jak zauważa nie bez ironji Shotwell: „jest to zadziwiający zwrot w historji, że Anglicy, którzy w Paryżu sprzeciwiali się tej doktrynie, obecnie przyjęli ją jako swoją własną".

Ale teraz z kolei zjawia się pytanie, czy Stany Zjednoczone będą gotowe wrócić do formuły Prezydenta Wilsona? Dopóki opinja publiczna amerykańska nie oswoi się zupełnie z faktem podpisania Paktu Paryskiego przez Rząd Stanów Zjednoczonych, i nie wyciągnie z tego faktu logicznych wniosków, dotąd będzie zachodzić obawa, że Stany Zjednoczone będą skłonne w imię obrony praw państw neutralnych odrzucić tę formułę tak, jak w 1919 odrzuciła ją Wielka Brytanja w imię praw państw wojujących. Nawiasem wtrącimy, że kwestja swobody mórz ma także ścisły związek z problemem redukcji zbrojeń morskich i mogłaby być omawianą nietylko na gruncie Paktu Paryskiego, ale również w łączności z tamtym problemem.

XII. Co nowego wniósł Pakt Paryski w stosunkach między członkami Ligi Narodów? Jak wyżej zaznaczyliśmy, Pakt Ligi nie został ani uchylony ani nawet osłabiony z powodu zawarcia Paktu Paryskiego. Jednakże *ipso facto* sens niektórych artykułów Paktu Ligi uległ zmianie. Jak bowiem wiadomo, Art. 12, 13 i 15 Paktu Ligi zezwalały na wojnę w pewnych, ściśle określonych wypadkach. Ale z chwilą powszechnego przystąpienia członków Ligi do Paktu Paryskiego, ci ostatni nie mogą już korzystać z zawartego w tych artykułach, ograniczonego prawa do wypowiedzenia wojny. Prawo do wojny, tak zwanej legalnej, jakkolwiek jeszcze nie zostało wykreślone z Paktu Ligi, stało już się bezprzedmiotowem, ponieważ nie może być wykonywane pod groźbą pogwałcenia Paktu Paryskiego.

Zmiana Art. 12, 13 i 15 celem dostosowania ich do Paktu Pa-

ryskiego nie miałaby wielkiego znaczenia praktycznego, gdyby chodziło tylko o usunięcie przestarzałego podziału wojen na legalne i nielegalne. Ale w grę wchodzi ważniejszy problem, mianowicie problem Art. 16. Dopóki Artykuły 12, 13 i 15 pozostaną bez zmiany, dotąd Art. 16, który się na nie powołuje, będzie się stosował tylko do wojen, zakazanych przez Pakt Ligi, natomiast nie będzie dotyczył innych wojen, jakkolwiek członkowie Ligi zobowiązali się do nieprowadzenia żadnej wojny wogóle. Sytuacja zupełnie nienormalna: z jednej strony Pakt Paryski zakazuje wszelkich wojen i każdą wojnę uważa za zbrodnię międzynarodową, z drugiej zaś strony obowiązek członków Ligi do wzięcia udziału w akcji kolektywnej przeciw napastnikowi pozostaje ograniczony do tak zwanych wojen nielegalnych. Chcąc położyć kres tej sytuacji, trzeba byłoby zmienić tekst Art. 12, 13 i 15 Paktu Ligi, usuwając z nich przepisy o wojnie legalnej.

Liga Narodów bardzo szybko zwróciła uwagę na potrzebę uzgodnienia Paktu Ligi z Paktem Paryskim. Już na IX Zgromadzeniu delegacja litewska wystąpiła z odpowiednią propozycją, której jednak nie poddano pod dyskusję, ponieważ w tym czasie (wrzesień 1928) Pakt był zaledwie podpisany i jeszcze nie został ratyfikowany. Ale między IX a X Zgromadzeniem Pakt Paryski wszedł w życie i sprawa, poruszona przez Litwę, stała się naprawdę aktualną. Na X Zgromadzeniu delegacja brytyjska wystąpiła już z gotowym projektem poprawek do Art. 12, 13 i 15 Paktu.

Usunięcie z Paktu Ligi podziału wojen na legalne i nielegalne wymaga uprzedniego przekształcenia obecnej procedury pojednawczej Rady Ligi Narodów. Wedle dzisiejszego brzmienia Art. 15, różnica w skutkach prawnych między raportem jednomyślnym a raportem większościowym Rady polega na tem, że raport jednomyślny ogranicza do pewnego stopnia swobodę stron, podczas gdy raport większościowy nie obejmuje im nawet prawa do rozstrzygnięcia sporu w drodze orężnej. Przez zawarcie Paktu Paryskiego, członkowie Ligi zrzekli się prawa do wypowiedzenia sobie wojny w razie, jeżeli Rada nie zdołałaby uchwalić swego raportu jednomyślnego. Zatem różnica w skutkach prawnych między raportem jednomyślnym a raportem większościowym znikła, a przez to samo została podważona sama zasada jednomyślności, która jednak wydaje się należeć do fundamentalnych

zasad Paktu Ligi. Wyjścia z obecnej sytuacji możnaby szukać w podniesieniu znaczenia prawnego raportów jednomyślnych celem stworzenia nowej różnicy między niemi a raportami większościowemi. W tym kierunku poszła delegacja brytyjska.

XIII. Dotąd pozostawiliśmy na uboczu rezerwę, która swego czasu tyle wywołała polemik, minowicie rezerwę brytyjską co do pewnych okolic świata, których dobrobyt i nienaruszalność związane są, zdaniem Rządu brytyjskiego, z pokojem i bezpieczeństwem Imperjum Brytyjskiego.

W nocie z 19 maja 1928 Sekretarz Stanu Chamberlain sformułował to zastrzeżenie w sposób następujący:

> ...istnieją pewne okolice świata, których dobrobyt i nienaruszalność przedstawiają specjalny i żywotny interes dla naszego pokoju i bezpieczeństwa. Rząd Jego Królewskiej Mości starał się w przeszłości wyjaśnić, że interwencja w tych okolicach nie mogłaby być tolerowaną. Opieka nad niemi przed atakiem stanowi dla Imperjum Brytyjskiego kwestję obrony własnej. Trzeba, żeby było jasno zrozumianem, że Rząd Jego Królewskiej Mości w Wielkiej Brytanji przyjmuje ten nowy traktat pod wyraźnym warunkiem, że nie ogranicza on jego swobody działania pod tym względem...

Dalej p. Chamberlain porównywa swe zastrzeżenie z amerykańską Doktryną Monroe, co pozowoliło nazwać to zastrzeżenie — brytyjską Doktryną Monroe. W czasie korespondencji przygotowawczej żaden Rząd nie podjął dyskusji na temat zastrzeżenia brytyjskiego, które nie spotkało się nawet z odpowiedzią ze strony Stanów Zjednoczonych, podczas gdy Rząd amerykański tyle uwagi poświęcił w swych notach zastrzeżeniom francuskim. Mimo to Sekretarz Stanu Chamberlain powtórzył swą rezerwę w nocie z 18 lipca 1928, zastrzegając dla Rządu brytyjskiego swobodę działania w tych okolicach świata, których losy dotyczą bezpieczeństwa Imperjum. Warto też zaznaczyć, że Rząd sowiecki, przystępując do Paktu Paryskiego, oświadczył że nie uznaje rezerwy brytyjskiej, jak wogóle żadnych innych zastrzeżeń poczynionych w czasie korespondencji przygotowawczej.

Rezerwa brytyjska została sformułowana bardzo niejasno i to jest główny zarzut, jaki jej możnaby postawić. Przedewszystkiem w przeciwstawieniu do Doktryny Monroe rezerwa ta nie ma żadnych granic geograficznych, lecz odnosi się do każdej okolicy świata, gdzie wielka Brytanja uważa się za specjalnie zainteresow-

waną. Powtóre użycie raz słowa: „interwencja“, drugi raz słowa „napaść“, nie pozwala stwierdzić, jaki akt byłby uważany przez Wielką Brytanję za prowokację, upoważniającą ją do akcji zbrojnej. Jeżelibyśmy interpretowali zastrzeżenie brytyjskie w ramach tekstu Paktu Paryskiego, a inna wykładnia wydaje się nam niemożliwa bez podania w wątpliwość wartości tego Paktu, to doszlibyśmy do wniosku, że „napaść“, którąby zdarzyła się czy to w okolicy świata, gdzie Wielka Brytanja ma specjalne i żywotne zainteresowania, czy gdziekolwiek indziej, dałaby zawsze prawo Wielkiej Brytanji do wystąpienia zbrojnego w obronie państwa napadniętego. Jak bowiem mówi wstęp do Paktu, państwo któreby pogwałciło Pakt, traci prawa z Paktu wynikające, a inni sygnatarjusze odzyskują wobec niego swobodę działania. Jeżeli jednak chodziłoby nie o agresję, a o „interwencję“ o charakterze pokojowym, to zbrojna akcja Wielkiej Brytanji tylko wówczas byłaby aktem obrony, a nie pogwałceniem Paktu, o ile taka interwencja obcego państwa zdarzyłaby się w tych okolicach świata, w których specjalne prawa Imperjum Brytyjskiego zostały powszechnie uznane (naprzykład w Egipcie). Natomiast rezerwa brytyjska nie może zamykać pod groźbą wojny dla ekspansji pokojowej innych państw takich okolic świata, gdzie Imperjum Brytyjskie żadnych specjalnych praw nie posiada, chociażby nawet te okolice miały bardzo duże znaczenie dla bezpieczeństwa Imperjum. Usuwanie obcych wpływów siłą orężną byłoby nie aktem słusznej obrony, lecz aktem polityki narodowej, a więc pogwałceniem Paktu.

Komentatorzy Paktu gubią się w domysłach, chcąc określić zakres geograficzny brytyjskiej Doktryny Monroe'go. Naprzykład Showell opierając się na porównaniu tekstu zastrzeżeń p. Chamberlain'a z tekstem deklaracji brytyjskiej z 15 maja 1922 o specjalnych prawach Imperjum Brytyjskiego w Królestwie Egipskiem, twierdzi, że Sir Austen Chamberlain miał na myśli wyłącznie Egipt; natomiast D. H. Miller sądzi, że prócz Egiptu, chodziło także Rządowi Brytyjskiemu o Kanał Sueski i Zatokę Perską. Inni autorzy dodają jeszcze Afganistan, chińskie koncesje i t. d. Rozszerzenie geograficznego zakresu rezerwy byłoby bardzo łatwe wobec tego, że Imperjum Brytyjskie zainteresowane jest w sytuacji polityczno-gospodarczej niemal każdej okolicy świata.

W toku negocjacyj dyplomatycznych Rząd amerykański ani

razu nie wspomniał o Doktrynie Monroe, co byłoby zresztą zbyteczne, ponieważ zastrzeżenie, dotyczące tej Doktryny, figuruje *implicite* w każdej umowie międzynarodowej, zawieranej przez Stany Zjednoczone, a sama Doktryna została powszechnie uznaną przez umieszczenie o niej wzmianki w Pakcie Ligi Narodów (Art. 21). Zresztą w czasie dyskusji w Senacie amerykańskim wyraźnie zostało zaznaczone, że Pakt Paryski nie uchylił Doktryny, która nadal obowiązuje w całej rozciągłości.

Stwierdzenie tego, jaki akt międzynarodowy niezgodny byłby z Doktryną Monroe, zwłaszcza we wzajemnych stosunkach państw amerykańskich, nie należy do rzeczy łatwych, ponieważ Doktryna nie posiada ustalonej treści, i różnie bywa interpretowana zależnie od t.go, kto i kiedy ją interpretuje. Wobec płynności Doktryny trudno przewidzieć, jaki wpływ będzie miał Pakt Paryski na stosunki między Stanami Zjednoczonemi a innemi republikami amerykańskiemi. Jednakże rodzi się wątpliwość, czy interwencje zbrojne Stanów Zjednoczonych na terytorjum innych państw amerykańskich, niezgodne z południowo-amerykańską wykładnią Doktryny Monroe, dadzą się pogodzić z Art. 1, a także i z Art. 2 Paktu Paryskiego.

Kończąc te uwagi o Pakcie Paryskim, trzeba podkreślić wieczysty charakter Paktu, który został zawarty bez ograniczenia w czasie i bez możności wypowiedzenia go. Potępienie wojny, jako narzędzia polityki narodowej, miało, wedle intencji państw-kontrahentów, stać się wieczystym fundamentem dalszego rozwoju społeczności międzynarodowej.

JÓZEF FELDMAN.

# BISMARCK A SPRAWA POLSKA[1]).

Bismarck należy do niewielu postaci w sferze czynnej polityki, których moc oddziaływania nie zakończyła się wraz z życiem. Sformułowane przezeń wskazania, tradycja jego poczynań z poza grobu kształtują potężnie świadomość zbiorową, a przez to wpływają na bieg dziejów. Zjawisko to rzuca się w oczy przedewszystkiem na odcinku tych zagadnień, który nie stanowił może widowni najświetniejszych sukcesów Żelaznego Kanclerza, ale w który włożył on wiele namiętności, wiele planowego wysiłku: na odcinku zagadnień polsko-niemieckich. Dla obu zmagających się narodów

---

[1]) Szkicowy charakter niniejszej rozprawy nie pozwala na szczegółową dokumentację ani bliższe omówienie materjału archiwalnego i drukowanego, na którym się ona opiera. Zaznaczę pokrótce, że doba powojenna przyniosła przewrót w badaniach nad epoką bismarckowską. Otwarcie archiwów państwowych, ogłoszenie drukiem szeregu nieznanych źródeł pozwalają na zmodyfikowanie wielu ustalonych wyników, względnie na pełniejsze rozwinięcie zarysowujących się uprzednio zapatrywań. Odnosi się to również do mało naogół zbadanej kwestji stosunku Bismarcka do sprawy polskiej. Obok zbiorów korespondencji dyplomatycznej: Raschdau, *Fürst Bismarcks politische Berichte aus Petersburg und Paris.* (1920, 2 t.); *Die grosse Politik der europäischen Kabinette* (t. I w 1922); Schweinitz, *Briefwechsel* (1928) pierwszorzędne znaczenie posiadają zapiski pamiętnikarskie: Lucius, *Bismarck-Erinnerungen* (1920); Waldersee, *Denkwürdigkeiten* (1922, 3 t.); Schweinitz, *Denkwürdigkeiten* (1927, 2 t.). Z przyczynków konstrukcyjnych wymienić należy: Lord, *Bismarck and Russia in 1863. The Americ. Hist. Review* 1923 (ob. moje omówienie w *Kwart. Hist.* 1929) oraz Behrendt, *Die poln. Frage u. das oesterr. deutsche Bündnis 1885 bis 1877* (1927). Częściowe rezultaty moich badań zawarłem w rozprawie: *Bismarck a Komisja Osadnicza* (1928). Niektóre wypowiedziane poniżej zapatrywania rozwinąłem i uzasadniłem dokładniej w pracach: *Mocarstwa wobec powstania styczniowego* (1929) i *Sprawa polska w 1848 roku* (w druku, obszerne streszczenie w *Bullet. de l'Acad. Polon. des Scien. et des Lettres,* 1928).

stał się on programem, poniekąd symbolem. Polskość widzi w nim uosobienie wszystkich ciemnych mocy, sprzysiężonych na jej zgubę. W oczach Niemców reprezentuje najdoskonalsze wcielenie twardej, nieubłaganej racji stanu w stosunku do kresów wschodnich. Wojująca hakata jeszcze za życia Bismarcka uczyniła z jego nazwiska sztandar bojowy, po śmierci zaś powoływała się na nie dla usprawiedliwienia wszystkich mniej lub więcej obmyślanych i fortunnych posunięć. Imię to stanowiło również decydujący argument w kwestjach polityki zagranicznej. Gdy w czasie wojny światowej stanął przed Niemcami problem wskrzeszenia państwowości polskiej, obóz nacjonalistyczny z Bülowem i Tirpitzem na czele dla zażegnania niebezpieczeństwa przywoływał tradycje Żelaznego Kanclerza. Pokolenie historyków i publicystów powojennych, szukając przyczyny aktu 5 listopada, upatruje ją w odchyleniu się od zasadniczych wskazań założyciela Rzeszy. Umysłowość polityczna dzisiejszych Niemiec stoi pod znakiem odradzającego się powszechnie bismarckizmu. Poruszając ten problem na łamach czasopisma, poświęconego aktualnym zagadnieniom politycznym, czynią to w głębokiem przeświadczeniu, że wiąże się on z niemi najściślej, należyte zaś jego rozpatrzenie, poza stroną czysto historyczną, rzuci jasny snop światła na genezę zjawisk, dotyczących dzisiejszej sytuacji międzynarodowej Państwa Polskiego.

Dla uniknięcia nieporozumień i fałszywej interpretacji, o które tem łatwiej, im bardziej omawiana kwestja nosi piętno aktualności, im mocniej oddziałuje na wyobraźnię i uczucie, na wstępie sprecyzuję mój pogląd na stosunek Bismarcka do sprawy polskiej. Uważam, że *vox populi,* upatrujący w Żelaznym Kanclerzu żywe wcielenie antagonizmu polsko-pruskiego, instynktownie wyczuł istotę rzeczy. Bismarck był wielkim i niebezpiecznym wrogiem polskości. Był nim zarówno z tradycyj, instynktów, uczuć, jak przedewszystkiem z chłodnego wyrozumowania i gruntownie odważonych motywów politycznych. W ciągu swojej półwiekowej działalności zadał sprawie polskiej ciężkie ciosy, zarówno w wewnętrznej polityce pruskiej jak na szerokiej widowni europejskiej. Gdyby nie wielki przewrót, sprowadzony przez wojnę światową, może potomność mówiłaby o Bismarcku jako o tym, który najcięższym głazem przywalił trumnę naszego bytu porozbiorowego. Stwierdzając to z całą dobitnością, należy się jednak równocześnie zastrzec przed takiem ujmowaniem stosunku Bis-

marcka do sprawy polskiej, jakie występuje u nas dość powszechnie, a jakie nieodpowiada istocie rzeczy. Przedstawianie Bismarcka jako przeniesionego w głąb XIX wieku Gerona, który z lubością pławił się w krwi słowiańskiej, jako ślepą w swojej żywiołowości siłę niszczycielską, jako człowieka, który z wrodzonej poniekąd konieczności ciężką pięścią krzyżacką niweczył istnienie polskie gdziekolwiek je napotkał — jest zbyt radykalnem uproszczeniem skomplikowanego zagadnienia. Podobne stawianie kwestji niczego nie tłumaczy, bo człowiek, który miał być rzekomo samą tylko negacją, ślepą nienawiścią, mieczem, godzącym w polskość, nie mógł równocześnie odegrać roli budowniczego i twórcy w historji. Podobne stawianie kwestji sprzecznem jest z najgłębszą istotą Bismarcka, który działalnością swoją dowiódł, że był przedewszystkiem realnym politykiem, mistrzem oportunizmu, że dla chwilowej korzyści Prus potrafił paktować z rewolucją i socjalizmem, oktrojować demokratyczne prawo wyborcze i wyciągać dłoń w kierunku Watykanu. Podobne tłumaczenie przedstawia wartość wybitnie ujemną pod względem wychowawczym, pogłębia bowiem zakorzenioną u nas aż nadto skłonność ujmowania wielkich zagadnień politycznych kategorjami uczucia, nie zaś chłodnego, na wszechstronnem zbadaniu rzeczy ugruntowanego rozumowania. Dodać wreszcie należy, że na dnie przedstawionej powyżej koncepcji, bez względu na to, czy występuje ona na łamach pisma codziennego, czy pod poważną firmą naukową, spoczywa niemal zawsze mniej lub więcej gruntowna nieznajomość rzeczy, obok tego zaś — mniej lub więcej wyraźna demagogja, usiłująca przekuć wielki i poważny problem antagonizmu polsko-niemieckiego w zdawkową monetę codziennej propagandy. W niniejszym szkicu zamierzam pójść odmienną drogą: nie umniejszając w niczem wpływu, jaki wywarła złowroga indywidualność Bismarcka na losy narodu polskiego, potraktuję go na odpowiedniejszej z historyczno-politycznego punktu widzenia platformie męża stanu, ministra pruskiego a później sternika Rzeszy Niemieckiej, który stykał się ze sprawą polską nie jako z metafizycznym problemem zmagania się dwóch duchów, ale z konkretnem zagadnieniem i upatrywał w niem określone niebezpieczeństwo dla swojego państwa. Okaże się, że pobudki i przejawy polityki polskiej Bismarcka wypływały zawsze z jasno określonych interesów państwowych Prus, z wyższej zaś perspektywy stano-

wiły naturalny wytwór wiekowych procesów i stałych czynników dziejowych.

Kto chce zrozumieć całokształt działalności Bismarcka w sprawie polskiej, musi wyszukać jej punkt środkowy, wykryć to podstawowe założenie, na którem gruntował się gmach jego poglądów. Założeniem tem było nie opuszczające Bismarcka ani na chwilę przeświadczenie, że niepodległa Polska musi stać się śmiertelnym wrogiem Prus, albowiem z konieczności dążyć będzie do wydarcia im ziem, bez których nie mogą one istnieć: ujścia Wisły, Poznańskiego, Górnego Śląska. Teza prosta, niemal prymitywna, podobnie jak prostemi są warunki geopolityczne, na których podłożu wyrósł nowoczesny antagonizm polsko-pruski. Przyczyna jego tkwi w anormalnym rozwoju państwa Hohenzollernów, które, pozbawione właściwych podstaw geograficznych, pozbawione „granic naturalnych", kształtowało się z luźnych, żadnem organicznem spoidłem niezwiązanych obszarów terytorjalnych. Konsolidacja ich stała się możliwą dzięki wielkim przeobrażeniom w układzie sił europejskich, przedewszystkiem dzięki rozbiorom Polski. Przez nie uzyskały Prusy pomost pomiędzy Berlinem a Królewcem oraz jakie-takie wypełnienie próżni, otwierającej się pomiędzy wysuniętemi na wschód południowym i północnym cyplem monarchji. Ziemie te, zwłaszcza dolny bieg Wisły, stanowiły równocześnie nieodzowny składnik państwa polskiego, w jakiejkolwiek ono miało zmartwychwstać postaci. Ten splot warunków przeniknął Bismarck od pierwszych chwil swojej działalności. Pierwszy raz formułuje tezę o niebezpieczeństwie, wynikającem dla Prus z wskrzeszenia państwowości polskiej w dobie wojny krymskiej (1854), kiedy „partja gotajska" i niektóre czynniki pruskie podnosiły myśl zużytkowania siły polskiej przeciw caratowi. Świadomość ta pogłębiła się u Bismarcka w czasie posłowania nad Newą. Widział jasno, że kierunek Gorczakowa i Wielopolskiego przetworzy z czasem Kongresówkę w zawiązek odradzającej się państwowości polskiej, która naturalnym biegiem rzeczy sięgnie po dawne granice na zachodzie. Odczucie niebezpieczeństwa polskiego osiągnęło wówczas u niego punkt kulminacyjny: pod jego wpływem wzywał do bicia w Polaków, by im ochota do życia odeszła, konkludował, że „pragnąc istnieć nie pozostaje nam nic innego, jak ich wytępić", dowodził, że w toczącej się walce „chodzi o to, aby być młotem lub kowadłem", że

niema mowy o porozumieniu pomiędzy polityką pruską a jakiemikolwiek próbami odbudowy Polski. W rozmowie z Napoleonem III (1862) podkreślił, że wroga postawa jego państwa wobec wskrzeszenia narodowości polskiej dyktowana jest położeniem geograficznem. W czasie powstania styczniowego oświadczył wysłannikowi cesarza, że prędzej odstąpi granicy Renu, aniżeli dopuści do dyskusji nad Poznańskiem. Myśl ta wracała u Bismarcka wielokrotnie w dobie późniejszej, kiedy niebezpieczeństwo utraty kresów wschodnich straciło dużo z swojej siły grożącej. Równolegle z tą sprawą wagi zasadniczej przewija się przez argumentację Bismarcka motyw drugi, o znaczeniu raczej pochodniem: przekonanie, że Polska wskrzeszona stanie się naturalnym sojusznikiem Francji. Dla scharakteryzowania tej sytuacji znajdował Bismarck określenia uderzające lapidarnością i mocą ujęcia, kiedy w 1863 tłumaczył ambasadorowi angielskiemu, że wskrzeszenie Polski przysporzy Francji stutysięczną armję nad Wisłą, lub wywnętrzniał się przed Crispim (1878), że „dziś mamy przeciw sobie jedną Francję, wtedy mielibyśmy dwie, naturalnie sprzymierzone ze sobą, i znaleźlibyśmy się między dwoma wrogami".

Publicystyka niemiecka, zwłaszcza doby powojennej, przytacza powyższe sądy Bismarcka jako dowód, że ujawnił on w ocenie stosunków polsko-pruskich wyjątkową bystrość sądu i lepiej aniżeli jego następcy zrozumiał konsekwencje, jakie pociągnie dla Prus odbudowa Polski. Naprawdę, jeżeli gdzie to tu najmniej wniósł Bismarck oryginalności. Możnaby napisać całe studjum na temat formowania się poglądów o niemożności współżycia państwa pruskiego z Polską z powodu walki o terytorja pograniczne; studjum tem bardziej dla nas interesujące, że tłumaczy genezę dzisiejszego nieprzejednanego stanowiska ogromnego odłamu społeczeństwa niemieckiego wobec kwestji „korytarza". Słowa Bismarcka zdobyły rozgłos i znaczenie, ponieważ wyszły z ust wielkiego męża stanu, podczas kiedy analogiczne enuncjacje tylu jego poprzedników, niejednokrotnie szczegółowiej umotywowane, znane są dziś tylko badaczom-specjalistom. W tem miejscu wypadnie się ograniczyć do zestawienia wybitniejszych wypowiedzeń się z ery przedbismarckowskiej. Tak pruski minister spraw zagranicznych Bernstorff, tłumacząc w czasie powstania listopadowego posłowi francuskiemu, dlaczego Prusy muszą życzyć zwycięstwa caratowi, podnosił, że zmartwychwstała Polska stanie się

dla Europy źródłem wiecznych niepokojów: najpierw trzeba jej będzie zwrócić ziemie litewsko-ruskie, następnie upomni się o Toruń i Gdańsk, wreszcie o Poznańskie. Głośny teoretyk wojny, Clausewitz, skreślił w tym samym czasie wyczerpujące uwagi na temat zasadniczego przeciwieństwa interesów polsko - pruskich, kulminujące w stwierdzeniu, że dla Prus niema bardziej naturalnego wroga, aniżeli zmartwychwstała Polska, która znowu jest naturalnym sprzymierzeńcem Francji. Wielki Gneisenau w następujący sposób ujął stosunek trzech mocarstw rozbiorczych do sprawy polskiej: dla Rosji stanowią jej polskie posiadłości kwestję wygody, dla Austrji — artykuł luksusowy, dla Prus — organ żywotny, bez którego nie mogą one istnieć. Generał Grolman rozpoczął swój głośny memorjał o prowincji poznańskiej od określenia jej doniosłości strategicznej: prowincja ta, położona w samem sercu monarchji, łącząca Prusy, Brandenburgję i Śląsk, oddalona zaledwie o 18 mil od Berlina posiada takie znaczenie, że myśl oderwania jej w jakikolwiek sposób byłaby równoznaczną ze zdradą stanu. Gdy w 1848 stanęła istotnie na porządku dziennym sprawa odłączenia Wielkiego Księstwa, posypały się gorące protesty. Major Voigts-Rhetz ogłosił specjalną broszurę, w której wykazywał niezbędność zatrzymania Poznańskiego ze względów wojskowych: „Prusy i Niemcy nie mogą wyrzec się Wielkiego Księstwa, jego pozostanie przy koronie musi być uważane za kwestję życia“. Drugi wybitny sztabowiec pruski Griesheim wywodził równocześnie, że Polska ze względu na rolniczy charakter zmuszoną jest do ekspansji ku Bałtykowi, stąd naturalny antagonizm wobec Prus. Co ważniejsze: herold liberalizmu południowo-niemieckiego Gerwinus, popierając w tym czasie myśl stworzenia niepodległego państwa polskiego, doskonale zdawał sobie sprawę, że następstwem tego musi być odnowienie się wojen polsko-krzyżackich o ujście Wisły.

Z przeświadczenia o zasadniczem przeciwieństwie obustronnych interesów wypływała konieczność walki. Nie będzie przesadą stwierdzić, że historja nie zna drugiego antagonizmu o tak nieprzerwanej ciągłości i tak długim okresie trwania. Antagonizm ten odegrał rolę niemal decydującą w dziejach upadku Polski, zaciążył w sposób przemożny na jej losach porozbiorowych. Dopiero na tle tego odwiecznego procesu rysuje się z całą wyrazistością postać Bismarcka, spadkobiercy skrystalizowanych trady-

cyj, wykonawcy wciąż żywotnych dążeń państwowości pruskiej. Wszelako samo stwierdzenie tego związku nie tłumaczy jeszcze istoty i przejawów polityki polskiej kanclerza. Antagonizm polsko-pruski, aczkolwiek uwarunkowany pewnemi stałemi czynnikami, przybierał różne formy, zależnie od epoki, idej, ludzi. Inaczej przedstawiał się on w kosmopolitycznym wieku Fryderyka II, inaczej w erze rozbudzonego poczucia narodowego za Flottwella, inaczej znów u schyłku XIX stulecia, kiedy poczucie to przybrało już znamiona współczesnego nacjonalizmu. Rzeczą historyka jest zbadać szczegółowo zapatrywania Bismarcka na cele i metody akcji przeciwpolskiej, ustalić, co zaczerpnął od swoich poprzedników, a w jakim stosunku pozostaje do następców.

Punktem wyjścia polityki polskiej Prus w epoce porozbiorowej było zapewnienie sobie trwałego i bezpiecznego posiadania zajętych terytorjów. Cel ten był oczywista niemożliwy do osiągnięcia, jak długo społeczeństwo polskie uważało rządy pruskie za narzucone przemocą i dążyło do odzyskania niepodległości. Nasuwały się dwa rozwiązania: albo zjednać sobie to społeczeństwo łagodnością, dobrodziejstwami, zaspakajaniem jego potrzeb, albo represjami i germanizacją osłabić jego odporność i wykorzenić ducha buntu. Pierwszego sposobu popróbowano w prowincjach zajętych przy drugim rozbiorze, następnie w W. Ks. Poznańskiem za namiestnikowstwa Antoniego Radziwiłła, wreszcie w pierwszych kilku latach rządów Fryderyka Wilhelma IV. Drugi stosował konsekwentnie Fryderyk II, po nim rządcy Prus Południowych i Nowowschodnich Voss, Schroetter, Gruner, do mistrzostwa doprowadził Flottwell. Oba systemy zmierzały w gruncie rzeczy do tego samego celu. Tacy przedstawiciele kursu pojednawczego jak Zerboni di Sposetti i hr. Arnim-Boitzenburg rozumieli dobrze, że przy użyciu innych środków prowadzą walkę, której wynikiem ma być zapewnienie żywiołowi niemieckiemu przewagi nad polskim. Cechą zasadniczą tego okresu jest traktowanie sprawy polskiej pod kątem widzenia bezpieczeństwa państwa. Zwalczano Polaków nie jako żywioł obcoplemienny, ale jako nielojalnych, buntowniczych poddanych korony pruskiej. Chodziło nie o zatarcie odrębności narodowej, ale o wtłoczenie ich w ramy państwowości pruskiej, zapobieżenie temu, co miało miejsce w 1794, 1806, co nastąpiłoby niechybnie w 1831, gdyby wojna polsko-rosyjska przybrała inny obrót.

Rozróżnienie to posiada wartość nietylko teoretyczną. Wypływały z niego ważne konsekwencje życiowe. Rząd godził nie w każdy przejaw narodowości polskiej, ale tylko w te dążenia, które uważał za groźne dla egzystencji państwa; jako wrogów traktował nie całość społeczeństwa polskiego, ale jego warstwy przodujące, które reprezentowały myśl odbudowy Rzpltej, t. j. duchowieństwo i szlachtę. Klasycznym tego przykładem jest działalność Flottwella. Człowiek ten zapisał się na kartach stosunków polsko-pruskich jako jeden z najbardziej konsekwentnych wykonawców przeciwpolskiej racji stanu. Karał srogo uczestników powstania listopadowego, podkopał znaczenie szlachty w życiu publicznem, usiłował nagiąć do swych celów duchowieństwo, ograniczył prawa języka polskiego w sądzie i administracji, wykupywał z rąk polskich majątki. A jednak ten sam Flottwell przeprowadził z wielką energją i sprężystością dzieło uwłaszczenia, przygotowując przez to na dalszą metę oparcie bytu polskiego w W. Księstwie na szerokiej podstawie zamożnej, zdrowej warstwy włościańskiej. Ten sam Flottwell wyraża w swoim testamencie politycznym życzenie, aby następcy jego udało się przekonać Polaków, że w nowej ojczyźnie, W. Ks. Poznańskiem, znaleźli „schronienie, które zapewnia swobodny rozwój wszystkim szlachetnym przejawom duchowym, wszystkim rozsądnym dążeniom do poprawy stosunków zewnętrznych, równocześnie zaś użycza ochrony i opieki wszystkim właściwościom narodowym, dającym się tylko pogodzić z wspólnem dobrem państwa“. Rzecz znamienna, że w czasie słynnej debaty polskiej w sejmie pruskim w 1886 jeden z posłów opozycyjnych odczytał ten ustęp dla zadokumentowania różnicy, zachodzącej pomiędzy programem Flottwella a dążeniami obozu narodowo-liberalnego. Niemniej znamiennym jest fakt, że dzisiejszy hakatystyczny biograf Flottwella, podnosząc jego zasługi, zmuszonym jest równocześnie obarczyć go zarzutem, że w gruncie rzeczy nie rozumiał on istoty walki narodowościowej i swemi poczynaniami na polu gospodarczem i kulturalnem przyczynił się w pierwszym rzędzie do wzmocnienia polskości.

W połowie XIX wieku zarysowuje się w dotychczasowych poglądach stanowczy zwrot. W społeczeństwie niemieckiem budzi się spotęgowane poczucie narodowe, które każe mu rozpatrywać sprawę polską z odmiennego stanowiska. Chodzić będzie już nie o obezwładnienie polityczne przeciwnika, ale o zupełne zniszczenie jego istności narodowej. Datą graniczną jest rok 1848. Walka

obu narodowości o przyszłe losy Poznańskiego rozbudziła w niektórych skupieniach ludności niemieckiej (obwód nadnotecki, Bydgoszcz, Międzyrzecz) ducha zupełnie nowoczesnego nacjonalizmu. Najwybitniejszym reprezentantem nowego kierunku stał się poseł międzyrzecki do parlamentu frankfurckiego, Samuel Gottfryd Kerst. Rozwijane przezeń wskazania programowe wnoszą w dotychczasowy system polityki polskiej Prus nową nutę. Niema tam już mowy o wyłącznem zwalczaniu warstw wyższych a kaptowaniu sobie włościaństwa, jak to radzili działacze dawniejsi: Gruner, Grolman, Küpfer. Kerstowi chodzi o zapewnienie kresom wschodnim wyłącznie niemieckiego charakteru, chociażby kosztem rzucenia rdzennie polskich powiatów na łup Rosji. Ten program integralnego nacjonalizmu zdobywa odtąd przewagę nad dotychczasową koncepcją uzgodnień aspiracyj polskich z pruską racją stanu. Teoretyczne uzasadnienie dał mu Henryk Treitschke, dowodząc, że naturalną tendencją wszystkich ludów szlachetnych jest utożsamienie pojęcia państwa i narodu. Tylko niżej stojące organizmy państwowe Wschodu zadawalały się zewnętrznemi atrybutami panowania, pozostawiając podbitym narodom ich indywidualność; kulturalne państwa zachodnie muszą dążyć do organicznego wcielenia swoich mniejszości. Decydujące słowo wypowiedział Edward Hartmann (1885), który konstatując wzmagającą się agresywność ludów słowiańskich, zmierzających do wypchania Niemców z zajmowanych dotąd stanowisk, rzucił gromkie wezwanie wytępienia wchodzących w skład monarchji pruskiej Polaków. Całkowity rozbrat z przeszłością wziął wreszcie główny teoretyk hakatyzmu, Ernest Hasse. Przyznaje on otwarcie, że wysuwane dotąd obawy „polskiego niebezpieczeństwa", możliwości powstania Polski niepodległej straciły znaczenie. Przyczyną zwalczania polskości jest nie zapobieżenie odpadnięciu kresów wschodnich, a jedynie chęć zapewnienia Rzeszy jednolitej struktury narodowej, jako nieodzownego warunku ekspansji mocarstwowej. Konsekwentnym wypływem zmienionych założeń stało się rozszerzenie walki na cały front społeczeństwa polskiego, wciągnięcie w jej obrąb również oszczędzanej a nawet popieranej pierwiej warstwy włościańskiej. Najdobitniejszym wyrazem tej ewolucji — ustawa wyjątkowa z 30 czerwca 1904, zakazująca tworzenia gospodarstw włościańskich w drodze parcelacji.

Naszkicowana powyżej ewolucja pozwoli nam ustalić właściwy stosunek Bismarcka do sprawy polskiej jako zagadnienia wewnętrznej polityki Prus. Zarówno enuncjacje samego kanclerza, jak postronne świadectwa zdają się nie pozostawiać pod tym względem żadnych wątpliwości. Przez cały ciąg swojej działalności zwalczał Bismarck nie całość społeczeństwa polskiego, ale te jego warstwy, które uważał za wrogie państwowości pruskiej: duchowieństwo i szlachtę. Nieprzyjaźni swojej względem polskości nie motywował nigdy zasadniczem przeciwieństwem dwóch ras, ani chęcią nadania państwu pruskiemu jednolitego charakteru narodowościowego. W Polakach, a raczej wyższych klasach narodu polskiego widział przedewszystkiem przeciwników politycznych, łączących się z wszystkiemi elementami czychającemi na zgubę Prus. W młodości nauczył się upatrywać z nich naturalnych sojuszników rewolucji światowej, a koncepcja ta pozostała u niego i utrwaliła się w późniejszym okresie międzynarodówki i kiełkującego ruchu socjalistycznego. W dobie *Kulturkampfu* Polacy stanowili w jego oczach sprężynę akcji ultramontańskiej. Polacy podsycali panslawizm i pchali Rosję do wojny z Niemcami; Polacy byli również naturalnym sojusznikiem imperjalizmu francuskiego. Polacy wygrywali każdą konjunkturę międzynarodową, wyzyskiwali w lot każdą trudniejszą sytuację Prus, by wytoczyć na porządek dzienny sprawę odbudowy swego państwa. Polacy stanowili element niespokojny, konspiracyjny, który również w czasie pokoju nie przestawał podkopywać podstaw monarchji Hohenzollerów. To był właściwy powód, dla którego Bismarck uważał za konieczne zwalczać dążenia polskie, tłumić przedewszystkiem życie polskie w Poznańskiem.

Podobne ujmowanie kwestji sprawiało zarazem, że Bismarck nie wykluczał możliwości pokojowego współżycia z tym odłamem polskości, który uważał za lojalny wobec Prus, t. j. z włościaństwem. W mowie, wygłoszonej do delegacji z Poznańskiego 16 września 1894 oświadczył: „Przypuszczam, że wielu z was ma robotników i parobków mówiących po polsku, i odnosi przytem wrażenie, że niebezpieczeństwo nie wychodzi od tych niższych warstw ludności. Z tymi da się żyć, od nich nie wyjdzie nigdy zarzewie niepokojów. Nie są oni zwolennikami wrogiej nam agitacji... O całą wielką liczbę warstwy robotniczej i włościańskiej zmniejsza się zatem statystyczna cyfra przeciwników

pokojowej współpracy obu plemion... Nie jest to rzeczą niemożliwą. Widzimy przecież, że w Szwajcarji trzy stojące naprzeciw siebie narodowości, niemieccy, włoscy i francuscy Szwajcarzy spokojnie i bez goryczy obradują nad wspólnemi sprawami. Widzimy, że w Belgji żyją w jednym związku państwowym germańscy Flamandowie i galijscy Walonowie. Widzimy, że również z Polakami da się żyć w pewnych warunkach: pomyślmy o Prusiech wschodnich, gdzie polscy Mazurzy, Litwini i Niemcy pracują razem w spokoju... Możnaby powiedzieć, że brak tam duchowieństwa katolickiego z jego odrębnemi interesami. Spójrzcie jednak na waszych sąsiadów na G. Śląsku. Czy obie narodowości nie żyły tam przez długie wieki w pokoju, aczkolwiek różnica wyznaniowa występowała również tam? Istnieje zatem coś, czego brakowało na Śląsku, a wskutek tego mogliśmy żyć całe stulecia w zgodzie wyznaniowej. Przykro mi to powiedzieć — jest to polska szlachta i polonizujące duchowieństwo".

Przytoczone słowa Bismarcka na pierwszy rzut oka robią wrażenie czegoś nieoczekiwanego, niemal nieprawdopodobnego. Wyraziciel nienawiści rasowej germanizmu wobec polskości, twórca Komisji Osadniczej, duchowy patron Związku Kresów Wschodnich mówiący o możliwości pokojowego współżycia obu narodowości, zaprzeczający doniosłości antagonizmu plemiennego, wręcz paktujący z dużym odłamem społeczeństwa polskiego? A jednak oświadczenie to pozostaje w ścisłym związku z całym szeregiem słów i czynów Bismarcka, świadczących, że ostrze jego polityki nie godziło w całość żywiołu polskiego. Głoszone tylekrotnie z trybuny parlamentarnej oświadczenia, że walczy on jedynie z szlachcicem i księdzem, nie zaś z chłopem polskim, którego uważa za lojalnego poddanego Prus wypływały widocznie z istotnego przekonania, skoro w 1870 tłumaczył następcy tronu, że błędem byłoby trakować wszystkich Polaków jako wrogów: chłop polski jest dobrym żołnierzem, porządnym człowiekiem, nie czuje zasadniczej nienawiści względem Prus, nie trudno będzie zrobić zeń podporę rządu. W czasie *Kulturkampfu* pisał do Eulenburga, że akcja ta nie jest skierowana przeciw polskiemu ludowi: nie chodzi tu bynajmniej o wytępienie go *(Ausrottung),* ale o wzięcie w obronę przed zamierzeniami duchowieństwa i szlachty. W tym samym czasie rozkazał konclerz

wydawać pisemko ludowe w języku polskim i zająć się uregulowaniem stosunków kredytowych warstwy włościańskiej „by w ten sposób wyemancypować ten liczny i sam przez się życzliwy rządowi stan z pod wpływu szlachty“.

Najwięcej światła rzuca nam jednak stosunek Bismarcka do Komisji Osadniczej. Oznaczała ona w rozwoju stosunków polsko-pruskich etap decydujący. Rząd berliński, przekonawszy się o bezskuteczności dotychczasowych metod, sięgnął po środek decydujący: wykupywanie z rąk polskich ziemi, osadzanie na niej kolonistów niemieckich, przez to sprowadzenie z czasem zasadniczego przeobrażenia w stosunku liczbowym obu narodowości. Tego rodzaju zarządzenie zwracało się już nietylko przeciw duchowieństwu i szlachcie, ale przeciw ogółowi ludności polskiej, przenosiło walkę z problemów politycznych na grunt gospodarczy. Otóż Bismarck był zdeklarowanym przeciwnikiem parcelowania nabytej ziemi i osadzania na świeżo utworzonych gospodarstwach osadników niemieckich. Zdaniem jego należało wykupioną z rąk polskich wielką własność zmienić w domenę państwową i wydzierżawiać ją chłopom zarówno niemieckim jak polskim. W mowach swoich zaznaczał wyraźnie, że nie zależało mu na zastąpieniu chłopów polskich niemieckimi: narodowość jest w tym wypadku rzeczą podrzędną, chodziło głównie o to, by stopniowo, na drodze naturalnego rozwoju osadnictwa, stworzyć „ludność wierną Niemcom“. Komisja Osadnicza miała być podług Bismarcka jeszcze jednym środkiem zyskiwania włościanina polskiego dla Prus; dopiero w rękach polityków narodowo-liberalnych z ministrem Miquelem na czele stała się narzędziem bojowym, godzącym w wszystkie odłamy polskości. Minister rolnictwa Lucius stwierdza w swych pamiętnikach, że program ten został przeprowadzony wbrew woli Bismarcka, który odczuł to jako osobistą porażkę i na znak protestu wycofał się od dalszej pracy, pozostawiawiając ministerstwu samodzielne zredagowanie ostatecznych rozporządzeń.

Hans Delbrück, który pierwszy, o ile wiem, stwierdził u Bismarcka brak właściwego nacjonalizmu wobec Polaków, wyciąga stąd wniosek, że nie był on zasadniczym ich wrogiem. Twierdzenie niesłuszne, nie liczące się z wiekową ewolucją polityki pruskiej. Bismarck był kontynuatorem i naśladowcą całego szeregu działaczy, którzy za najskuteczniejszy środek zwalczania pol-

skości uważali zasadę: *divide et impera*, główny nacisk kładli na rozbicie społeczeństwa polskiego, zyskanie jednej jego części przeciwko drugiej. Że kanclerz pozostał wiernym tym wskazaniom, że nie poszedł na lep nowych haseł, proklamujących wojnę z całym narodem, dowodzi tylko jego realizmu poliycznego. Rozumiał on, że skuteczniejsze zada ciosy polskości, uzależniając od rządu liczną warstwę włościańską, aniżeli zmuszając ją do solidarności z duchowieństwem i szlachtą przez nasyłanie niemieckich kolonistów. Postępując w ten sposób, okazał się Bismarck bardzo zasadniczym wrogiem Polaków, mniej tylko nowatorskim od narodowych liberałów, bardziej przezornym, bardziej przez to niebezpiecznym. Bilans akcji osadniczej, który w 1914 okazał ubytek ziemi, znajdującej się w rękach niemieckich, stanowi pośmiertne stwierdzenie wyższości systemu Żelaznego Kanclerza.

Z przedstawionych na wstępie założeń polityki Bismarcka wynika, że sprawa polska była dlań przedewszystkiem problemem polityki międzynarodowej. Akty polityki wewnętrznej wobec Polaków dyktowane były najczęściej względami konjunktury europejskiej. Również w tym punkcie odcina się on jaskrawo od późniejszych sterników polityki pruskiej, dla których istniała już tylko kwestja kresów wschodnich, i którzy, gdy w czasie wielkiej wojny „los bitew" wyniósł na widownię europejską pogrzebany pozornie problem polski, stanęli wobec niego zdezorjentowani. Trudno jednak wyciągnąć stąd wnioski o wyższości Bismarcka nad jego następcami. Poprostu dojrzewanie jego i pełna działalność przypadły na okres, kiedy istnienie sprawy polskiej w polityce europejskiej przedstawiało się nie jako utajona siła potencjalna, ale najbardziej uderzająca rzeczywistość, czynnik dynamiczny, z którym musiał się liczyć każdy mąż stanu. U progu życia politycznego był świadkiem „wiosny ludów", kiedy sprawa polska stanęła przed Europą w całej jej doniosłości i omal nie stała się przyczyną zbrojnej rozprawy pomiędzy Prusami a Rosją. W dobie wojny krymskiej znów przyszło mu się zetknąć z planami wskrzeszenia Polski wysuwanemi przez antyrosyjski obóz Bethmanna-Hollwega. Okres posłowania w Petersburgu ujawnił mu, że kwestja na pozór wewnętrzno-rosyjska, jaką była reforma administracyjna Kongresówki posiada szerokie rozgałęzienia europejskie, stanowiąc z jednej strony łącznik pomiędzy liberalizmem rosyjskim a Francją, podważając z drugiej stan po-

siadania Austrji i Prus. Nic dziwnego, że gdy wybuchło powstanie styczniowe, on jeden w Europie uświadomił sobie odrazu znaczenie tego faktu i zajął odpowiednią postawę. Nic dziwnego również, że kiedy Austrja zrywając z dotychczasową polityką germanizatorską, nadała Galicji urządzenia narodowe, Bismarck znów potraktował to jako zjawisko o znaczeniu powszechnem, jako chęć wygrania sprawy polskiej przeciw dwu pozostałym dworom rozbiorczym

Obawa przed „polskiem niebezpieczeństwem" nie opuściła kanclerza w latach najwyższej potęgi i niezakłóconego, zdawało się, bezpieczeństwa, po założeniu cesarstwa. Współczesnych uderzała uporczywość, z jaką powracał ustawicznie do tego tematu. Pisarz centrowy Majunke zarzucał mu, że „strach przed Polakami stał się (u niego) poprostu *idee fixe*... upiorem, który jak cień prześladuje go przy wszystkich jego posunięciach polityki zagranicznej i wewnętrznej". Zapewne, Bismarck przedstawiał niejednokrotnie istnienie owego „niebezpieczeństwa" w przejaskrawionych kolorach, by móc się niem posłużyć jako środkiem taktycznym. Równocześnie jednak zdaje się nie ulegać wątpliwości, że w niebepieczeństwo polskie wierzył w dalszym ciągu najmocniej. Do niedawna utrwalonem było przeświadczenie, że katastrofa 1863 zepchnęła sprawę polską z widowni międzynarodowej i zabiła w społeczeństwie myśl spisku i powstania. W wydanych ostatniemi laty wykładach historji najnowszej czyta się o „beznadziejności", „letargu", wyłączności pracy organizacyjnej w dobie popowstaniowej. Wglądnięcie w korespondencję dyplomatyczną i akty tajnej policji wykazuje obraz nieoczekiwany: powstanie osłabiło tętno życia w Kongresówce, nie zniszczyło natomiast ośrodków konspiracji w Galicji i Poznańskiem, ani na emigracji, nie usunęło sprawy polskiej z sfery zainteresowań gabinetów i sztabów generalnych. Jeszcze nie zamilkły ostatnie odgłosy powstania, a słychać już o żywej akcji spiskowej w zaborze pruskim i próbach przerzucenia jej przez kordon rosyjski. Z chwilą nadania Galicji autonomji przenosi się tam ośrodek działań, które zwłaszcza w przededniu wojny prusko-francuskiej osiągnęły wysoki stopień napięcia, zarówno w sferze akcji dyplomatycznej jak przysposobień wojskowych. Zwycięstwo Prus nie pozwoliło wypłynąć sprawie polskiej na szerszą widownię: mimo to splata się ona w następnem dziesięcioleciu z ogólnoeuropejską akcją kato-

licką, równocześnie zagraża Niemcom pod formą agitacji panslawistycznej, później płynie podziemnym nurtem socjalizmu. Działalność grup emigracyjnych rozwija się nieprzerwanym łańcuchem. Jeszcze w 1887 agenci tajnej policji austrjackiej zaalarmowali swój rząd doniesieniem, że przedstawiciele polskiego komitetu w Paryżu ofiarowali się generałowi Boulanger zrewoltować w razie wojny francusko-niemieckiej Poznańskie i Pomorze.

Zjawisko to tłumaczy postępowanie Bismarcka. Stojąc przez całe życie w obliczu polskiego niebezpieczeństwa, to jawnego, to znów utajonego, przejawiającego się w formie konspiracji, zbrojnego powstania, propagandy, lub uzyskiwania swobód narodowych, pozostawał pod przemożną sugestją jednej myśli: zwalczania przeciwnika, którego sukces był dlań początkiem końca wielkości Prus. Za nieodzowny warunek powodzenia akcji przeciwpolskiej uważał ścisły związek trzech mocarstw rozbiorczych, przedewszystkiem zgodność pomiędzy Berlinem a Petersburgiem. Tu tkwi drugi, zasadniczy element stosunku Bismarcka do sprawy polskiej. Jako wyraziciel wspólności polityki prusko-rosyjskiej względem Polski jest on spadkobiercą najistotniejszych, najodleglejszych tradycyj swego państwa, począwszy od Albrechta Hohenzollerna, poprzez Wielkiego Elektora i Wielkiego Fryderyka. Istota tej poliyki polegała na wspólnem podkopywaniu fundamentów państwowości polskiej, następnie na wspólnem tłumieniu ruchów wyzwoleńczych. „Dla obu państw wynikało z uzyskanego dzięki rozbiorom Polski stanu posiadania napomnienie, że nie należy się waśnić, ale wspólną obronę przed wielkopolskiemi *(grosspolnischen)* aspiracjami uważać za pomost, na którym Prusy i Rosja mogły się zawsze spotkać“ — sformułuje ten stosunek Bülow. Polityka Bismarcka od pierwszej chwili miała na oku utrzymanie tej łączności. Gdy w 1848 całe liberalne Niemcy domagały się odbudowy Polski jako osłony od wschodu, młody konserwatywny poseł w sejmie pruskim rzucił opinji publicznej oświadczenie, że bezpieczniejszym sąsiadem jest cesarz rosyjski, który nie dybie na całość terytorjalną Prus. Zasadzie tej pozostał wiernym do ostatniej chwili, kiedy jako sędziwy mąż stanu powtarzał wypowiedziane w młodości wskazania, że „lepiej mieć do czynienia z carem w Petersburgu, niż z szlachtą w Warszawie“.

Pogląd ten wcielał Bismarck w czyn zarówno w czasie wojny

krymskiej jak powstania 1863. „Król żywi głębokie przekonanie — takie oświadczenie złożył gabinetowi petersburskiemu z chwilą wybuchu powstania — że rozwinięcie sztandaru polskiego w równej mierze zagraża interesom obu rządów, i że wszelkie wyzwolenie żywiołu polskiego z pod władzy cesarza nie ograniczy się w swych skutkach do granic Królestwa, lecz tak samo zagrażać będzie bezpieczeństwu sąsiednich prowincyj królewskich, jak również zachodnich guberni cesarstwa. To też, naszem zdaniem, stanowisko obu dworów wobec rewolucji polskiej jest w rzeczy samej stanowiskiem dwóch sojuszników, którym zagraża wspólny nieprzyjaciel“. Rolę sojusznika pojmował Bismarck zupełnie dosłownie. Zmobilizowawszy na wieść o wybuchu powstania cztery korpusy armji zamierzał zaraz po zawarciu konwencji 8 lutego wkroczyć do Kongresówki i dokonać, czego nie były w stanie zrobić zdezorganizowane wojska rosyjskie. Sprzeciw Gorczakowa i wystąpienie dyplomatyczne państw zachodnich udaremniły interwencję zbrojną. Zato ustaloną w dobie powstania kooperację dyplomatyczną z Petersburgiem podtrzymywał Bismarck w dalszym ciągu z największą usilnością. Wspólne niebezpieczeństwo polskie stało się w jego rękach najskuteczniejszem narzędziem naginania caratu do celów polityki pruskiej. Jeżeli Rosja asystowała bezczynnie pogromowi Francji, a nawet ułatwiła go przez unieruchomienie Austrji, to przedewszystkiem w przekonaniu, że zwycięstwo państw katolickich wskrzesi sprawę polską. Analogiczną grę, aczkolwiek z nierównie gorszemi wynikami usiłował prowadzić Bismarck po utworzeniu Rzeszy. Rozpoczynając *Kulturkampf* próbował wciągnąć Rosję do walki przeciw Stolicy Apostolskiej, insynuując w Petersburgu, że Ledóchowski przybrał tytuł prymasowski za zgodą Rzymu w celu rozbudzenia narodowych aspiracyj polskich, a nawet wykonuje pod tym pretekstem cichą jurysdykcję nad episkopatem zaboru rosyjskiego. Na dnie zjazdu trzech cesarzy w Berlinie (1872) kryła się myśl sparaliżowania pojednawczych zamysłów Gorczakowa w sprawach rzymskich i polskich. Korespondencja Bismarcka z posłem niemieckim w Petersburgu Schweinitzem wskazuje, że wydając w 1885 srogie rozporządzenie o wydaleniu z Prus polskich robotników sezonowych spodziewał się wywołać przez to przyjazny oddźwięk nad Newą. Ten sam zamiar spoczywał u podstaw wielkiej akcji antypolskiej, podjętej w 1886. Gdy

polityk konserwatywny Kardorff poddał krytyce projekt akcji osadniczej, Bismarck wyznał, że sprawa ta wchodzi w zakres polityki zagranicznej. Wiekowy stosunek pomiędzy Prusami a Rosją wykazał dowodnie, że jedno z tych państw rozpoczynało przygotowania do wojny z drugiem od jednania sobie Polaków. Zainaugurowanie ostrego kursu w Poznańskiem w momencie przesilenia bałkańskiego i wzmożonej agitacji panslawistycznej miało zademonstrować Rosji, że Bismarck nie zamierza sekundować do ostatka Kalnoky'emu w rozgrywce z Bułgarją.

Wspólność polityczna z Rosją nie wyczerpuje jednak całości polityki Bismarcka wobec sprawy polskiej. Rozpatrując jej ewolucję na tle stosunków pomiędzy Berlinem a Petersburgiem należy mieć stale na oku zjawisko, niedość silnie zwykle uwypuklane: oto nie sposób ujmować ten stosunek jako nieprzerwaną, niczem niezamąconą przyjaźń i zgodność interesów. Wiekowe sąsiedztwo Prus z Rosją wykazuje swoje konflikty, zgrzyty, niedopasowania. Zależnie od tego modyfikował się stosunek Prus do Polski. Mierosławski, uzasadniając przed trybunałem berlińskim wiarę rewolucyjnej emigracji w pomoc Prus, wywodził, że „to państwo jest dwoiste, jak wejrzenie Janusa: i jeżeli przeszłość jego posępnie i twardo się na grób Polski patrzy, to przyszłość jego, będąca już mimowolnem odbiciem polityki wszechgermańskiej, musi trochę prędzej, czy trochę później wejść w układ ze zmartwychwstaniem potęgi, co zdolna jest wstrzymać grożącą powódź wszechsłowiańszczyzny“. Innemi słowy: Prusy, zagrożone przez wzbierającą ekspansję Rosji, zmuszone były w pewnych momentach szukać ratunku w dźwiganiu sprawy polskiej. Tendencja ta, której przebłyski są już widoczne w dobie Sejmu Wielkiego, występuje zwłaszcza za Mikołaja I, który całą swoją potęgą zaciążył nad Niemcami, nie dopuszczając do ich zjednoczenia i zreformowania w duchu konstytucyjno - liberalnym. Tak zwana „niemiecka przyjaźń wobec Polski“ *(deutsche Polenfreundschaft)* w gruncie rzeczy mało miała wspólnego z przyjaźnią, wynikającą z sentymentu lub wspólności idei. Było to poprostu stwierdzenie wspólności interesów, stwierdzenie tej elementarnej prawdy, że zjednoczonym Niemcom konieczna jest niepodległa Polska jako bufor od strony Rosji. Myśl ta posiadała zwolenników wśród najwybitniejszych przedstawicieli polityki i ducha niemieckiego, żeby tylko wymienić takie nazwiska, jak Gerwinus.

Arndt, Gagernowie, Henryk Arnim, ks. Ernest Koburski, Bunsen. Powojenne publikacje źródeł stwierdziły, że zwolennikiem jej był w pewnym momencie również Bismarck.

Twórca zjednoczenia Niemiec dokonał swego dzieła w odmiennych warunkach, aniżeli to wyobrażali sobie politycy pierwszej połowy stulecia. Nietylko dlatego, że zbudował Cesarstwo niemieckie „krwią i żelazem"; ważniejsze, że zbudował je przy życzliwej neutralności Rosji, podczas gdy poprzednicy jego uważali za warunek przedwstępny rozgromienie caratu. Dalszy rozwój wypadków przyznał rację rzekomo nierealnym koncepcjom statystów 1848 roku. Okazało się, że niechęć Rosji do silnych, zjednoczonych Niemiec stanowiła czynnik, nie dający się wykreślić z międzynarodowej polityki; że można było zbudować cesarstwo niemieckie obok caratu rosyjskiego, ale trudno je będzie utrzymać. Wzbierająca przeciw Niemcom wrogość szerokich mas rosyjskich wybuchła zwłaszcza gwałtownie po kongresie berlińskim. Dla głębiej wnikających umysłów rysowała się z całą jasnością przyszła rozprawa orężna obu mocarstw. Jakoż przygotowywanie się do niej w Berlinie zawczasu, wśród przygotowań tych zajęła zaś poważne miejsce — sprawa polska. Sztabowcy niemieccy z generalnym kwatermistrzem hr. Waldersee na czele uważali wskrzeszenie Polski w razie wojny z Rosją za nieuniknione, i wchodzili na ten temat w porozumienie z sztabem austrjackim. Bismarck zachowywał się z większą rezerwą, atoli rozumiał dobrze, że następstwem zwycięskiej wojny musi być wskrzeszenie Polski po Dźwinę i Dniepr. Waldersee stwierdza w swych pamiętnikach, że kanclerz zajmował się w latach ośmdziesiątych myślą odbudowy Polski, że w rozmowie z nim nazywał to rozwiązanie mieczem obosiecznym, mniej jednak groźnym, aniżeli inwazja rosyjska, że roztaczał bardzo dalekie i śmiałe perspektywy. Skądinąd wiadomo, że liczył się on z koniecznością uzbrojenia Kongresówki przez Austrję na wypadek wojny, a nawet rozmawiał z wybitnym członkiem arystokracji polskiej na temat możliwości wskrzeszenia Polski i przyszłego ukształtowania jej stosunków z Prusami. Rzecz oczywista, że podobne wyjście było dlań złem koniecznem, ratunkiem, którego należało się chwycić w sytuacji najgroźniejszej. „Ongi Napoleon I, rozprawiwszy się z Prusami i Austrją, po Jenie i Wagramie, ujrzał konieczność rozprawy z Rosją: nigdy później nie wyrzucał sobie tej decyzji,

tylko złe jej wykonanie. Bismarck, po rozprawie z Austrją i Francją, po Sadowie i Sedanie, też ujrzał konieczność rozprawy z Rosją: ale wzdrygał się przed nią. Nic nie miał z Napoleona, a był stary, przeżył się, własnym został epigonem. Nie chciał na starość najwyższego ryzyka wojny rosyjskiej. Co główna, nie chciał nieuchronnej w tym razie odnowy Polski" [2])). Jakkolwiekbądź, zamysły owe stanowią jeszcze jeden dowód realizmu politycznego Bismarcka, który nie wiążąc się bezwzględnie żadnemi zasadami, nie uważając odziedziczonych po przodkach dogmaów za świętość nienaruszalną, skłonnym był w pewnych okolicznościach wygrywać przeciw Rosji zwalczaną tak konsekwentnie sprawę polską.

W powyższym zarysie starałem się naszkicować najgłówniejsze momenty polityki polskiej Bismarcka: pozostaje rzecz najtrudniejsza — próba jej oceny. Przedewszystkiem rzuca się w oczy fakt, że nie wniósł on do traktowania sprawy polskiej zasadniczo nowych elementów. Wszystkie składniki jego działania: przeświadczenie o niemożności uzgodnienia interesów terytorjalnych obu państw i wynikającej stąd walki na śmierć i życie, metoda tej walki, współdziałanie z Rosją, równocześnie zaś myśl polskiego państwa buforowego na wypadek wojny z caratem, są to rzeczy wynalezione, sformułowane, niejednokrotnie wypróbowane przez cały szereg jego poprzedników. Stwierdzenie tego zjawiska nie obniża wielkości Bismarcka. Cechą prawdziwych mężów stanu jest właśnie zdolność wyczuwania i realizowania wiekowych dążeń ich narodów i państw. Zdolność ta przejawia się u Bismarcka w najwyższym stopniu. W odniesieniu do sprawy polskiej jest on zresztą spadkobiercą nietylko Fryderyka, Flottwella i Grolmana. Istnieje duże podobieństwo pomiędzy działalnością Bismarcka a dwóch największych przeciwników polskości z pierwszej połowy stulecia: Metternicha i Mikołaja I. Z pierwszym łączy go analogiczna polityka socjalna: podobnie jak Metternich uważał Bismarck włościaństwo polskie za odrębną etnicznie rasę, zawojowaną przez szlachtę polską, podobnie nosił się w pewnym momencie (1863) z myślą uzbrojenia ręki chłopskiej dla zgniecenia ruchu narodowego. Pokrewieństwo z Mikołajem zasadza się na nieubłaganem, niezmordowanem tropieniu niebez-

---

[2]) Szymon Askenazy.

pieczeństwa polskiego, gdziekolwiek się ono wychyliło, traktowaniu wszelkich ustępstw dla żywiołu polskiego jako zbrodni przeciw uświęconej solidarności trzech dworów rozbiorczych. Z obu wiąże go wreszcie ujmowanie polskości jako wcielenia wszystkich sił wywrotowych, zagrażających istnieniu świata konserwatywno-monarchicznego. Zależności te i pokrewieństwa potęgują symboliczny niemal charakter postaci Bismarcka jako uosobienia wszystkich wrogich polskości pierwiastków, które wyszły z kuźnicy politycznej trzech dworów rozbiorczych.

Przechodząc do oceny poszczególnych faz polityki polskiej Bismarcka, wypadnie orzec, że pod względem przemyślenia, celowości, sukcesu przedstawiają one bardzo nierówną wartość. W jednych okazał wysoką klasę przodującego męża stanu, inne natomiast ściągały słuszną krytykę współczesnych i potomnych. Dotyczy to przedewszystkiem najbardziej do niedawna wysławianego arcydzieła dyplomacji bismarckowskiej: słynnej konwencji Alvenslebena z 8 lutego 1863. Historjografja przedwojenna upatrywała w niej „najbardziej płodny akt“ działalności Bismarcka [3]) „kamień węgielny wielkości Prus“ [4]). Świeże badania Lorda, oparte na archiwum leningradzkiem dowiodły, że konwencja była krokiem awanturniczym a ryzykownym, który wtrącił Prusy w najwyższe niebezpieczeństwo, zmusiła Bismarcka do haniebnego odwrotu, do dopraszania się w Petersburgu zwolnienia go z zaciągniętych zobowiązań jako o „akt wspaniałomyślności“. Dopiero dzięki późniejszym, nieprzewidzianym wydarzeniom stała się konwencja podstawą przyjaźni prusko-rosyjskiej, źródłem sukcesów Bismarcka. Posługiwanie się sprawą polską w okresie Sadowy i Sedanu dla uzyskania życzliwości Rosji nosi znamiona wysokiego kunsztu dyplomatycznego. Natomiast skojarzenie akcji przeciwpolskiej z *Kulturkampfem* stanowiło błąd niezaprzeczony: zapewnił Bismarck przez to Polakom poparcie potężnego centrum, przyczynił się do uświadomienia narodowego mas, zniszczył potężne narzędzie wychowania społeczeństwa w duchu lojalności państwowej, jakie posiadał dwór berliński w Ledóchowskim. Sam kanclerz zdawał sobie później sprawę z niewłaściwości swojej taktyki. Podjęta w 1885 akcja przeciw-

---

[3]) Matter.

[4]) Sybel.

polska bezpośrednio po zlikwidowaniu *Kulturkampfu* i przyjęciu rozjemstwa papieskiego w sporze o Karoliny, stanowiła próbę oddzielenia spraw kościelnych od polskich, próbę zresztą nieudaną. Centrowcy niemieccy, nieostygli jeszcze z ognia „walki kulturalnej“, zdezorjentowani w dodatku wystąpieniami publicystów w rodzaju Hartmanna, proklamujących równoczesną ofensywę niemieckości i protestantyzmu, ujrzeli w posunięciu Bismarcka nowy zamach na katolicyzm i kruszyli kopje w obronie Polaków z żarliwością, przypominającą najpiękniejsze dni „przyjaźni“ polsko-niemieckiej. Planowany przez Bismarcka system zwalczania polskości w Poznańskiem stał niewątpliwie wyżej aniżeli program narodowych liberałów, jednak kanclerz nie znalazł dość sił do przeparcia go, skapitulował przed większością ministerstwa, u schyłku życia musiał przyznać, że do szeregu wrogów państwowości pruskiej przeszedł również — chłop polski. Nie udało się wreszcie rozwiązać Bismarckowi najdonioślejszego problemu, związanego z sprawą polską, mianowicie stosunku do Rosji. Jednocząc Niemcy bez rozgromienia caratu przygotował śmiertelną jego nienawiść, przygotował przyszłą wojnę, a wraz z nią nieuchronne sięgnięcie do tylokrotnie zwalczanej koncepcji polskiego państwa buforowego.

W rezulacie okazuje się, że stworzony przez nacjonalizm niemiecki dla celów przeciwpolskich obraz Bismarcka wymaga dwóch zasadniczych korektyw. Bismarck był wielkim szermierzem pruskiego *Drang nach Osten*, nie był wszelako ojcem duchowym systemu hakatystycznego z jego teorją jednolitości narodowej państwa i akcją eksterminacyjną przeciw chatom włościańskim. Z drugiej strony zarysowywany niejednokrotnie z taką ostrożnością kontrast pomiędzy polityką Bismarcka a Bethmanna-Hollwega musi ulec w świetle najnowszych świadectw znacznemu złagodzeniu. Rozdarcie wiekowej przyjaźni z Petersburgiem i akt 5 listopada 1916 stanowił nie jaskrawe zaprzeczenie polityki założyciela Rzeszy, ale naturalne rozwiązanie problemów, stworzonych przezeń i przekazanych następnemu pokoleniu.

WASSAN-GIREJ DŻABAGI.

# KONFLIKT PALESTYŃSKI.

Przed wielką wojną Żydzi zamieszkiwali Palestynę w liczbie około 60.000, z których większa częśćć utrzymywała się z ofiar pobożnych świata żydowskiego, z jałmużny, którą im nadsyłały z za morza gminy żydowskie. Wówczas do Palestyny wyjeżdżali przeważnie Żydzi w wieku sędziwym i spędzali tam swój czas głównie na lamentach u „Ściany Płaczu", przypominając wciąż i uparcie Jehowie jego obietnicę o przywróceniu dawnej świetności narodowi żydowskiemu. Największem życzeniem i celem życia tych starców było znalezienie sobie, u kresu swych dni, miejsca wiekuistego spoczynku w dolinie Józefata. Do tych pobożnych nędzarzy należy dodać jeszcze niewielką liczbę uciekinierów rosyjskich i rumuńskich, których Edmund Rotszyld osiedlił własnym kosztem drobnemi kolonjami na ziemiach, nabytych od rządu sułtańskiego. Ogółem przed wojną liczyło się takich kolonij około 42, rozrzuconych przeważnie w Judei i na równinach Jesreel i w Galilei. To też przedwojenna kolonizacja żydowska w Palestynie była próbą, podjętą na bardzo skromnych podstawach, i to przeważnie środkami jednego żydowskiego bogacza.

Dopiero po wojnie kolonizacja żydowska w Palestynie przybrała większe rozmiary, dzięki rozwojowi ruchu sjonistycznego, którego główne dążenie stanowi utworzenie w Palestynie państwa żydowskiego.

Ruch ten powstał jeszcze przed wojną. Był on spowodowany nędzą i prześladowaniami Żydów w ghettach Europy wschodniej. Celem uratowania swych nieszczęśliwych braci, pewien odłam inteligencji żydowskiej, przeważnie w Niemczech, powziął myśl znalezienia dla nich kraju, któryby należał całkowicie do Żydów,

i gdzieby mogli oni sobie znaleźć, pośród gminy swych współwyznawców, stałą pracę i bezpieczeństwo.

Oficjalny początek sjonizmu datuje się od sierpnia 1897, gdy odbył się, pod przewodnictwem Teodora Herzla, pierwszy kongres sjonistyczny w Bazylei. Kongres ten uchwalił następujący program organizacyj sjonistycznych:

> Sjonizm dąży do utworzenia dla narodu żydowskiego „Ogniska" w Palestynie, korzystającego z gwarancji prawa publicznego.
>
> By osiągnąć ten cel, kongres będzie się starał: 1) popierać w sposób odpowiedni kolonizację Palestyny za pośrednictwem rolników, robotników i rzemieślników; 2) organizować i grupować całość świata żydowskiego w stowarzyszenia miejscowe i ogólne, zgodnie z ustawami różnych krajów; 3) wzmacniać wśród Żydów poczucie godności narodowej i uświadomienie rasowe; 4) czynić kroki przygotowawcze, zdążające do otrzymania zezwoleń rządowych, potrzebnych dla osiągnięcia celu sjonizmu.

Żydzi, którzy na początku wojny światowej stali po stronie państw centralnych, przeszli w drugiej połowie 1917 na stronę koalicji przeciwniemieckiej. Jako warunek swych sympatyj i swego poparcia finansowego dla sprawy aljantów, żydzi, w osobach przywódców sjonizmu Weizmana i Sokołowa, zażądali określenia zawczasu statutu przyszłego „Ogniska narodowego Żydów" w Palestynie. I rzeczywiście, rząd brytyjski wystosował, za podpisem Lorda Arthura Balfoura, 2 listopada 1917, list do Lorda Rotszylda z następującą deklaracją:

> Rząd Jego Królewskiej Mości patrzy przychylnie na urządzenie w Palestynie ogniska narodowego dla narodu żydowskiego i użyje wszelkich starań dla ułatwienia osiągnięcia tego celu. Rozumie się, jednak, przytem, że nie będzie zrobione nic takiego, coby mogło uszczuplić prawa cywilne i religijne społeczeństw nieżydowskich, istniejących w Palestynie, ani też praw i statutu politycznego, z jakich korzystają Żydzi w jakimkolwiek innym kraju.

W dniu 14 lutego 1918, do deklaracji Balfoura przystąpił i rząd francuski, wystosowując do p. Sokołowa list, podpisany przez ministra spraw zagranicznych, p. Pichona. 9 maja 1918 złożył oświadczenie o swej zgodzie na popieranie sprawy wprowadzenia w życie deklaracji Balfoura również i rząd Italji. Następnie oświadczenie o sympatjach dla dążeń sjonistycznych do utworze-

nia w Palestynie ogniska narodowego złożyły: Japonja (31 grudnia 1917), Szwajcarja (16 października 1918), Stany Zjednoczone (uchawała Kongresu amerykańskiego z 30 czerwca 1922), Rumunja (4 stycznia 1925) i Polska (1 lipca 1925).

W liście, wystosowanym pod adresem p. Sokołowa, oświadczył polski minister spraw zagranicznych hr. Aleksander Skrzyński, że rząd polski śledzi z wielkiem zainteresowaniem układy, zawarte przez organizację sjonistyczną w celu wskrzeszenia indywidualności i kultury narodowej izraelitów na terenie narodowej ich kolebki historycznej. Dodał jednak, że rząd polski udzieli swego poparcia moralnego o tyle, o ile dozwalają na to statuty Ligi Narodów i traktaty międzynarodowe, oraz o ile usiłowania sjonistyczne nie uszczuplą praw i interesów innych narodów, mieszkających w Palestynie, ani też sytuacji Mejsc Świętych, wspólnych dla narodów katolickich i chrześcijańskich.

Po ukończeniu wojny światowej kwestja żydowska w Palestynie miała być rozwiązana w traktacie pokojowym z Turcją, jednak, decydującą rolę w tej sprawie odegrała konferencja w San Remo, w kwietniu 1920, na której wielkie mocarstwa podzieliły mandaty przewidziane przez traktaty pokoju. Mandaty te stanowiły część ogólnego systemu politycznego, mającego określić statut tak zwanego Bliskiego Wschodu, to znaczy byłych posiadłości Imperjum Ottomańskiego. W niektórych rejonach, zamieszkałych przez ludność muzułmańską, zostały utworzone niezależne państwa arabskie: Jemen, Neżd i Hedżas. Inne zaś rejony zostały oddane pod mandat francuski (Syrja), albo mandat brytyjski (Palestyna, Transjordanja i Irak).

Mandat brytyjski nad Palestyną został zatwierdzony przez Radę Ligi Narodów 16 września 1922. Statut mandatowy zawiera 28 paragrafów i reguluje obowiązki mandatarjusza w stosunku do administracji w Palestynie. Mandatarjusz posiada pełnię władzy ustawodawczej i administracyjnej z nielicznemi wyjątkami, ustalonemi w samym statucie. Mandatarjusz zobowiązany jest stworzyć w kraju stan rzeczy, pod względem politycznym, administracyjnym i gospodarczym, pozwalający na urządzenie żydowskiego Ogniska Narodowego i zabezpieczający jednocześnie rozwój instytucyj przyszłych wolnych rządów, oraz ochronę praw cywilnych i religijnych wszystkim mieszkańcom Palestyny, bez względu na

ich rasę lub religję. Mandatarjusz ma popierać, o ile możności, samorządy miejscowe.

Artykuł 4 postanawia, że zostanie urzędowo uznany odpowiedni organizm żydowski, który będzie miał prawo wypowiadać swoje zdanie wobec administracji palestyńskiej i współpracować z nią we wszystkich kwestjach gospadrzych, społecznych i innych, dotyczących urządzenia żydowskiego ogniska narodowego i wogóle interesów ludności żydowskiej w Palestynie.

Artykuł 6 oświadcza, że, dbając wszelako o to, by nie uszczuplono prawa i sytuacji innych części ludności, administracja Palestyny ma ułatwić immigrację żydowską oraz popierać osiedlenie Żydów na terenach kraju, włączając w nie domeny państwowe i nieużytki.

Artykuł 13 przewiduje, że mandatarjusz jest odpowiedzialnym całkowicie w sprawach, dotyczących Miejsc Świętych, budynków i siedzib religijnych w Palestynie, włączając w nie i odpowiedzialność za przestrzeganie ustaw istniejących oraz zabezpieczenie wolnego dostępu do Miejsc Świętych i wolnego wykonywania kultu. We wszystkich tych sprawach mandatarjusz jest odpowiedzialny jedynie przed Ligą Narodów. W tym samym artykule zaznacza się jednocześnie, że „nic w niniejszym mandacie nie może być interpretowane jako upoważnienie do rozporządzania nieruchomością, albo do wtrącania się do administrowania świątyń czysto muzułmańskich, których przywileje są zabezpieczone".

W artykule 14 przewiduje się mianowanie przez mandatarjusza specjalnej komisji, w składzie zatwierdzonym przez Radę Ligi Narodów, dla przestudjowania i uregulowania wszelkich praw i reklamacyj, dotyczących Miejsc Świętych, jak również i różnych gmin wyznaniowych.

Urzędowemi językami w Palestynie artykuł 22 uznaje angielski, arabski i hebrajski.

*

* *

Układy, zawarte między aljantami podczas wojny, poruszyły arabskich patrjotów palestyńskich, którzy obawiali się, że Palestyna może być odłączona od Syrji. Już 5 września 1917, więc jeszcze przed deklaracją Balfoura, organ nacjonalistów arabskich *Orient Arabe,* nawiązując do wiadomości o zamiarze aljantów podziału Palestyny i Syrji, pisał:

Doszły nas wiadomości, że na konferencji w Saint-Jean-de-Maurienne rozważana była kwestja umiędzynarodowienia Palestyny. Co się tyczy właściwej Syrji, względem niej podobne zamiary nie istnieją. Decyzja powyższa została powzięta, jak się zdaje, na skutek życzenia, wyrażonego przez pewne mocarstwa, okupowania przez siebie Ziemi Świętej.

Organ protestuje w sposób najbardziej stanowczy przeciwko temu zamiarowi, będącemu w jaskrawej sprzeczności z zasadą prawa ujarzmionych narodów do stanowienia o swych losach, zasadą, o którą walczyli aljanci i w której imię wzywali te narody do walki po stronie sprzymierzeńców o swą wolność i niepodległość. Pozatem pismo podkreśla z naciskiem, że w istocie Syrja i Palestyna stanowią niepodzielną całość, zamieszkałą przez jeden i ten sam naród arabski, i że kraje te nie posiadają nawet naturalnej granicy. W uzasadnieniu tego poglądu pismo przytacza opinję francuskiego senatora Flandin'a, który uważa Palestynę za południową część Syrji i który twierdzi, że, ani pod względem geograficznym, ani pod względem etnicznym Palestyna i Syrja niczem się nie różnią, i że Palestynę i Syrję zamieszkuje ludność o tym samym języku i o tych samych interesach gospodarczych. Jednocześnie pismo podnosi z naciskiem ,że Arabowie, bądźto palestyńscy, syryjscy, albo mieszkańcy olbrzymiego półwyspu Arabskiego, dążą do założenia Stanów Zjednoczonych Arabji.

Co się tyczy kwestji sjonistycznej w Palestynie, nacjonaliści arabscy uważali ją już wówczas nie za ruch religijny, lecz wyłącznie narodowy i polityczny.

Ze swej strony sjoniści, jak to wynika z artykułów wybitnych działaczy sjonistycznych, Izraela Zangwill [1]) i Izraela Bogovine [2]) domagali się całkowitej okupacji Palestyny, tak pod względem terytorjalnym, jak i politycznym, a nawet wysiedlenia ludności arabskiej z tego kraju.

Mimo protestu Komitetu Wykonawczego Kongresu Arabów palestyńskich, zgłoszonego telegraficznie do Rady Ligi Narodów na kilka dni przed powzięciem przez Radę decyzji o powierzeniu Anglji mandatu nad Palestwyną, mandat ten tem niemniej został

---

[1]) *Paris Midi* 6 grudnia 1917.

[2]) *Gazette de Lausanne* 8 kwietnia 1918.

zaratyfikowany 22 lipca 1922. W proteście arabskiem brali udział jednakowo, tak Arabowie muzułmanie, jak i chrześcijanie.

W marcu 1923 znaleźli się, jednak, w samej Anglji, mianowicie w Izbie parów, obrońcy żądań arabskich. Lord Islington i Lord Sydenham oświadczyli, że utworzenie z Palestyny odrębnego kraju stanowi pogwałcenie danych przez Anglję zobowiązań i że okoliczność ta odbiła się w sposób najbardziej niepożądany na interesach brytyjskich w świecie muzułmańskim.

Wobec niezadowolenia Arabów, próby angielskie współpracy z nimi spełzły z samego początku na niczem. Członkowie muzułmańscy i chrześcijańscy nowej Rady opinjodawczej, mianowani przez Sir Herberta Samuela, wysokiego komisarza brytyjskiego, podali się do dymisji już 29 maja 1923 i Rada ta została zniesiona. Jednocześnie Kongres Arabów palestyńskich odrzucił wszelki projekt zaciągnięcia pożyczki zagranicznej. Uchwała ta była tembardziej nieprzyjemną dla Anglji, że brytyjski *Colonial-Office* wyasygnował już przedtem rządowi palestyńskiemu, jako zaliczkę, 1.400.000 funtów szterlingów na rozchody budżetowe na 1923/24. W październiku 1923, 26 delegatów arabskich, zwołanych przez wysokiego komisarza, odmówiło założenia Ajencji Arabskiej *(Arab Agency)*, składając jednocześnie oświadczenie, że żądają oni rządu konstytucyjnego.

W początku 1924 w *Contemporary Review* ukazał się artykuł Sir Ramsay Mac Donalda, który wkrótce potem został premjerem angielskim, napisany z powodu odbytej przezeń podróży po Palestynie.

Artykuł ten zawierał między innemi następujące, nader charakterystyczne ustępy:

> Istniała jednak inna racja dla domagań się muzułmanów:
>
> Sprowokowaliśmy rewoltę Arabów przeciwko Turcji, obiecując utworzyć państwo arabskie, złożone ze wszystkich prowincyj dawnego Imperjum Tureckiego, włączając w nie i Palestynę.
>
> Jednocześnie lansowaliśmy wezwanie do Żydów, prosząc o ich pomoc i obiecując, że zostanie im oddana Palestyna pod zarząd i dla celów kolonizacyjnych.
>
> Jednocześnie zawarliśmy jeszcze tajny układ Sykes-Picot z Francją, kalecząc w ten sposób kraj, którego posiadanie zostało obiecane uroczyście przez naszych rezydentów generalnych w Egipcie i w naszem imieniu, Arabom. Naogół traktowaliśmy Arabów w sposób nierozumny i warjacki.
>
> Oto tło, na jakiem powstały obecne zagadnienia palestyńskie.

W broszurce, wydanej w 1924, *Wrażenia pielgrzyma palestyńskiego,* p. Mac Donald, pisał:

> Podtrzymywaliśmy powstanie Arabów przeciwko Turcji, obiecując im królestwo arabskie, złożone z arabskich prowincyj państwa Tureckiego, włączając i Palestynę. Jednocześnie nawoływaliśmy Żydów do okazania pomocy (pieniężnej) dla prowadzenia wojny, przyrzekając oddać do ich dyspozycji Palestynę. Nareszcie, zawarliśmy z Francją traktat tajny, w którym przewidziany był podział tego terytorjum. Dowodzi to o dwulicości i dlatego też wszystkie zarzuty przeciwko nam, mają podstawę. Ktokolwiek zna dążenia Wschodu, nie może się oddawać złudzeniu, że Arabowie wszystko zrozumieli i wszystko przebaczyli...
>
> ...W Palestynie dojrzewa zatarg między średniowieczem, a XX stuleciem. Jednak w danym wypadku nowa kultura nie powstaje wśród ludności osiadłej. Tworzy się ona drogą immigracji nowej ludności. Balfour złożył deklarację, która została przyjęta przez Żydów z całem przekonaniem, że zostanie im przekazana Palestyna i że zajmą oni swoje miejsce wśród innych narodów. Jest rzeczą możliwą, że p. Balfour nie wiedział właściwie tego, co obiecał. Lecz rząd angielski robi, co tylko może, by dowieść, że wszystkie obietnice Balfoura, dane Żydom, są zupełnie bezcelowe. Fale immigracji żydowskiej, które się rozpoczęły wślad za deklaracją Balfoura, wywołały obawę ze strony Arabów. Następstwem tego stał się początek groźnego i poważnego zatargu rasowego...
>
> ...Żydzi muszą wiedzieć o tych trudnościach. Nie wystarcza bynajmniej domagać się od naszego rządu, by dotrzymał on swojej obietnicy. Żydzi muszą przez swą pracę utworzyć równowagę w Palestynie. Są oni również odpowiedzialni za rozwiązanie problematu arabskiego. Nie mogą oni urzeczywistnić swego programu bez żadnych warunków i przekazać nam zadanie otwarcia szerokiej drogi dla urzeczywistnienia ich celów...

Obietnica Arabom, o której mówi p. Mac Donald jest to list, wystosowany 24 października 1915 przez Sir Henri MacMahona, wysokiego komisarza angielskiego w Egipcie, do szeryfa Mekki, przyszłego króla Hedżasu Husseina. W liście tym Wielka Brytanja zobowiązała się uznać i popierać niepodległość arabską na południu od 37 stopnia równoleżnika, z wyjątkiem Syrji nadbrzeżnej i Libanu, zarezerwowanych dla Francji. Ponieważ równoleżnik ten przechodzi przez linję, położoną na północy od obecnej granicy turecko-syryjskiej, zatem anglicy zobowiązali się wobec szeryfa Husseina dopomagać mu w założeniu wielkiego imperjum arabskiego na całej przestrzeni zamieszkania Arabów, tak w Azji Mniejszej, jak i na półwyspie Arabskim.

Następnie układ Sykes-Picot z 9 maja 1916, o którym wspomina również p. Mac Donald, przewidywał zarząd międzynarodowy dla Palestyny (strefa bronzowa). Artykuł 3 tego układu postanawiał, że:

> W strefie bronzowej ma być wprowadzona międzynarodowa administracja, której forma zostanie ustalona, po porozumieniu z Rosją i wspólnie z innymi aljantami oraz z przedstawicielem szeryfa Mekki.

*

* *

Zastąpienie Turków przez Anglików nie przyczyniło się bynajmniej do uspokojenia umysłów w Palestynie. Gdy przed wojną wystarczało kilku żandarmów tureckich dla zabezpieczenia tam porządku, obecnie znaczna liczebnie żandarmerja angielska i żandarmerja miejscowa nie jest zdolna do przeszkodzenia ciągłym zamieszkom w tym kraju, które są odpowiedzią na niedotrzymanie przez Anglików danych w swoim czasie obietnic Arabom.

Ta ciągła agitacja arabska przeciwko okupacji angielskiej musiała się naturalnie odbić na stosunkach Arabów ze sjonistami, tak, że z czasem zatarg Arabów z Żydami przybrał nawet formy jeszcze ostrzejsze, aniżeli spór arabsko-angielski. Nieporozumienia arabsko-żydowskie są bezpośrednim wynikiem prób żydowskich do wtargnięcia w środowisko arabskie, a to w celu całkowitego opanowania przez sjonistów sytuacji w kraju.

Arabowie z początku ustosunkowali się do deklaracji Lorda Balfoura dosyć tolerancyjnie, myśląc, że sjonizm nie może im zagrażać ani narodowo, ani politycznie, i byli gotowi zabezpieczyć Żydom całkowicie ich interesy i potrzeby religijne w Ziemi Świętej. Zresztą, jest wiadomem, że w ciągu 1300 lat Arabowie muzułmańscy i chrześcijańscy byli w największej zgodzie, a to z powodu wielkiej tolerancji Islamu. Kwestja sjonizmu nie budziła obaw wśród Arabów dopóty, dopóki ludność żydowska w Palestynie była nikłą, w parównaniu z ludnością arabską.

I rzeczywiście, w 1919 ilość Żydów w Palestynie wynosiła mniej więcej 65.000 wobec 620.000 Arabów. Jednakże, od tego czasu, dzięki opiece angielskiej, udało się sprowadzić do Palestyny znaczną ilość kolonistów, tak, że w 1922 liczba Żydów wynosiła już przeszło 83.000, i w 1925 — 114.000 (na 703.000 Arabów).

Od tego czasu, a także z powodu potęgującej się ciągle agre-

sywności żydowskiej i ujawnieniu przez nich celów czysto politycznych, zdążających do całkowitego opanowania kraju, tak pod względem politycznym, jak i gospodarczym i kulturalnym, wywołało zaniepokojenie wśród Arabów, nietylko palestyńskich, lecz i całej Arabji.

Niezadowolenie Arabów z kolonizacji żydowskiej ujawniło się w sposób gwałtowny poraz pierwszy w kwietniu 1920, gdy zaszły pierwsze rozruchy antyżydowskie w Jerozolimie. W maju 1921 miał miejsce krwawy pogrom w Jaffie i Szaronie, a w listopadzie tegoż roku trzecie krwawe starcie w Jerozolimie. Prócz tego dokonano w tym samym czasie napadu na kolonje żydowskie w Petah Tikwa, Gedera i Rocheboth. Zamieszki te zostały prędko zlikwidowane, nie pociągnęły za sobą poważnych następstw i w niczem nie przeszkodziły dalszemu rozwojowi sjonizmu palestyńskiego.

Natomiast daleko rozleglejsze i straszniejsze rozmiary przybrały starcia arabsko-żydowskie w sierpniu 1929. Zdarzenia te odbiły się głośnem echem w świecie całym i stały się początkiem nowej ery w stosunkach arabsko-żydowskich i punktem zwrotnym w polityce sjonistycznej.

Przechodząc do wyjaśnienia bliższych przyczyn ostatnich rozruchów palestyńskich, należy stwierdzić przedewszystkiem, że w Palestynie panował najgłębszy spokój za czasów ottomańskich, gdy kilku żandarmów tureckich wystarczyło, by utrzymać spokój. Dopiero po przejściu pod mandat angielski Palestyny rozwija się współzawodnictwo, zaczyna się zatarg między Arabami a Żydami.

Arabowie od czasu podboju Palestyny stanowili zawsze większość w tym kraju i czuli się tam jedynymi gospodarzami. To też, gdy po wielkiej wojnie dowiedzieli się, że Wielka Brytanja, na podstawie deklaracji Balfoura, uznała prawo Żydów do założenia w Palestynie żydowskiego ogniska narodowego i że Żydzi mają wrócić do Palestyny jakby do swej ojczyzny, zatrwożyli się o swe prawa gospodarzy. Deklaracja Balfoura stała się istotnie sygnałem do pierwszej inwazji żydowskiej. Aczkolwiek emigracja żydowska w ciągu 10 lat nie przekroczyła liczby 70—80.000 i chociaż Żydzi w Palestynie zostawali w dalszym ciągu, pod względem ilościowym, nieznaczną mniejszością w porównaniu z Arabami, jednak, mniejszość ta zagrażała większości arabskiej dzięki swemu bo-

gactwu, swej aktywności oraz ze względu poparcia ze strony żydowstwa światowego państwa mandatowego.

Gdy na ogólną liczbę 685.000 mieszkańców Palestyny w 1919 ilość Żydów wynosiła 65.000, w końcu marca 1929 stosunek ten zmienił się w sposób następujący. Ludność Palestyny w tym czasie składała się z 794.816 mieszkańców, i w tej liczbie 557.649 muzułmanów, 149.554 Żydów, 78.493 chrześcijan (przeważnie Arabów) i około 9.000 mieszkańców, wyznających inne religje. Urzędowa statystyka ustalona pozatem, że w ciągu 1928, wśród Żydów stosunek urodzeń do śmiertelności wynosił 3,6:1, gdy tymczasem dla Arabów, muzułmanów lub chrześcijan, stosunek ten był mniejszy, mianowicie 2:1. Na podstawie tych danych, obliczono, że gdyby emigracja żydowska trwała w dalszym ciągu w tym samym tempie jak dotychczas, to za 40 lat Żydzi zrównaliby się liczebnie z Arabami. Wówczas, dzięki lepszej sytuacji ekonomicznej i znanej aktywności żydowskiej, Arabowie musieliby ulec przewadze żydowskiej.

W tych warunkach obawa przed podobną ewentualnością stała się przyczyną niechęci i nienawiści arabskiej przeciwko Żydom. Niechęć ta znalazła swe ujście w rozruchach sierpiowych. Bezpośrednia odpowiedzialność za rozruchy spada na Arabów, lecz polityka sjonistyczna i angielska doprowadziła patrjotów arabskich do rozpaczy, zmuszając Arabów, z braku innych środków, do obrony swych interesów w ostrej walce.

Ostatnie rozruchy arabsko-żydowskie wybuchły na tle nieznacznego zatargu religijnego o posiadanie „Ściany Płaczu", pozostałej po starożytnej świątyni Salomona i otaczającej pewną część podwórka meczetu Omara. Jest nader charakterystycznem, że starcia rozpoczęły się w trzy dni po zamknięciu XVI kongresu sjonistycznego w Zurychu, kóry powziął szereg doniosłych dla przyszłości sjonizmu w Palestynie uchwał. Niema żadnej wątpliwości, że kongres podniecił nastroje obu stron. Rozszerzenie, zgodnie z uchwałą kongresu, Ajencji Żydowskiej *(Jewish Agency)* przez przystąpienie do niej i niesjonistycznych organizacyj żydowskich oraz szerokie widoki otrzymania znacznych kapitałów od Żydów amerykańskich na dzieło rozbudowy sjonizmu w Palestynie, ożywiło nadzieje Żydów palestyńskich na poprawę ich sytuacji i na przypływ nowych rzesz kolonistów. To nowe usposobienie odbiło się na zachowaniu się młodzieży sjoni-

stycznej w Palestynie względem Arabów. Jednocześnie wiadomości o przebiegu prac na kongresie sjonistycznym i o szerokich perspektywach, otwierających się przed sjonizmem wskutek rozszerzenia Agencji Żydowskiej, wywołały niepokój i obawę wśród Arabów palestyńskich. W tej atmosferze wystarczyło najmniejsze zajście między obu stronami, by spowodować ogólne rozruchy.

Na XVI kongresie w Zurychu w sierpniu 1929 omawiano przeważnie dwa punkty: 1) wzajemny stosunek organizacji sjonistycznej z Anglją, jako państwem mandatowem i 2) rozszerzenie Ajencji Żydowskiej.

Co do punktu pierwszego wszystkie odłamy i prądy organizacji sjonistycznej ujawniły całkowitą zgodność zapatrywań co do niedotrzymania przez Anglję przyrzeczenia utworzenia w Palestynie „Żydowskiego Ogniska Narodowego“. Krytyka stanowiska władz angielskich w Palesynie wobec Żydów przybierała na kongresie niekiedy formy wprost gwałtowne. Nawet sam prezes organizacji sjonistycznej prof. Chaim Weizmann musiał przyznać, że rzeczywiście nie wszystko co się dzieje obecnie w Palestynie jest dobre, lecz, że wraz „ze zwiększeniem liczby przyjaciół sjonizmu w szeregach przywódców życia politycznego Anglji, braki władz angielskich w Palestynie zostaną usunięte“. Pozatem Weizmann twierdził, że najlepszym środkiem trafienia do przekonania Wielkiej Brytanji, jak i ukazania całemu światu cywilizowanemu konieczności budowy Palestyny żydowskiej będzie uparta praca kolonizacyjna oraz powodzenie tej pracy.

Na posiedzeniu 18 sierpnia 1929 rada rozszerzonej już Ajencji Żydowskiej powzięła następujące uchwały:

> Zważywszy, że Wielka Brytanja, zapomocą deklaracji Balfoura, zobowiązała się przedsięwziąć wszelkie usiłowania, by stworzyć w Palestynie Ognisko Żydowskie i że ta deklaracja historyczna została przyjęta do wiadomości przez Ligę Narodów, która powierzyła Anglji mandat nad Palestyną;
>
> Zważywszy, że mandat Ligi Narodów przewiduje utworzenie Ajencji Żydowskiej jago organu reprezentacji narodu żydowskiego, że Anglja sankcjonowała rozszerzenie Ajencji Żydowskiej, jako organu, kóry ma regulować, wraz z administracją angielską, wszystkie sprawy, dotyczące Żydowskiego Ogniska Narodowego, że Anglja zgodziła się na rozszerzenie Ajencji Żydowskiej pod warunkiem wejścia w jej skład przedstawicieli narodu żydowskiego, tak ze strony sjonistów, jak i niesjonistów,

1) Rada Ajencji Żydowskiej wyraża swoje zadowolenie z powodu, że cały naród żydowski złączył się naokoło myśli utworzenia Żydowskiego Ogniska Narodowego w Palestynie i wzywa wszystkie rzesze żydowskie do przyjęcia udziału w tej pracy;

2) Rada Ajencji Żydowskiej wyraża Anglji swoje podziękowanie za jej deklarację Balfoura i wyraża nadzieję, że rząd mandatowy będzie współpracował z rozszerzoną Ajencją;

3) Rada upoważnia komitet administracyjny i Egzekutywę do poinformowania, w formie kategorycznej, rządu mandatowego, że uczucie całego narodu żydowskiego jest dotknięte głęboko w związku ze zdarzeniami, jakie zaszły niedawno u „Ściany Płaczu" i upoważnia domagać się od Anglji, by zostały powzięte środki, by podobne zdarzenia nie powtarzały się i by, nareszcie, cały problem „Ściany Płaczu" został ostatecznie rozwiązany;

4) Głównym aparatem finansowym Ajencji Żydowskiej jest *Keren Gaesod*. Wobec tego, że odbudowa Palestyny zależy całkowicie od możliwości finansowych, jakie będzie posiadała Ajencja Żydowska, Żydzi wszystkich krajów są zapraszani do udziału drogą składania składek finansowych do *Keren Gaesod*'u;

5) Rada upoważnia komitet administracyjny i Egzekutywę do przedsięwzięcia wszelkich możliwych środków, by wszystkie ugrupowania narodu żydowskiego, które dotychczas nie weszły do Ajencji, przystąpiły do niej i wzięły udział w jej pracy.

Mimo, że rozszerzenie Ajencji stanowi niewątpliwie znaczy sukces, zwłaszcza pod względem widoków finansowych, jednak, spowodowane ono było obawą przed bankructwem sjonizmu, i wcale nie odpowiadało życzeniom samych sjonistów.

Rozszerzona Ajencja Żydowska miała stanowić dowód dążenia całego narodu żydowskiego do odbudowy Palestyny. Konieczność tego rozszerzenia ujawniła się już w całej pełni na poprzednim XV kongresie sjonistycznym, odbytym w 1927 w Bazylei, a to pod naciskiem dwuch okoliczności: 1) deficytowej gospodarki sjoni stów (deficyt w tym roku wynosił około 150 tysięcy funtów szterlingów, a wraz z dawnym deficytem — 275 tysięcy szterlingów) i 2) katastrofy gospodarczej kolonistów żydowskich w Palestynie, poczynając od drugiej połowy 1925 aż do ostatnich czasów. To też XV kongres sjonistyczny musiał wyznać przed światem, że sjonizm jest za słaby dla odbudowania Palestyny i że z zadania swego nie potrafi wywiązać się inaczej, jak pod warunkiem przyjścia mu z pomocą finansową amerykańskich i angielskich Żydów. To też p. Weizmannowi było polecone nawiązanie pertraktacyj z bogaczami amerykańskimi i angielskimi celem rozszerzenia Ajen-

cji Żydowskiej, w której połowę członków stanowić będą sjoniści, a drugą połowę — niesjoniści. Podobna uchwała zapadła dla uratowania sjonizmu od zupełnego bankructwa. To też liczne głosy ostrzegawcze, że wejście do Ajencji Żydowskiej czynników niesjonistycznych osłabi sjonizm, nie odniosły, wobec groźnej sytuacji, żadnych skutków.

I rzeczywiście, gdy przywódcy sjonizmu zwrócili się, na podstawie uchwały kongresu, z prośbą o pomoc do tych właśnie ludzi, którzy do tego czasu byli uważani za największych wrogów sjonizmu, amerykańscy i angielscy bogacze żydowscy przyjęli zasadniczo propozycję sjonistów i wysłali niezwłocznie do Palestyny komisję fachowców, złożoną z rolników, ekonomistów i inżynierów, z poleceniem zbadania na miejscu sytuacji kraju oraz możliwości dalszego rozwoju. Komisja ta złożyła w tym samym roku sprawozdanie, które było do pewnego stopnia w sprzeczności z szerokiemi planami sjonistycznemi. Sprawozdawcy stwierdzili przedewszystkiem, że immigracja żydowska do Palestyny ma być „utrzymana w należytej równowadze między liczbą immigrantów a potrzebami gospodarczemi kraju", czyli zalecało się wielką ogledność i umiarkowanie w bezplanowem wpuszczaniu immigrantów. To też sprawozdanie komisji aprobowało stanowisko rządu angielskiego, który wydawał przepisy, ograniczające immigrację osób bez odpowiednich środków do egzystencji. Innej opinji komisja nie mogłaby wydać w warunkach, jakich Palestyna znajdowała się w ostatnich trzech latach (1926—1928), bo w tym właśnie czasie kraj przechodził poważne przesilenie gospodarcze, które spowodowało nędzę i bezrobocie właśnie wśród Żydów nowo przybyłych i przyczyniło się nawet do powstania powrotnej fali wyjazdów Żydów z Palestyny do kraju dawnego swego zamieszkania, jak to widać z następujących urzędowych danych statystyki palestyńskiej:

W 1927—8 immigrowało do Palestyny razem ludności różnych narodowości: w 1927 — 3.595 osób, w tem Żydów — 2.713, a w 1928 — 3.085, w tem Żydów — 2.178, czyli razem Żydów — 4891.

Udział zaś Żydów polskich w tym ruchu immigracyjnym do Palestyny wyrażał się liczebnie w 1927 — 958 i w 1928 — 394, czyli razem 1.352 Żydów polskich.

Co się tyczy reemigracji, t. j. wyjazdów z powrotem z Pale-

styny, kształtowała się ona w sposób następujący: w 1927 wyemigrowało razem osób różnych narodowości 4.704, w tem Żydów 4.431, a w 1928 — 1.708, w tem Żydów 1.563, czyli razem Żydów 5.994.

Udział Żydów polskich w ruchu reemigracyjnym wynosił: w 1927 — 2.498 osób i 1928 — 727, czyli razem 3.225 osób.

Z cyfr powyższych widać, że liczba reemigrantów żydowskich z Palestyny przewyższała w ciągu dwu lat sprawozdawczych liczbę immigrantów żydowskich do Palestyny o 1.103. Liczba zaś reemigrantów Żydów polskich z Palestyny, w porównaniu z immigrantami tychże do Palestyny, była większą o 1.873 osoby.

*

* *

Według określenia jednego z głównych działaczy sjonistycznych, p. Usyszkina, przystąpienie w sierpniu 1929 do składu Ajencji Żydowskiej organizacyj i ugrupować niesjonistycznych, ma stanowić trzecią epokę w rozwoju sjonizmu. Pierwszą erą był ruch, powstały z inicjatywy Pińskera wśród Żydów rosyjskich pod nazwą *Chowewei Zion,* drugą epokę — tak zwanego sjonizmu politycznego, powstałej na podstawie fantazji i utopji dziennikarza wiedeńskiego Teodora Herzla, trzecią erę *Alljudentum,* której twórcą jest Chaim Weizmann.

Kongres sjonistyczny w Zurychu zamknięty został 14 sierpnia 1929, a w trzy dni później, mianowicie pod wieczór 17 sierpnia, zaszły między Żydami a Arabami w Jerozolimie starcia na tle budowy przez muzułmanów bramy, prowadzącej od meczetu Omara na plac przed „Ścianą Płaczu".

Wskutek zebrań protestacyjnych, urządzonych przez ludność żydowską w Jerozolimie 16 sierpnia przeciwko tej budowie oraz przeciw zachowaniu się policji angielskiej, wśród Arabów rozpowszechniła się pogłoska, że Arabowie, pracujący w dzielnicach żydowskich miasta, nie mogą tam się udawać z obawy gwałtów żydowskich. Wobec tego, w pobliskich wsiach arabskich odbyły się zebrania, na których agitatorzy wzywali Arabów do pogromu przedmieść, zamieszkałych przez Żydów. Pozatem w niektórych meczetach, jak naprzykład w meczecie Jaffy, członkowie związku młodzieży arabskiej podniecali muzułmanów przeciwko Żydom. Ze swej strony i prasa arabska przyczyniła się do zaostrzenia sytuacji.

W dniu 17 zrana pochód Arabów przeszedł podczas nabożeństwa przez plac u „Ściany Płaczu“, usuwając stamtąd modlących się Żydów. W ciągu tego samego dnia Arabowie dokonali także napadu na Żydów w różnych częściach miasta, przyczem zostało zranionych kilkanaście osób. W pobliżu uniwersytetu żydowskiego grupa Arabów napadła na młodych Żydów, obrzucając ich kamieniami. Na drugi dzień, w niedzielę 18 sierpnia, Arabowie, którzy obchodzili święto urodzin proroka Mohammeda, napadli na kilku Żydów u bramy Nabłuz, a druga grupa Arabów obrzuciła kamieniami szkołę żydowską *(Tarat Chaiim)*. Także niespokojnie przeszedł i dzień następny. To też władze miejscowe musiały otoczyć licznym oddziałem policyjnym „Ścianę Płaczu“, przed którą odbywają się ciągle, w dzień i w noc, nabożeństwa.

W jednym z następnych dni, podczas pogrzebu zamordowanego przez Arabów Żyda, w którym wzięło udział kilka tysięcy ludności żydowskiej, policja zatrzymała u bramy jafskiej pochód. Wobec tego, że uczestnicy pochodu nie zastosowali się do zakazu i szli w dalszym ciągu naprzód, zaszły zamieszki, podczas których policja zraniła gumowemi pałkami około 20 Żydów.

W piątek 23 sierpnia padły przed „Ścianą Płaczu“ pierwsze wystrzały, które stały się sygnałem do powszechnych starć, które wstrząsnęły całą Palestyną. W Jerozolimie, Nazarecie, nad jeziorem Tyberjady, Saint-Jean d'Acre, w Gaza, kolonje żydowskie zostały spalone i zrabowane; w Hebronie zabito 59 Żydów i 30 Arabów; w Safedzie i w Beisanie oraz innych miejscowościach miały miejsce również krwawe starcia. Ogólny bilans rozruchów wyraził się w kilkuset zabitych i rannych. Szkody materjalne były również bardzo znaczne.

Dlatego, że rozruchy wybuchły prawie jednocześnie w całym kraju, należy przypuszczać, że przygotowano się do nich zawczasu, albo, że przynajmniej atmosfera między Arabami a Żydami była już nasycona wzajemną nienawiścią. Dziwnym zbiegiem okoliczności, rozruchy przypadły na okres, gdy nieobecny był w kraju wysoki komisarz brytyjski sir John Chancelor, i gdy policja i oddziały wojskowe były w liczbie niedostatecznej. Jednak, zdaje się, że policja tubylcza, złożona z muzułmanów, żydów i chrześcijan, spełniła dosyć sumiennie swój obowiązek i że jedyną jej wadą była niewystarczająca liczebność. Porządek został dopiero wtedy

przywrócony, gdy przybyły angielskie oddziały wojskowe z Egiptu i gdy rozpoczęło się działanie eskadr lotniczych, zapomocą rzucanych przez nie bomb.

*

* *

Co najbardziej zadziwiło opinję publiczną, nietylko Anglji lecz i innych krajów, była ta okoliczność, że angielskie władze w Palestynie zostały zaskoczone temi rozruchami. Wiadomem bowiem było powszechnie, że wśród Arabów istniał pewien niepokój z powodu wzmocnienia działalności sjonistycznej, tak w samej Palestynie, jak i poza granicami tego kraju, i że na wiosnę 1929 *Egzekutywa Arabska* wystosowała do wysokiego komisarza brytyjskiego memorandum o charakterze raczej ultymatywnym. Arabowie domagali się mianowicie w tem memorandum: 1) utworzenia parlamentu palestyńskiego, 2) zniesienia deklaracji Balfoura i 3) zamknięcia granicy Palestyny dla immigracji sjonistycznej. W maju tegoż roku w Jaffie propozycje powyższe zostały przedyskutowane i przyjęte przez kongres *Stowarzyszeń Młodzieży muzułmańskiej*. W początkach czerwca zauważyło się spotęgowanie ruchu protestacyjnego przeciwko sprzedaży przez Arabów Żydom terenów. W ciągu tegoż roku zaszło ściślejsze zbliżenie między Arabami chrześcijanami i muzułmanami celem wspólnego zwalczania i oporu przeciwko domaganiom izraelickim. Znamiennym pod tym względem jest artykuł, ogłoszony 16 maja 1929 w arabskim dzienniku *Filastin*, wydawanym w Jaffie przez chrześcijan. Pisano tam:

> Jeżeli palestyńczycy (sjoniści) są ożywieni dobrą wolą i chęcią, niech oni odpowiedzą na następujące pytania: czy jesteście gotowi zrzec się deklaracji Balfoura? czy jesteście gotowi odepchnąć trzykrotnie od siebie myśl o Siódmem Dominjum? czy jesteście gotowi do współpracy z nami celem utworzenia z Palestyny kraju wolnego i niepodległego, rządzonego wyłącznie przez swe dzieci muzułmańskie, chrześcijańskie i izraelickie? czy jesteście gotowi rozwiązać organizację sjonistyczną i *Jewish Agency*, by utworzyć wraz z nami jedyny naród wobec mandatu brytyjskiego, póki mandat ten nie wygaśnie? czy jesteście nareszcie gotowi zrzec się niezwłocznie subsydjów i pożyczek, jakie pozwalają wam nabywać resztę tych ziem, które jeszcze pozostały w posiadaniu Arabów, tak, żeby każdy z nas wart był jedynie tyle, ile zasługuje na to przez swą własną działalność, a nie przez

pieniądze, które wam posyłają Żydzi z całego świata w nadziei odbudowania państwa hebrajskiego, które zniknęło już przed stuleciami? jeżeli wy odpowiecie: tak! my was przyjmiemy jako braci; jeżeli wy odpowiecie: nie! jesteście hipokrytami.

Wielki mufti palestyński Hadżi Emin al Husseini oświadczył zaraz po rozruchach wobec wysokiego komisarza angielskiego w Palestynie p. Chancelora, że Arabowie wysuwają następujące żądania: 1) równouprawnienie Arabów z Żydami pod względem ich praw politycznych; 2) jednakowe traktowanie Arabów z Żydami w dziedzinie gospodarczej; 3) anulowanie udzielonych już koncesyj (stacja Rutenberga, eksploatacja bogactw mineralnych morza Martwego i t. d.) oraz ponowne nadanie koncesyj na zasadzie wolnej konkurencji; 4) powrót do dotychczasowego *status quo* praw do Świętych Miejsc różnych wyznań i 5) wprowadzenie nowych ograniczeń immigracyjnych lub uregulowanie immigracji na podstawie potrzeb społecznych i gospodarczych kraju.

Tenże dygnitarz ponownie zadeklarował później wobec komisji ankietowej Waltera Shaw'a, która miała za zadanie zbadanie przyczyn rozruchów sierpiowych, że uniknięcie na przyszłość powtórzenia zbrojnych zatargów między Arabami i Żydami stanie się możliwem jedynie pod warunkami następującemi: 1) zniesienie deklaracji Lorda Balfoura i 2) utworzenie parlamentu palestyńskiego.

Z mowy, wygłoszonej przed powyższą komisją ankietową przez adwokata oskarżonych o udział w rozruchach Arabów, p. Stokera, anglika z pochodzenia, wynika, że główną przyczyną rozruchów było niedotrzymanie przez Anglików obietnic, danych przez nich w odezwie, zrzucanej podczas wielkiej wojny przez samoloty angielskie i podpisanej przez szeryfa Mekki, a późniejszego króla Hedżasu Husseina, w której zawarte było przyrzeczenie przez Anglików niepodległego państwa arabskiego. Do przyszłej niepodległej Arabji wysoki komisarz brytyjski w Egipcie Sir Mac Mahon włączał i Palestynę. Tymczasem w białej księdze, wydanej w 1922, Anglicy Palestynę wyłączyli. Zatem Wielka Brytanja po okupacji Palestyny nie dotrzymała swej obietnicy i zawiodła nadzieje Arabów. Wbrew protestom arabskim została podpisana deklaracja Lorda Balfoura i „królem Palestyny" mianowany był Żyd Sir Herbert Samuel. Deklaracja Balfoura stanowi akt nielegalny, bo przeczy ona obietnicom danym Arabom przez Mac Mahona

w imieniu rządu angielskiego. Zresztą, deklaracja Balfoura nie została jeszcze sankcjonowana przez parlament londyński. Ta właśnie deklaracja stała się nieszczęściem dla Palestyny. Żydzi zaczęli wykupywać tereny, pozbawiając beduinów pastwisk dla ich bydła, a masowa immigracja żydowska wywołała bezrobocie. Deklaracja Balfoura doprowadziła także do „potwornych koncesyj": Rutenberga na elektryfikację Palestyny, i Nowomiejskiego na eksploatację sól z morza Martwego. Obie te koncesje oddają bogactwa Palestyny w ręce żydowskie.

Nie Arabowie, a Żydzi mówił dalej p. Stoker, podnieśli kwestję religijną. Arabowie życzą sobie utrzymać dawną sytuację, Żydzi zaś marzą o zdobyciu meczetu Omara. Nieprawdą jest, jak to twierdzą Żydzi, że nie dążą oni do tego celu. Tak ambitny i pełny uświadomienia o swej godności naród, jak Żydzi, nie może ograniczyć się „Ścianą Płaczu". Winną w zamieszkach jest podejrzliwość Żydów, których przestraszył remont około „Ściany Płaczu", zarządzony przez muftiego, winni są sjoniści-rewizjoniści z Żabotyńskim na czele, najbardziej szczerym ze sjonistów, winną jest młodzież *Tel-Awiw'u* i, naturalnie, całe społeczeństwo żydowskie w Palestynie, odpowiedzialne za zachowanie swej młodzieży.

Ruch przeciwsjonistyczny w Palestynie prowadzony jest przez trzy następujące organizacje: islamsko-chrześcijański blok arabski, kierowany przesz Musa paszę Kazimi (pierwszy kongres odbył się w grudniu 1920); blok ten odmawia również współpracy z władzą angielską; 2) stronnictwo narodowe *Watani,* z p. Naszaszibi, prezydentem miasta Jerozolimy, na czele, i 3) Wyższa Rada islamska, zarządzająca Miejscami Świętemi, której prezesem *(reis-ul-ulama)* jest wielki mufti Hadżi Emin al Husseini.

Nareszcie, do przeciwsjonistycznego bloku islamsko-chrześcijańskiego należy zaliczyć również włościan arabskich *(fellah'ów),* obawiających się pozbawienia ich przez kolonistów żydowskich ziemi.

Rozruchy sierpniowe w Palestynie wywołały poruszenie daleko poza granicami tego kraju. Przedewszystkiem Żydzi Europy i Ameryki protestowali, drogą zebrań publicznych, adresów i zabiegów, wobec rządów różnych państw, przeciwko pogromom w Jerozolimie i Hebronie, zrzucając winę za zamieszki, nietylko na muzułmanów, lecz i na niedostateczną opiekę władz angielskich w Palestynie. Co się tyczy strony arabskiej, w obronie dążeń

i interesów arabskich w Palestynie wystąpili z protestami przeciwko Anglji i zapewnieniami swych sympatyj dla Arabów, arabscy mieszkańcy Syrji, Iraku, Transjordanji, Hedżasu i Egiptu. Nawet muzułmanie w Indjach angielskich i na wyspie Jawa oświadczyli, że są gotowi bronić, w razie potrzeby, czynnie prawa Arabów do Palestyny.

Arabsko-żydowskie rozruchy sierpniowe w Palestynie stały się, jak tego się należało spodziewać, punktem zwrotnym w ruchu sjonistycznym. Rozruchy te przekonały najbardziej zajadłych sjonistów, że urzeczywistnienie dążeń żydowstwa światowego do stworzenia w Palestynie państwa żydowskiego napotyka na przeszkody, które nie dadzą się w żaden sposób usunąć. Przekonały również one i społeczeństwo angielskie, że prowadzenie nadal przez rząd brytyjski polityki żydowskiej w Paletynie może zakłócić w sposób niepożądany przyjazne stosunki Anglji, nietylko z narodem arabskim, lecz i z całym światem muzułmańskim. Jak się ujawniło z zachowania się władz angielskich w Palestynie już po zamieszkach, Anglja ani społeczeństwo angielskie nie życzą sobie wcale narzucać Arabom przemocą uległości wobec sjonizmu. Ani sądy angielskie, ani komisja ankietowa p. Shaw'a nie dokonały nic takiego, coby mogło wskazywać na decyzje zwalczania przez anglików przeciwżydowskiego ruchu wśród Arabów. Sądy ograniczyły się do ukarania kilku Arabów, a komisja ankietowa powróciła do Londynu z przekonaniem, że w zaszłych rozruchach są jednakowo winni tak Żydzi, jak i Arabowie, i że Żydzi zrobiliby najlepiej, gdyby porozumieli się bezpośrednio z Arabami. Pozatem dla wszystkich nieuprzedzonych stało się jesnem ,że słynna deklaracja Balfoura nie była wcale obietnicą ze strony rządu brytyjskiego odbudowy państwa żydowskiego w Palestynie i mówiła jedynie, iż „rząd brytyjski patrzy przychylnie na urządzenie w Palestynie Ogniska Narodowego dla żydów“, rozumiejąc przytem, „że nie będzie zrobione nic, co mogłoby uszczuplić prawa cywilne i religijne istniejących społeczeństw nieżydowskich w Palestynie“.

Niezdecydowane stanowisko angielskie w sporze arabko-żydowskim widać również i w próbach rządu londyńskiego przekazania tego zatargu komisji mandatowej Ligi Narodów. Ze swej strony Rada Ligi Narodów uchwaliła niedawno wniosek, upoważniający rząd brytyjski do mianowania specjalnej komisji dla zbadania ostatnich rozruchów w Palestynie i do rozwiązania sporu

arabsko-żydowskiego o „Ścianę Płaczu“. Komisja powyższa ma się składać z trzech członków narodowości nieangielskiej, przyczem członkowie muszą być zatwierdzeni przez Radę Ligi Narodów.

Jak wynika z niedawnego oświadczenia p. Weizmana, prezesa Ajencji Żydowskiej, na konferencji sjonistów niemieckich w Jenie, rząd angielski poleca sjonistom bezpośrednie porozumienie się z Arabami.

Każdy, kto śledził nastroje Arabów tak palestyńskich, jak i niepalestyńskich, łatwo zrozumie, że w warunkch obecnych podobne porozumienie może nastąpić jedynie wtedy dopiero, gdy sjoniści zrzekną się podstawowych zasad swego programu i zaniechają wszelkiej działalności politycznej w Palestynie. Jak zaznaczono wyżej, Arabowie domagają się mianowicie cofnięcia przez Anglję deklaracji Balfoura, zwołania parlamentu palestyńskiego (t. j. wprowadzenia ustroju konstytucyjnego w kraju), a wreszcie wycofania się Wielkiej Brytanji z Palestyny. Przykład polityki angielskiej w stosunku do Egiptu i Iraku, dwuch krajów również arabskich, wskazuje, że W. Brytanja, prędzej czy później, ustąpi przed żąłaniami Arabów palestyńskich, a to tembardziej, że zgodziła się ona już na wprowadzenie ustroju konstytucyjnego i nadanie, chociaż pozornie, niepodległości Transjordanji, kraju sąsiadującego z Palestyną i stojącego pod względem kulturalnym, gospodarczym i politycznym na poziomie znacznie niższym od Palestyny. Zastosowanie analogicznych metod jest nieuniknionem w stosunku do Palestyny, albowiem statut mandatowy zobowiązuje do roli wychowawcy politycznego i do przygotowania kraju do bytu niezależnego. Przygotowanie zaś powyższe może iść jedynie w drodze udziału ludności w życiu państwowem, a więc przez wprowadzenie ustroju konstytucyjnego. Gdyby to się stało i został zwołany parlament palestyński, Żydzi znaleźliby się w sytuacji mniejszości narodowej, więc byliby pozbawieni wszelkiej praktycznej możności do urzeczywistnienia postulatów, zdążających do utworzenia państwa żydowskiego. Zatem byłoby to ostateczną klęską i końcem sjonizmu w Palestynie.

Wieści, jakie dochodzą ostatniemi czasy z Palestyny, dowodzą, że sytuacja pozostaje nadal naprężoną, a Arabowie wyczekują jedynie wyjaśnienia stanowiska rządu brytyjskiego wobec ich zatargu z Żydami, by zająć w przyszłości to lub inne stanowi-

sko zasadnicze. Jednocześnie Egzekutywa Arabska w Palestynie wysłała liczną delegację arabską, z Kazim paszą na czele, do Londynu, celem zaznajomienia parlamentu i społeczeństwa angielskiego z sytuacją na miejscu i z dążeniami arabskiemi, oraz w celu zwalczania na terenie angielskim propagandy sjonistycznej.

Jakie jest stanowisko, zajęte przez koła sjonistyczne wobec tych wydarzeń? Sjoniści urządzają narazie konferencje w różnych krajach : Niemczech, Austrji, Czechosłowacji, Holandji, Anglji, Polsce, na Łotwie, gdzie obradują nad kwestją dalszych losów polityki sjonistycznej. Na wszystkich tych zjazdach ujawniły się dwa prądy, nurtujące obecnie wśród działaczy sjonistycznych: wojowniczy, kierowany przez rewizjonistów, i defetystyczny. Kończą się te konferencje zwykle uchwałami dość niewyraźnemi, świadczącemi o pewnym popłochu. Gdy jedni mówcy wołają o walkę do końca zwycięskiego, drudzy wzywają do umiarkowania i do szukania porozumienia bezpośredniego z Arabami. Defetyści, do których można zaliczyć do pewnego stopnia i samego p. Weizmanna, stoją na punkcie widzenia, że należy domagać się w Palestynie takiej konstytucji, którąby zabezpieczyła jednakowo, tak Żydom, jak i Arabom, wolność rozwoju kulturalnego i narodowego. Na czele tej grupy zwolenników porozumienia się z Arabami stoi organizacja zwana „sojuszem pokoju“ *(Bryt Szałom)*, której główna siedziba znajduje się w Jerozolimie, a oddział w Berlinie, w redakcji *Jüdische Rundchau*. Do grupy tej należy także i rektor uniwersytetu jerozolimskiego dr. Magnes, oraz członek Egzekutywy Sjonistycznej w Palestynie dr. Ruppin. Ci dwaj ostatni działacze sjonistyczni rozwijają już na własną rękę na terenie palestyńskim działalność, celem pogodzenia się z Arabami. Dr. Magnes wystąpił w styczniu 1930 z pojektem przyszłej konstytucji dla Palestyny. Według tego projektu, Palestyna miałaby zostać państwem dwunarodowem, pod mandatem Ligi Narodów. Kraj otrzymałby Izbę i Senat, przyczem w Izbie narodowości, zamieszkałe w Palestynie, byłyby przedstawione w stosunku do swej liczebności, a w Senacie zaś Arabowie, Anglicy i Żydzi otrzymaliby jednakową ilość mandatów. Jednak, z kompetencji tak Izby, jak i Senatu, byłyby wyłączone i przekazane Lidze Narodów sprawy, dotyczące immigracji, kupna terenów i kultury hebrajskiej.

I nietylko sjoniści palestyńscy, lecz i sjoniści zagraniczni zastana-

wiają się obecnie coraz bardziej nad koniecznością bezpośredniego porozumienia się z Arabami.

Nawet sam prezes *Ajencji Żydowskiej* dr. Weizmann wystąpił, na konferencji sjonistów niemieckich w Jenie, z mową w której podkreślił z naciskiem, że polityka jego zdąża do pokojowego załatwienia zatargu arabsko-żydowskiego drogą wszczęcia bezpośrednich rozmów z Arabami. P. Weizmann oświadczył dalej, że podczas niedawnego swego spotkania z p. Mac Donaldem, szefem rządu brytyjskiego, prosił go o interwencję wobec Arabów dla pogodzenia ich interesów z interesami żydowskiemi.

Jeżeli dotychczas między interesami sjonistów a interesami brytyjskiemi istniała pewna harmonja, to po rozruchach nasuwa się pytanie, czy i nadal będzie trwała wspólność tych interesów. W prasie angielskiej coraz częściej dają się słyszeć liczne głosy, twierdzące, że sjonistyczna polityka nie odpowiada interesom brytyjskim i musi być zmieniona. Tak w liście, adresowanym do *Times,* zaraz po rozruchach, przez p. Bennett, prezesa Stowarzyszenia Bliskiego i Dalekiego Wschodu, czytamy między innemi następujące słowa:

> Zapomnieliśmy, że w dokumentach, noszących podpis króla Jerzego V, przyrzekliśmy solennie ludności palestyńskiej samorząd, oparty na wolnych wyborach. Tymczasem sześć siódmych części tej ludności jest pozbawiona dobrodziejstwa obietnicy powyższej i to na rzecz mniejszości, złożonej z obcych immigrantów.

I istotnie, od czasu dojścia do władzy rządu labourzystów i od czasu zmiany stanowiska i polityki brytyjskiej względem innych krajów arabskich, jak Egipt i Irak, które mają otrzymać w najbliższym czasie całkowitą niepodległość, oraz ze zmianą całej polityki wschodniej angielskiej, kwestja arabska w Palestynie nie może już odtąd być traktowana jedynie z punktu widzenia interesów sjonizmu i zostanie niewątpliwie poddana gruntownej rewizji, zgodnie z ogólną polityką angielską w stosunku do muzułmanów wogóle i do innych krajów arabskich w szczególności. Anglików niepokoi przedewszystkiem kwestja: jak polityka angielska w Palestynie będzie oddziaływała na Arabów krajów sąsiednich, a więc: Transjordanji, Syrji, Iraku i zwłaszcza Nedżdu (wahabitów). Należy tu zaznaczyć, że sami Arabowie palestyńscy ciągle przypominają Anglikom o swych dążeniach wszecharabskich,

uważając Palestynę za prowincję przyszłego arabskiego państwa federacyjnego. Również i Arabowie, mieszkający poza granicami Palestyny, nawet muzułmanie indyjscy, od samego początku rozruchów protestowali przeciwko angielskiej polityce w Palestynie oraz wyrażali swe współczucie i gotowość popierania Arabów palestyńskich w walce ze sjonizmem i z mandatem angielskim. Niezależnie od tego, jak się rozwiną w przyszłości zagadnienia mandatu brytyjskiego w Palestynie, zatarg pomiędzy Sjonizmem a narodowem odrodzeniem Arabów stanowi interesującą ilustrację doniosłych problematów historyczno-politycznych.

Przedewszystkiem spokój jaki panował w Palestynie za rządów tureckich, porównany z rozterkami, znamionującemi rządy mandatowe brytyjskie, stwierdza raz jeszcze, że administracja byłego Imperjum Ottomańskiego, obok swoich licznych wad, posiadała i zalety, zbyt często pomijane lub pomniejszane przez czynniki zainteresowane w dokonaniu rozbioru tego państwa.

Następnie, system mandatowy, zaprowadzony w Azji w myśl Paktu Ligi Narodów przez Traktat Wersalski i zrealizowany umowami w San Remo, okazał się już dowodnie, po upływie lat dwunastu, względnie dziesięciu, tylko paljatywem i, jak wszelkie załatwienia kompromisowe, dziełem chwiejnem i nietrwałem. Prędzej czy później, zasada równości ras, odrzucona w 1919 w Paryżu przez Wilsona i przez Imperjum Brytyjskie, odzyszcze swą moc i stanie na porządku dziennym spraw świata.

MIECZYSŁAW SZERER.

# LORD CURZON — CZŁOWIEK PATETYCZNY.

Dnia 11 lipca 1920 sekretarz stanu do spraw zagranicznych podpisywał imieniem rządu angielskiego depeszę do komisarza Cziczerina, w której stwierdzając, że rządowi Wielkiej Brytanji leży na sercu przywrócenie pokoju z Rosją, proponował pewne warunki porozumienia co do zaniechania wzajemnych kroków nieprzyjacielskich a podjęcia na nowo stosunków handlowych. Jednym z tych warunków było natychmiastowe zawieszenie broni w toczącej się właśnie wojnie polsko-rosyjskiej i zatrzymanie się walczących na linji oznaczonej w depeszy.

George Nathaniel markiz Curzon of Kedleston całe życie marzył o napełnienie rozgłosem swego dekoracyjnego nazwiska dziejów współczesnej Anglji, a tem samem, rzecz prosta, dziejów współczesnego świata. Prawdopodobnie jednak, podpisując ową depeszę, nie przypuszczał, jak bardzo spopularyzuje ona jego imię, wprowadzając do historji dyplomatycznej powojenej pojęcie tak zwanej linji Curzona.

Jak to zdarza się na wszystkich szczeblach społecznych, lord minister nadawał tu swe nazwisko dziecku, z którego ojcostwem po prawdzie niewiele miał wspólnego. Przedewszystkiem jego kierownictwo polityką zagraniczną Anglji w tym okresie było przeważnie fikcyjne: w rzeczywistości sał u steru Lloyd George, buńczuczny, arbitralny, werwą polityczną tryskający Lloyd George, mistrz w igrzyskach dyskusyjnych na niezliczonych konferencjach dyplomatycznych owego czasu, żywe wcielenie powiedzenia starego Oxenstierny, że niewiele potrzeba rozumu, aby rządzić światem. Powtóre zaś tak zwana linja Curzona była kalkowana na linji określonej w deklaracji aljantów z 8 grudnia 1919, w któ-

rej zakomunikowano, że aljanci, sprzykrzywszy sobie panujący na wschodzie stan niepewności politycznej, przyznali rządowi polskiemu prawo do organizowania stałej administracji na ziemiach byłego cesarswa rosyjskiego, położonych na zachód od oznaczonej linji.

Tak czy owak, Curzon pozostał ojcem chrzestnym owej linji i w związku z nią stało się w Polsce znanem jego nazwisko.

Nie jest to jednak dość, by zajmować się tu szerzej lordem Curzonem poprzez wielką, trzy grube tomy liczącą jego bigrafję, napisaną przez lorda Ronaldshay'a [1]). Może nie wystarczyłyby też do tego walory Curzona jako męża stanu, czyny dokonane przezeń w zakresie angielskiej polityki państwowej. Jakoweś fatum, wiszące nad tym człowiekiem, sprawiało, iż pomimo wielkich zdolności i olbrzymiej pracowitości był naogół nieszczęśliwym politykiem. W przeciwieństwie do tego, co powiedziano o Anglikach — że przegrywają wszystkie bitwy prócz ostatniej — lord Curzon wygrywał wiele bitew, lecz w ostatnich ponosił klęskę. Tak było, gdy jako wicekról Indyj, po siedmioletnich rządach pełnych pompatycznej ostentacji, musiał zrezygnować z urzędu w wyniku sporu z Kitchenerem. Tak było, gdy jako minister spraw zagranicznych, patrzył bezsilnie, jak rozbudzone po wojnie nacjonalizmy azjatyckie i afrykańskie zadają cios po ciosie angielskiej polityce na wschodzie. Tak też było, gdy na krótko przed śmiercią, zgnębiony zawodami i chorobą, już, już miał osiągnąć najwyższy, od lat we wszystkich snach pieszczony cel swego życia: godność premjera Anglji — i gdy przyczyny, nie mające nic wspólnego z jego osobistemi kwalifikacjami, sprawiły, że z marzenia tego musiał skwitować raz na zawsze.

Ale te niepowodzenia właśnie czynią go interesującym z punktu widzenia ludzkiego. Lord Curzon jest ciekawym przykładem człowieka, którego żywot wije się patetycznie pomiędzy wielkim zakrojem zamierzeń a kruchością ostatecznych wyników, poprzez znaczne jednak powodzenia. To dopiero wyróżnia go z pośród tłumu zdolnych polityków i uzasadnia obszerniejsze zajęcie się jego osobistością.

Zewnętrzne punkty zaczepienia karjery politycznej Curzona są następujące. W 1886, mając lat 27, uzyskuje mandat do parla-

[1]) Earl of Ronaldshay: *The life of lord Curzon,* Londyn 1928.

mentu. Pierwszą zaraz mową zwraca na siebie uwagę tego niesłychanie wymagającego audytorjum, jakiem jest angielska Izba Gmin. Pierwsze mowy są tam wydarzeniem, które niejednokrotnie rozstrzyga o karjerze nowicjusza, a conajmniej wpływa poważnie na szybkość jej rozwoju. Kto wstępnym bojem potrafi zwyciężyć pobłażliwie ironiczny sceptycyzm słuchaczów, okazując się odważnym szermierzem, ma niesłychanie ułatwioną dalszą drogę, posiadł bowiem ucho Izby. Kto zawiedzie w pierwszej mowie, będzie musiał długo pracować, zanim odrobi skutki opinji zabójczej, bo lekceważącej.

Curzon nie zawiódł ani w pierwszej mowie ani w następnych. Można nawet powiedzieć, że wywiązywał się z zadania mówcy parlamentarnego zbyt dobrze. Tu odrazu dotykamy jednego z tych bolesnych krzyżów, któremi los obarczył Curzona. Człowiek ten posiadał zadziwiającą łatwość słowa. Mówił i pisał szybko, płynnie i kwieciście, sypał zdaniami krągłemi, wypolerowanemi, lubował się gładkim napływem wyrażeń, pozwalającym mu bez trudu wypowiedzieć całą zawartość myśli. Ale ta potoczystość wymowy sprawiała, że Curzon nie porywał słuchaczów: słowa szeregowane z nazbyt wielką łatwością ześlizgiwały się po powierzchni uwagi, bawiły, lecz nie chwytały za serce. W ten sposób talent stawał się Curzonowi przeszkodą w zdobywaniu władztwa nad ludźmi; oszczędzał mu trudności łamania się ze słowem, ale zarazem pozbawiał go możliwości oddziaływania tem, co bywa tajemnicą powodzenia największych mówców: zmaganiem się myśli z opornością więżącej ją powłoki. Mamy tu odrazu ten rozdźwięk, który był tragedją życiową Curzona: rozdźwięk pomiędzy ambicją, którą podsyca świadomość posiadanych rzeczywiście zdolności a możliwością osiągnąć, zawieszoną znacznie niżej.

Karjera parlametnarna Curzona rozwija się początkowo bardzo pomyślnie. W 1891 otrzymuje podsekretarjat stanu do spraw Indyj, a w cztery lata później wchodzi jako podsekretarz stanu do ministrestwa spraw zagranicznych. Trzeba przyznać, że usilną pracą stara się zdobyć kompetencję. Interesują go zwłaszcza sprawy wschodnie, odbywa też kilka podróży na Wschód, badając stosunki źródłowe tak od strony geografji, jak ze stanowiska historycznego, etnologicznego i politycznego. Wynikiem tych podróży i tych studjów są trzy dzieła (z których jedno dwutomowe), ogłoszone w ciągu pięciu lat — „Rosja w Azji centralnej“ —

a świadczące zarówno o dokładności, z jaką młody minister przygotowywał się do zagadnienia wielkiej polityki, jak i o jego niestrudzonej pracowitości. We wszystkich tych dziełach przebijała się głęboka troska o ochronę azjatyckiej podwaliny imperjum brytyjskiego przed prężnością rosyjską.

W 1898 zostaje wicekrólem Indyj. Piękna zaiste godność dla niespełna czterdziestoletniego mężczyzny, pełnego (poza brzegi nawet) poczucia swej wartości i sięgającego w marzeniach po najwyższe laury polityczne. Być przedstawicielem potęgi angielskiej w stosunku do 250 miljonów ludzi; sprawować rządy naczelne wśród barwnej dekoracyjności Wschodu; odbierać w żywej baśni hołdy maharadżów; występować z pompą królewską tam, gdzie pompa ta zachowała jeszcze całą swą teatralność; a nadewszystko czuć się strażnikiem fundamentów Wielkiej Brytanji na olbrzymich przestrzeniach olbrzymiej Azji, na rozłogach Hindostanu raz pełnych drapieżczego gwaru, to znów tonących w różowej mgle orjentalnej zadumy — ileż tu podniet, ile źródeł zadowolenia ambicji dla człowieka młodego, obdarzonego zmysłem politycznym i literacką wyobraźnią i pałającego chęcią okazania się w roli wielkiego męża stanu.

Zaledwie przeszła ceremonja wjazdu do Kalkuty na wspaniale przybranym słoniu, nowy wicekról rzuca się do pracy z całym charakteryzującym go głodem aktywności. Okres prokonsulatu trwa pięć lat: dla niejednego długo, dla Curzona gorliwości reformatorskiej bardzo krótko. Przybywa przecież — oczywiście! — z przeświadczeniem, że historja administracji Indyj zacznie się naprawdę dopiero od niego, że on dopiero naprawi wszystkie dotychczasowe zaniedbania i zabłyśnie niewidzianą dotąd inicjatywą. Wobec ogromu zadań, jakie sobie wytknął, „każdy rok wydaje się minutą (tak oświadczał na wyjezdnem), każda minuta sekundą; możnaby powiedzieć, że niema nawet czasu do zaczęcia“. Niema dziedziny, w którejby nie pragnął rozwinąć dalekosiężnej działalności. Umocnienie obronności Indyj przez ulepszenie administracji pasa granicznego, reforma szkolnictwa, rozwinięcie sieci kolejowej, rozwój systemu nawodnienia, udoskonalenie organizacji policji — takie były główne kierunki poczynań reformatorskich Curzona, dostatecznie absorbujące, by pochłonąć całkowicie uwagę najsumienniejszego administratora, ale nie wystarczające dla wprost bezgranicznej ruchliwości Curzona, skoro

obok nich nie zaniedbywał mniejszych terenów działania, zajmując się w szczególności — jako wielki miłośnik architektury — bardzo intensywnie rozwojem budownictwa monumentalnego i konserwacją zabytków sztuki indyjskiej. We wszystkie gałęzie administracji wglądał osobiście, wszędzie poddawał projekty reorganizacji, wszędzie wymagał podniesienia wydajności pracy, wszędzie popychał, zwoływał niezliczone komisje opracowujące plany reform, nie spuszczał z oka żadnego szczegółu i — nie pozwalał przejść żadnej sposobności, przy której mógł wystąpić z całym przepychem okazałości zastępcy imperatora Indyj [2]).

Po upływie pięciolecia uzyskuje przedłużenie misji na następne lustrum. Ma więc dowód uznania. Ale równocześnie zdaje sobie sprawę, że jakkolwiek pracuje każdym nerwem i nie zaniedbuje żadnego wysiłku, by przejść do historji jako wielki administrator — stanowisko jego raczej słabnie, niż się wzmacnia. Curzon bowiem posiada przedewszystkiem w wysokim stopniu dar zrażania sobie ludzi. Sam niesłychanie wymagający wobec siebie, nie umie ukryć niezadowolenia z uchybień swych współpracowników, nie umie nawet tego niezadowolenia pozbawić form raniących osobiście [3]). Przy tem jego ambicja ma podkład przeczuleniowy, który — jak często bywa — przybiera formy odstręczającej pychy i Curzon wytężający dosłownie wszystkie siły, by zjednać sobie hołdy, w rezultacie stwarza dokoła siebie chłodną pustkę.

---

[2]) Rozliczne zajęcia wielkiego urzędu nie przeszkadzają mu w zajmowaniu się także drobnostkami życiowemi. Tak np. w czasie gorących prac reformatorskich pisze własnoręcznie długi list w sprawie kwalifikacyj kucharza, którego zamierzał zgodzić do służby. Wypływało to stąd, że żadna rzecz dotycząca jego osoby nie wydawała mu się drobną.

[3]) J. D. Gregory, który pracował pod Curzonem w Foreign Office, charakteryzuje go w swych wspomnieniach *(On the edge of diplomacy,* Londyn 1929) jako człowieka pełnego ostrych sprzeczności, traktującego swych urzędników jednego dnia jak hołotę i piszącego nazajutrz o ich zdolnościach listy pełne entuzjazmu. „Widywałem go tak rozhisteryzowanego, iż uważałem, że powinien wsadzić głowę do zimnej wody; i widywałem go tak zdrowego i zrównoważonego pomimo prowokacji, że uważałem, iż nikt nie może współzawodniczyć z nim w trzeźwości i jasności sądu. Widywałem go zachowującego się z prostotą, bez żadnej afektacji, wesołego, jak żak; i widywałem go w pozie tak teatralnej, że zastanawiałem się, czy nie minął się z powołaniem i nie powinien był wstąpić na scenę, choćby jako marny komedjant".

Oczywiście, człowiek taki nie jednał sobie łatwo sympatji.

Są jednak ważniejsze przyczyny, sprawiające, że Curzonowi usuwa się grunt pod nogami. Ma jak najlepsze chęci w stosunku do ludności Indyj, szczerze pragnie podnieść jej stan gospodarczy i kulturalny. Ale pragnie tego na sposób dobrego satrapy. Zgodnie z typem swej nautry wyniosłej i nieufnej Curzon wierzy jedynie w dobrodziejstwa oświeconego autokratyzmu, nie umie zaś wsłuchiwać się w nabrzmiewające coraz silniej głosy, które domagają się uznania zdolności społeczeństwa Indyj do samorządu. To też całe wytężanie się Curzona wyczerpuje go fizycznie i nerwowo, ale politycznie chybia celu: wszystko co robi dla podniesienia dobrobytu Indyj, spoczeństwo miejscowe przyjmuje jako uczynione nie w interesie ludności, ale w interesie supremacji angielskiej. Jest w tem odcień nie obojętny dla rządu centralnego, czujnego na ruch opinji w Indjach. Curzon nie może w tych warunkach uchodzić bezwzględnie za właściwego człowieka na właściwem miejscu.

Dołącza się do tego spór z Kitchenerem. Można powiedzieć, że Curzon sam podtoczył sobie pod nogi kamień, o który potknął się ostatecznie. Lord Kitchener bowiem, który miał wywołać dymisję Curzona, został na skutek jego właśnie usilnych starań mianowany naczelnym dowódcą wojsk angielskich w Indjach. Owóż lord Kitchener nie był łatwy w obejściu. Ze zdolnościami, które uczyniły go największą powagą militarną współczesnej Anglji, łączył arbitralność i upór, których nie przebijały żadne argumenty, a do celów, jakie, po naradzie ze sobą samym jedynie, uznał za właściwe, zmierzał z całą bezwzględnością człowieka zamkniętego w sobie, zaciętego aż do ponurości i brutalne potrącającego wszelkie przeszkody. Pomiędzy tego rodzaju człowiekiem a Curzonem, również przecież nie usposobionym do odgrywania drugorzędnej roli i ustępowania czegokolwiek ze swej wicekrólewskiej godności, konflikt musiał przybrać szczególnie ostre formy.

Spór wynikł na tle administracji wojskowej, wchodzącej częściowo w całokształt administracji kraju i w tym zakresie podległej wicekrólowi. Kitchener, reorganizując obronę Indyj, postanowiłześrodkować w swojem ręku wszystko, co dotyczyło wojskowości i rządzić sprawami wojskowemi bez jakiegokolwiek oglądania się na adminstrację cywilną. Curzon bronił dotychczasowego ustroju i przegrał: Kitchenera uznano w Londynie za

ważniejszego ze względu na niebezpieczeństwo rosyjskie i potrzebę wyzyskania jego wielkiego autorytetu do postawienia obronności Indyj na odpowiednim poziomie. Curzon podaje się do dymisji i w 1905 — do żywego dotknięty wyrządzonym sobie despektem — powraca do Anglji.

Do niedawna otoczony świetnością dworu wschodniego włacy, wraca w bezbarwne odosobnienie pobitego polityka. Przyzwyczajony do (tak odpowiadającego jego próżności) szerokiego giestu i *grandiloquenzy* rządcy nad miljonami ludzi, teraz w ciszy i bezczynności żuje gorzki żal zawodu. Ponadto traci ukochaną żonę. I choć cerpienia jego są wyostrzone przez przeczuloną ambicję, to jednak jest ich dość, by uczynić w tej chwili z Curzona postać istotnie tragiczną.

Odtąd przez szereg lat mało miesza się do polityki i swej palącej żądzy pracy daje ujście w innym kierunku. Jako rektor uniwersytetu w Glasgow, a zwłaszcza jako prezydent Towarzystwa Geograficznego i kanclerz uniwersytetu oksfordzkiego rozwija — dzięk rozległości wykształcenia i zainteresowań — działalność wychodząca daleko poza ramy tych raczej tytularnych godności. Zajmuje się też usilnie stylowem odrestaurowaniem zabytków architektury w swych rodowych posiadłościach, nabywa zaniedbane stare zamki z zamiarem przywrócenia ich do należytego stanu i podarowania narodowi, pisze książki o starej architekturze, opracowuje statut londyńskiej Galerji Narodowej obrazów, gromadzi druki napoleońskie, które podaruje czcigodnej bibljotece oksfordzkiej, stara się o zbiory dla muzeum imienia królowej Wiktorji w Kalkucie, do którego wzniesienia dał inicjatywę.

Wśród tych zajęć publicznych, pompatycznie — bo inaczej nie umie — czci pamięć żony. W starym kościele swej miejscowości rodzinnej Kedleston buduje kaplicę, w której spoczywają jej zwłoki i w której i on sam ma znaleźć wieczny spoczynek. Posłuchajmy, co Ronaldshay pisze o pracach nad tą kaplicą, pracach, któremi Curzon kierował osobiście. „Kościoły wielu krajów dostarczyły albo oryginałów albo modeli urządzenia wewnętrznego kaplicy. Z Wenecji sprowadził srebrne lampy; z Genui nakrycie na ołtarz z karmazynowego aksamitu; z Portugalji krucyfiks; z Hiszpanji lichtarze z XVIII wieku, oraz malowane płaskorzeźby drewniane w XVI wieku, przedstawiające zdjęcie z Krzyża i adorację;

z Meksyku srebrny pulpit i z Niemiec kuty w żelazie wielki świecznik elektryczny. Katedra w Pawji dostarczyła modeli kandelabrów bronzowych; kościół Sta Maria Maggiore w Rzymie wzorów płaskorzeźb zdobiących ściany; katedry w Hiszpanji wzoru żelaznych okratowań oddzielających kaplicę od nawy kościoła". Za artystyczność całości tego pomnika pietyzmu mężowskiego, oczywiście, nie ręczę, bądź co bądź charakteryzuje on dobrze swego twórcę. A dodajmy, że pośrodku kaplicy, na podsadzce z świetlistego zielonego kwarcu (sprowadzonego z Uralu po dwuletnich staraniach) ustawiono pomnik z białego marmuru z dwiema leżącemi obok siebie postaciami: jedna wyobrażała zmarłą żonę, drugą — z pewną antycypacją, całkiem w stylu lorda Curzona — jego samego...

Wojna wciąga go znów w pierwsze rzędy polityków. Ale nie odrazu. Początkowo rząd liberalny nie chce korzystać z usług, które on — konserwatysta — ofiaruje. Gdy wojna wybuchła, pisze rozgoryczony do przyjaciela, „zgłosiłem rządowi gotowość do pracy niepolitycznej w jakimkolwiek charakterze, lecz nie ofiarowano mi niczego. Żal zbiera, gdy sobie pomyśleć, że mając 39 lat było się zdolnym do rządzenia 300 miljonami ludzi, a mając 55 nie jest się potrzebnym do niczego w chwili, gdy rozgrywają się losy kraju". Dopiero z chwilą utworzenia rządu koalicyjnego w maju 1915 uzyskuje godność członka gabinetu jako Lord Prywatnej Pieczęci, to znaczy bez teki. Znów więc przez długi szereg miesięcy wije się pod ciężarem bezczynności, nie mogąc znaleźć upustu dla gorączkowej potrzeby aktywności. Przy tem nie dopisuje mu zdrowie, powiększając przygnębiające poczucie, że życie przechodzi niewyzyskane. Wreszcie z początkiem 1916 uzyskuje istotnie poważne misje, które spełnia ze zwykłą gorliwością, nie szczędząc siebie ani innych. Niebawem przestaje uskarżać się na bezczynność, dokucza mu rana konferencji pokojowej w Paryżu, obejmuje kierownictwo ministerstwa spraw zagranicznych. Balfour zresztą po kilku miesiącach dymisjonuje i Curzon staje już we własnem imeniu na czele Foreign Office.

Zdawałoby się, że teraz, gdy wypłynął na jedno z naczelnych stanowisk, gdy sprawowanie urzędu ministra spraw zagranicznych wśród epokowych wydarzeń zbliża go niewątpliwie do celu najgorętszych pragnień: prezesury gabinetu — zdawałoby się, że

Curzon pownien być teraz szczęśliwy. Ale znów ciążące nad nim fatum sprawia, że uśmiech losu przechodzi zwolna w grymas. Z początku mianowicie, gdy jedynie zastępczo kieruje Foreign Office'm, dualizm rządów (bo przecież trzeba liczyć się z Balfourem w Paryżu) krępuje go i utrudnia mu przeprowadzanie własnej linji politycznej; gdy zaś wreszcie obejmuje władzę samodzielnie — zasuwa go w cień, jak powiedziało się już na początku, mała fizycznie lecz politycznie wyolbrzymiała postać Lloyd George'a. Co gorsze, Lloyd George czyni bezceremonjalnie na terenie międzynarodowym posunięcia, których następstwa ponosić musi minister spraw zagranicznych [4]). Tak dzieje się w szczególności w kwestji blizkego Wschodu: jak wiadomo, pewne zachęty, które Lloyd George równie krewko jak nieopatrznie daje Grekom przeciw Turkom, doprowadzają do zaplątania się autorytetu Anglji w katasrofalną politykę grecką. Curzon mógłby oczywiście, składając urząd, uchylić się od wypijania piwa nawarzonego przez Lloyd George'a. Ale nie czyni tego; męczy się, lecz władzy, od której tak długo trzymano go zdala, do której tęsknił tak boleśnie, nie wypuszcza z ręki... Poczucie obowiązku? (tak to sam tłomaczy) czy słabość nazbyt ludzka? Niech nań rzuci kamieniem, kto sam nigdy nie trzymał się kurczowo zaszczytnego urzędu.

---

[4]) Ronaldshay tak pisze o dziwnych stosunkach, które powstały w Foreign Office pod koniec 1918: „Dominujący w niezwykłym stopniu wpływ Lloyd George'a na politykę zagraniczną po ustaniu działań wojennych, wynikał w wielkiej mierze z nienormalnych następstw wojny. Premjer był z konieczności najwyższym przedstawicielem Anglji na konferencji pokojowej, a konferencja pokojowa była nieuniknionym punktem wyjścia angielskiej powojennej polityki zagranicznej. Wobec tego układy prowadził ze strony W. Brytanji Lloyd George; a po powrocie z Francji mógł zawsze rościć sobie prawo do zajmowania się tą czy inną sprawą na tej podstawie, że był odpowiedzialny za politykę uprawianą w Paryżu".

Harmonijna współpraca była tem bardziej utrudniona, że natury Lloyd George'a i Curzona były całkowicie sprzeczne. „Trudności, które powstawały między nimi, wynikały nietylko z różnic merytorycznych opinij — choć w niektórych przypadkach były znaczne — ale bardziej jeszcze z odmienności metod. Dzieliła ich ta sama przepaść, jaka rozwarła się swego czasu pomiędzy lordem Curzonem, jako wicekrólem Indyj, a lordem Kitchenerem, jako naczelnym dowódcą. Podobnie jak Kitchener, Lloyd George nic sobie nie robił z form postępowania w administracji. Jego metody miały wiele z bezpośredniości, która cechowała sposoby Kitchenera. W wielkim sekretarjacie prywatnym, który sobie utworzył, miał wygodny i zawsze pod ręką

Jak stwierdza biograf, było coś w konstrukcji umysłu Curzona, co sprawiało, że jakkolwiek dosłownie zabijał się pracą, to przecież nie mógł dokonać nic prawdziwie wielkiego. „Ci, co patrzyli z bliska na jego pracę jako ministra spraw zagranicznych, byli naprzemian zdumieni jego pracowitością rozczarowani stosunkowem ubóstwem jej wyników. Jego analiza położenia bywała wspaniała, przedstawiał rzecz nieporównanie barwnie i jasno. A jednak jego zdanie co do działania odpowiedniego wśród okoliczności, które tak świetnie wyłożył, było dziwnie niezdecydowane i zawodne. Dlaczego? Sądzę, że dlatego, iż interesowała go jedynie analiza i przedstawienie rzeczy. Umysł jego, rozmiłowany w szczegółach i niesłychanie zdolny do zajmowania się równocześnie mnóstwem drobnych rzeczy, rozkoszował się zestawianiem czynników, tworzących pewną szczególną sytuację, układaniem ich we właściwym porządku — tak jak biegły rzemieślnik składa kamienie mozaik — i przedstawianiem kolegom całkowitego obrazu. Z chwilą ukończenia obrazu znikało zainteresowanie się lorda Curzona przedstawioną sprawą".

Trzeba dodać, że znikało też zainteresowanie się kolegów lordem Curzonem... W ten sposób znów zjawiała się ta charakterystyczna dla losu życiowego Curzona systuacja, że czara triumfu usuwała mu się tuż z przed ust [5]).

---

będący instrument do wykonywania wszelkich poleceń, do jakich miał ochotę. Wśród natłoku wydarzeń przeoczano czasem konieczność zapytania Foreign Office o zdanie, a nawet zawiadomienia go o uczynionym kroku. Zdarzało się, że udzielano posłuchań przedstawicielom obcych rządów bez wiedzy ministra spraw zagranicznych; nie dziwota, że wśród takich okoliczności wydawało się czasem innym państwom, iż rząd angielski przemawia dwoma niestrojonemi głosami".

[5]) Wśród świetnych, cienkiem piórkiem nakreślonych portretów mężów stanu, które lord d'Abernon zamieścił na wstępie pierwszego tomu swego pamiętnika *(An ambassador of peace,* I, Londyn 1929) znajduje się też charakterystyka Curzona. Kilka zdań z niej ułatwi zrozumienie uczuć, jakie człowiek ten mógł budzić w swem otoczeniu.

„Markiz Curzon miał z przyrodzenia skłonność do wielkich słów. W jego sposobie mówienia była zawsze okazała wystawność. Gdyby mówił z prosta, wyglądałoby to na afektację. Pięknie toczone zdania były naturalnym wynikiem jego poglądu na życie. Wszystko widział na wielko. Pompa i ceremonja były u niego naturalnemi właściwościami karjery pełnej godności — nie dodatkiem, lecz istotą. Wystawność nie była wprawdzie pospolita, lecz nie było zrozumienia dla rzeczy prostych i poufnych. Spokojne, zaciszne życie

Skoro praca Curzona w Foreign Office mimo intensywności (pracował po 14 godzin na dobę!) nie posiadała cech twórczych, niema powodu, by zajmować się nią tutaj szczegółowo. Wspomniemy tylko, że polityka Curzona wobec Francji była typowym objawem tego tak częstego w Anglji oscylowania pomiędzy interesem politycznym i kulturalnym skłaniającym ku Francji, a interesem gospodarczym wywołującym liczenie się z odbudową Niemiec i nawet życzenie, by ta odbudowa nastąpiła, jak najprędzej. Zgodnie z tem niezawsze pełnem konsekwencji stanowiskiem, lord Curzon uznawał konieczność sojuszu z Francją, ale irytował się, ilekroć sojusz ten nie polegał na stosowaniu się Francji do angielskiej polityki pobłażania Niemcom. Nie miał coprawda szczególnej sympatji do Niemców i podzielał oburzenie, jakie podczas wojny panowało w Anglji z powodu niemieckiego sposobu prowadzenia wojny. „Ale" — oświadczał w trzy lata po wojnie — „jesteśmy narodem, który choć walczy zacięcie, nie trwa jednak w rozżaleniu i nie mści się gorzko. Gdy więc wojna minęła, a w szczególności gdy umieściliśmy swe podpisy pod traktatem pokoju i ambasador niemiecki znalazł się z powrotem w Londynie, to sądzę, że nie było pośród nas nikogo, ktoby nie chciał w miarę sił przyczyniać się do zatarcia przeszłości, do rozpoczęcia stosunków na nowych podstawach i wybudowania ich stopniowo tak, by w przyszłości mogły stać się przyjaznemi".

To szlachetne zapominanie uraz przybierało w Anglji chwilami, jak wiadomo, tempo tak frenetyczne, że stawiało pod znakiem zapytania wynik zwycięskiego wysiłku — kombatantów. Owóż Curzon nie zawsze umiał oprzeć się gorączce zapominania, zrozumiałej na tle chwilowych trudności gospodarczych powojennej Anglji, ale niezupełnie właściwej u dalekowzrocznego męża stanu.

Im więcej godności, zaszczytów (otrzymuje order Podwiązki) i czynności, które ześrodkowują na nim uwagę polityczną i po-

---

nie przemawiało do wyniosłej duszy w rodzaju curzonowskiej. Łączył on w jedyny w swoim rodzaju sposób pompatyczność ze zmysłem humoru. Nikt nie był z natury bardziej pompatyczny, ale nikt też nie chwytał bystrzej komicznych stron rzeczy. Widział śmieszność wszystkiego, prócz śmieszności własnego sposobu bycia. Takim pozostał do końca. Urodził się i umarł w wierze arystokraty z angielskiego XVIII stulecia, arystokraty tak wspaniałego typu, że rzadko się go spotyka poza romansem".

zwalają mu uważać się za filar stronnictwa konserwatywnego, tem bliżej do największego, druzgocącego rozczarowania.

Bonar Law, który w jesieni 1922, po upadku gabinetu koalicyjnego, stanął na czele rządu konserwatywnego, musiał ze względów zdrowotnych po kilku zaledwie miesiącach zrezygnować z premjerostwa. Wszystko wskazywało na to, że Curzon obejmie po nim sukcesję. Świetlany szczyt, ku któremu wspinał się całe życie, ku któremu wytężał się wszystkiemi nerwami i całem napięciem olbrzymiej ambicji, był tuż. Już dotykał go stopą, gdy — spadł. Sekretarz królewski, który zjawił się u niego nazajutrz po dymisji Bonar Lawa i którego Curzon przyjął rozpromieniony jako zwiastuna powierzenia sobie misji utworzenia gabinetu, miał w rzeczywistości za zadanie wytłumaczenie mu, dlaczego król uznał za właściwe powołać na stanowisko premjera nie jego, lecz Baldwina. „Jakże mi nagle życie w oczach moich zbladło"...

Podłoże tej tragedji, która złamała Curzona psychicznie i fizycznie, było następujące.

W stosunkach angielskich, jak wiadomo, konserwatyzm przedziwnie miesza się z postępowością. Jakkolwiek więc życie publiczne dawno przybrało tam formy demokratyczne, to jednak zachowało się w polityce znaczenie wielkich rodów, dynastyj mężów stanu, w których berło wpływu przechodziło z ojca na syna. Niekoniecznie musiały to być rody zdawna magnackie, nobilitacja mogła być całkiem świeża, lub zgoła mógł ją zastępować wielki majątek. Chodzi jedynie o to, że pewne nazwiska stawały się zawołaniem w walkach politycznych, że w niektórych rodzinach rozporządzających potrzebną do tego fortuną, specjalizowano się do służby publicznej, przygotowując przyszłego polityka już od bardzo wczesnej młodości i wprowadzając go rychło w krąg klijentów politycznych wybitnych mężów stanu. Demokracji angielskiej przez długie lata nie raził ten szczególny arystokratyzm polityczny. Fatum, które zawisło nad Curzonem, chciało, że ów arystokratyzm załamał się właśnie w chwili, gdy w wyścigu o godność premjera Curzon zjawiał się, wedle tradycyjnych pojęć, pierwszy u mety.

Angielskie obyczaje polityczne pozwalają w każdej z Izb przemawiać tylko jej członkowi. Wyklucza to powoływanie ministrów z poza parlamentu i pozbawia ministra członka jednej Izby możności przemawiania w drugiej. Curzon, jako członek Izby Lordów,

nie mógłby zabierać głosu w Izbie Gmin. Otóż król angielski uznał, że wobec wzrostu znaczenia Izby Gmin wśród stosunków powojennych, sytuacja, w której premjer nie stykałby się na arenie parlamentarnej z przedstawicielami szerokich warstw społecznych, byłaby nie do utrzymania. Sekretarz królewski, co do którego wizyty lord Curzon pomylił się tak boleśnie, zakomunikował mu właśnie postanowienie królewskie, że „skoro Labour Party stanowi w Izbie Gmin opozycję, a nie posiada przedstawicieli w Izbie Lordów, przeszkody do pozostawania premjera jedynie w Izbie Wyższej są nie do przezwyciężenia".

Krokiem tym Jerzy V dawał dowód zrozumienia, że rozwój demokratyzmu wymaga dostosowania dotychczasowych anachronicznych zwyczajów politycznych i że ani wielki ród polityczny ani długoletnia karjera parlamentarna nie mogą wystarczać wobec konieczności rozgrywania spraw politycznych tam, gdzie do głosu przychodzą przedstawiciele mas ludowych. Ten krok Jerzego V, tak świadczący o czułości jego ucha na odgłosy czasu, pozwala nam też zrozumieć, dlaczego monarchja może być w Anglji wciąż jeszcze tak bardzo popularna. A było to już, jak się powiedziało, fatalnem przeznaczeniem Curzona, że jego to właśnie kosztem monarchja angielska miała dostarczać dowodu swej postępowości.

Cios był w samo serce. Nie było to chwilowe pominięcie, lecz ekskluzywa na zawsze. Mimo to, gdy Baldwin prosi go o poparcie przez zatrzymanie teki spraw zagranicznych, Curzon zdobywa się na piękne zwycięstwo nad sobą: nietylko ułatwia Baldwinowi sformowanie gabinetu, lecz jeszcze na zgromadzeniu stronnictwa konserwatywnego sam zgłasza wniosek, by Baldwina wybrać leaderem partji. Giest to naprawdę wysokiego patosu.

To zresztą nie koniec jeszcze kalwarji Curzona. Pierwszy gabinet Baldwina trwał niedługo. Program protekcjonistyczny, który Baldwin rozwinął wbrew opinji Curzona, doprowadził do klęski wyborczej konserwatystów. Curzon tracił więc tekę nietylko niewinnie, ale i dlatego, że nie posłuchano jego lepszej rady. A gdy z kolei w kilka miesięcy później, w listopadzie 1924, upadł w wyborach *Labour Party* i Baldwin znów zasiadł na fotelu premjera — Curzonowi nie zaproponowano już godności ministra spraw zagranicznych: objął ją Austen Chamberlain. Cóż mógł wobec tej zawiści losu począć człowiek patetyczny? Gryzł się jeszcze przez cztery miesiące i umarł.

# K R O N I K A.

## POLSKA, FRANCJA I BEZPIECZEŃSTWO

*Debata w parlamencie francuskim.*

Debaty „polskie“ są w Parlamencie francuskim rzadkością. Od chwili odzyskania niepodległości mamy do zanotowania trzy takie debaty, nie licząc krótszych lub dłuższych do spraw polskich aluzyj w czasie wielkiej dyskusji, jaka poprzedziła ratyfikację Traktatu wersalskiego.

Pierwsza debata odbyła się 29 grudnia 1918, kiedy p. Stephan Pichon, minister spraw zagranicznych w gabinecie Clemenceau, popełnił *lapsus linguae* nazywając paryski Komitet Narodowy *gouvernement regulier* odbudowującej się Polski; a przerywając interpelującemu go pos. Ernestowi Lafont'owi, socjaliście, popełnił p. Pichon poprostu „gaffę“ przypominając Izbie, że „generał Piłsudski bił się w szeregach armji austrjackiej przeciwko Rosjanom“. Te niezręczności p. Pichon'a bynajmniej nie ułatwiły tak potrzebnego wówczas porozumienia pomiędzy rządem warszawskim a komitetem paryskim.

Druga debata „polska“, bardziej zasadnicza i wyczerpująca, odbyła się w Izbie Posłów 24, 25 i 26 maja 1921. Sprawa Śląska Górnego była jej głównym przedmiotem.

Pierwszego dnia wielką mowę wygłosił p. Arystydes Briand, premjer i minister spraw zagranicznych; bronił sprawiedliwości i wykonania traktatu, ale był po swojemu nieścisły.

Nazajutrz, 25 maja, przemawiał pos. Regaud, radykał, broniąc tezy polskiej i polemizując z p. Briand'em w sprawie głosowania 180.000 emigrantów, w czem mu w sukurs przyszedł p. Andrzej Tardieu.

Ostatniego dnia debaty bardzo dobrą mowę wygłosił pos. Henryk Lorin, republikanin lewicy, poczem przemawiali jeszcze posłowie Marius Moutet, socjalista, i Edward Herriot, prezes partji radykalnej.

P. Moutet, zastrzegając się przeciwko zbytniemu wiązaniu się Francji z Polską, powiedział m. i.:

— Już w łonie komisji spraw zagranicznych, 15 kwietnia 1921, miałem zaszczyt postawić p. Prezesowi rady ministrów (p. Briand'owi) zapytanie w przedmiocie układów francusko-polskich bo zdawałem sobie dobrze sprawę ze szczególnego niebezpieczeństwa *(danger particulier)*, jakie stąd może dla naszego kraju wyniknąć... P. Prezes rady ministrów mi odpowiedział, że układy wojskowe zawarte z Polską nie są tego rodzaju, aby nas poważnie zobowiązywały, ani aby wkładały na nas cały ciężar międzynarodowego położenia Polski *(ni à nous faire prendre en charge toute la situation internationale de la Pologne)*...

P. Herriot powiedział, że obrona *Pologne martyre* — to „demokratyczna tradycja naszego kraju", ale dodał, że „Polska nie powinna wbrew swym interesom stwarzać trudności przez nieusprawiedliwione uciekanie się do gwałtu" (aluzja do powstania górnośląskiego).

Trzecia wielka debata „polska" odbyła się w końcu grudnia 1929. Nie była to tylko debata „polska". Zarówno w Senacie z okazji interpelacji sen. Lemery'ego, jak i w izbie Posłów z powodu dyskusji nad budżetem ministerstwa spraw zagranicznych, chodziło o politykę zagraniczną wogóle. Ale Polsce w mowach wygłoszonych dużo poświęcono miejsca.

Sen. Lemery stwierdził 20 grudnia 1929, że zobowiązanie się rządu francuskiego do ewakuacji Nadrenji w ciągu roku 1930 niepokoi umiarkowaną opinję francuską, która się zapytuje, czy uzyskano dostateczne gwarancje wykonania Planu Young'a przez Niemcy.

P. Briand bronił swej polityki i zauważył, że żaden z jego krytyków innej właściwie nie proponuje.

Zabrał wobec tego głos sen. Aleksander Millerand i powiedział m. i.:

— P. Minister spraw zagranicznych powiedział, że choć się krytykuje jego politykę, to jednak nikt nie jest w stanie zaproponować innej, któraby jego politykę zastąpiła. Ma rację, jeśli chce przez to powiedzieć, że jakakolwiek byłaby polityka proponowana, może ona mieć na celu tylko utrzymanie pokoju. Ale jest w błędzie, jeśli chce powiedzieć, że wszelka polityka zagraniczna nie kopjująca jego metod ma być koniecznie polityką systematycznej niechęci do Niemiec, polityką wojowniczych tendencyj. Nic podobnego, proszę Panów...

W pewnym momencie polityka zagraniczna Francji uległa groźnemu odchyleniu. Stało się to w lutym 1925, kiedy Niemcy, krzyżując dyskusje toczące się wówczas pomiędzy Francją, Belgją a rządem konserwatywnym angielskim, zaproponowały rozpoczęcie rokowań mających ograniczyć się do granic zachodnich, z wykluczeniem granic wschodnich. Wówczas, powtarzam, po-

winniśmy byli odpowiedzieć Niemcom, że gotowi jesteśmy wszcząć z niemi negocjacje mające na celu utrwalenie stanu rzeczy z wojny zrodzonego, ale nie możemy w żadnym wypadku zgodzić się na rozróżnienie pomiędzy granicami zachodniemi a wschodniemi. Dlaczego? Bo godząc się na to odrazu stawialiśmy naszych sojuszników w położeniu podrzędnem. Nam dawano bezpieczeństwo, ale nie im. Nie wystarczy aby pokój był zapewniony z tej strony, jeśli nie jest zapewniony z tamtej, bo kiedy wybuchłby pożar europejski, mniejsza o to gdzieby padła iskra: ogień szybko objąłby całą Europę *(potakiwanie w centrum).*

Popełniliśmy jednak ten błąd, a układy w Locarno go uświęciły. Oczywiście, we wstępie do konwencji niemiecko - polskiej Niemcy oświadczają, że w razie konfliktu użyją tylko środków pokojowych. Nie potrzebuję tu powtarzać dowodzenia prostego i logicznego. Zbytecznem jest podejrzewać Niemcy o jakieś zamiary: one same je nam przed oczami rozwijają. Zamiary te nigdy nie będą mogły być zrealizowane środkami pokojowemi. Nigdy art. 19 Paktu nie znajdzie zastosowania, bo nigdy honor Francji nie pozwoli (a nie będzie ona odosobniona), aby znalazła się jednomyślność zgadzająca się na ponowne kwestjonowanie tak słusznych zdobyczy naszych sojuszników i przyjaciół...

P. BRIAND (przerywając): To oczywiste!

P. MILLERAND: ...Oczywiste? A więc jest także rzeczą oczywistą, że kiedy Prezydent Rzeszy i ministrowie niemieccy oświadczają, że to, co zostało postanowione, musi być zrewidowane zwiastują nam poprostu wojnę... My domagamy się utrzymania Traktatu wersalskiego, Niemcy — jego rozdarcia. Jak w takich warunkach można mówić o szczerej i lojalnej współpracy pomiędzy niemi a nami? *(Oklaski na prawicy i w centrum).*

P. Briand wrócił na trybunę, aby odpowiedzieć p. Millerand'owi, albowiem jego twierdzenia „są tego rodzaju, że podniecają tylko pewne, niczem nieusprawiedliwione kampanje". Oto słowa p. Briand'a:

— Nie myślę aby istniał choć jeden Francuz, któryby uważał za korzystne rozszerzanie opinji, że Francja w jakiejkolwiek chwili zbagatelizowała interesy Polski. Jako minister spraw zagranicznych, z wysokości, tej trybuny, protestuję przeciwko takiemu twierdzeniu. W ciągu całych rokowań układy lokarneńskie poprzedzających byliśmy zawsze w zupełnej i ścisłej z naszymi polskimi przyjaciołmi zgodzie. Polska nietylko nie uważała tych rokowań za obojętne dla swego bezpieczeństwa, ale nie przestawała za pośrednictwem swego rządu zachęcać Francji do kontynuowania takowych.

Kiedy więc polityk tej wagi co poprzedni mówca daje publicznie do zrozumienia, że Francja uległa uczuciom egoizmu, że

kłopotała się tylko o swoją granicę, zaniedbując granicę swego sojusznika — to stoimy wobec sytuacji poważnej. Nie mogę pozwolić, aby tak mówiono... *(Oklaski na lewicy).* A zresztą, proszę Panów, wystarczy zapoznać się z układami lokarneńskiemi i z przebiegiem rokowań, jakie je poprzedziły, aby stwierdzić, że to właśnie wytrwałe przywiązanie Francji do obrony interesów polskich opóźniało aż do ostatniej chwili porozumienie pomiędzy Francją a innem mocarstwem...

Dlaczego istnieje różnica w położeniu na granicach zachodnich i wschodnich?... Ta różnica wynika z postanowień Traktatu. Artykuły 42 i 43, art. 429, oraz układy gwarancyjne francusko-angielski i francusko-amerykański stworzyły na granicy francuskiej sytuację specjalną. Na nieszczęście, nie uczyniono tego na granicy polskiej...

Nigdy moi polscy przyjaciele nie bronili tezy, jaką tu Panom wyłożył p. Millerand. A jeśli, pod wpływem podobnych wywodów przez prasę podanych, znajdują się ludzie powtarzający je z trybuny Parlamantu polskiego, polski minister spraw zagranicznych nigdy nie traci sposobności, bo świeżo znów tak mówił, aby przypomnieć, że położenie dwu granic niemieckich jest zupełnie różne... P. Zaleski mógł zresztą dodać, bo to prawda, że pierwszym naszym aktem w Locarno było żądanie uroczystego zobowiązania się Niemiec, że w żadnym wypadku nie uciekną się do siły aby zmienić ich wschodnią granicę. Powiecie Panowie, że to tylko słowa. Odpowiem wam, że to zobowiązanie...

Nie przestaliśmy się troszczyć o granicę polską. Kiedy chodziło o ewakuację Kolonji, czy wiedzą Panowie dlaczego do ostatniej chwili opieraliśmy się temu? Bo chcieliśmy przedtem uzyskać na granicy polskiej zniesienia fortyfikacyj, których utrzymanie było sprzeczne z postanowieniami traktatu.

Kiedy słyszę wymówki, że zaniedbaliśmy naszych sojuszników, z łatwością mógłbym wymówkom tym przeciwstawiać wszystkie ich listy i telegramy zawierające powinszowania i słowa zachęty. A więc o co chodzi? Czy takie przedstawienie działalności ministra spraw zagranicznych jak to uczynił p. Millerand nie wznieci w sercach naszych przyjaciół niepokoju i zwątpienia? Czy wzmacnia się pokój, dając Polsce do zrozumienia, żeśmy ją opuścili?... Uważam sobie, proszę Panów, za obowiązek stwierdzić przed Senatem, — a nikt się nie ośmieli mi zaprzeczyć, — że polityka Francji i rządów francuskich, których byłem członkiem lub którym przewodniczyłem, zawsze była prowadzona w ścisłej zgodzie i w ścisłej solidarności ze wszystkimi naszymi przyjaciółmi i sojusznikami. A co się tyczy Polski, to jestem pewien, że żaden polski polityk nie powtórzy wobec ministra spraw zagranicznych Francji tego, coście tu Panowie przed chwilą usłyszeli. *(Żywe oklaski na lewicy).*

W parę dni potem rozpoczęła się w Izbie Posłów wielka debata w przedmiocie metod i kierunków polityki zagranicznej Francji. Pos. Henryk Franklin-Bouillon *(Gauche radicale et sociale)*, interpelując p. Briand'a, nawiązał bezpośrednio swą mowę do ostatnich wynurzeń ministra spraw zagranicznych. P. Franklin Bouillon mówił (23 grudnia 1929):

—Słyszałem jak p. Minister spraw zagranicznych twierdził w Senacie, ze nasi sojusznicy z Europy środkowej bardzo są zadowoleni z polityki lokarneńskiej. Mam właśnie przed sobą wygłoszoną parę dni temu [1]) przez księcia Radziwiłła, jednego z szefów bloku rządowego w Parlamencie polskim. Czytam w mowie tej co następuje:

„Nie żądamy niczego innego, jak by nasze granice zachodnie były respektowane. Polityka, której na imię Locarno nam tej gwarancji nie daje. To jest wielki zarzut, który my, Polacy, słusznie temu układowi robimy..."

P. BRIAND: To nie rząd polski tak się wyraża!

P. FRANKLIN-BOUILLON: Jeśli pan zechce, odpowie mi pan z trybuny. Ale muszę stwierdzić, że wołać, iż „to nie rząd polski tak mówi" jest niezbyt szczerem podejściem do debaty. Oczywiście, że to nie rząd. Nie twierdziłem tego. Ale czy przez to słowa te mniej są godne naszej uwagi?

P. BRIAND: Dobrze wiem o robocie, jaka się u niektórych czynników polskich prowadzi i nie jestem pewien, że dzieje się to z korzyścią dla utrzymania pokoju. *(Je sais très bien le travail qui est fait auprès de certains éléments polonais et je ne suis pas sûr qu'il soit favorable au maintien de la paix)...* [2]).

P. FRANKLIN-BOUILLON: To, co pan w tej chwili mówi, Panie Ministrze, jest poważniejsze od moich twierdzeń. Rzucił pan słowa szczególnie nieostrożne. Wcale ich panu nie winszuję. Zobaczy pan, jaki będą one miały jutro skutek w Polsce. Doprawdy, lepiejby pan uczynił wcale mi nie przerywając...

P. BRIAND: Ale ja sobie winszuję! Ja się liczę tylko z rządem polskim, a ten współuczestniczył w lokarneńskiem dziele. Ale w Polsce, — jak i w innych, niestety, krajach, — też są szowiniści! *(Oklaski na lewicy)*.

---

[1]) Nie „parę dni", bo ks. Janusz Radziwiłł wygłosił swą mowę 24 listopada 1929, na akademji poselskiej we Lwowie.

[2]) Zwrot powyższy, jak wszystkie zresztą przytaczane teksty, podany jest w dosłownem tłumaczeniu z *Journal Officiel (Débats Parlementaires)*. Dzienniki otrzymują zaraz po posiedzeniu sprawozdanie nieco skrócone (t. zw. *Compte rendu analytique)*. To też wszystkie paryskie dzienniki poranne z 24 grudnia podały powyższą *interruption* p. Briand'a w takiem brzmieniu: *„Je suis au courant du travail qui se fait de ce côté. Je n'hésite pas à dire qu'il est dangereux. Il n'est pas sûr que ce travail soit dirigé vers la paix"*.

Dnia następnego (24 grudnia 1929), poseł Bracke (A. M. Desrousseaux), socjalista, wykorzystał zaraz nieostrożne słowa p. Briand'a. Mówca rozwodził się nad genezą ostatniego kryzysu ministerjalnego w Polsce i nazywa ponowne dojście do władzy p. Kazimierza Bartla „porażką partji pułkowników". A dalej:

— Musiałbym wchodzić w szczegóły aby tu Panom wykazać czem jest ta „partja pułkowników", o czem się jej marzy i dla jakich rojeń chce pozyskać ulegającą sobie część opinji polskiej. Chodzi tu o wyraźne zamiary wojny....

P. GRUMBACH (socjalista): Niestety!

P. BRACKE: ...zamiary dające się podzielić na trzy kategorje. Po pierwsze, zamiary wojny z Litwą... Od strony Ukrainy usiłuje się podtrzymywać siły ludowe, na których możnaby się później oprzeć interwenjując celem przywrócenia zakłóconego przez się porządku. *(Oklaski na skrajnej lewicy).*

P. GRUMBACH: Oto prawdziwe niebezpieczeństwo wojny!

P. BRACKE: Wreszcie, niektórzy zapowiedzieli, że chcą siłą zagarnąć Prusy wschodnie... Proszę Panów, socjaliści nie uważają za zbrodnię idei, że traktaty nie są wieczne... Socjaliści są gotowi nietylko zgodzić się, ale nawet ułatwić rewizję tych postanowień traktatowych, przeciwko którym od pierwszego dnia protestowali .Ale trudność jest w wyborze środków, bo niektórzy usiłują nie zrewidować, ale podrzeć traktaty i to podrzeć z przelewem krwi... *(Oklaski na skrajnej lewicy).*

Po tych gołosłownych insynuacjach, pos. Bracke mówił dalej:

— P. Minister spraw zagranicznych miał wczoraj sposobność, przerywając mówcy, zasygnalizować fakt istnienia w Polsce niebezpiecznego dla Polski szowinizmu. Mógłby dodać, że ten szowinizm, że ten pyszałkowaty nacjonalizm opiera się na ruchu monarchistycznym grupującym się dokoła tego, — dopowiedzcie sobie, Panowie, jego nazwisko — który uważa, iż jest do otrzymania korony powołany. Tu również sprzeciwiać się musimy aby demokracji, a więc możliwości utrzymania pokoju, nie stała się krzywda.

Polska jest naszą przyjaciółką, naszą sojuszniczką. Nie jesteśmy więc w kłopocie kiedy trzeba jej udzielić rady lub zwrócić jej uwagę na to wszystko, co groźne jest zarazem dla niej. dla nas i dla świata. Jest Polska naszą sojuszniczką, a mówią, że nawet sojuszniczką wojskową. Istnieją podobno tajne umowy. Czy umowy te istnieją czy nie, wszyscy Francuzi i ogromna większość Polaków winszują sobie związku pomiędzy obu krajami istniejącego, związku, który miał początkowo i ma nadal na celu tylko utrzymanie pokoju.

P. BRIAND: Rządy polski i farncuski zawsze pracowały w najściślejszej łączności nad utrzymaniem pokoju, zgodnie

z uczuciami olbrzymiej większości narodu polskiego. *(Oklaski)*.

P. BRACKE: Jestem pewien co do opinji narodu polskiego, ale mam prawo sygnalizować niebezpieczeństwa, o jakich wspomniałem i nad któremi nie chcę się dłużej zatrzymywać...

Tego samego dnia (24 grudnia) przemawiał pos. Paweł Reynaud *(Action democratique et sociale)*, głośny ze swych rozmów berlińskich wiosną 1929. Bronił tezy, że sojusze Francji nie wystarczą:

— Ponieważ nie możemy zapewnić sobie bezpieczeństwa dodając interesy identyczne, trzeba śmiało spróbować porozumienia z interesem przeciwnym *(Oklaski na licznych ławach)*. Oznacza to zbliżenie z Niemcami... Oczywiście, Niemcy z klęską pogodzić się nie chcą. Czyż można tego od nich żądać? Czy mybyśmy się pogodzili? *(Oklaski)*. Ale to, czego możemy od nich żądać i czego żądamy — to nie wszczynać nowej wojny celem przywrócenia sytuacji poprzedniej. Oto cel naszej polityki... Mówi się często, że to polityka sprzeczności. Chcecie porozumienia z Niemcami, a macie sojuszników, przeciwko którym Niemcy kierują swą politykę. Wczoraj p. Franklin-Bouillon przeczytał nam dość duże wrażenie czyniący ustęp mowy księcia Radziwiłła. Ale ja wyczytałem ustęp inny... I przyznać muszę, że jego słowa są bardzo rozsądne i umiarkowane, że piszę się na nie w zupełności. Książę Radziwiłł mówił:

„Sądzę, że nie mamy prawa dyktować naszemu sojusznikowi na Zachodzie sposobu, w jaki chce i może ułożyć swoje sąsiedzkie z Niemcami stosunki. Jedno musimy sobie zastrzec: aby układanie tego stosunku nie odbywało się kosztem Polski".

Powtarzam, że zgadzam się całkowicie na te słowa. Znajduję zresztą tekst jeszcze bardziej sprecyzowany...

P. FRANKLIN-BOUILLON: Moja cytata wzięta jest z tej samej mowy. Odczytał pan zdania poprzedzające te, jakie ja przytoczyłem. Niema w tem nic sprzecznego.

P. L. O. FROSSARD (socjalista): Dobrzeście panowie dobrali swoje cytaty....

P. P. REYNAUD: Przyznaję, że zdania, jakie przytoczyłem uderzyły mię najbardziej. Ale, aby wybrać pomiędzy dwoma stanami duchowemi księcia Radziwiłła (o ile były dwa), najlepiej jest zwrócić się do p. Zaleskiego, ministra spraw zagranicznych. On bowiem swój kraj reprezentuje i on za jego politykę odpowiedzialność ponosi. Otóż, 18 maja 1928, p. Zaleski mówił [3]):

„Normalizacja stosunków francusko - niemieckich nie może budzić w społeczeństwie polskiem żadnych obaw, bo Polska

---

[3]) Pos. Reynaud cytuje mowę jaką p. Minister Zaleski wygłosił przed komisją spraw zagranicznych Sejmu. Por.: August Zaleski, *Przemowy i deklaracje*, 1929, str. 130.

wie, że Francja zawsze wraz z nią będzie stała na straży nienaruszalności traktatów"...

Zupełnie się zgadzam z p. Zaleskim....

A więc polityka francusko-niemieckiego porozumienia została przez naszych sojuszników akceptowana. Odpowiada ona zresztą najgłębszym pragnieniom światowej opinji publicznej *(Oklaski na licznych ławach).*

Następny interpelant, pos. Georges Mandel, przemawiając 24 grudnia, poświęcił również krótki ustęp swej mowy obawom polskim przez specyficznie pojętą „politykę pojednania" wywołanym. Przytoczył np. ustęp uchwały Sejmu z 6 lutego 1929 domagającej się dodatkowych gwarancyj bezpieczeństwa w związku z ewakuacją Nadrenji.

P. Briand odpowiedział na wszystkie interpelacje 26 grudnia 1929. Powtórzywszy argumenty wypowiedziane już w Senacie,— że to nie układy lokarneńskie, a Traktat wersalski stworzył „sytuację specjalną" na granicy zachodniej Niemiec, — p. Briand mówił:

— Jak więc można oskarżać o opuszczenie (Polski) człowieka, który starał się lukę na granicy wschodniej wypełnić, który przed podpisaniem układów lokarneńskich zażądał, aby Niemcy oświadczyły, że rezygnują z wszelkich zamiarów użycia gwałtu wobec swej wschodniej sąsiadki? *(Oklaski).* Traktat Wersalski nic w tej sprawie nie przewidział, ale nikt nie mówił o „opuszczeniu". Teraz uzyskano od Niemiec deklarację lokarneńską: zaraz mówi się o „opuszczeniu"!

...Odpowiadając na niektóre cytaty opinij polskich chciałbym przytoczyć inne. Są to słowa nie działaczy partyjnych, ale człowieka odpowiedzialnego i mającego wszelkie tytuły do przemawiania w imieniu swego kraju: przez p. Ministra spraw zagranicznych Polski. Oto co mówił w r. b., w Sejmie polskim [4]):

„Nigdy nie czyniliśmy i czynić nie będziemy trudności dążeniom Rzeszy do porozumienia z Francją, ponieważ jesteśmy głęboko przekonani, iż celem i wynikiem przyjaźni niemiecko-francuskiej nie może być i nie będzie osłabienie przyjaźni polsko-francuskiej, opartej na dostatecznie mocnych fundamentach dawnej tradycji wspólnych interesów obu państw i głębokiej sympatji obu narodów. Nie wątpię też, że powoli opinja niemiecka zrozumie, że właśnie posiadanie aljanta w postaci Polski umożliwi Francji zbliżenie się do Rzeszy".

---

[4]) P. Briand cytuje tu mowę p. Ministra Zaleskiego wygłoszoną 15 stycznia 1929 przed komisją spraw zagranicznych Sejm. Por.; *Przemowy i deklaracje,* str. 211.

A w wywiadzie prasowym, udzielonym 9 listopada [5]), p. Zaleski oświadczył:

„Przez t .zw. Locarno wschodnie rozumie się zwykle traktat, któryby bezpieczeństwo naszej z Niemcami granicy poddał gwarancji wielkich mocarstw. Otóż Pakt paryski gwarancję tę już nam daje. Z zastrzeżeniem ratyfikacji Paktu przez wszystkie układające się strony, uważam, że obecnie, z punktu widzenia traktatów, wszystkie nasze potrzeby bezpieczeństwa są zadośćuczynione."

Minister spraw zagranicznych Polski niejednokrotnie głos w tym duchu zabierał... Jest doprawdy rzeczą przykrą dla człowieka do Panów przemawiającego słuchać insynuacyj, że mógł zbagatelizować interesy Polski lub Czechosłowacji. Po plebiscycie górnośląskim, mnie przypadł w udziale ciężki obowiązek uregulowania wynikłych stąd trudności. Nie były to trudności małe, jeśli sobie przypomnimy czem był ów plebiscyt. Czyż mam przypominać, że aby uświęcić to, co za prawo i czynnik bezpieczeństwa Polski uważałem, poszedłem do granic ostatecznych, narażając się na nieporozumienie z Wielką Brytanją, naszą wierną i oddaną sojuszniczką? Po załatwieniu tej sprawy nie było Polaka, któryby nie uznał wartości mych wysiłków i któryby nie był za nie wdzięczny rządowi francuskiemu.

Pozostawmy więc, Panowie, na boku takie metody dyskusji. Nie próbujmy nigdy, w jakichkolwiek okolicznościach, stwarzać w umyśle naszych przyjaciół i sojuszników wrażenia, że moglibyśmy żywić uczucia egoistyczne, że moglibyśmy załatwiać nasze sprawy ich kosztem.

Czy w gruncie rzeczy cała ta debata, a raczej jej polskie motywy, pomyślne były dla naszych interesów? I tak, i nie. Tak, bo jeszcze raz dowiodły, jak głęboko jest we Francji zakorzeniona świadomość wspólnoty francusko-polskich interesów. Nie, bo u niektórych interpelantów niechęć do p. Brianda silniejsza była od sentymentu do Polski.

## KOLEKTYWIZACJA ROLNICTWA W Z. S. R. R.

Kolektywizacja gospodarstw rolnych jest bezsprzecznie najdonioślejszem wydarzeniem w życiu gospodarczem Związku Socjalistycznych Republik Rad. Zarówno wysiłek olbrzymi, jaki podjęto w celu jaknajszybszego zupełnego przekształcenia ustroju rolnego w Sowietach, jak i wciągnięcie do dzieła tak radykalnie pojętej reformy najszerszych mas ludności wyróżniają kolektywizację

[5]) Nie mogliśmy odnaleźć, o jaki wywiad tu chodzi. W każdym razie p. Zaleski rozwinął myśl podobną w wywiadzie udzielonym haskiemu korespondentowi *Ilustrowanego Kurjera Codziennego* (2 września 1929).

w szeregu wszystkich dotychczasowych sowieckich reform gospodarczych.

Chociaż pierwsze *kołchozy* [1]) powstały jeszcze w latach 1920—22, przypadających na okres tak zwanego, „wojującego komunizmu“, właściwe wprowadzenie ustroju kolektywnego na tory przyśpieszonej realizacji datuje się dopiero z końca roku 1927. O kolektywizacji rozstrzygnęły w tym czasie względy gospodarcze. Chybiła na jesieni 1927 rządowa kampanja zakupów zboża, a jednocześnie zmniejszyła się przestrzeń zasiewów w gospodarstwach indywidualnych. Wobec tego na XV zjeździe Wszechzwiązkowej Partji Komunistycznej w grudniu 1927 uznano potrzebę przerzucenia roli wytwórców całkowicie na gospodarstwa kolektywne. Ponieważ rok 1928 przyniósł dalsze pogorszenie sprawy aprowizacyjnej i zaostrzenie się konfliktu rządu i wsi na tle kampanji *chlebozagotowok* [2]), rząd przeszedł od taktyki względnego umiaru do wręcz rygorystycznego systemu działania w celu uporania się z kolektywizacją w najkrótszym czasie. Sesja majowa Centralnego Komitetu Wykonawczego Z.S.R.R. w 1929 była momentem przełomowym, gdyż wysunęła hasło kolektywizacji powszechnej, równoznacznej z zupełną likwidacją indywidualnych gospodarstw włościańskich i udzieliła rządowi daleko idących pełnomocnictw w zakresie wyboru środków wykonawczych. Zastosowanie w związku z zakupami zboża w ciągu lata i jesieni 1929 bezwzględnej presji administracyjnej wywołało nowy odruch oporu wsi, i w tem nowem najgwałtowniejszem starciu dwóch sił, masy włościańskiej oraz rządu i partji, i dwóch różnych światopoglądów władze posiłkowane przez wojsko i G.P.U. po raz trzeci osiągnęły przewagę. *Chlebozagotowki* wykonano na czas i kolektywizację posunięto o dalszy krok naprzód. *Kołchozy,* które w rozgrywce odegrały rolę ekspozytur rządowych, uznane zostały za dogodne narzędzie do rozbijania jednolitego frontu włościańskiego, i z tą chwilą w partji i w rządzie ostatecznie przeważył kierunek niezwłocznego wykonania uchwał sesji majowej Cik'a. 6 stycznia 1930 Centralny Komitet partji powziął uchwałę o tempie kolektywizacji i o środkach pomocy państwowej. Obliczono, że już na wiosnę 1930 obszar uprawny *Kołchozów* będzie wynosił około 30 miljonów ha, że zatem plan pięcioletni, preliminujący od 22 do 24 miljonów ha dopiero w ostatnim roku „pięciolatki“ 1932/33, będzie przekroczony już w roku bieżącym, w dalszych zaś latach już nie 20% ogólnej przestrzeni, jak planowano pierwotnie, lecz całe rolnictwo przejmie ustrój kolektywny.

Dalszem rozwinięciem tych planów w zakresie wykonawczym były kolejne dekrety z 16 stycznia i 1 lutego 1930, wydane przez

---

[1]) Gospodarstwa kolektywne.

[2]) Przymusowe zakupy zboża.

Prezydjum Cik'a i Radę Komisarzy Ludowych Z.S.R.R., które sankcjonowały stan walki klasowej, rozgrywającej się w obecnej chwili na terenie całego Związku Republik. Dekrety te stanowiły doniedawna ostatni akt prawodawczy, na mocy którego kolektywizację przeprowadza się systemem obecnym.

Dorobek kolektywizacji (ogólna ilość *kołchozów*, odsetek gospodarstw właściańskich, objętych kolektywizacją, przestrzeń uprawna *kołchozów*, produkcja towarowa) w całym Z.S.R.R. podaje następująca tabela.

| | 1. VII. 1928 | 1. VII. 1929 | według planów na rok 1929/30 (1 X. 1929 — 1. X. 1930) |
|---|---|---|---|
| Ogólna ilość kołchozów | 38.000 | 61.000 | 103.000 |
| Odsetek gospodarstw | 2,1 % | 4 % | 10 % |
| Przestrzeń uprawna (w tys. ha) | 1.390 | 4.262 | 30.000 |
| Produkcja towarowa (w milj. cetn.) | 3,5 | 13 | 49 |
| Ogólna ilość kołchozów | 38.000 | 61.000 | 103.000 |

Ostatnia rubryka tabeli jest już nieaktualna, ponieważ wyniki liczbowe kolektywizacji w I kwartale gospodarczym (październik—grudzień) już znacznie przekroczyły pierwotne projekty. Tak naprzykład do 10 lutego 1930 na terenie trzech republik R.S.F.S.R. (Rosja), U.S.R.R. (Ukraina), i B.S.R.R. (Białoruś) zostało objętych kolektywizacją 10.637.000 gospodarstw włościańskich, to jest mniej więcej 45,6 % ogółu gospodarstw; obszar uprawy *kołchozów* wynosił w tym czasie 69.188.000 ha. Liczby te zostały opublikowane przez nowo utworzony Komisarjat Rolnictwa Z.S.R.R., stanowią zatem zupełnie oficjalne dane, których niema powodu podejrzewać o nieścisłość.

Chociaż astronomiczne liczby statystyki sowieckiej mogą wydać się niepojęte, zwłaszcza dla krytyka patrzącego z niedowierzaniem na możliwości wykonania wręcz fantastycznych pomysłów, to jednak wyniki liczbowe kolektywizacji nie są ani zmyślone, ani nawet przesadzone — po pierwsze dlatego, że odnoszą się do jedynego kraju na kuli ziemskiej, w którym wszelkie eksperymenty dokonywują się z nierównie większą szybkością i w skali nieproporcjonalnie większej, niż w jakimkolwiek innem państwie, a podrugie dlatego, że statystyka rzadko kiedy wdaje się w ocenę wartości strukturalnej zjawisk, których tylko segregowanie jest jej głównym celem, przyczem statystyka sowiecka, gdy chodziło o wynik liczbowy, zawsze wykazywała minimalną dozę krytycyzmu.

Przy ocenie dotychczasowych wyników kolektywizacji należy sobie uprzytomnić — i tu wkraczamy w dziedzinę krytyki rzeczowej — że statystyka wcale nie daje odpowiedzi na pytanie, może najważniejsze, a mianowicie, co spowodowało tak zawrotne tem-

po kolektywizacji. W dalszym ciągu zajmiemy się oceną realnej wartości *kołchozów*, organizacyjnej i produkcyjnej.

Wystarczy rozpatrzeć okoliczności towarzyszące przeprowadzeniu reformy, żeby mieć zupełną pewność, że pierwiastek dobrowolności, na który Sowiety stale powołują się, nie istnieje prawie. Reforma jest przeprowadzana siłą. Napotkawszy na opór, akcja rządowa zaczęła przełamywać go tem gwałtowniej i wywołała reakcję jeszcze zacieklejszą niż przedtem, nawet wprost żywiołową. Zamożniejsi włościanie, *Kułacy*, którym wywłaszczenie najbardziej zagraża, dosłownie zgładzają cały swój inwentarz żywy, psują i niszczą inwentarz martwy, podpalają zabudowania gospodarcze i domy mieszkalne, a nawet palą i niszczą zapasy żywności, W innych rejonach dzieło zniszczenia jest mniejsze, lecz zato włościanie wyprzedają za bezcen cały swój majątek ruchomy, również porzucają grunty i wędrują do obcych rejonów albo do miast. Strach przed konfiskatą na rzecz kolektywów i nienawiść do rządu i partji jednoczy włościan zamożnych i biednych i podniеca agitację wywrotową. Prasa sowiecka i cudzoziemska notuje z dnia na dzień wypadki, rozgrywające się na terenie wsi; nie dają one całości obrazu, jednakże znakomicie potwierdzają hypotezę, że tak niezwykły przewrót gospodarczy może być dokonany w tak krótkim czasie tylko zapomocą niesłychanego teroru i gwałtu. Dekrety z 16 stycznia i 1 lutego 1930 nakazują masowe wysiedlanie opornych i konfiskatę całego mienia; zwłaszcza ubój bydła, niszczenie inwentarza i podpalanie zabudowań karane są specjalnie surowo, jako akty kontrewolucyjne, konfiskatą, ciężkiem więzieniem i deportacją do północnych rejonów i na Syberję; winnych zamachów na komisarzy bolszewickich z reguły rozstrzeliwuje się. Drugim środkiem, niemniej radykalnym, jest wciągnięcie armji do czynnego udziału w kolektywizacji. Zakłada się komuny rolne z zachowaniem ustroju wojskowego, i w ten sposób powstają strategiczne punkty oparcia dla rządu na wypadek wybuchu wojny domowej. Plan militaryzacji rolnictwa przewiduje wydzielenie z armji pół miljona osadników wojskowych w przeciągu najbliższych pięciu lat.

*Kołchozy* nie stanowią typu jednolitego, lecz istnieje kilka typów *kołchozów* od najniższych, o wspólnem tylko posiadaniu ziemi, często nominalnem, do najwyższych, będących prawdziwemi wspólnotami. Najbardziej wyodrębniają się następujące typy *kołchozów:* tak zwane *sozy, artele* i *komuny*. *Sozy* są stowarzyszeniami dla wspólnej uprawy ziemi, w których zaledwie jedna trzecia część środków produkcji jest uspołeczniona [3]), a reszta pozostaje w indywidualnem władaniu, przyczem nadziały gruntów zachowują charakter gospodarstw indywidualnych. *Sozów* jest naj-

---

[3]) Najważniejsze środki produkcji: traktory i inne skomplikowane i droższe maszyny rolnicze.

więcej, i stanowią one typ najniższy *kołchozów*. W *artelach* ziemia (nominalnie) i najczęściej całość środków produkcji tworzą tak zwaną własność uspołecznioną, a wspólny dochód rozdziela się albo według ilości inwentarza dostarczonego przez każdego członka, albo według włożonej pracy osobistej. *Arteli* będących typem pośrednim jest mniej niż *sozów*. W *komunach*, podobnie jak w *artelach*, i ziemia i środki produkcji uspołecznione są, lecz nadziały zatracają zupełnie cechy własności indywidualnej, są perjodycznie zamieniane, a wspólny dochód dzieli się na równe części według ilości głów do wyżywienia. Istnieją nawet tak zwane komuny wzorowe, w których wszystkie funkcje życiowe odbywają się zbiorowo. Komuny zatem z punktu widzenia założeń komunizmu stanowią typ najwyższy wszechstronnej kooperacji, istnieją jednak w bardzo niewielkiej ilości. W doniesieniach z szeregu źródeł odnajdujemy potwierdzenie tego zróżniczkowania oraz faktu, że „czysty“ typ komuny spotyka się rzadko, z powodu braku sprzyjających warunków, lecz dla względów propagandowych starannie unika się ogłaszania zestawień w liczbach.

Bezpośrednim powodem niewielkiej ilości wyższego typu kolektywów jest przywiązanie ludności do form gospodarstwa indywidualnego oraz niechęć do systemu wytwórczości zbiorowej. Tam gdzie ludność włościańska nie znała nigdy rolnictwa kolektywnego, gdzie, nie istniała instytucja *miru* (przed reformą stołypinowską) — na Ukrainie i Białorusi, opór przeciwko kolektywizacji okazał się znacznie silniejszym i gwałtowniejszym, niż naprzykład w Rosji centralnej, gdzie *mir*, będący pierwowzorem dzisiejszej komuny rolnej, stanowił przed dokonaniem komasacji dość rozpowszechniony typ ustroju rolnego, aczkolwiek nie cieszący się nigdy sympatją ludności. Przeciwnikami wspólnoty są dzisiaj nie tylko *kułacy* [4]), lecz również włościanie średniozamożni, a nawet tak zwani *biedniacy*, bezrolni, którym ustrój kolektywny nie dał spodziewanych korzyści.

W rzeczy samej ostrze presji rządowej, zwrócone poprzednio tylko przeciwko *kułakom*, obecnie zostało wymierzone przeciwko wszystkim oponentom bez względu na stan posiadania i przynależności do tej czy innej warstwy włościańskiej. Wszyscy przeciwnicy kolektywizacji otrzymali przydomek *kułaków* i zaliczeni zostali do elementów kontrewolucyjnych.

Z uwag powyższych wynika, że nastroje ludności wstrzymują postępy kolektywizacji, którą forsuje się zapomocą bezwzględnego przymusu, i że tradycje wytwórczości indywidualnej utrudniają rozwój wyższych typów *kołchozów*. Z kolei trzeba zazna-

---

[4]) Do właściwych *kułaków* jeszcze przed wojną zaliczani byli zamożniejsi włościanie, posiadający od 10 do 20 ha oraz powyżej 5 sztuk inwentarza żywego. Liczba ich według statystyki sowieckiej wynosi obecnie zaledwie 2—3% ogółu ludności włościańskiej. W ostatnich latach do rzędu *kułaków* zaczęto także zaliczać włościan mniej zamożnych (od 5 do 10 ha gruntu).

czyć, że nawet tam, gdzie gospodarstwa kolektywne powstały bez tarć i konfliktu z władzami i z wszelkiemi pozorami dobrowolnej zgody ludności, przymus, chociaż pod inną postacią był zawsze czynnikiem dominującym. Ludność, a zwłaszcza jej warstwy szczytowe, dopatrzyły się pewnych doraźnych korzyści, płynących z przynależności do kołchozów, i postanowiła te drobne przywileje wyzyskać dla ratowania własnego bytu i stanu majątkowego. Pozornie więc ludność tych okolic, gdzie reforma szła względnie spokojnie, nagięła się do nowych form gospodarowania, zachowując zresztą w kolektywach nadziały, inwentarze i dawne metody pracy. Nie brak przykładów podobnej ucieczki dobrowolnej do *kołchozów* w obawie represyj i prześladowań. A więc po wymierzeniu przez państwo wysokiego podatku indywidualnego, włościanin-*kułak* decyduje się wstąpić do kolektywu i, uzyskawszy już jako członek komuny zniesienie tego podatku, porzuca gospodarstwo kolektywne, aż go represje administracyjne nie zmuszą do ponownego wybiegu. *Kułak* wstępuje do *kołchozu* czasowo, żeby odwrócić od siebie uwagę władz w okresie *chlebozagotowok,* również w celu zagarnięcia, względnie utrzymania w swem posiadaniu lepszych gruntów, które mogłyby ulec konfiskacie. Tego rodzaju wypadki były notowane dosyć często, powstawały nawet specjalne *kułackie kołchozy,* w których własność indywidualna przez pewien czas nie doznawała żadnego uszczerbku. Ponadto wstąpienie do *kołchozu* umożliwia korzystanie z szeregu ulg proletarjackich, jak naprzykład w zakresie kształcenia dzieci, praw wyborczych, i daje korzyści natury gospodarczej, jak kredyt rolniczy, ulgi podatkowe itd.

Kolektywizacja w tych granicach liczbowych, jakie podała statystyka, jest zatem faktem dokonanym, i dalsze jej losy zależeć będą już nie tylko od nastrojów ludności, lecz w dużo większej mierze od tego, jak gospodarstwa kolektywne wywiążą się z roli nowych warsztatów produkcyjnych. Pamiętamy, że inicjatywa całkowitego przekształcenia ustroju rolnego powstała wskutek opłakanego spadku produkcji rolnej w gospodarstwach indywidualnych, wywołanego przez sabotaż ludności. Przymusowe zakupy zboża przez państwo i zakaz wolnego handlu produktami rolniczemi zniechęciły włościan do tak zwanej produkcji na zbyt; obszary uprawne zaczęły kurczyć się już w 1928, a w jesieni roku ubiegłego w większości gospodarstw indywidualnych zasiano tyle tylko ,ile potrzeba na wyżywienie. Wobec tego faktu zadanie dostarczania zboża na rynek musiało spaść na gospodarstwa kolektywne. Siewy jesienne na odcinku socjalistycznym rolnictwa wykonano mniej więcej w granicach programu, zato gorzej zapowiadają się siewy wiosenne. Przedewszystkiem atmosfera podniecenia i dezorganizacja w zarządzie kolektywów, będące następstwami nieustannej rewolty włościańskiej, nie sprzyjają systematycznej pracy przygotowawczej w przededniu kampanji wiosen-

nej w zakresie sporządzenia planów, robót regulacyjnych, meljoracyj, zaopatrzenia w inwentarze, nasiona i t. p. Siewy jesienne odbyły się w warunkach o wiele lepszych, gdyż wówczas na wsi panował jeszcze względny spokój. Zapowiedź niewykonania programu siewów wiosennych powstaje wobec zaistnienia objawów niepomyślnych, w pierwszym rzędzie w zakresie wypracowania planów robót polnych dla każdego z osobna rejonu, powiatu, gminy, wreszcie pojedyńczych kolektywów, następnie w zakresie zaopatrzenia *kołchozów* w inwentarze i wreszcie w dziedzinie przygotowania wystarczającej ilości ziarna na siew.

Otóż jeszcze w połowie lutego, jak stwierdziły relacje z prowincji, w szeregu miejscowości plany nie zostały sporządzone, względnie dyrektywy w związku z kampanją wiosenną nie nadeszły ze środków gubernjalnych i centralnych. Winę za ten stan rzeczy usiłowano zwalić na urzędy podległe tak zwanemu *Kołchozcentrowi,* zarządzającemu rolnictwem kolektywnem w całem państwie. Zarzucono im karygodne niedbalstwo, a nawet świadomą złą wolę. Być może, rozplanowanie robót na miejscu w tej chwili zostało już zrobione, lecz opóźnienie niewątpliwie odbić się musi ujemnie na wynikach robót polnych, wywołując opóźnienie siewów i t. p., jeszcze dotkliwiej odbije się niedostateczne zaopatrzenie *kołchozów* w inwentarze. Według rachuby sfer kierowniczych inwentarz żywy i prostsze maszyny i narzędzia, jak pługi, brony i t. p. mieli dostarczyć *kołchozom* w pierwszym rzędzie — sami włościanie. Tymczasem w większości rejonów ludność, jak wiemy, odmówiła dobrowolnego wydania środków produkcji i zagrożona konfiskatą i represjami poczęła masowo wyprzedawać lub niszczyć majątek ruchomy. Rezultat tej akcji podjętej z premedytacją i wykonywanej systematycznie stał się opłakany dla *kołchozów,* gdyż państwo nie jest w stanie pokryć wszystkie braki i dostarczyć na czas inwentarzy. Na domiar złego zawiodła produkcja krajowa maszyn rolniczych. Tak naprzykład 10 lutego w posiadaniu *kołchozów* całego Z.S.R.R. znajdowało się zaledwie 54,7 % najniezbędniejszej ilości traktorów, a w szeregu rejonów, jak Leningradzki, Dolnej Wołgi, północny i inne, odsetek ten wahał się od 22 % do 3 %. W zakresie innych maszyn rolniczych zaopatrzenie w tym samym czasie wyglądało, jak następuje: dowieziono do *kołchozów* 54,2 % potrzebnej ilości pługów, 23,1 % kultywatorów, 38,8 % siewników. W tej chwili stosunek ten siłą rzeczy musiał ulec poprawie, lecz, jak stwierdzają relacje z rejonów, zaopatrzenie nigdzie nie równa się 100 %, jest bardzo wiele braków w zakresie części zapasowych, towar jest naogół lichy i niestarannie wykonany, przyczem dostarczony zapóźno do wielu południowych rejonów, gdzie siewy niebawem rozpoczną się. Dotychczas źle jest ze sprawą nasion w *kołchozach.* Na 1 marca tylko Ukraina, a w R.S.F.S.R. okręgi Zachodni, Moskiewski, Centralnoczarnoziemny i Iwanowski rozporządzały wystarczającą ilością

ziarna. W innych okręgach i republikach gospodarstwa kolektywne mimo że termin upłynął, jeszcze nie mają potrzebnych zapasów, przyczem odsetek posiadanej ilości ziarna spada do 19,6 % potrzeb w Kazakstanie i do 18,5 % w republice Niemców Nadwołżańskich; w Federacji Zakaukaskiej odsetek ten równa się 89,1 %, w B.S.R.R. 75,9 %. Dla całego Z.S.R.R, zapas nasienny równał się 1 marca — 85 %.

Z podsumowania uwag powyższych wynika, że obecna konjunktura w rolnictwie, nawet kolektywistycznem, któremu państwo rzekomo śpieszy z pomocą, jest wyjątkowo zła, gorsza niż w latach ubiegłych. Tę zaś konjunkturę pogarsza jeszcze fakt następujący. Włościaństwo jest zdemoralizowane i doszczętnie zubożałe. W walce z rządem zostało pokonane i gwałtem zjednoczone w *kolchozach*. Troska o utrzymanie nowych olbrzymich zastępów nędzarzy spada całkowicie na państwo, któremu do łańcucha trudności gospodarczych przybywa jeszcze jeden ciężar, może nawet ponad siły.

Możnaby na tych wnioskach poprzestać, gdyby nie zaszedł wypadek wielkiej doniosłości tak dla kolektywizacji, jak i dla całego gospodarstwa państwowego. Mamy na myśli artykuł Stalina *w Izwiestjach* z 2 marca 1930, pod tytułem „Zamroczenie umysłów od powodzenia". Zdaniem Stalina przebudowa wsi na zasadzie kolektywistycznej stała się faktem dokonanym. „Przeszło 50 % włościańskich warsztatów rolnych należy już do kolektywów, przygotowanych zostało 36 miljonów cetnarów ziarna dla siewów wiosennych, to jest 90 % ilości potrzebnej, dokonano dzieła kolektywizacji z nadwyżką dwukrotną w stosunku do planu". Lecz te zdumiewające wyniki — pisze Stalin — wywołały wśród komunistów niebezpieczne nastroje, które polegają na przekonaniu, iż partja potrafi natychmiast rozwiązać wszystkie trudności zupełnej przebudowy ustroju społecznego. Stalin podkreśla, iż dzięki awanturniczości niektórych działaczy partyjnych zdobyte rezultaty mogą być zniweczone za jednym zamachem, i że należy walczyć energicznie przeciwko tym, którzy nie rozumieją konieczności konsolidacji pozycyj zdobytych i ich systematycznego zużytkowania dla przyszłego postępu. Następnie jaśniej już wypowiadając się, Stalin oświadcza, że powodzenie reformy zawdzięcza się „dobrowolnemu" charakterowi całego ruchu włościańskiego, wobec czego ostrzega partję przed tworzeniem kolektywów siłą, gdyż przymus „jest metodą głupią i reakcyjną", tylko hamuje postępy reformy, wywołując wśród ludności fale nastrojów antysowieckich. Jest to, zdaniem Stalina, „lanie przez tak zw. lewych fanatyków wody na młyn prawego oportunizmu". Wniosek z tego jest następujący. Ponieważ czysty typ komuny jest w ruchu kolektywistycznym tylko wypadkiem odosobnionym, gdyż warunki nie dojrzały jeszcze dla tej formy kolektywu, należy popierać narazie typ pośredni, to jest artele, w których byłyby uspołecz-

nione podstawowe środki produkcji, głównie w zakresie gospodarstwa zbożowego, a więc użytkowanie ziemi, praca, inwentarze i zabudowania gospodarcze, natomiast pozostały majątek ruchomy i nieruchomy, jak naprzykład ogródki warzywne, sady owocowe, domy mieszkalne, bydło mleczne, nierogacizna i drób, stanowiłyby nadal własność indywidualną. Stalin kończy artykuł apelem do walki na dwa fronty: przeciwko elementom zacofanym, to jest prawicowcom i elementom zbyt radykalnym.

Jednocześnie z artykułem tym ukazał się dekret Związkowego Komisarjatu rolnictwa, zatwierdzony przez Radę Komisarzy Ludowych i Prezydjum Centralnego Komitetu Wykonawczego ZSRR, w którym zostały sformułowane podstawy organizacji arteli.

Stanowisko zajęte przez Stalina jest częściowem wycofaniem się z dotychczasowej polityki kolektywizacji i tak zostało zrozumiane w partji, wywołując natychmiastową dość silną opozycję. Według ostatnich relacyj opozycjoniści zarzucają Stalinowi przyznanie się do początków bankructwa pięcioletniego planu gospodarczego. Z drugiej strony dawni zwolennicy umiarkowanej polityki w rolnictwie, czyli tak zwanej prawicowej, już zaczęli wyzyskiwać artykuł Stalina w celu zlikwidowania kolektywizacji. Trudno jest przewidzieć, jaki prąd weźmie górę w partji; czy Stalin zdoła nadal utrzymać swój autorytet, będąc zmuszonym po raz drugi walczyć na dwa fronty.

Wypadki dnia przyniosły rozwiązanie, którego można było oczekiwać, a mianowicie odwrót rządu i partji na całej linji kolektywizacji, podyktowany zapewne obawą poważniejszych rozruchów w kraju, a może nawet widma głodu. Jednakże tylko zupełne zwycięstwo kierunku najbardziej umiarkowanego mogłoby wzmocnić zachwianą pozycję partji w szerokich masach rolniczych i może naprawić część strat gospodarczych, wyrządzonych krajowi przez nieopatrzną i szaloną reformę kolektywizacji.

7 marca 1930.

## STAN SIŁ NA MORZU CZARNEM.

Konferencja morska w Londynie zajmuje się stosunkiem zbrojeń na oceanach świata i jej uwagi uchodzą zupełnie kwestje o znaczeniu lokalnem. Wskutek tego problemat bezpieczeństwa na morzach wewnętrznych Europy nie przestanie być palącym, nawet jeżeli dojdą do skutku ogólne układy rozbrojeniowe.

Zagadnienie bałtyckie, rozpatrywane w poprzednim numerze *Spraw Obcych* (str. 417 nn.), polega jak widzieliśmy w pierwszym rzędzie na supremacji niemieckiej na Bałtyku, umocnionej przez wykończenie pancernika A. W ostatnich miesiącach przybyły nowe elementy tej sprawy: rozbrojenie Danji i przeniesienie dowództwa morskiego Niemiec do Kilonji. Niemcy uzyskały tem-

większą swobodę panowania na Bałtyku, ile że nie są reprezentowane na Konferencji londyńskiej rozbrojenia morskiego.

Znaczenie wojenne sił Związku Sowieckiego na Bałtyku opiera się przedewszystkiem na posiadanych przezeń 14 łodziach podwodnych (w tem 3 w budowie). Równoważy tę siłę nie Polska i Kraje bałtyckie, mające ogółem 9 takich łodzi (w tem 3 w budowie), lecz Szwecja ze swemi 16-tu (oraz jedną w budowie).

Jakiż jest stan uzbrojenia państw nadbrzeżnych Morza Czarnego? — Na załączonej tablicy dajemy najnowsze dane w tej dziedzinie. Jak z tablicy tej wynika, panowanie na Morzu Czarnem dzielą pomiędzy siebie Związek Sowiecki i Republika turecka — ta ostatnia jedynie dzięki posiadaniu wielkiego krążownika opancerzonego (ex *Goeben*), o pojemności 23 tys. tonn, uzyskanego w swoim czasie od Niemiec — w pierwszych dniach wojny światowej.

Ta równowaga pomiędzy Związkiem Sowieckim a Turcją naruszona została jednakże przez wypadki ostatnie. Sowiety, korzystając z uprawnień, jakie przed niemi otwiera, podobnie jak dla wszystkich innych państw nadbrzeżnych Morza Czarnego, Konwencja Cieśnin ustalona przepisami Traktatu Lozańskiego, przeprowadziła przez cieśniny dwa statki bałtyckie, pancernik *Pariżskaja Komuna* (23.000 tonn) i krążownik *Profintern* (8.000 tonn). Tem samem przewaga sił na Morzu Czarnem przechyliła się w sposób stanowczy na stronę Związku Sowieckiego.

Na ile to jednoczesne opanowanie Morza Bałtyckiego przez Rzeszę Niemiecką, Morza Czarnego przez Związek Sowiecki jest wynikiem układów istniejących pomiędzy temi obu państwami, trudno jest stwierdzić. Zasługuje jednakoż na szczególną uwagę następujące ustosunkowanie międzynarodowe odnośnie zaangażowanych państw:

Niemcy należą wprawdzie do Ligi Narodów, nie są jednak reprezentowane na Londyńskiej Konferencji morskiej i ich główna broń — pancernik o 10 tys. tonn — nie wchodzi, przynajmniej na razie, w rachunek ograniczeń rozbrojeniowych.

Związek Sowiecki, podobnie zresztą jak Turcja nie jest członkiem Ligi Narodów, nie bierze żadnego udziału w Konferencji Londyńskiej i żadne uchwały tejże nie będą go obowiązywać.

Toteż kwestje międzynarodowe takie, jak ewentualne osaczenie Polski na Bałtyku czy osaczenie Rumunji na Morzu Czarnem, nie wchodzą w zakres narad pomiędzy państwami światowemi i pozostawione są bezpośrednio zainteresowanym.

Rzplta polska zainteresowana jest w nieograniczonej wolności żeglugi i handlu na Morzu Czarnem, ma swe uprawnienia w portach Galaczu i Braile na Dunaju, a Constanzy na Morzu Czarnem. Poza tem Polska jest związana umowami obronnemi z Rumunją, a przeto zainteresowana pośrednio w bezpieczeństwie i równowadze sił Morza Czarnego.

## OGÓLNY STAN SIŁ MORSKICH NA MORZU CZARNEM.

| | Krążowniki | | | | Kontr torpedowce | | | | Łodzie podwodne | Inne |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | | tonaż | szybkość | uzbrojenie | | tonaż | szybkość | uzbrojenie | | |
| Z.S.R.R. | 2 *wojen.* (1915) | 6.800 | 30 | 15×130 mm, 4× 75 „, 2 ap. torp. | 3 *powojenne* wzgl. remont. 1919 | 1.330 | 31 | 4×100 mm, 5× 63 „, 12 ap. torp. | 4 (z tych jedna zbudowana w 1923) | 33 szybkobieżne motorówki<br>1 okręt minowy (1620 tonn)<br>12 traulerów |
| | | | | | 1 *wojen.* | 1.280 | 36 | 4×100 mm, 4 ap. torp. | | |
| | 1 *przedwoj.* (1903) | 6.800 | 22,7 | toż samo | 2 *przedwoj.* | 450<br>250 | 26 | 2× 75 mm, 2 ap. torp. | | |
| | | | | | 3 kontrtorpedowce w budowie | | | | | |
| Rumunja | | | | | 2 z lat 1918/19 | 1390<br>1720 | 34 | 5×120 mm, 2× 76 „, 4 ap. torp | 2 w budowie | 4 kanonierki (351—391 tonn)<br>7 rzecznych monitorów (450—680 t.)<br>7 szybkobieżnych motorówek |
| | | | | | 2 kontrtorpedowce w budowie | | | | | |
| | | | | | Torpedowce | | | | | |
| | | | | | 6 (1913/14) | 266 | 24 | 2×66, 2 ap. torp. | | |
| Turcja | 1 krążownik linjowy (ex-Goeben) (1911) | 23.000 | 28 | 10×280, 12×150, 18× 88, 4 ap. torp. | 5 z lat 1903/7 | 620<br>775 | 22 | w dwóch 2×105 mm w innych: 2× 75 mm poza tem 42× 57 mm 3 ap. torp. | 2 (z lat 1926/7) | 7 kanonierek 1911-1913 (420-510 tonn)<br>1 okręt Szkolny 10060 tonn szyb. 15 (ex-Weissenberg)<br>1 okręt linjowy z 1891<br>3 trautery<br>3 transportowce<br>9 okrętów strażniczych |
| | 2 krążowniki opanc. przedwoj. | 3.850<br>3.350 | 22 | 2×150 mm, 4× 75, 2 ap. torp., 4×130 cm | 3 z 1907 | 290 | 25 | 2×65, 4×47, 2 ap. t. | | |
| | | | | | Torpedowce | | | | | |
| | | | | | 6 z lat 1902/6 | 97<br>150<br>145 | 24-27 | 2×37, 2 ap. torp. | | |

## STAN MARYNARKI HANDLOWEJ NA BAŁTYKU.

Bałtyk, jako basen wewnętrzny, nie miałby większego znaczenia, gdyby nie wielkie zaplecze, które dostarcza państwom europejskim ogromnej masy surowców, będąc jednocześnie wielkim rynkiem zbytu dla towarów gotowych i towarów kolonjalnych. Stąd wypływa wielkie znaczenie tego zamkniętego basenu morskiego dla handlu światowego.

Odkładając do następnej kroniki charakterystykę tego handlu, obecnie przytoczymy zestawienie stanu marynarki handlowej państw nadbrzeżnych Bałtyku i cieśnin Zundu.

Na rozwój marynarki handlowej danego państwa, pomiędzy innemi czynnikami, wywiera przeważający wpływ długość wybrzeża morskiego w stosunku do długości granic lądowych.

Jakkolwiek Polska posiadała w wieku XVI około 1000 km wybrzeża Bałtyku, to jednakże, oddając handel morski w ręce żywiołu obcego, nie mogła wytworzyć własnych większych sił morskich.

Obecnie zaś Polska posiada zaledwie 74 km (nie licząc Helu) wybrzeża morskiego, co w stosunku do długości granic lądowych 5397 km. jest wielkością znikomą.

W odniesieniu naprzykład do Wielkiej Brytanji, której długość granicy morskiej oznaczamy przez 100, *stopień morskości granic,* to jest stosunek odsetek dla granic nadbrzeżnych przez odsetki dla granic lądowych, według obliczenia p. Czesława Klarnera [1]), dla poszczególnych państw będzie wynosił:

| | |
|---|---|
| W. Brytanja | 100 |
| Szwecja | 3.48 |
| Norwegja | 1.32 |
| Finlandja | 0.54 |
| Łotwa | 0.29 |
| Niemcy | 0.19 |
| Litwa | 0.08 |
| Polska | 0.14 |

Z tego wynika, iż Polska ma dostęp do morza bardzo ograniczony.

Bardziej widoczne różnice na naszą niekorzyść wypadną z porównania długości wybrzeża morskiego w stosunku do obszaru i zaludnienia państwa. (p. tablica Nr. 1).

---

[1]) Czesław Klarner *Rola inicjatywy prywatnej w rozbudowie Gdyni.* Pamiętnik Instytutu Bałtyckiego, zeszyt 2, Obrona Pomorza, Toruń, str. 32.

Tablica Nr. 1.
PORÓWNANIE DŁUGOŚCI WYBRZEŻA MORSKIEGO W STOSUNKU DO OBSZARU I ZALUDNIENIA PAŃSTW, POŁOŻONYCH NAD BAŁTYKIEM I ZUNDEM.

| Państwa | Długość granic morskich w km. | Ludność w tysiącach mieszk. | Powierzchnia w tysiącach km kw. | Gęstość zaludnienia | Stopień obciążenia 1 km. wybrzeża w km² powierzchni | Stopień obciążenia 1 km. wybrzeża w tysiącach mieszkańców |
|---|---|---|---|---|---|---|
| Finlandja . | 1646 | 3.597 | 388 | 9.3 | 236 | 2.0 |
| Rosja . . . | 350[1]) | 150 500 | 21.343 | 7.1 | | |
| Estonja . . | 485[2]) | 1.116 | 48 | 23.3 | 99 | 2.3 |
| Łotwa . . . | 494 | 1.883 | 66 | 28.5 | 133 | 3.8 |
| Litwa . . . | 91 | 2.286 | 53 | 43.1 | 585 | 23.5 |
| Polska . . | 74 | 30.408 | 388 | 78.4 | 5248 | 410.9 |
| Niemcy . . | 1488 | 63.440 | 469 | 135.3 | 315 | 42.4 |
| Danja . . . | 875[3]) | 3.485 | 43 | 81.0 | 49 | 4.0 |
| Norwegja . | 3400 | 2.779 | 324 | 8.6 | 95 | 0.82 |
| Szwecja . . | 7642 | 6.088 | 448 | 13.6 | 59 | 0,80 |

Przez porównanie tych liczb dochodzimy do wniosku, że jakkolwiek Polska posiada najmniejsze wybrzeże na Bałtyku, bo wynoszące zaledwie 74 km, to jednakże stosunek powierzchni i ludności na 1 km wybrzeża jest największy, co przemawiałoby na korzyść prężności w stosunku do największego wykorzystania wybrzeża morskiego.

Porównanie pomiędzy Polską, a Niemcami, daje następujące liczby:

| | Długość granic morskich | Stopień obciążenia 1 km. wybrzeża w km² powierzchni | Stopień obciążenia 1 km. wybrzeża w tysiącach mieszkań. |
|---|---|---|---|
| Polska . | 74 | 5248 | 410.9 |
| Niemcy . | 1488 | 315 | 42.4 |

[1]) Tylko wybrzeża Bałtyku.
[2]) Oprócz tego 2 wyspy: Ösel — 200 km, Dagö — 100 km.
[3]) Oprócz tego wyspy: Fünnen — 70 km, Zelandja — 420 km i t. d.

Tablica Nr. 2.

OGÓLNY STAN MARYNARKI HANDLOWEJ PAŃSTW NADBRZEŻNYCH MORZA BAŁTYCKIEGO I ZUNDU

| PAŃSTWO | Rodzaje statków | | | | Tonaż statków | | | | Ilość statków ogólnie | Tonaż ogólny w brutto rej. ton. | Komunikacja okręt. z zagranicą | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | | | | | | | | | | | przychodząc. | | wychodząc. | |
| | parowców | motorowych | żaglowych | barek i promów | parowców | motorowych | żaglowców | barek i promów | | | ilość statków | pojemność w netto rejestrowych ton | ilość statków | pojemność w netto rejestrowych ton |
| 1. Finlandja | 564 | 144 | 481 | 4.205 | 130.294 | 282.992 | 13.268 | 73.653 | 5.394 | 500.207 | 402 | 4.823.000 | 407 | 4.879.000 |
| 2. Rosja (Z. S. R. R) | | | 809 | | | | 26.679 | | | 227.449 | | | | |
| 3. Estonja [1]) | 67 | 27 | 275 | 52 | 32.258 | 6.831 | 19.318 | 6.843 | 379 | 74.012 | 2.672 | 849.996 | 2.729 | 854.975 |
| 4. Łotwa | 100 | 10 | 34 | | 99.290 | 716 | 3.210 | | 144 | 103.286 | 4.335 | 2.014.962 | 4.338 | 2.015.124 |
| 5. Litwa | 2 | | | 10 | 2.087 | | | 530 | 12 | 2.617 | | 468.000 | | |
| 6. Wolne m. Gdańsk | | | | | | | | | 47 | 13.500 | 5.396 | 3.892.362 | 5.432 | 3.917.890 |
| 7. Polska (Gdynia) | | | | | | | | | 34 | 69.000 | 1.541 | 1.445.288 | 1.551 | 1.457.685 |
| 8. Niemcy [2]) | | | | | | | | | — | — | — | — | — | |
| Porty morza Bałtyckiego | | | | | | | | | | | 23.387 | 8.861.000 | 22.995 | 8.798,000 |
| Porty morza Północnego | | | | | | | | | | | 40.539 | 35.274.000 | 43.556 | 35.035.000 |
| Razem: | 1.704 | 401 | 22 | | 3.467.878 | 589.779 | 34.895 | | 2.127 | 4.092.552 | 63.926 | 44.135.000 | 66.551 | 43.833.000 |
| 9. Danja [2]) | 499 | 124 | 78 | | 725.115 | 307.629 | 23.123 | | 70 | 1.055.866 | | 11.301.000 | | |
| 10. Norwegja [2]) | 1.488 | 304 | 15 | | 2,254.268 | 963.527 | 6.698 | | 1.807 | 3.224.493 | | 6.155.000 | | |
| 11. Szwecja [2]) | 1.027 | 232 | 126 | | 1.071.080 | 409.109 | 29.936 | | 1.385 | 1.510.125 | | 15.942.000 | | |

[1]) *The Estonian car-bok* 1929 Tallin

[2]) Według *Statistisches Jahrbuch fur das Deutsche Reich* dane na 1. VII. 1929.

Widzimy, że Niemcy znajdują się w sytuacji całkowicie uprzywilejowanej, gdyż posiadają wybrzeża morskiego 20 razy więcej aniżeli Polska, a stopień obciążenia wybrzeża morskiego w stosunku do powierzchni 17 razy, a w stosunku do ludności — 10 razy mniejszy, aniżeli Polska. Z tego wynika, że Niemcy nie potrzebują więcej wybrzeża morskiego, bo je posiadają w nadmiarze, a swoje zaborcze postulaty odnośnie naszego Pomorza opierają wyłącznie na tendencji podbojowej parcia na wschód, rugowania Słowian z ich własnej ziemi i odsunięcia od samodzielnego handlu morskiego.

Przez porównanie danych odnośnie tonażu marynarki handlowej (patrz tablica Nr. 2) dochodzimy również do przekonania, że Niemcy znajdują się w sytuacji uprzywilejowanej, bowiem zdołały w przeciągu 10-lecia od czasu podpisania Traktatu Wersalskiego swą marynarkę nietylko doprowadzić liczebnie do stanu przedwojennego (w 1914 — ogólny tonaż wynosił 5.459.296 brutto rej. ton), lecz przedewszystkiem zmodernizować ją, wprowadzając najnowsze statki motorowe, a na parowcach zainstalowały dodatkowo motory spalinowe, zmniejszając ilość statków starego typu — żaglowców z liczby 324.576 br. rej. tonn w 1914 do liczby zaledwie 34.895 br. rej .t. na 1 lipca 1929. Widzimy zatem, że Niemcy, posiadając wyjście na dwa morza: Bałtyckie i Północne, połączone kanałem Kilońskim, umożliwiającym w każdej chwili przerzucenie tych statków pomiędzy wszystkiemi swojemi portami, posiadają niekrępowane dalsze możliwości rozwoju, czego dowodem może być całkowita odbudowa marynarki handlowej w ciągu ostatnich 10 lat. Odpada zatem całkowicie argument, jakoby istnienie Rzeszy Niemieckiej w obecnych granicach było „nie do zniesienia“.

W ostatniem dziesięcioleciu należy zauważyć również wzrost tonażu marynarki handlowej innych państw, posiadających wybrzeże morskie nad Bałtykiem i nad cieśniną Zundem. Jedynie Rosja (Z. S. R. R.) posiada zaledwie 37 % w ilości statków, a 29 % w tonażu statków stanu przedwojennego [1], natomiast inne państwa szybko modernizują swoją flotę (Norwegja, Danja i Szwecja), lub stwarzają od podstaw, jak: Finlandja, Estonja, Łotwa i Polska. Rozwój marynarki handlowej i jej wzrost należy tłumaczyć dużemi możliwościami handlowemi na Bałtyku i wciąż ożywiającą się wymianą towarową z innemi częściami świata.

*Finlandja* tonażem własnym 6 towarzystw prywatnych utrzymuje komunikację stałą z portami morza Bałtyckiego, Północnego i z Ameryką Południową. Żegluga do portów Finlandji dostępna w okresie kwiecień-grudzień. Podobnie jak w Szwecji marynarka handlowa musi konkurować z kolejami.

---

[1]) Według wydawnictwa oficjalnego *Statisticzeskij Sprawocznik Z. S. R. R. na 1928*. Moskwa 1929.

Rząd subsydjuje linję okrętową do Ameryki Południowej, gdyż całkowity transport kawy do Finlandji odbywa się przy pomocy tej linji.

W Helsingforsie rozbudowuje się port, a w 1930 wydano na ten cel 25 milj. m. f.

Dochód brutto z marynarki handl. wykazuje stały wzrost:

w 1925 — 399 mil. m. f.
1926 — 405 „ „
1927 — 460 „ „
1928 — 484 „ „

Z tego największe zyski osiągnięto z żeglugi z zagranicą, a mianowicie w 1925 i 1926 — po 201 milj. m. f., w 1927 — 227 milj. m. f., a w 1928 — 262 milj. m. f.

*Estonja* własną marynarką handlową utrzymuje stałe połączenia z portami morza Bałtyckiego i Północnego.

Estonja w ciągu 1928 powiększyła swoją marynarkę handlową o 12 jednostek, zaś tonaż handlowy wzrósł z 65.290 do 74.012 br. r. t., z czego na parowce wypada 26%, a resztę na statki motorowe. W 1928 dochód brutto żeglugi estońskiej wyniósł 4,22 milj. kon., z czego około połowy pozostało w kraju.

Rząd estoński chętnie udziela zapomóg nabywcom statków i w ten sposób rozwija prywatną żeglugę.

Przykładem dla nas może być Estonja i pod względem rozwoju rybołówstwa morskiego, gdyż w najbliższym czasie ma być wybudowanych 29 nowych portów i przystani rybackich. W ciągu 10 lat ostatnich rybołówstwo estońskie rozwinęło się nadzwyczajnie, gdyż bowiem w 1920 posiadali rybacy zaledwie 20 kutrów motorowych, to w 1928 mieli już 673.

*Łotwa* bardzo szybko modernizuje swoją marynarkę handlową na korzyść statków motorowych, co stwierdza następujące zestawienie:

| | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|
| 1914 | parowców 59 | n. r. t. | 45.194 | 4 | 237 | 270 | 42.528 |
| 1928 | „ 83 | „ | 75.640 | 9 | 596 | 33 | 3.139 |
| 1929 | „ 100 | „ | 99.290 | 10 | 716 | 34 | 3.210 |

Na Łotwie istnieje około 9 towarzystw prywatnych żeglugi, które prowadzą intensywną akcję zakupu statków zagranicą, gdy w 1928 wydano 2,9 milj. fr. zł., to w 1929 już 4,2 milj. fr. zł.

Również dochody z żeglugi morskiej wzrastają (we fr. zł.):

| | 1928 | 1929 |
|---|---|---|
| dochody z zagr. statków . . . | 2,5 milj. | 2,9 milj. |
| dochód netto wł. żegl. handl. . | 4,8 „ | 8,7 „ |
| opłaty portowe od zagr. statków | — | 1,1 „ |
| dochody z tranzytu do Rosji . . | — | 2,5 „ |

*Niemcy* posiadają na morzu Północnem port w Hamburgu, drugi pod względem obrotów w Europie (po Londynie) oraz Bremę, która wyspecjalizowała się w bawełnie. Porty Bałtyckie, skazane są na mniejsze obroty ze względu na konkurencję Gdyni i Gdańska. Niemcy utrzymują komunikację z całym światem przy pomocy 8 linij żeglugi, z których największe *Hamburg-Amerika Linie* i *Norddeutscher Lloyd* w Bremie silnie pomiędzy sobą konkurują.

Marynarka handlowa Niemiec liczyła w 1915, 5½ miljonów ton pojemności, w 1920 zmalała do 672 tysięcy ton, a w następnych latach wzrastała w sposób bardzo szybki: w 1923 — 2.590.000 t., w 1925 — 3.000.000 t., w 1927 — 3.363.000 t., a na 1 lipca 1929— 4.090.000 t. Przyrost widzimy gwałtowny!

*Czechosłowacja* jakkolwiek nie posiada własnego wybrzeża morskiego, jednakże Traktatem Wersalskim otrzymała pewne prawa w portach niemieckich.

W wolnej strefie portu Hamburskiego znajduje się specjalne nadbrzeże wydzierżawione przez Czechosłowację, a ostatnio nabyli magazyn obszaru około 6.000 m. kw. za sumę 230.000 mk. W Saalehafen znajduje się teren długości około 450 m., który ma obsługiwać czeschosłowacki ruch na Elbie. W Moldenhafen długość nadbrzeża 150 m ma służyć dla ruchu morskiego. Na tych terenach Czechosłowacja buduje magazyny, a w Moldenhafen powstać mają zabudowania zarządu strefy czechosłowackiej. W porcie celnym Hamburga nad Pente otrzymała Czechosłowacja teren o powierzchni 13.000 m. kw., na których mają być urządzone składy węgla i materjału oraz warsztaty reperacyjne dla statków czechosłowackich, a koszty tych urządzeń obliczone są na około 4 milj. marek.

*Danja* zajmuje czwarte miejsce pod względem marynarki handlowej w stosunku do ilości ludności (1) Norwegja — 637 r. t. na 1000 mieszkańców, 2) Anglja — 300 r. t.., 3) Holandja — 215 r. t. i 4) Danja — 194 r. t.), dzięki dogodnemu położeniu geograficznemu i długości wybrzeży, które sprzyjają stałej żegludze. Trzy czwarte marynarki handlowej Danji przypada na Kopenhagę. Danja wyłącznie prawie obsługuje własne wybrzeże, pozatem duże dochody czerpie z żeglugi zagranicznej, pokrywając rocznie sumą około 130 milj. koron swój bierny bilans handlowy.

*Norwegja* ze względu na długość wybrzeża i dogodne porty ma ogromne dane dla rozwoju marynarki handlowej. Przed wojną posiadały większe floty tylko Niemcy, Stany Zjednoczone i Anglja, zaś po wojnie przerosły Norwegję Francja, Italja i Japonja.

Jednakże pod względem technicznym urządzona jest najbardziej nowocześnie, zajmując drugie miejsce na świecie pod względem zaopatrzenia statków w motory Diesla, a trzecie pod względem ilości okrętów dla przewozu nafty. Armatorzy norwescy za-

mówili w stoczniach angielskich ogółem 20 statków-cystern o pojemności około 8.800 t. każdy, a cena statku wynosi 140.500 Ł. Również Norwegja posiada specjalną flotyllę dla połowu wielorybów i pływającą destylarnię tłuszczu wielorybiego z kilkunastu statków łowieckich, zaopatrzonych w armaty harpunowe.

W pierwszem półroczu 1929 wedle statystyki *Der Norske Veritas* przybyło w Norwegji 18 statków pojemn. 114.200 b. r. t., z czego motorowych 97.500 b. r t, parowców 16.700 b. r. t. Flota norweska utrzymuje przodujące stanowisko wśród marynarki handlowej państw skandynawskich. Od 1914 wzrosła o koło 1 miljona ton.

*Szwecja* również idzie w kierunku budowy statków motorowych, powiększając stale pojemność nowych statków. O ile bowiem ruch w portach szwedzkich z zagranicą wynosił w 1913/15— 73.174 okrętów z ładunkami 27.117.525 t., to w 1927 — 59.563 okrętów z ładunkiem 32.487.968 t.

Wartość szwedzkiej marynarki handlowej wynosiła w 1913 ogółem 194 milj. koron, zaś obecnie wynosi około 420 milj. koron szw. Dochód brutto z żeglugi za rok 1928 wyniósł 289,9 milj. koron, a w 1929 wzrósł do 300 milj. koron, z czego 85,6% dochodu przypada na żeglugę z zagranicą. Wśród gałęzi przemysłu szwedzkiego żegluga zajmuje czwarte miejsce po przemyśle papierniczym, metalurgicznym i drzewnym. Żegluga stanowi ogromne źródło dochodów i wywiera dodatni wpływ na aktywność bilansu płatniczego Szwecji. W stoczniach szwedzkich wykonano w ciągu 1925—28 statków za sumę 76 milj. koron, a w tymsamym okresie tylko roboty reperacyjne dały 60 milj. koron. Ilość statków starego typu wynosi jeszcze 32% statków starszych ponad 25 lat, gdy procent tych statków w światowej marynarce handlowej wynosi 15%.

Statki polskie z ładunkiem węgla, wychodząc z Gdańska i Gdyni, przychodzą do portów w Göteborg, Hölsingborg, Malmö, Stockholm, Norrköping i Sundvall. Część tych statków po wyładowaniu węgla udaje się do Lulea i Grängersberg po ładunek rudy żelaznej, którą zabierają do Polski.

Z tych wszystkich państw, posiadających wybrzeże Bałtyku i Zundu najbardziej jednak spóźniony jest rozwój marynarki handlowej w P o l s c e, wyłącznie z naszej winy. Bowiem dopiero w końcu 1926 rząd nasz poważnie tą sprawą się zajął, stwarzając przedsiębiorstwo *Żegluga Polska*. Do grudnia 1926 polską banderę nosiły zaledwie 2 statki: statek szkolny *Lwów* i holownik morski *Ursus*. Obecny zaś stan wynosi 34 statki o nośności 69 tys. br. rej. ton, a obok statków państwowych figurują już 3 przedsiębiorstwa *Żegluga Polska, Polsko-Skandynawskie Towarzystwo Transportowe* i *Polsko-Brytyjskie Towarzystwo Okrętowe*.

Właściwa marynarka handlowa, służąca do celów przewozo-

wych, wynosi 23 statki o nośności zgórą 63 tys. t. (w tem 2 statki à 6.000 t. w budowie).

Statkami temi przewieziono około 1 milj. ton towarów.

Przeciętny przyrost statków w Polsce wyniósł za trzy ostatnie lata 1927—29 przeciętnie 22 tys. t., a ten roczny przyrost całkowicie odpowiada naszym możliwościom technicznym i finansowym.

Polska zatem jest na najlepszej drodze do wejścia w krąg międzynarodowych interesów morskich przez stopniowe planowe uruchamianie linij do wszystkich części świata.

Rozpatrzmy te kategorje przedsiębiorstw i ich wyniki:

1) *do statków państwowych należą:*
2 statki żegl. mot. *Lwów* i *Pomorze* szkolne, holownik morski i 3 holown. portowe, razem — 3.263 br. rej. t.

2) *do statków przeds. państw. „Żegluga Polska“ należą:*
9 statków parowo-towarowych o nośności 20.066 br. rej. t. oraz 5 statków parowo-osob. o nośności 1.716 br. rej. t., razem — 21.782 br. rej .t.

Statki *Żeglugi Polskiej* przewiozły następujące ilości towarów w 1927 — 308.060 t., w 1928 — 430.800 t., a w 1929 — 474.160 t. w tem w p r z y w o z i e do Polski:

za 1927 — 40.044 t.
„ 1928 — 130.166 „
„ 1929 — 175.678 „

w w y w o z i e z Polski:

za 1927 — 219.381 t.
„ 1928 — 274.479 „
„ 1929 — 277.988 „

w przewozie p o m i ę d z y p o r t a m i z a g r a n i c z n e m i:

w 1927 — 48.635 t.
„ 1928 — 26.155 „
„ 1929 — 20.494 „

Widzimy zdrowy rozwój tych przewozów, zmniejszający się pomiędzy państwami zagranicznemi na rzecz przewozów krajowych, w związku ze wzrostem zaufania do własnej floty handlowej.

Widzimy, jak stopniowo wzrasta przewóz towarów temi statkami, wobec czego około 10 miljonów złotych rocznie pozostało w kraju za sam przewóz towarów ,nie licząc zatrudnienia personelu i rozwoju własnego handlu zamorskiego.

3) *Polsko-Skandynawskie Towarzystwo Transportowe* powstało w końcu 1926 głównie dla przewozu węgla do Szwecji, liczy

cno 3 statki (2 statki wykańcza się na stoczni w Götenborgu) o nośności 4.956 br. rej. t., oprócz tego należą do tego T-wa 2 holowniki portowe o nośności 20 br. rej. t., oraz 3 lichtugi o nośności 562 br. r. t., razem tonaż tego T-wa wynosi — 5.038 br. rej. ton.

Przy pomocy holowników i barek T-wo zajmuje się także buksowaniem, t. j. zaopatrywaniem statków w węgiel opałowy na własne potrzeby. Na własnych statkach T-wo to wywiozło następujące ilości węgla:

w 1927 — 11.500 t.
„ 1928 — 103.150 „
„ 1929 — 110.000 „

nie licząc przeładunku węgla z wagonów na inne statki, który wyniósł w 1929 — 1.744.000 t. Ulepszanie środków przeładunkowych przez to Towarzystwo jest nadzwyczaj cenne i postępuje szybko, gdyż dotychczas ustawiło T-wo 2 dźwigi bramowe i jedną wywrotnicę wagonową.

4) *Polsko-Bałtyckie Towarzystwo Okrętowe* rozpoczęło działalność 6 kwietnia 1929 i powstało przez wydzielenie czterech statków z angl. T-wa żeglugowego Ellerman Wilsons Line (rząd polski posiada 75% udziałów, a firma ang. 25%). To Towarzystwo ma za zadanie wywóz produktów rolnych z Polski i bezpośrednie połączenie z portami angielskiemi z Gdynią. Ogólny tonaż 4 statków tow.-osobowych wynosi 10.853 br. rej. ton. Za trzy kwartały 1929 za cały czas egzystencji przewiozło 12.476 osób na sumę Ł 53.779 i towarów na sumę Ł 69.551, razem — Ł 123.330.

Dzięki pracy 4-ch statków P. Bł. T. O. pozostało w roku ubiegłym w kraju około *zł. 5½ milj.*

5) Towarzystwo *Wisła-Bałtyk* w porcie morskim w Tczewie do przeładunku węgla z wagonów przy wykorzystaniu nowoczesnych środków przeładunkowych, składających się z przenośników taśmowych, zbudowanych w 1926, a podobny typ zainstalowano później przy nowym basenie Wisłoujścia w Gdańsku.

Port w Tczewie znakomicie ułatwia eksport węgla drogą wodną do Prus Wschodnich i Litwy. W 1929 od kwietnia do października przeładowywano miesięcznie średnio 8.000 t.

Widzimy zatem, że budowa portów i tworzenie regularnych linij żeglugowych w Polsce ułatwia stosunki gospodarcze z innemi państwami i wzmaga wywóz węgla, drzewa i płodów rolniczych, których Polska posiada w nadmiarze, przez co podnosi ogólny dobrobyt.

Zatem w najkrótszym czasie powinny powstać potrzebne jeszcze linje żeglugi, łączące Polskę bezpośrednio z całym światem.

Ze wszystkich bowiem gałęzi przemysłu żegluga morska wymaga najmniejszego kapitału zakładowego.

# PRZEGLĄD CZASOPISM

*La Coopération intélectuelle,* rocznik I-szy, nr. 1—12.

Pierwszy rocznik tego miesięcznika, wydawanego przez Instytut Międzynarodowy Współpracy intelektualnej w Paryżu, począwszy od stycznia 1929, pozwala nam ocenić, czy i o ile wydawnictwo tego organu umiało przedstawić istotnie „pouczający, choć niekompletny, obraz całokształtu międzynarodowych stosunków intelektualnych dzisiejszego świata“. Każdy zeszyt nowego miesięcznika przynosi na wstępie kilka zwięzłych, lecz treściwych artykułów treści ogólnej, pochodzących, trzeba to podkreślić, od wybitnych znawców zagadnienia współpracy umysłowej. Resztę zeszytu wypełnia bardzo bogata kronika wypadków, odnoszących się do światowych poczynań w tej dziedzinie, ugrupowanych na działy: ogólnokulturalny, nauczania, wiedzy ścisłej literatury i sztuki, wydawnictw, oraz praw intelektualnych. Wreszcie znajdujemy sprawozdania z działalności poszczególnych komisyj narodowych, bibljografję i ważniejsze akty i dokumenty, dotyczące światowej współpracy umysłowej. Z bogatego materjału, zawartego w ukończonym pierwszym roczniku chcielibyśmy podać tu, poza przyczynkami, mającemi ogólniejsze znaczenie, przedewszystkiem udział Polski w tem wielkiem i doniosłem dziele, tak, jak on się przedstawia w ramach tego urzędowego poniekąd organu Instytutu.

Rozpoczęcie zeszytu pierwszego artykułem na temat fundacji *Kaiser Wilhelm* w Berlinie, pióra prezesa tej fundacji i przewodniczącego komisji niemieckiej. prof. Adolfa Harnack'a, mogłoby mieć dla czytelnika polskiego pewien szczególny posmak, zresztą niesłuszny, gdyż w reszcie rocznika nie znajdujemy śladów żadnego *parti pris,* tak, że chcemy widzieć w tem tylko gest kurtuazji wobec poważnego uczonego, podyktowany ogólnemi tendencjami francusko-niemieckiego zbliżenia umysłowego, tak modnemi dziś na Zachodzie.

Wśród artykułów treści ogólnej znajdujemy w pierwszym roczniku dwie rozprawy uczonych polskich: prof. M. Heitzmana, kustosza Bibljoteki Czartoryskich w Krakowie i prof. Oskara Haleckiego, dyrektora polskiego Biura Uniwersyteckiego. Ten ostatni przedstawia w zeszycie 11-tym najnowsze projekty naukowego wyzyskania archiwów watykańskich „zawierających, jak żadne inne, dokumenty posiadające znaczenie powszechne i bezpośrednie dla wszystkich narodów“. Wniosek profesora szkockiego, Baxtera, przedłożony Międzynarodowemu Komitetowi Badań historycznych w maju 1928, a polegający na rozdzieleniu pracy między różne kraje, które dokonując poszukiwań w pewnych działach, we własnym interesie, zawiadamiałyby inne państwa o odkryciach, posiadających znaczenie dla tychże, napotyka w praktyce na

duże trudności [1]). Prof. Halecki widzi, zwłaszcza w publikacjach narodowych, niebezpieczeństwo rozpraszania dokumentów, odnoszących się do polityki ogólnej Papiestwa i dotyczących interesów całego chrześcijaństwa. Wysuwa on zatem koncepcję przygotowywania publikacyj międzynarodowych, dotyczących pewnych okresów, a grupujących wszystkie materjały, odnoszące się do historji Papiestwa w danej epoce.

Prof. Heitzman przypomina w swej bardzo ciekawej rozprawie, w zeszycie 10, że idea międzynarodowej współpracy intelektualnej, urzeczywistniona za dni dzisiejszych, zajmowała już żywo słynnego filozofa i kanclerza, Franciszka Bacon'a z Verulamu, który trzysta lat temu, przedstawił określony już dokładnie plan takiej współpracy w swem dziele *Of the advancement of learning,* wydanem w latach 1603—1605. W dziele tem, przetłumaczonem przezeń wkrótce potem dla użytku zagranicy na język łaciński, p. t. *De augmentis scientiarum,* rozwija Bacon swe pomysły organizacji pracy naukowej i samychże pracowników, i to w całym świecie cywilizowanym. W raportach Bacona, zwłaszcza zaś w *Commentarius Solutus* z 1608, znajdujemy cały szereg bliższych danych odnoszących się do tej międzynarodowej organizacji, m. i. spis uczonych europejskich z uwagami, tyczącemi się ich fachu i t. p.

Z innych artykułów treści ogólnej, pióra niepolskiego zasługuje przedewszystkiem na uwagę artykuł prof. Gilberta Murray'a, prezesa Międzynarodowej Komisji Współpracy intelektualnej, w zeszycie 3, o potrzebie międzynarodowej współpracy umysłowej. Zaznaczając, iż w dziedzinie stosunków międzynarodowych wiek XIX wykazywał swe największe, a w skutkach tak fatalne braki, stwierdza prof. Murray, że współpraca umysłowa jest jednym z najbardziej charakterystycznych sposobów działania Ligi Narodów, a rozwój jej może zapewnić światu rozumniejsze metody rządzenia. Mnóstwo nowych czynników występujących w życiu współczesnem, jak prasa, kino, radjo, lotnictwo, reklama, monopole artykułów pierwszej potrzeby i wiele innych, musi być poddanych pewnej organizacji. „Jeżeli organizacji tej nie dokona inteligencja i dobra wola, to nastąpi ona pod wpływem głodu pieniądza, walk rynkowych, żądzy zaspokojenia potrzeb najogólniejszych i najniższych, antagonizmów narodowościowych, intryg stronników, wreszcie szaleńczych konfliktów zbrojnych".

Bardzo ciekawe uwagi poświęca w zeszycie 4-tym „Konstytucji intelektualnej świata" dyrektor Instytutu M. W. I., Luchaire. Sztuka, nauka, literatura, nauczanie są w każdym kraju przedmiotem oddzielnej inicjatywy, rzadko tylko pojmuje się życie umysłowe jakiegoś narodu jako jedną wielką konstruktywną całość, jeszcze rzadziej myśli się o takiej całości światowej. Jeżeli pragniemy istotnie pokoju, to sfery rządzące wszystkich narodów muszą poznać się lepiej między sobą, muszą stykać się z sobą i wyrobić sobie pewien wspólny sposób myślenia. Za lat 50, lub 100 wiedza musi się stać przedmiotem jednego wielkiego przedsięwzięcia, prowadzonego zgodnie przez wszystkie narody. Rozprzestrzenianie się myśli ludzkiej musi również być ujęte w pewną organizację.

---

[1]) Projekt prof. Baxtera został w międzyczasie, na konferencji przedstawicieli instytucyj naukowych, prowadzących poszukiwania w Archiwum Watykańskiem odbytej w Rzymie 3 marca 1930, uznany za niewykonalny.

„Świat jutrzejszy stanie się jednym gmachem, wzniesionym na trzech kolumnach, organizacji politycznej, ekonomicznej i umysłowej".

Dr. Werner Picht, szef sekcji uniwersyteckiej Instytutu, zdaje w tym samym zeszycie 4-tym, sprawę z dotychczasowych konferencyj szkół nauk politycznych, berlińskiej z marca 1928 i londyńskiej z marca 1929, widząc w nich klasyczny przykład metod współpracy umysłowej, stosowanych przez Instytut. Zjazdy te wykazały, zdaniem dra Pichta, wspólność interesów wszystkich centrów nauczania politycznego, oraz możliwość wzajemnego wspomagania się. Wyliczywszy ważniejsze uchwały tych zjazdów, stwierdza dr. Picht, że wyniki ich przesady najśmielsze oczekiwania. „Oznacza to — według słów przewodniczącego prof. Murray'a — zapoczątkowanie nowej ery, że największe powagi wiedzy politycznej Francji, Niemiec, Italji, Wielkiej Brytanji i większości wielkich narodów świata, zebrały się nie dla intrygowania, lub frymarczenia, nie dla popierania w roli tajnych agentów, zapatrywań swych ministrów spraw zagranicznych, lecz by jako uczeni, swobodni w swych posunięciach, pracować nad zapewnieniem przyszłości, wielkiej cywilizacji, wspólnej wszystkim, nad rozwojem ludzkości, nie przez klęskę innych, lecz przez ujarzmienie wrogich sił, otaczających ludzkość ze wszech stron oraz, niebezpieczeństw wypływających z własnej natury ludzkiej".

W zapale swych wywodów zdażył się jednak autorowi mały lapsus, gdy twierdzi, że „dotąd nie wymagano od polityka żadnych szczególnych wiadomości, poza pewną rutyną. Nawet przeciętna znajomość historji i geografji nie była uważana na niezbędną dla prawdziwego męża stanu". Jeśli chodzi o ludzi, poświęcających się polityce zagranicznej, a o nich właśnie traktuje artykuł dr. Pichta, to czyżby mógł zapomnieć on o tak bogatej literaturze podręczników dyplomatycznych XVI i XVII wieku i o próbach stworzenia Akademji dyplomatycznej we Francji za markiza de Torcy, z początkiem wieku XVIII?

Zastępca dyrektora Instytutu M. W. I., prof. Alfred Zimmern, zastanawia się w zeszycie 5, z okazji podróży informacyjnej, odbytej w roku ubiegłym, do szeregu państw środkowo- i północno-europejskich, między innemi i do Polski, nad tem, że Liga Narodów przedstawia się każdemu z tych państw inaczej, stosownie do zajętego przezeń punktu widzenia. Najważniejszą rzeczą jest stworzenie ścisłego kontaktu między opinją publiczną danego kraju i nauczaniem, a czynnikami zbliżonemi do Ligi. Na każdym uniwersytecie powinny być stworzone osobne katedry poświęcone badaniu stosunków międzynarodowych, które wytworzyłyby zastęp ludzi dokładnie obeznanych z dziedziną organizacyj międzynarodowych.

W zeszytach następnych znajdujemy cały szereg ciekawych rozpraw na tematy specjalne, jako to unifikacja kamertonu w muzyce (zesz. 6), międzynarodowe organizacje studenckie (zesz.7), międzynarodowa korespondencja szkolna (zesz. 8), Instytut ujednostajnienia prawa prywatnego w Rzymie (zesz. 10), Praca naukowa we współpracy Umysłowej (zesz. 12). Zeszyt 9 poświęcony jest w całości przedstawieniu działalności Współpracy Umysłowej w latach 1928—1929, z okazji zjazdu przedstawicieli Komisyj narodowych w Genewie, w lecie 1929, oraz sesji plenarnej Komisji M. W. I. Zeszyt ten podaje uchwały i rezolucje przyjęte przy tej sposobności przez Komisję plenarną.

W kronice wypadków, z dziedziny współpracy intelektualnej, zamieszczone są wzmianki, względnie krótkie sprawozdania, ze zjazdów i kongresów odbytych w Polsce, oraz z wystaw międzynarodowych, jakie miały tu miejsce. Zeszyt 5 przynosi sprawozdanie z działalności Polskiej Komisji M. W. I., któremu możnaby chyba to jedno zarzucić, że wypadł zbyt skromnie, tak w stosunku do istotnej działalności tej Komisji ,jak i w porównaniu ze sprawozdaniami innych Komisyj narodowych, zamieszczonemi w innych zeszytach. Z przyczynków polskich do dzieła Instytutu znajdujemy w zeszycie 4 obszerną opinję prof. Zaleskiego w kwestji tłumaczeń.

Bardzo zajmującą jest statystyka książek, wydanych w 18 krajach świata. w latach 1926 i 1927 i porównanie jej z cyframi z 1912 (zesz. 2). Polska zajmuje w tem zestawieniu bardzo poczesne, bo siódme miejsce, wydawszy w 1926 — 6,339, a w 1927 — 6,888 książek. Choć statystyka ta, zdaniem p. Prezzoliniego, szefa sekcji informacyjnej Instytutu, nie może służyć za podstawę porównaniom co do rozwoju umysłowego w różnych państwach, stanowisko zajęte przez Polskę nabiera szczególnego znaczena, jeżeli się uwzględni trudności, z jakiemi musiała walczyć w tej dziedzinie powojenna odbudowa.

Zeszyt 10 zawiera znów statystykę studentów, którzy w 1928 odbywali swe studja na uczelniach wyższych zagranicą. Ze statystyki tej wynika, że we Francji Polacy zajmowali w tym okresie liczbowo pierwsze miejsce, stanowiąc około 20% ogólnej ilości studentów obcych, a w Niemczech byli najliczniejsi wśród studentów obcych na uniwersytetach, przy uwzględnieniu zaś politechnik, ustępowali ilościowo tylko Rumunom. W Anglji studjowało Polaków tylko około 4%.

Dość bogata kronika bibljograficzna czasopisma uwzględnia stanowczo zbyt mało wydawnictwa polskie. W całym roczniku znalazłem wymienione tylko 4 wydawnictwa polskie. Jeżeli dodać, że dwa z nich to Messager Polonais i Pologne Littéraire ,widać jasno, jak niepoczesną rolę odgrywa w tych zestawieniach bibljograficznych polska produkcja umysłowa. Miejmy nadzieję, że nasze czynniki miarodajne, odpowiedzialne za dostarczenie Instytutowi odpowiednich danych, naprawią to niedopatrzenie w roczniku następnym.

Wychodząca od szeregu lat w Pradze ‚Česka Revue“, czasopismo poświęcone zagadnieniom politycznym, społecznym i kulturalnym przynosi w Nr. 1 i 2, 1929, artykuł V. Červinki. „Polska a Rosja“. Punktem wyjścia tego artykułu były pamiętniki b. ministra Sazanowa.

S. D. Sazonow, minister spraw zagranicznych cara Mikołaja II z czasów przedwojennych i pierwszego okresu wielkiej wojny, wydał przed paru laty swe *Wspomnienia,* w których parę rozdziałów poświęcił „sprawie polskiej“. Sazanow, nie mniejszy szowinista rosyjski niż jego otoczenie, nie większy liberał niż tego wymagała moda — w pamiętnikach swoich odniósł się do Polski i Polaków bez specjalnej nienawiści, ale też bez większej dbałości o objektywizm i ścisłość historyczną. Oczywiście jak przystało na nacjonalistę rosyjskiego i b. ministra carskiego, spożywającego gorzki chleb emigracji, na odrodzone państwo polskie w obecnych granicach patrzył conajmniej bez entuzjazmu, wzdychając do *„wielikoj i niedielimoj“* Rosji Romanowych.

Na tych to pamiętnikach Sazonowa, ściślej mówiąc na rozdziałach poświęconych Polsce, oparł swój artykuł p. Vincenty Červinka, publicysta czeski,

formalnie czy też tylko ideowo związany z kramarzowskiem skrzydłem czeskich narodowych demokratów.

Artykuł ten nie zasługiwałby nawet na szczególną uwagę gdyby nie osoba autora. P. Červinka usiłuje bowiem uchodzić za „polonofila“ i należy niestety do komitetu porozumienia prasowego polsko - czeskosłowackiego, co nie przeszkadza mu oświecać rodaków przy byle okazji perfidnie wrogimi, aczkolwiek naiwnymi artykułami na temat „kochanej siostrzycy słowiańskiej“ — Polski. Nie przebrzmiało jeszcze echo artykułów p. Červinki o sporze polsko-litewskim a już przypomniał się omawianym tu artykułem o Polsce i Rosji.

Na kilku stronach cytuje autor czeski ustępy z pamiętników Sazonowa; między innemi ustęp:

> Niech sobie o tem polscy patrjoci mówią co chcą, niech to sobie z nimi powtarzają zachodnio-europejscy politycy i historycy, mało obznajmieni z dziejami Rosji, — Rosja w epoce rozbiorów Polski nie przywłaszczyła sobie ani jednej piędzi polskiej ziemi (cytuję za Červinką).

P. Červinka skończywszy cytatę nazywa wywody Sazonowa „rzeczowym i sprawiedliwym sądem“. Wogóle jest zachwycony, czem się trudno dziwić po przeczytaniu takiej jego uwagi: „Bardziej liberalnego męża stanu niż był Stołypin nie mieli nigdy na tak odpowiedzialnem stanowisku ani Rosjanie ani Polacy“.

Ale i od siebie ma p. Červinka cośkolwiek, do powiedzenia na marginesie pracy Sazanowa. Ukraińcy, Białorusini i ich dążenia narodowe, wszystko to podług p. Červinki jest polską intrygą przeciwko prawosławnej Rosji. Przytem nie podoba mu się, że w Polsce niema już dziś „rusofilów“ i „rusofilskiej“ prasy: że sobór na Placu Piłsudskiego został „barbarzyńsko“ zburzony, przyczem tak krytykuje ten „wandalizm“:

> Argument, że wspomniany sobór był jak gdyby karą i pomnikiem polskiego upokorzenia jest argumentem dla demagogów i nieuświadomionych mas, nie zaś dla mężów stanu, którzy umieją myśleć o przyszłości i z tego punktu widzenia powinni trzeźwo oceniać przeszłość.

Nie podoba mu się również, że w 1906, po klęsce na Dalekim Wschodzie Polacy w Dumie urządzili przyjazną manifestację sprawozdawcy japońskiemu; że jesteśmy zbyt mało gościnni dla emigracji rosyjskiej; że kościół katolicki w Polsce wystąpił o rewindykację cerkwi prawosławnych, zaś rząd polski „prześladuje“ rosyjską ludność prawosławną za wiarę ojców:

> Przykro o tem mówić — pisze Červinka — ale odnosi się wrażenie, jak gdyby rząd polski rywalizował z rządem sowieckim w dziedzinie systematycznego prześladowania prawosławia.

Interesującem jest, w związku z tem, spojrzeć czasami na te drogi dość zastanawiające, jakiemi chodzą po Europie pewnego gatunku propagandy.

W pierwszych dniach marca bowiem zupełnie podobne twierdzenia, w podobny zapewne sposób obstalowane, stały się przedmiotem perfidnych zapytań postawionych premjerowi brytyjskiemu w Izbie Gmin, w niewątpliwym celu zaszachowania krucjaty moralnej przeciwko Sowietom, zainicjowanej przez Ojca św., a tak żywo podjętej przez naczelne autorytety kościoła anglikańskiego.

Jednem słowem p. Červince wiele się rzeczy w dzisiejszej Polsce nie podoba. Na to rady niema. Istotnie w Polsce niema ani „rusofilów“ ani „germanofilów“ ani żadnych innych „filów“. Jest naród, jest państwo, które ma sprzymierzeńców, zaprzyjaźnionych sąsiadów i wrogów, które prowadzi niezależną politykę. Jeżeli p. Červinka nie rozumie, dlaczego sobór moskiewski na historycznym placu stolicy przez zaborcę naprzekór wzniesiony został zburzony, to mu tego nie będziemy się starali tłomaczyć, tak, jak sami nie potrzebujemy wyjaśnień, dlaczego w Pradze zostały usunięte pomniki Gen. Radetzky,ego oraz przez wiele lat „miłościwie“ Czechom panującego Franciszka Józefa. Wogóle poważna, rzeczowa polemika z kimś, kto wiedzieć nie chce, iż traktat w Rydze i sąsiedztwo z Sowietami zmusza Polskę do innego traktowania emigracji rosyjskiej ,niż to czynią inne państwa, że rewindykacja zrabowanych przez rządy carskie kościołów unickich i katolickich ma prawne, historyczne i aktualno-rzeczowe podstawy, że autokefalijny kościół prawosławny w Polsce w swym rozwoju nie jest niczem krępowany, słowem polemika z kimś, kto kramarzy sobie dowolnie historją, statystyką, prawdą i logiką, jest najzupełniej zbędną.

Uwaga końcowa. P. Červinka zapewnia, iż z jego osobistymi poglądami na kwestję polsko-rosyjską zgadza się znaczna część czeskiej inteligencji. Wielki wpływ ideowy, jaki wywarł na kształtowanie się poglądów politycznych inteligencji czeskiej prezydent Masaryk, którego 80-lecie naród czeski obecnie tak uroczyście obchodzi, zdaje się temu przeczyć. W samej nawet narodowej demokracji czeskiej pod tym względem nastąpiło znaczne zróżniczkowanie, a przedewszystkiem młodzież coraz bardziej oddała się od wodza carosławów dr. Kramarza. Gdyby jednak p. Červinka miał w tym wypadku rację, to należałoby z przykrością stwierdzić, że na takich „ideowych“ podstawach istotne zbliżenie polsko-czeskie będzie bardzo trudne i mało prawdopodobne. Ale miejmy nadzieję, że tak nie jest.

# RECENZJE

## *Decyzja w wojnie 1920.*

W sierpniu 1930 upływa lat dziesięć od przełomowego momentu w kampanji polsko rosyjskiej — decyzji operacyjnej warszawskiej. Przy tej sposobności interesującem jest stwierdzić, jak daleko idące nieporozumienia trwają dotychczas w publicystyce międzynarodowej odnośnie do genezy tej decyzji. Nieporozumienia takie nie są bynajmniej w historjografji europejskiej zjawiskiem nowem lub odosobnionem. Znane są niejednokrotnie legendy historyczne, które możnaby nazwać legendami interesownemi. Tak naprzykład długo bardzo, bo aż pod koniec ubiegłego stulecia, trwała legenda o wywołaniu wojny francusko - rosyjskiej w 1812 przez Napoleona; dziś już jest elementarnie wiadomem, iż wojnę tę wywołała Rosja; ale legenda była potrzebna dla międzynarodowego pogrążenia Napoleona, potrzebna także w walce wewnętrznej stronnictw we Francji; i utrwalił ją ostatecznie niewybredny historyk Thiers, w celu umocnienia chwiejnego tronu Orleanów przeciwko szerzącemu się kultowi Napoleona.

Legendy takie wpływają niekorzystnie na samowiedzę polityczną narodów, a odbijają się często w sposób niepożądany i na stosunkach międzynarodowych, zadrażniając i zaostrzając pewne poszczególne tendencje, jak to naprzykład się objawiło w kryzysach międzynarodowych lat 1840 i 1848. Aby unieszkodliwić te wywołane świadomie, szerzone nieświadomie fałsze, nie wystarcza dowieść ich nieprawdy; należy prócz tego odkryć źródło ich pochodzenia, oraz interes, któremu służą.

Już w pierwszym tomie podręcznika dziejów spółczesnych, wydawanego w 1925 przez Królewski Instytut Brytyjski Spraw Zagranicznych, profesor Arnold I. Toynbee tak sformułował wypadki polskie 1920, poświęcając im zresztą nieproporcjonalne minimum miejsca [1]):

> ...Latem 1920, w kryzysie Rosyjsko (sic) - Polskiej kampanji, misja generała Weyganda ocaliła Polskę od wojennego upadku...
>
> ...Prezydent Millerand spowodował oddanie generała Weyganda do dyspozycji Rządu Polskiego dla zorganizowania kontrofensywy. Interwencja ta stała się punktem zwrotnym i zadecydowała o losach kampanji...

---

[1]) *Survey of International Affairs 1920 — 23* by Arnold I. Toynbee, Humphrey Milford, Oxford University Press. 1925: str. 272 n., 15.

To sformułowanie stało się naturalnie punktem wyjścia dla referentów *Enciclopedia Britannica.* W artykule o generale Weygandzie [2]) znajdujemy orzeczenie następujące:

> ...dowiódł zdolności osobistego kierownictwa operacyjnego na wielką skalę w Polsce. W sierpniu 1920, gdy Warszawa została okrążoną (sic) i zagrożoną przez armię sowiecką, na odległość już tylko 20 klm., generał Weygand przybył i, rekonstytuując szybko zdezorganizowaną armję polską, rzucił ofensywę na słabe punkty Bolszewików. W grudniu (?!) nieprzyjaciel był w odwrocie. Kiedy lud Warszawy zgotował mu owację, rzekł: „rolą moją było jedynie wypełnić luki; bohaterski naród polski sam zdobył zwycięstwo"...

Winston Churchill, najwybitniejszy ze współczesnych polityków Wielkiej Brytanji, zajmował w 1920 odpowiedzialne stanowisko ministra wojny, miał przeto w tamtym czasie dostęp do najistotniejszych źródeł rządowych. W piątym tomie, zamykającym jego na wielką skalę zakrojone dzieło o *kryzysie światowym,* poświęca obszerny rozdział „Cudowi Wisły". W rozdziale tym, przedstawiwszy fakty, pisze [3]):

> ...Cóż się stało? Jakże to zostało dokonane? — Ma się rozumieć, istnieją dwa wytłumaczenia. Na czele *famille militaire* Marszałka Focha stał żołnierz o subtelnym i dominującym talencie wojskowym, kryjącym się pod powłoką nieudawanej skromności. Weygand przybył do Warszawy. Francja nie miała nic więcej do posłania na pomoc Warszawie jak tylko jednego człowieka. Okazało się to, jak się zdaje, dosyć. Dzięki wpływowi i autorytetowi Lorda D'Abernona... Weygand otrzymał efektywne kierownictwo wojskowe. Przegrupował on cofające się wojska polskie i zamienił ich cofanie w planowe kontruderzenie...
>
> Alternatywnie, inne opinje wyjaśniają, iż wszystko to było częścią zgóry zamierzonego planu polskiego Sztabu Generalnego, podtrzymywanego przez gwałtowną postać samegoż Prezydenta Piłsudskiego...
>
> Brytyjscy obserwatorzy sądzili iż rezultat był dziełem Weyganda. Weygand tymczasem oświadczył w sposób znamienny, zarówno publicznie jak prywatnie, we wszystkich okazjach, że to armja polska sama dokonała tego dzieła....

Tak pisał Churchill, w 1928. Któż jednak byli w 1920, o ośm lat wstecz, ci brytyjscy obserwatorzy? — Przedewszystkiem naturalnie Lord D'Abernon, ambasador w Berlinie, delegat nadzwyczajny wraz z Jusserandem wysłany do Polski. Jak wiemy, Lord D'Abernon nie przysporzył sobie chwały misją warszawską, omylił się gruntownie w ocenie sytuacji, liczył się z faktem

---

[2]) *Encyclopedia Britannica* 14 Ed. XXIII, 552.

[3]) Winston S. Churchill *The World Crisis - The Aftermath.* Thornton Butterworth London 1929. Str. 271.

dokonanym przegranej polskiej, można powiedzieć, iż liczył na nią. Jego raporty nie są znane. W jego notatkach, wydanych niedawno przez niemniej nieżyczliwego Polsce redaktora *Daily Telegraph* M. A. Gerothwohl'a, nie zamieszczono ustępów dziennika pisanych o Polsce — ani w lipcu w Spa, ani w sierpniu w Warszawie; jedynie wydawca, ma się rozumieć z wiedzą autora, pozwolił sobie na następujące komentarze [4]):

> ...Misja przybyła do Warszawy 25 lipca i znalazła tam wszystko w chaosie, zarówno z punktu widzenia politycznego jak wojskowego. Ministrowie brali się za czuby z Prezydentem Piłsudskim, trzymającym w swem ręku wszystką władzę i absolutne kierownictwo armją, z zupełnem ignorowaniem rad francuskiej Misji Wojskowej. Armje rosyjskie oblegały ściśle z trzech stron Warszawę, przygotowania obronne były częściowo niedostateczne, częściowo zupełnie nieistniejące.
>
> Lord D'Abernon przedewszystkiem zajął się zabezpieczeniem pełnego zużytkowania przez dowódców Armji Polskiej świetnych talentów taktycznych i strategicznych generała Weyganda Przeszkody, zarówno polityczne jak osobiste, były ogromne, ale otwarte słowa i stałość brytyjskiego posła spowodowały, iż Weygand, odmawiając tytularnego kierownictwa Polskiego Sztabu, miał instruować *(advise)* Marszałka Piłsudskiego i jego pomocników względem obrony stolicy. W wyniku tego porozumienia Rząd Polski 6 sierpnia wydał odezwę... 12 sierpnia Bolszewicy już podchodzili do wschodnich przedmieść Warszawy, gdy oto Polacy, owiani nowym duchem, ośmieleni przez bystre i trzeźwe główne kierownictwo Weyganda, dokonali pełnej odnowy swych sił, przeprowadzając świetne kontr-uderzenia 14 sierpnia...
>
> Warszawa została uratowaną, dzięki moralnej podporze Misji Anglo-Francuskiej, dzięki potężnemu jej wpływowi na ducha narodu, oraz dzięki wojennemu genjuszowi generała Weyganda. Lord D'Abernon, przy opuszczeniu Warszawy, otrzymał depeszę gratulacyjną od Lorda Curzona i osobiste wyrazy uznania od p. Lloyd George'a....

Jednoczesny brytyjski delegat wojskowy, generał Sir Percy Radcliffe, szef Biura Operacyjnego w Ministerstwie Wojny, nie ogłosił dotychczas swoich wrażeń. Jednakże, w opublikowanych dziennikach szefa Sztabu, generała H. Wilsona, nie znajdujemy podobnych tamtym, pogardliwych względem Polski tonów — i tu jednak bezpośrednie relacje o wypadkach sierpniowych warszawskich ominięto, a w jedynej swej notatce dotyczącej kwestji dowództwa w Polsce generał Wilson zapisuje swój protest z 16 lipca w Spa

---

[4]) *An Ambassador of Peace.* Pages from the Diary of Viscount d'Abernon. Vol. I. From Spa (1920) to Rapallo (1922) Hodder and Stoughton London 1929. Str. 69 nn.

przeciw zamiarowi wysłania Focha do Polski — ryzykowania jego bezcennego imienia w tej „dzikiej wojnie“ [5]).

Znakomity angielski publicysta, p. H. W. Steed, w redagowanym przez siebie londyńskim miesięczniku tak jeszcze w styczniu 1930, czyniąc przegląd pół wieku historji Europy, streszcza sytuację polską.[6]):

...Podówczas, latem 1920, Bolszewicy podjęli ze swej strony ofensywę, zadali ciężki cios siłom polskim i dosięgli przedmieść Warszawy. Istnienie cywilizacji zachodnio europejskiej zostało zagrożone. Ale Polacy dokonali odnowy swych sił i, kierowani wskazówkami generała Weyganda, wówczas zaufanego pomocnika, dzisiaj następcy Marszałka Focha, odrzucili Bolszewików, zwyciężyli ich w bitwie i ocalili od czerwonego terroru nietylko własny kraj, lecz Niemcy i, prawdopodobnie, znaczną część Zachodu...

W podobnych obrazach przedstawiał wojnę roku 1920 publicysta amerykański, Frank H. Simonds w książce wydanej w 1927 [7]):

...Wiosną 1920 Polacy, najpewniej inspirowani przez Sprzymierzonych (?!) lecz także przejęci marzeniem odbudowania tej większej Polski, rozległej kiedyś od morza do morza, podjęli szeroko zakrojoną inwazję, która poniosła zwycięskie dywizje do Kijowa... Europa rozbrzmiewała od komunikatów zwycięstw Piłsudskiego i jego polskich partyzantów (!).

...Gdy rozpoczęła się ofesywa rosyjska (sic), problemat stał się natychmiast europejskim. Poza walącym się polskim *cordon sanitaire* była cała chwiejna i sztuczna struktura środkowo-europejska....

W tym momencie Wielka Brytanja i Francja zgodziły się na to, iż Polska musi być uratowaną, a ruch Czerwonych powstrzymany...

...W końcu, Francja znalazła się w możności wysłania licznej misji wojskowej na czele z generałem Weygandem, najzdolniejszym z pomocników Focha... Pod samemi murami Warszawy wstrzymaną nareszcie została ofezywa bolszewicka. Ułożono i wykonano świetne kontrofesywy...

Tak zatem formułują najnowszą naszą historję w podręcznikach politycznych angielskich, w ten sposób są poinformowani o wojnie polsko-sowieckiej wybitni politycy, tak wyrokują o nas najpoczytniejsi publicyści. Według jednobrzmiącej opinji wszystkich tych źródeł Polska spowodowała w 1920 najpierw wszystkie swoje klęski poczem nie przyczyniła się w niczem do własnego zwycięstwa. Zatrzymała ją nad przepaścią dłoń opiekuń-

---

[5]) *Field Marshal Sir Henry Wilson. His Life and Diaries,* by Maj. Gen. Sir C. E. Callvell, Cassel and Co London 1927, II. Str. 253.

[6]) *The Review of Reviews* N. 480 January 15 th, 1930 .Str. 4.

[7]) Frank H. Simonds *How Europe made peace without America* London Heinemann New York Doubleday Page et Co 1927, str. 167 nn.

cza mocarstw Zachodu: dała jej wodzów, którzy zrestytuowali armję i posłała mężów stanu, którzy odrodzili jej usposobienie publiczne; dzięki wpływowi politycznemu jednych, dzięki genjuszowi wojennemu drugich, ucieczka zamieniła się w atak, bezplanowość ustąpiła miejsce strategicznej koncepcji — i nawała bolszewicka odpłynęła szczęśliwie, a Europa zachodnia, ocaliwszy sama siebie, mogła odetchnąć z ulgą.

Ten piękny obraz jest z gruntu fałszywy. Demokracja europejska w lipcu 1920 zatamowała arterje życionośne walczącej śmiertelnie Polsce; część jej przywódców uznała ten moment za właściwy do nawiązania rozmów z bolszewikami — o handlu Europy z Rosją; naczelne instancje mocarstw Zachodu wykorzystały ciężkie położenie Polski dla próby wydarcia jej Wilna, Cieszyna i całego wschodu; znaczna ilość reprezentantów wielkich państw zaczęła, w pierwszych dniach sierpnia, uciekać z tonącego okrętu. Jedyna Francja wyciągnęła ku Polsce swoją dłoń pomocną: ale politycznie pomoc ta okazała się niemożliwą, technicznie-wojskowo — niewykonalną; pozostała cenna, lecz w ściśle określonych granicach dokonana, pomoc doradczo-sztabowa. Jeżeli przypominamy te powszechnie znane fakty, to aby na przykładzie systematycznego przekonania i naciągania najnowszej naszej historji przez obcych wykazać, jak potężne są fałsze, gdy ich podstawą są interesy.

Kwestję dowództwa polskiego w wojnie 1920 i planu operacyjnego należy już dziś uważać za rozstrzygniętą, a to zarówno przez książkę Marszałka Piłsudskiego, jak przez analityczne publikacje sztabowe polskie [8]. Wyniki tych badań udostępnione zostały Zachodowi przez tłumaczenie książki Marszałka, przez ostatnią pracę gen. Faury, prace Przybylskiego i Smogorzewskiego i posłużyły wybitnemu autorowi wojskowemu francuskiemu, generałowi Camon, do jego konstrukcyjnego strategicznego studjum. Generał Weygand, jako doradca Sztabu polskiego, podawał plan obrony na linji Warszawy, koncentracji frontu, wycofanie ze Lwowa, ewentualny kontratak na obu skrzydłach nad Wisłą; Piłsudski, odwrotnie, przeprowadzał myśl ataku-okrążenia od południa, sformułował ją w decyzji 5 — 6 sierpnia, w rozkazach, rezultatach tych decyzyj, zrealizował ją osobistem dowództwem rozstrzygającego ruchu okrążającego 15/16 sierpnia. Operacjami wojennemi kierowało i planu operacyjnego było źródłem — dowództwo polskie. Jak pisze generał Camon, „Marszałek Piłsudski jest niewątpliwie autorem manewru, który uratował Polskę“ [9].

---

[8]) Józef Piłsudski *Rok 1920,* Warszawa 1924, str. 164: „...Odrzuciłem odrazu wszelki nacisk na siebie“... Dalej, str. 165 n., analiza myśli gen. Weyganda powtórzenia „Marny“ na Wiśle, i własne doniosłe porównanie sytuacji 1920 z sytuacją wywołaną marszem Paskiewicza w 1831. O planach i pomysłach strategicznych gen. Weyganda, por., na podstawie dokumentów, M. Kukiel *Pierwsza wytyczna operacji Warszawskiej, Bellona* XIX ?, str. 125 n., Władysław Sikorski *Nad Wisłą i Wkrą,* Lwów, 1928, str. 40.

[9]) Adam Przybylski *La Pologne en lutte pour ses frontières 1918—1920* Paris 1929, str. 138 nn; Casimir Smogorzewski *La guerre polono-soviétique d'aprês les livres des chefs polonais* Paris 1928. Plany gen. Weyganda, wedł. jego własnoręcznych notatek por. Kukiel, Sikorski j. w. Général Camon *La manoeuvre libératrice du Maréchal Pilsudski contre les Bolchéwiks* Paris

Tę prawdę historyczną potwierdził własnemi niedwuznacznemi oświadczeniami generał Weygand, którego codzienne notatki zresztą, cytowane w polskich analizach sztabowych, potwierdzają w pełni stan faktyczny kwestji. „Operacje wojenne, oświadczył Weygand bezpośrednio po zwycięstwie, dokonane zostały przez generałów polskich, na podstawie planu polskiego". Tęż samą prawdę stwierdził w mowie wygłoszonej w Warszawie, 20 listopada 1927, Marszałek Franchet d'Esperey.

Tembardziej żałować należy, iż w niektórych najnowszych publikacjach francuskich przebija się jeszcze tendencja pomniejszenia roli Polski w ocaleniu Europy w wojnie 1920, używana jak widzimy, przez zainteresowaną w tym przedmiocie publicystykę angielską dla odciążenia Zachodu od odpowiedzialności za pozostawienie Polski samej sobie.

Analogiczna tendencja przejawia się w dwóch książkach znanego pisarza wojskowego, L. Madelin'a, poświęconych Foch'owi. Trudno jest zrozumieć, jaki powód miał autor, tak słusznie gloryfikujący wielkiego Marszałka Francji, do jednoczesnego poniżenia Polski. Niepodobna jest zrozumieć celu, pod piórem Francuza, określania Polski — „Republiki tak zaawanturowanej na forpocztach Zachodu" — *la République si hasardée aux avant - postes de l'Occident*. Gorzej jest gdy p .Madelin bierze się do historji wojny polskiej:

> „...Oto ku Foch'owi zwracały się oczy trwożliwe żołnierzy Piłsudskiego. Posłał im swego alter ego, generała Weyganda Wykształcony na jego naukach, przejęty jego duchem, do tego stopnia, iż wszędzie, gdzie tylko się zjawił, widziano samego Focha, — generał Weygand, wciągu kilku dni, zrestytuował położenie, odparł Rosjan, złamał nazawsze pierwszy zaczepny ruch Sowietów i, tym sposobem, nietylko ocalił od śmierci Polskę, lecz również i Europę od najgorszej grozy. Honor takiego dzieła przenoszono na tego, który Weygand'a wysłał i tenże, przywykły do tuszowania się przed swoim szefem, pierwszy był gotów przyłączyć się do takiego hołdu. Wiedziano jednakże, że uczeń w tych okolicznościach, przez szybkość ogarnięcia sytuacji, bystrość swoich decyzyj, energję swych zarządzeń, dorównał mistrzowi, i że on również mocą jasnej inteligencji i udzielającej się woli, zasłużył się zwycięstwu...[10]).

---

1929, str. 1, 18, 20, 22: *„une manoeuvre napoléonienne sur les derrières de l'ennemi"*. Oświadczenia własne gen. Weyganda u Smogorzewskiego l. c. str. 26. Toast marszałka Franchet d'Esperey'a: *„La Pologne s'est libérée elle-même grâce à l'énergie nationale et au commandement génial du maréchal Pilsudski"*.

[10]) Louis Madelin *Foch* Paris 1929 str. 240, 244. Por także Opowiadanie o gen. Weygand, Jerzego Clemenceau, który jak wiadomo, nie znosił charakteru Foch'a, Jean Martet *M. Clemenceau peint pas lui-même* Paris 1930, str. 74: „...un homme... dangereux mais précieux. Et ayant une énorme qualité: sachant faire son travail sans en parler, sans qu'on en parle. Il est allé en Pologne. Je ne sais pas ce qu'il a fabriqué là - bas — mais ce qu'il fallait faire, il l'a fait. Il a remis tout ça en place; la question a été reglée. Il est revenu, n'a pas triomphé, n'a rien dit; on ne sait pas ce qu'il fait où il est. C'est assez fort..."

Tym sposobem, cała kwestja epokowego zwycięstwa Polski w 1920 redukuje się dla p. Madelina, członka Akademji Francuskiej, do zagadnienia— czy było ono dziełem Weyganda, czy może raczej samego Focha. Na innem miejscu, inny publicysta francuski wkłada w usta samego Marszałka twierdzenia, zgodne z zacytowaną wyżej tezą, niezgodne z faktami: [11])

> ...zaledwie (Weygand) przybył, bystrym wzrokiem ogarnął to położenie niejasne. Sam stworzył manewr *(il conçut la manoeuvre)* i sam go wykonał. Armje czerwone zostały zatrzymane, Polska była ocalona...

Generał Weygand odpowiedział już kiedyś na podobne powyższym twierdzenia: „Francja, powiedział, ma dość swojej wojennej sławy i nie potrzebuje przywłaszczać sobie obcej" [12]). Niewątpliwie, w interesie Francji jest zarówno prawda o Polsce ,jak Polska nie będąca niczyjem narzędziem, będąca sama sobą, wierna, silna i samodzielna sojuszniczka.

Toteż czas jest już zacząć walczyć z tem dziwacznem nieporozumieniem, do dziś panującem w publicystyce Zachodu w sprawie kampanji 1920. Czas zacząć uczyć cudzoziemców naszej historji. Kampanja 1920, znaczenie zwycięstwa Polski, w oczach naszych rośnie i rosnąć wciąż będzie. Skutki tej kampanji porównane zostały niedawno przez człowieka bezstronnego — hr. Coudenhove - Kalergi w czasie jego pobytu w Warszawie — do zwycięstwa Sobieskiego pod Wiedniem. Musimy dbać o to, aby jasnem było w oczach narodów Europy kto i w jakich warunkach osiągnął to zwycięstwo: kto i w czem Polsce wówczas pomógł, kto i jak próbował przeszkodzić. Daliśmy powyżej dostateczne próbki nieuctwa zachodniego w tym przedmiocie. Placówki zagraniczne dyplomacji polskiej i polskie biura prasowe mają tu wdzięczne zadanie do wypełnienia.

*Handwörterbuch der Staatswissenschaften*, herausgegeben von Dr. Ludwig Elster, Professor an der Universität Jena, Dr. Adolf Weber, Prof. an der Univ. München, und Dr. Friedrich Wieser (†), Prof. an der Univ. Wien.- Vierte, gänzlich umgearbeitete Auflage. Tom I. *Abbau-Assignaten,* 1923, str. 1068. Tom II. *Aufbewahrung von Wertpapieren-Börsenwesen,* 1924, str. 1094. Tom III. *De Bosch Kemper-Finanzausgleich*, 1926, str. 1044. Tom IV. *Finanzen-Gut,* 1927, str. 1281. Tom V. *Haftpflicht-Kries,* 1923, str. 1022. Tom VI. *Kriminalistik-Reklamesteuer,* 1925, str. 1244. Tom VII. *Religions- und kirchliche Statistik-Tamassia,* 1926, str. 1240. Tom VIII. *Tarifvertrag-Zwecksteuern,* 1928, str. 1368. Tom IX. *Ergänzungsband*, 1929, str. 1281. Nakładem S. Fischera w Jenie.

Już sam fakt, że powyższy „słownik podręczny" po upływie niespełna czterech dziesiątków lat pojawił się obecnie w czwartem wydaniu, świadczy o dużej jego wziętości i rozpowszechnieniu, które tem wyżej oceniać należy,

---

[11]) *Le Mémorial de Foch.* Mes entretiens avec le Maréchal, par Raymond Recouly, Paris 1929, str. 313.

[12]) Cyt. u Smogorzewskiego *La guerre polono-soviétique,* str. 26.

skoro się zważy, że wydawnictwo to nie jest bynajmniej tanie, a wysoka cena (obecne wydanie w dziewięciu tomach kosztuje oprawione w półskórek 340 marek niemieckich, a więc przeszło 700 złotych) czyni je mało przystępnem dla jednostek. W Niemczech jednak i Austrji nie ma bibljoteki publicznej, któraby dzieła tego nie posiadała (niektóre mają je w kilku egzemplarzach) a wielu uczonych z dziedziny ekonomji, administracji i nauk politycznych (w najszerszem tego słowa znaczeniu) ma je zapewne w swej bibljotece podręcznej; to samo da się niewątpliwie skonstatować w rozległej mierze i w krajach nieniemieckich. Ale skoro bliżej przypatrzymy się olbrzymiej tej encyklopedji, w której w porządku alfabetycznym znalazły się obok siebie dłuższe lub krótsze prace kilkuset uczonych o słynnych nazwiskach i dużych zasługach w dziedzinie wymienionych nauk i chociażby tylko pobieżnem przekartkowaniem tych dziewięciu grubych tomów, liczących przeszło dziesięć tysięcy stronic, spróbujemy zapoznać się z obfitą treścią, to zrozumiemy, że powodzenie i popularność tego dzieła są w zupełności zasłużone. O dziele takiem nie pisze się recenzji czy sprawozdania: wszak na samo przeczytanie nie starczą miesiące, a przestudjowanie wymagałoby chyba szeregu lat. Zresztą gdzie znajdzie się recenzent, któryby potrafił napisać fachową „krytykę“ o tylu gałęziach nauki? To też na tem miejscu chcemy tylko podzielić się z czytelnikiem kilku uwagami i spostrzeżeniami i rzucić garść informacyj o tem, co w *Handwörterbuch*'u znaleźć można. Kto pobieżnie tylko rzuci okiem na te pełne uczoności, dat i cyfr stronice, przeczyta dla próby ten lub ów ciekawszy artykuł, zatrzyma się tu i ówdzie nad jakimś problemem interesującym swą aktualnością czy specjalnem jakiemś zabarwieniem, już przy tej „pracy“ uchyli, przygnieciony ogromem materjału, czoła przed takim wysiłkiem pracy uczonych, przed tak wymownym świadectwem umiejętnej organizacji pracy zbiorowej długiego szeregu współpracowników i świetnem swą przejrzystością opanowaniem olbrzymiego materjału.

Po trzech poprzednich wydaniach (pierwsze, wydrukowane w latach 1890—1894, obejmowało tylko sześć tomów, drugie wyszło w latach 1898—1901, trzecie w latach 1909—1911) obecnie ukończone czwarte wydanie urosło do dziewięciu dużych tomów. Druk rozpoczęty jeszcze w 1923 trwał sześć lat. Redaktorowie naczelni, profesorowie niemieccy Elster i Adolf Weber, oraz zmarły przed trzema laty słynny profesor uniwersytetu wiedeńskiego Wieser, rozdzielili pracę w ten sposób, że równocześnie przystąpiono do wydania tomu pierwszego i piątego. Tem się tłómaczy niekolejność w ogłoszeniu poszczególnych tomów (co widać z dat uwidocznionych w nagłówku) i to, że niejednokrotnie w tomach wcześniejszych znajdują się odsyłacze do oznaczonych stronic tomów późniejszych. Współpracownicy tomów najpierw ogłoszonych (1923—1924) walczyli, rzecz jasna, z dużemi trudnościami, o ile chodziło o zebranie nowoczesnego materjału i najświeższych dat statystycznych. Zmienność ustawodawstwa w czasie bezpośrednio powojennym utrudniała w dużej mierze orjentację, brak oficjalnych publikacyj statystycznych w pierwszych latach po ukończeniu wojny światowej, jak i niedokładność statystyk oficjalnych z lat wojny wybiły swe piętno na niejednym artykule pisanym w latach 1921 lub 1922, gdzie spotykamy materjał faktyczny pochodzący jeszcze z czasów przedwojennych, dziś prawie o dwa dziesiątki lat

od nas oddalony, nie odświeżony datami późniejszemi. Tak naprzykład, dane statystyczne przytoczone w artykule *Beruf und Berufsstatistik* kończą się na roku 1910, — w przedstawieniu statystyki rolniczej (VI 245—247) daty odnośne dotyczące przeszło czterdziestu krajów obracają się w latach 1897 do 1918 (Polski oczywiście w nich brak). Jasna rzecz, że tego rodzaju zestawienia, o ile nie są sporządzone na jeden i ten sam rok, tracą wiele na wartości, gdyż jeśli chodzi o wyciągnięcie pewnych konkluzyj z powyższych dat, porównywanie cyfr rozdzielonych tak dużym odstępem czasu prowadzić może do fałszywych konsekwencyj. Nie można jednak winić za to autora, skoro oficjalne publikacje statystyczne pewnych krajów nie były ogłaszane regularnie. — Z drugiej strony wojna i czasy powojenne, jak również zmiany i wstrząśnienia powstałe w życiu gospodarczem i społecznem spowodowały, że układ dzieła w obecnem wydaniu musiał być gruntownie przerobiony. Niektóre ustępy treści historycznej uległy skróceniu, niejednokrotnie dość znacznemu, celem stworzenia miejsca dla traktowania problemów nowszych i aktulanych. Z tego powodu znajdujemy gdzieniegdzie wskaźniki na poprzednie, trzecie wydanie, zwłaszcza przy tych ustępach, których do czwartego wydania nie przejęto. Biografje jeszcze żyjących uczonych z dziedziny nauk w Słowniku uwzględnionych, w obecnem wydaniu opuszczono w zupełności, inne wydrukowano drobnym drukiem celem zyskania wolnego miejsca na uzupełnienia, przeróbki i zmiany. Znaczną część tekstu głównego, zwłaszcza wywody odnoszące się do krajów nieniemieckich wydrukowano, może ze szkodą dla wyglądu estetycznego całości, drukiem petitowym. Mimo to okazała się konieczność dodania tomu uzupełniającego (IX), wydanego niedawno, w którym czytelnik znajdzie oczywiście rzeczy najświeższe. Tom ten zawiera bowiem — poza szeregiem artykułów, które w poprzednich tomach z braku miejsca nie zostały pomieszczone, wobec ustalonego z góry rozdziału materjału na poszczególne tomy i równoczesnego drukowania kilku tomów, i z tego powodu przerzucone być musiały do tomu dodatkowego — uzupełnienia do artykułów dawniejszych tam, gdzie odnośne materje w międzyczasie otrzymały zupełnie nowe ukształtowanie w najświeższem ustawodawstwie lub wskutek rozwoju stosunków gospodarczych względnie społecznych doznały zasadniczych zmian lub narzuciły nowe problemy. W szczególności w tomie tym znalazły miejsce bardzo cenne przyczynki do artykułów: prawo akcyjne, banki (o Banku Polskim str. 61), statystyka ludnościowa (o Polakach w Niemczech str. 115), żegluga na wodach śródziemnych (drogi wodne, kanały), bolszewizm (por. ponadto artykuł o Leninie; np. nazwa „Novyj Targ" na str. 681 przejęta została zapewne z literatury rosyjskiej), stowarzyszenia, umowy handlowe, międzynarodowe ustawodawstwo o ochronie pracy (autorem jest Albert Thomas, artykuł ten zawiera dużo wzmianek o Polsce, wymienia również literaturę polską), międzynarodowy ruch kapitałów, ubezpieczenie społeczne, konferencja dla spraw gospodarstwa światowego, ankiety gospodarcze. Ponadto znalazły się w tym tomie artykuły nowe, omawiające szczególnie aktualne sprawy doby obecnej, jak waloryzację, rynek budowlany, badanie i politykę konjunktury, tendencje monopolistyczne w teraźniejszości, racjonalizację, interwencjonizm państwowy (wpływ państwa na gospodarstwo społeczne), *Werksgemeinschaft* (podtrzymywanie poczucia wspólności

u osób pracujących w jednem przedsiębiorstwie lub w jednej gałęzi gospodarstwa), odbudowę gospodarczą Niemiec.

Z umysłu zacytowałem kilkanaście artykułów tomu ostatniego, by tym czytelnikom, którzy jeszcze tego wydawnictwa lub jednego z wydań poprzednich nie mieli w ręku, dać pojęcie, jak różnorodną jest treść *Handwörterbuch'u*. bo tytuł jego mógłby niejednego zmylić, kto z nim nie miał jeszcze do czynienia. Słowo *Staatswissenschaften* w tytule pojmować bowiem należy w jak najszerszem znaczeniu: obejmuje ono bowiem wszystkie te nauki, które na uniwersytetach niemieckich i austrjackich podpadają w grupę przedmiotów wykładanych na wydziałach „prawa i umiejętności politycznych“ *(rechts-und staatswissenschaftliche Fakultät)* poza naukami ściśle prawniczemi i historją prawa: a więc ekonomję społeczną i politykę ekonomiczną, naukę skarbowości i prawo skarbowe, wszystkie działy prawa administracyjnego, statystykę, prawo państwowe i międzynarodowe, oraz historję wszystkich tych nauk, która uwzględniona jest nietylko przy przedstawieniu teoryj naukowych w ramach poszczególnych artykułów, ale także w samodzielnych artykułach, poświęconych działalności naukowej wybitniejszych uczonych. Jednakże wyliczenie powyższych materyj nie daje jeszcze ścisłego obrazu treści *Handwörterbuch'u*. Przedewszystkiem nauki wymienione wyżej na ostatniem miejscu, prawo państwowe i międzynarodowe, znalazły w omawianem wydawnictwie znacznie mniejsze uwzględnienie, niż nauki inne: z prawa międzynarodowego zaledwie parę artykułów (o traktatach międzynarodowych, o umowach handlowych, o prawie konsularnem), z prawa państwowego tylko nieduży szereg artykułów, w związku ze słowem *Staat* i podobnemi. Natomiast inne dziedziny wyżej wymienione traktowane są z przykładną wprost dokładnością; wszystkie kwestje podatkowe, finansowe, wszystkie działy statystyki, produkcja i przemysł z bardzo pouczającymi wywodami technicznej natury o każdej gałęzi produkcji, kwestje związane z handlem i pieniądzem, poszczególne działy administracji państwowej przyczem w bardzo rozległej mierze uwzględniona jest opieka społeczna, ubezpieczenia i t. p. Niektóre opracowania mają charakter wyczerpujących monografij, tak że dla pierwszej orjentacji mogą w zupełności zastąpić studjum szczegółowych dzieł, a zaopatrzone w obfite zapiski bibljograficzne wskazują czytelnikowi, gdzie szukać ma dalszych szczegółów o danej materji. Artykuły o przeszło stu stronicach nie należą do rzadkości, por. naprzykład rzecz o bankach (II, 124—328), o dochodzie i podatku dochodowym (III, 300—490), o finansach (IV, 1—174), o handlu (V, 22—130), o żegludze morskiej (VII, 303—434), o przemyśle tekstylnym (VIII, 98—217); gdzieniegdzie zapiski bibljograficzne dochodzą do olbrzymich wprost rozmiarów, jak naprzykład w artykule o użyteczności krańcowej (IV, 1190 i nast.), gdzie zajmują przeszło 21 kolumn druku (literatura polska na str. 1223). — Ale i druga grupa nauk wchodzących w ramy wydziałów prawniczych — nauki czysto prawnicze — znalazły odpowiednie uwzględnienie, oczywiście pod kątem widzenia związku ich z gospodarstwem społecznem: w szczególności wspomnieć należy o bardzo dobrych opracowaniach pewnych działów prawa handlowego, następnie prawa wekslowego, czekowego, akcyjnego, nauki o własności. Przeważną część pierwszego tomu zajmują artykuły poświęcone słowu *Arbeit* i *Arbeiter;* prawie sześćset

stron przeznaczonych na kwestje takie, jak sprawy robotnicze, stowarzyszenia, i izby robotnicze, płace robotników, rynek pracy, prawo robotnicze, statystyka pracy i t. p. By dłużej nad tym punktem się nie zatrzymywać — wszak niepodobna „streszczać“ zawartości dziesięciu tysięcy stron druku (czytelnik zechce raczej rzucić okiem na rejestr rzeczowy VIII, 1249—1368) pragnę tylko dla przykładu przytoczyć kilkanaście monografij ważniejszych z tomu VII; zdaje mi się, że takie zestawienie najlepiej da wyobrażenie, o tem, co znaleźć można w *Handwörterbuch'u*. Oto ich lista: reparacje, Ren, sól, czek, okręty, hygjena szkolna, system ochronny w ekonomji, żegluga morska, osadnictwo *(Siedlungswesen)*, socjalna demokracja, socjalizacja, socjalizm i komunizm, polityka socjalna, ubezpieczenia społeczne, socjologja, kasy oszczędności, przemysł spirytusowy, państwo, budowa miast, statystyka, kamienie i ziemia (kamieniołomy, cement, wapno, gips, porcelana, szkło), statystyka śmiertelności, podatki, fundacje, strejki, syndykalizm, tytoń. W spisie powyższym uwzględnione są oczywiście tylko artykuły obszerniejsze.

Jedną z najważniejszych zalet wydawnictwa jest oparcie opracowań na rozległej podstawie porównawczej. Autorowie nie ograniczyli się do uwzględnienia Niemiec i Austrji (i to zarówno byłej Monarchji austro-węgierskiej, jak i obecnej Republiki austrjackiej, nazywanej ciągle jeszcze tu i ówdzie — zupełnie fałszywie — *Deutsch-Oesterreich*, por. II 617, III 544, IV 414), lecz wciągnęli w zakres swych rozpatrywań inne kraje, i to nietylko europejskie. We wszystkich ważniejszych materjach uwzględniono stale ustawodawstwo i stosunki angielskie, francuskie, italskie, rosyjskie (oczywiście przedwojenne), amerykańskie i t. d. W niektórych artykułach i tablicach statystycznych spotykamy niejednokrotnie nazwy trzydziestu państw, lub więcej, czasami nawet tak małych, jak Liechtenstein lub Luksemburg. Państwa powstałe po wojnie światowej są również uwzględnione, między niemi oczywiście i Polska, choć może nie w tym stopniu, co Czechosłowacja lub Jugosławja. Wzmianki o Polsce są na ogół krótkie i jest ich stosunkowo nieznaczna liczba; ilość ich rośnie w późniejszych tomach. Widocznie autorowie znali już lepiej publikacje statystyczne polskie i literaturę o rzeczach polskich. Poza licznemi datami o Polsce w ramach tablic statystycznych, zauważyłem w przelotnem przeglądnięciu następujące wzmianki o Polsce: ośmiogodzinny dzień pracy (I 60), prawo akcyjne (I 126), ustawodawstwo dla ochrony robotnika (I 600, 602), porada zawodowa (II 598), piwo (II 845), rozdrobnienie gruntów (krótka notatka II 982), podatek dochodowy (III 457), stowarzyszenia zarobkowe i gospodarcze (III 881), finanse Polski (budżet IV 144—5), produkcja zboża (IV 919), podatek gruntowy (IV 1261, 1270), prawo koalicji (V 754), szkolnictwo rolnicze (VI 208), loterje (VI 433, VIII 674), nafta (VI 851), poczta lotnicza (VI 927, nie całkiem dokładnie), monopol solny (VII 179), prawo czekowe (VII 179), socjalna demokracja (VII 533, 564), ubezpieczenia społeczne (VII 646), kasy oszczędności (VII 699, mogłoby być więcej), statystyka w Polsce (VII 927, 969), monopol tytoniowy (VII 1230—1231), podatek obrotowy (VIII 466), statystyka bydła (VIII 688, bardzo niedostateczne notatki), cło na przywóz bydła (VIII 720), podatek od wina (VIII 981), cukier (VIII 1198, największy artykuł o Polsce), statystyka własności ziemskiej (IX, 466), kwestja mieszkaniowa

(IX 1156), prasa w Polsce (IX 1171). Por. ponadto wyżej w tomie IX. Natomiast uderza brak uwzględnienia Polski w artykułach takich, jak emigracja (II 93), górnictwo (II 503, zaledwie jedno zdanie o wydobywaniu ropy w Galicji w roku 1910), zawód i statystyka zawodów, ruch ludności (II 728, 733), koleje żelazne (III 641, o Polsce zaledwie jedno zdanie III 652), leśnictwo (IV 246), ustawodawstwo przemysłowe (IV 1000), węgiel (V 756), lotnictwo (VI 439), stowarzyszenia rolnicze (VI 186, o Polsce zaledwie cztery słowa), statystyka rolnicza (VI 241) i t. d. W artykułach tych niejednokrotnie uwzględniono kraje mniej znaczne.

Z tych kilku naprędce zrobionych spostrzeżeń widać, że o Polsce mogłoby być dużo, dużo więcej. Nie chcemy o to winić redakcji ani współpracowników, — w dziele tak poważnem i na ogół tak świetnie zorganizowanem, wolnem od aluzyj i polemik politycznych, nie wykraczającem nigdzie poza ramy rzeczowości i objektywności (czego o wszystkich tego rodzaju wydawnictwach powiedzieć nie można, por. „Sprawy Obce", zeszyt I, str. 224), nie mamy powodu przypuszczać, że stało się to z rozmysłu. Przeciwnie, należy podkreślić na usprawiedliwienie tego braku (dotyczy to zresztą i innych krajów europejskich) że opracowanie przeważnej części dzieła przypada na pierwsze lata powojenne, gdy publikacyj prawdziwie naukowych o Polsce, jej administracji, gospodarstwie i życiu społecznem w językach obcych z natury rzeczy było bardzo mało, a publikacje oficjalne nie stały na tej wyżynie, co dzisiaj. Należałoby się jednak nad tem zastanowić, czyby z naszej strony nie powinno się coś stać, by w przyszłem wydaniu *Handwörterbuch'u* Polsce zapewnić takie miejsce, jakie się jej należy. Rzecz ta warta z pewnością głębszej rozwagi. Prace nad nowem wydaniem zaczną się niewątpliwie w najbliższych latach: z jednej strony spisy ludności przygotowywane w szeregu państw na rok 1930 i uzyskane stąd nowe dane statystyczne, dadzą tyle nowego materjału, że opracowanie nowego wydania będzie wprost koniecznością, z drugiej strony historja *Handwörterbuch'u* wskazuje, że każde dziesięciolecie przynosi nowe jego wydanie. Przy obecnem tempie życia nowoczesnego, jego ustawodawstwa i techniki, wynalazków i rozwoju idei społecznych upływ dziesięciu lat przynosi tyle nowości, że konieczność zorganizowania nowego wydania tym razem, mimo olbrzymich kosztów wydawnictwa, prędzej da się odczuć, niż kiedykolwiek przedtem. Wszak od wydrukowania pierwszego tomu upłynęło już sześć lat i niejeden artykuł wymaga już dziś odświeżenia i przeróbki. Że w tem nowem wydaniu Polska siłą faktu znajdzie szersze uwzględnienie nie może ulegać wątpliwości. Stały wzrost literatury o Polsce w obcych językach, wydane w ostatnich czasach Almanachy, Handbook'i i Jahrbuch'y o Polsce oraz liczne numery specjalne pism o znaczeniu światowem, poświęcone Polsce, ułatwiają orjentację o rzeczach polskich w dużej mierze. Wreszcie znakomite publikacje naszego Głównego Urzędu Statystycznego, dostępne i dla uczonych nie znających języka polskiego, spełnią swe zadanie. Ale nie zaszkodzi, skoro ten lub ów uczony polski, zainteresowany materjami opracowanemi w encyklopedji nauk politycznych, zwróci się na własną rękę czy do redakcji naczelnej, czyto, co może nawet odpowiedniejsze, wprost do autora odnośnego artykułu, wymagającego uzupełnienia w odniesieniu do Polski,

ofiarowując swe usługi dostarczeniem dat o Polsce lub też wskazaniem dotyczącej literatury o Polsce. Dla polskiego fachowca rzecz ta nie przedstawia żadnego większego wysiłku, dla obcego mającego niejednokrotnie do przezwyciężenia duże trudności w zebraniu materjału, będzie ona dużą ulgą; jestem przekonany, że tego rodzaju kooperacja zawsze przyjęta będzie z wdzięcznością. Nie będzie to bynajmniej narzucaniem się obcemu wydawnictwu, lecz usługa naukową, w świecie naukowym zawsze dotąd praktykowana i mile widzianą. Zwłaszcza zaś przy tego rodzaju wydawnictwie, co *Handbuch der Staatswissenschaften,* przy którem rozszerzenie materjału porównawczego z innych krajów podnosi jego wartość na terenie międzynarodowym, pomoc tego rodzaju zaofiarowana przez kompetentnego fachowca z pewnością sympatycznie będzie przyjęta. Na poparcie tych uwag chciałbym wskazać parę miejsc charakterystycznych, które mi się nawinęły przy kartkowaniu w tomach *Handwörterbuch'u.* Tak naprzykład na str. I 602 wymieniony jest polski współpracownik (Franciszek Sokal) jako ten, któremu autor zawdzięcza dane bibljograficzne o literaturze polskiej, gdzieindziej znów zaznaczono, że daty o organizacji odnośnych władz w państwach obejmujących część terytorjów byłej Monarchji austro-węgierskiej nie mogły być uzyskane do czasu oddania do druku dotyczącego artykułu (VI 1183), na innem miejscu znów (IX 21) mieści się zapisek, że w Rzeczypospolitej Polskiej wyszło podczas druku odnośnego artykułu rozporządzenie Prezydenta R. P. o danej materji.

O wydawnictwie omawianem wyrazić się można tylko summa cum laude. Jest ono wprost wzorowe i winno służyć jako model dla innych podobnych opracowań. Dla przyszłego wydania *Handwörterbuch'u* przy którem współpracowników czekają duże zadania ze względu na rosnący wciąż materjał (por. wyżej) chcielibyśmy wyrazić tylko jedno życzenie: by wywody historyczne, w szczególności odnoszące się do starożytności i wieków średnich, zostały możliwie najwięcej skreślone. Stojące w obecnem wydaniu na wyżynie nauki opracowania (np. o bankach lub pieniądzu w starożytności) mogą w przyszłem wydaniu śmiało być opuszczone i zastąpione po prostu odsyłaczem do wydania obecnego. Taksamo biografje znajdujące się w obecnem wydaniu mogą zniknąć z następnego. Wszak i one nie ulegną zmianie dając już dziś zupełnie wystarczające nakreślenie działalności naukowej poszczególnych — nieżyjących już — uczonych. W podobny sposób mógłby niejeden ustęp odnoszący się do państw już nieistniejących, zwłaszcza przestarzałe daty statystyczne, o ile z pewnych szczególnych względów nie są niezbędne dla celów porównawczych, ulec skreśleniu, przy równoczesnem odesłaniu do wydania obecnego. Redukcjami temi, które w niejednej dziedzinie mogłyby być przeprowadzone na dużą skalę, zyskałoby wydawnictwo conajmniej około 1500 stron druku, któreby mogły być obrócone na rzeczy nowe i uzupełnienia, doprowadzające poszczególne opracowania do czasów najświeższych.

Nathan Feinberg Docteur en droit, Avocat près les Tribunaux civils de Palestine. *La question des minorités à la Conférence de la Paix de 1919—1920 et l'action juive en faveur de la protection internationale des minorités.* Publié par le Conseil pour les Droits des minorités juives (Comité des Délégations

juives) Paris, Libraire Arthur Rousseau, Rousseau et Cie, Editeurs 14, rue Soufflot et rue Toullier 13 (V) 1929.

Książka powyższa, która ukazała się w dziesięć lat po podpisaniu w Wersalu traktatu pokoju z Niemcami, a równocześnie z nim, — pierwszego Traktatu o ochronie mniejszości między Głównemi Mocarstwami Sprzymierzonemi i Stowarzyszonemi a Polską, nie jest, jak zaznacza autor we wstępie, wyczerpującem studjum historycznem o sprawie mniejszości na Konferencji pokojowej paryskiej i opracowaniem traktatów tak zwanych mniejszościowych. Na takie studjum, zdaniem autora, jeszcze zbyt wcześnie, gdyż archiwa dyplomatyczne zazdrośnie dotąd strzegą przed okiem badacza-historyka wiele materjałów doniosłości pierwszorzędnej, które mogłyby, między innemi, ujawnić tajemnice obrad poufnych tak decydująco ważnych organów konferencji, jak „Komisja Państw Nowych" i Rada Najwyższa. Natomiast niektóre nowsze publikacje, przedewszystkiem zaś książka radcy prawnego Delegacji Stanów Zjednoczonych na Konferencję Pokoju p. Dawida Hunter Millera *The Drafting of the Covenant,* uchylają częściowo zasłonę, która pokrywała dotąd inne ważne prace Konferencji, między innemi Komisji Ligi Narodów. Poza tem autor mógł korzystać z cennej pomocy „Rady Ochrony Praw Mniejszości Żydowskich" *(Conseil pour les Droits des Minorités Juives),* którego inicjatywie zawdzięczać należy powstanie omawianej pracy. Jest to więc szkic prawnohistoryczny, kreślący proces krystalizacji, podczas i bezpośrednio po wielkiej wojnie, idei międzynarodowej ochrony mniejszości religijnych i etnicznych i wcielania tej idei w klauzule traktatów powojennych, oraz ujawniający rolę, jaką w tym procesie odegrały organizacje żydowskie.

Wymieniwszy i omówiwszy krótko poszczególne kategorje praw, przyznanych mniejszościom w Traktatach Pokoju z 1919 i 1920, autor poświęca rozdział cały precedensom historycznym, wykazując, że sprawa ochrony mniejszości w traktatach międzynarodowych nie jest bynajmniej rzeczą nową: klauzule mniejszościowe figurują w licznych umowach międzynarodowych od czasu Traktatów Wiedeńskich z 1814—1815 i są zwykle wcielane do traktatów z państwami nowopowstającemi, rozszerzającemi znacznie swój stan posiadania lub zmieniającemi swoją sytuację prawno-międzynarodową, naprzykład z Grecją w 1830, z księstwami Mołdawji i Wołoszczyzny w 1856, z Rumunją, Serbją i Czarnogórzem w 1878.

Na Konferencji Paryskiej uczyniono jednak wielki krok naprzód. Podczas gdy we wszystkich dotychczasowych traktatach mowa była prawie wyłącznie o wolności religijnej i równości praw indywidualnych obywateli, w klauzulach mniejszościowych traktatów z 1919 — 1920 uznano za niezbędne zapewnić mniejszościom w dziedzinie kulturalnej i społecznej pewną ilość praw, które z natury swej są prawami kolektywnemi. Poza tem, co jest niezmiernie ważne, ochronę i gwarancję stosowania tych praw wzięły na siebie Liga Narodów i Stały Trybunał Sprawiedliwości Międzynarodowej w Hadze. Zdobycze te zawdzięczać należy w stopniu znacznym działaniu i wpływom organizacyj żydowskich, a zwłaszcza „Komitetowi Delegacyj Żydowskich na Konferencję Pokoju". Komitet ten bronił na Konferencji sprawy mniejszości jako zagadnienia czysto narodowościowego, a nie wyznaniowego, i domagał się dla nich

nietylko praw prywatnych i politycznych, ale również kulturalnych i narodowych. Postulatem, jaki wysuwał była autonomja narodowa dla mniejszości. Postulat ten nie został wprawdzie zaakceptowany na Konferencji, niemniej jednak akcji Żydów zawdzięczać należy, że sprawie mniejszości poświęcono tyle czasu, uwagi i wysiłków, aby prawa ich zabezpieczyć w stopniu, w danych warunkach możliwym, a w porównaniu z przeszłością znacznie pełniejszym i doskonalszym. Pracowały w tym kierunku coprawda, już podczas wojny i bezpośrednio po jej zakończeniu, rozmaite organizacje pacyfistyczne, ale jak słusznie zaznacza Fouques Duparc w swej książce o ochronie mniejszości „idee ich nie zatryumfowałyby zapewne, gdyby ich nie powołały do życia interesy i namiętności". Wiele przyczyniła się do urabiania opinji publicznej na korzyść mniejszości socjalna demokracja, która do manifestów uchwalanych na licznych zjazdach i kongresach Międzynarodówki socjalistycznej wcielała postulaty mniejszościowe. Działo się to głównie dzięki akcji Żydowskiej Konfederacji Robotniczej *Poale-Sion,* która domagała się dla Żydów równości praw prywatnych i politycznych we wszystkich krajach, autonomji narodowej tam, gdzie są ich większe skupienia, utworzenia „ogniska narodowego" w Palestynie i dopuszczenia przedstawicieli narodu żydowskegoo do Ligi Narodów.

Ważniejszy jednak był wpływ, jaki zdołały organizacje żydowskie osiągnąć na twórców Traktatów Pokoju, a szczególnie na Wilsona.

Wilson, proklamując wielką zasadę stanowienia narodów o sobie i prawa ludów wybierania władzy suwerennej, pod którą mają żyć, nie zajmował się z początku problematem mniejszości, jako fragmentów, ułamków etnicznych, grup narodowościowych, oderwanych od pnia ojczystego i skazanych na życie w ramach obcego państwa narodowego. Ani proklamowane przez Ententę cele wojny, ani program Prezydenta Wilsona, nie zawierały żadnych jasnych i wyraźnych zasad co do spraw mniejszości. Jedni Żydzi pamiętali o tej sprawie nieomal od początku wielkiej wojny i oni pierwsi zaczęli organizować się i pracować nad sformułowaniem postulatów mniejszościowych i ich zrealizowaniem. A stało się to dlatego, że podczas gdy inne narody do końca wojny spodziewały się skupić w granicach własnego państwa wszystkich swoich rodaków, jedni Żydzi wiedzieli, że niezależnie od wyników wojny będą oni zawsze rozproszeni, zawsze będą stanowili mniejszość wśród innych narodów. Dokonawszy w 1919 wielkiego dzieła utworzenia zjednoczonej reprezentacji żydowskiej pod nazwą *Comité des Délégations Juives auprès de la Conférence de la Paix*, który składał się z delegatów Europy Wschodniej i Południowej, poza tem z przedstawicieli Żydów Stanów Zjednoczonych, Kanady, Italji, Palestyny, Wszechświatowej Organizacji Sjonistycznej i obrządku wolnomularskiego *B'nai B'rith,* czołowi przedstawiciele tych organizacyj, zwłaszcza zaś Żydzi ze Stanów Zjednoczonych, z sędzią J. Mackiem i adwokatem L. Marschallem na czele, zdołali tak zainteresować sprawą żydowską Prezydenta Wilsona, że pod ich wpływem wstawił on do swego drugiego projektu Paktu Ligi Narodów dwa artykuły dotyczące praw mniejszości „rasowych lub narodowych" *(racial or national minorities* — art. VI) oraz wolności i równości wyznaniowej (art. VII).

W rokowaniach z delegatami angielskimi, wkrótce art. VI został skreślony, a art. VII (t. zw. religijny) utrzymywał się czas dłuższy, aż do chwili, kiedy

Delegat Japonji baron Mahino, zaproponował dodać do tego artykułu wstęp stwierdzający uznanie zasady równości ras. Wówczas cały artykuł, mimo energicznej obrony delegatów japońskich, został skreślony. Historja walki, która na tem tle rozegrała się między delegatami poszczególnych państw, należy do najbardziej interesujących i pouczających rozdziałów książki. Sprawa międzynarodowej obrony mniejszości nie została przez to jednak bynajmniej pogrzebana. Uchylona ona została tylko jako zasada, obowiązująca wszystkie Państwa, przedewszystkiem zaś Wielkie Mocarstwa. Organizacje żydowskie czuwały jednak. Rzecz ciekawa, że Żydzi angielscy, zjednoczeni w *Joint Foreign Commitee* i francuscy w *Alliance Universelle Israélite* nie przyłączyli się do „Komitetu Delegacyj", uważając dla siebie brzmienie jego postulatów odrębności narodowej i autonomji narodowych dla Żydów, jako nazbyt daleko idące. Zdaje się jednak, że porozumienie i współdziałanie między temi organizacjami istniało w dosyć znacznym stopniu. Pod ich wpływem tak zwana Komisja Państw nowych opracowała początkowo „dwie lub trzy klauzule" zabezpieczające pewne prawa Żydów, jak stwierdza historyk konferencji Pokoju Temperley. Klauzule te następnie rozmnożyły się i rozwijały, aż powstały z nich Traktaty o mniejszościach. Przyczyniło się do tego w stopniu bardzo wysokim memorandum złożone Konferencji przez „Komitet Delegacyj", zawierające gotowy projekt traktatu mniejszościowego. Zestawienie tego projektu z podpisanemi następnie traktatami wskazują, że każdy z artykułów traktatów mniejszościowych znajduje swój odpowiednik w jednym z artykułów projektu Komitetu, a niektóre są prawie dosłownem powtórzeniem tekstu projektu. Organizacje żydowskie działały tem skuteczniej, że nie broniły tylko interesów Żydów, ale praw mniejszości wogóle.

*Générosité ou habileté suprême?* zapytuje Fougues Duparc.

Niezmiernie interesujące, zwłaszcza dla polskiego czytelnika są pełne szczegółów opisy walki, jaką przeprowadzili delegaci niektórych Państw, zwłaszcza Rumunji, przeciwko narzuconym sobie traktatom mniejszościowym.

Książka, zakończona paru tekstami najważniejszych dokumentów, poza treścią, jak z powyższego widać, niezwykle interesującą, zaleca się starannem opracowaniem, bardzo dobrym przejrzystym układem i spokojnym, ostrożnym i umiarkowanym stylem. Treść książki — o roli Żydów w tak pomyślnie przeprowadzonej na Konferencji Paryskiej sprawie zapewnienia ochrony mniejszości za pośrednictwem zobowiązań międzynarodowych — jest przez autora w sposób niezbity udowodniona.

Dott. Giovanni Corso — *Lo Stato Fascista, Roma, 1929 — VII, Libreria del Littorio*. Wydanie drugie, str. 511.

Dzisiejszy ustrój Italji, po siedmiu latach rządów faszystowskich, stanowi typ tak swoisty, zwłaszcza w porównaniu z typem demokratyczno-liberalnym, że jeśli kiedy, to niewątpliwie w tym wypadku mamy do czynienia z przewrotem dziejowym, z rewolucją głęboką, nie ograniczającą się do zmiany osób, stronnictw czy klas w rządzie, lecz sięgającą do podstaw budowy państwowej. Pierwszą i zasadniczą cechą przewrotu italskiego jest to, że dokonał się on i trwa w dalszym ciągu bez naruszenia w najmniejszej mierze

istniejącego w Italji porządku konstytucyjnego. Tak zwany *Statut Albertyński*, Konstytucja oktrojowana dla Piemontu (Królestwa Sardynji) przez Karola Alberta w 1848 i prowizorycznie rozszerzona na Królestwo Italji, obowiązuje dotychczas, a niedalej jak w Traktacie Lateraneńskim uroczyście się na nią powołano. Jest to schemat ustroju liberalnego, ściśle podług zasad wielko brytyjskich spreparowany. Jak się okazało, w ramach tych mieszczą się koncepcje państwa do tego stopnia z sobą sprzeczne, co demokratyczno-liberalna i faszystowska. Wynika stąd, że ustosunkowanie się wzajemne ośrodków władzy, o co rozegrała się walka w Italji, zależy nie od norm konstytucyjnych, zmierzających z zasadą do zapewnienia idealnej równowagi w państwie, lecz od czynników, których żadna konstytucja nie jest w stanie przewidzieć, ponieważ zmienność warunków historycznych i sił społecznych leży w dziedzinie irracjonalnej. Właśnie wobec nowego układu czynników historycznych i społecznych państwo liberalne, nawkroś teoretyczne, by ratować swe zasady (zwane nieśmiertelnemi), stosowało taktykę bezwładu, a w gruncie rzeczy było bezradne. Pozwalało ono zatem na tworzenie się ośrodków władzy pozapaństwowych i nawet przeciwpaństwowych. Wręcz przeciwnie, w zrozumieniu faszystowskiem, państwo nie może nigdy zrezygnować ze swego charakteru suwerenno-kierowniczego. Musi ono pracować nad powstającemi siłami nietylko faktycznie, lecz i prawnie: powinno ujmować je w odpowiednie łożyska i ustalać ich równowagę. Wychodząc z tego założenia, ustawodawstwo faszystowskie zachowuje instytucje dawne, zmienia je niekiedy, rozszerza, przekształca, ale przedewszystkiem stwarza instytucje nowe, lub przystosowuje dla nich teren. Bardziej niż polityka wewnętrzna Italji, ta strona ich twórczej pracy państwowej nadaje się, po siedmiu latach, do syntezy. Pierwszą udaną próbą takiej syntezy mamy w dziele p. Corso: *Lo Stato Fascista*. Autor jest zresztą w tej dziedzinie kompetencją pierwszego rzędu: poświęcał się on jako uczony, badaniom z zakresu prawa publicznego, a obecnie, mianowany Sekretarzem Generalnym Rady Państwa *(Consiglio di Stato)*, zajmuje stanowisko miarodajne w najwyższej instytucji opinjodawczej i sądowo-administracyjnej Italji. Książka D-ra Corso składa sę z trzech części. W pierwszej podane zostały podstawowe teorje prawa publicznego, w drugiej — ogólna doktryna faszyzmu, w ostatniej — zarys przekształceń państwowych, dokonanych w Italji za obecnego régime'u.

W faszyzmie, naogół biorąc, obserwować można pewną odrazę do teorji. Jest to bezwątpienia reakcja, spowodowana przesadą teoretyzmu u polityków poprzedniego régime'u. Zwrot ku realizmowi w polityce bywa też dziś w Italji zaznaczony przy każdej sposobności. Krasomówstwo wychodzi z mody i jest źle widziane. Rząd obchodzi swe rocznice inauguracją robót publicznych: w siódmą rocznicę Marszu na Rzym odsłonięto ich 9697, wykonanych kosztem 3.739.532.000 lir w ciągu roku. Nie jest to jednak realizm naoślep. I polityka wewnętrzna Italji, i bardziej jeszcze ustawodawstwo italskie, rozwijają się organicznie. Dla badaczów prawa publicznego układa się już to wszystko w system, który nauka może określić. Rzecz znamienna, że pierwiastki tej tak samorzutnie tworzącej się ideologji faszyzmu twią w kulturze państwowej starożytności. Pojęcie społeczności jako organizmu wywodzi się od Platona. Pojęcie syntetycznej formy rządów jest korektywą Cycerona

*(quartum quoddam genus reipublicae maxime probandum)*, wprowadzoną do nauki Arystotelesa o trzech rodzajach rządów. Wprowadzenie czwartej władzy, koordynującej, do teorji podziału władz wynika z praktyki państwa rzymskiego i czysto rzymskie jest również wzięcie uznania zbiorowego, *(consenso della collettività)* za podstawę prawa suwerenności. Lecz jeśli takie i tym podobne pojęcia, będące dorobkiem państwowości starożytnej, były już obrabiane na wszelkie sposoby przez nowszych teoretyków, którzy je dostosowywali do potrzeb własnych, tak że nie stanowią one dostatecznej rękojmi dla przeciwstawienia się tym teorjom, to słusznie waloryzuje faszyzm w tym celu przebogate doświadczenie państwowości italskiej w w. XII — XVI. Istotnie, znajomość historji prawa publicznego w Italji jest bodaj jedynym kluczem do zrozumienia po za Italją tego zjawiska, jakiem dziś jest tam faszyzm. Ale też zjawisko to jest najgłębiej i najściślej italskie. Świadome przeciwstawienie się faszyzmu ideologji Rewolucji Francuskiej nie wynika więc bynajmniej z teorji, lecz jest ono rezultatem najżywszego przeświadczenia, poprostu — poczucia we krwi, że owa ideologja opiera się na apriorystycznych przesłankach antyłacińskich protestantyzmu (str. 122). Z drugiej strony, przyznać trzeba, że ustrój faszystowski urzeczywistnił wiele z tych postulatów, które rządy liberalne, demokratyczne lub socjalistyczne miały w programie, lecz nie potrafiły przeprowadzić w praktyce (str. 145).

Przesilenie wewnętrzne, które cechuje obecną epokę, idzie niewątpliwie w kierunku wzmocnienia autorytetu państwa. Pod tym względem faszyzm staje się systemem coraz bardziej zwartym. Ściąga to nań krytykę zaciekłą ze strony przeciwników takiego kierunku ogólnego. Ale źródła tego kierunku są w różnych krajach najzupełniej różne. Autorytet państwa w każdym kraju musi się wzmacniać własnemi siłami tego kraju. Trzeba to sobie uprzytomnić, chcąc się zaznajomić z faszyzmem, by go ocenić objektywnie. Trzeba ponadto pamiętać, że rozwój faszyzmu jest wciąż jeszcze w pełnym toku. Od chwili ukazania się książki Dra Corso, to znaczy od zeszłego lata, nastąpiła już np. znaczna ewolucja partji faszystowskiej w kierunku jej upaństwowienia. I ewolucja ta nie jest jeszcze wcale zakończona, gdyż problem udziału państwa w wyrobieniu elity politycznej należy do najtrudniejszych. P. Corso daje tylko próbę syntezy, ale z tem zastrzeżeniem jest to praca fachowa i poważna. W italskiej literaturze o faszyzmie książka Dra Corso wysuwa się na pierwsze miejsce, należało więc na nią zwrócić uwagę. Z natury rzeczy wyprzedza ta książka wszystko, co o Italji dzisiejszej pisali cudzoziemcy.

Francis Delaisi. *Les deux Europes.* Payot, Paris.

Istnieją dwie Europy. Jedna przemysłowa, o gęstej sieci kolejowej, zelektryfikowana, o dużej wytwórczości rolniczej z ha., dzięki temu, że przemysł jest potężnym czynnikiem rozwoju rolnictwa: druga zacofana gospodarczo, słabo uprzemysłowiona, o rzadkiej sieci kolejowej, ze słabym rozwojem sił produkcyjnych, nazywa się rolniczą, wywozi produkty rolne, lecz posiada małą wydajność z ha.

Na odmiennych typach dwóch Europ, właściwie dwóch części Europy oparł autor swą książkę. Granica pomiędzy jedną a drugą Europą według autora biegnie przez Stockholm, Gdańsk, Kraków, Budapeszt, Florencję, Barcelonę, Bilbau, poczem przez Glasgow i Bergen wraca do Stockholmu. Południowa Italja, niemal cała Hiszpanja, półwysep Bałkański, Polska bez byłej dzielnicy pruskiej i części Galicji zachodniej i Rosja, należą według autora do tej drugiej Europy. Pierwszą oznacza literą A, drugą literą B.

Podłożem gospodarczem Europy A są, według autora, jej bogactwa węglowe. Złoża węglowe rozpoczynają się na wyspach W. Brytanji, skąd przez Belgję i Francję północną sięgają do Westfalji, przejawiają się znów w Saksonji i w Zagłębiu Śląska Krakowskiego, obejmującem Dąbrowę Górniczą.

Na tej glebie bogatej w paliwo wyrosły miasta fabryczne od 100—200 tys. mieszkańców liczące, zagęściła się ludność od 200—400 mieszkańców na km. kw., nad brzegami wielkich rzek, w punktach gdzie krzyżowały się wielkie drogi historyczne; powstały olbrzymie miasta: Londyn, Liverpool, Paryż, Berlin, Bruksela, Amsterdam, Frankfurt, Wiedeń, Hamburg, Medjolan, Praga, Barcelona, okolice pocięte w czworokąty pól uprawnych, gęsto usiane murowanemi osiedlami, miasteczkami lub wsiami, nad któremi strzelają ku niebu wieże świątyń lub kominy cukrowni lub gorzelni.

Po całym kraju tętni ruch wymienny, niesie on ku wielkim centrom produkty rolne i otrzymuje wzamian przeróżne wytwory przemysłowe. Pulsacja arteryj i wen gospodarczych trwa dzień i noc. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, dymią kominy, sapią pociągi, warczą samochody...

Cała Europa przemysłowa, zwana przez autora Europą A, wygląda jak olbrzymi organizm z bogatym systemem nerwowym i krwionośnym, organizm którego wszystkie komórki od pola folwarcznego do banku w wielkiem mieście pozostają w funkcjonalnym związku.

Chociaż w obręb Europy A wchodzi wiele państw, cały jej obszar stanowi jedną całość. Nawet występuje zewnętrzne podobieństwo mieszkańców: mężczyźni ubierają się według mody angielskiej, kobiety według paryskiej. Trzema językami, angielskim, niemieckim i francuskim, mówi $^{2}/_{3}$ ludności tej Europy, Europy konia parowego, będącego produktem węgla, kapitału i wiedzy.

Europa B charakteryzuje się rzadką siecią kolejową. Większe linje kolejowe biegną ku portom: Leningrad, Odessa, Konstantynopol, Saloniki, Brindisi, Lisbona. Na węzłach kolei żelaznych spotyka się jeszcze większe skupienia ludzkie, z tramwajami elektrycznemi, hotelami, z tłumnemi ulicami, z kulturą burżuazyjną, ale są to już wysepki rozsiane na bezmiarach życia wiejskiego. Bezmiary te są naogół pozbawione dróg i nowoczesnych środków komunikacji. Furmanki chłopskie z trudem wloką się po piasku lub grzęzną w błocie, rzadko widuje się traktor lub samochód. Po za wątłem rozgałęzieniem kilku głównych arteryj ruchu wszystko tkwi w odwiecznym zastoju.

Zacofanie rolne Europy B autor niesłusznie przypisuje latyfundjom, latyfundje bowiem w Anglji i na wschodzie Niemiec prowadzą oddawna rolniczą gospodarkę intensywną. Reformy rolne wschodniej Europy raczej są czynnikiem przeciwdziałającym rozwojowi kultury rolnej, niż stwarzającym dla niej korzystne warunki.

Europa A posiada przewagę ludności miejskiej. Typowym jej krajem są Niemcy. Zwiększyły one swą ludność od 1871 do 1910 z 41,1 milj. do 64,9 milj., a więc o 23,8 milj., przyczem ludność miejska wzrosła z 14,8 do 39,0 milj., czyli o 24,2 milj., nietylko więc całkowity przyrost naturalny pochłaniały miasta, lecz zmniejszyły nawet absolutnie ludność wiejską o 0,4 milj. Ludność miejską Europy A oblicza autor na 70% jej ludności, natomiast ludność wiejska Europy B wynosi 65% ogółu jej ludności.

Wobec przewagi ludności miejskiej nad ludnością wiejską rolniczą, wobec swego gęstego zaludnienia Europa A pomimo znaczniejszej wydajności z ha poszczególnych płodów rolnych posiada deficyt żywnościowy. Tylko dwa państwa Europy A, mianowicie: Holandja i Danja w bilansie handlowym produktów żywnościowych mają czynny bilans. Holandja $ 59,5 milj., Danja $ 236,6 milj. Pozostałe zaś 9 państw posiadają bilans handlowy produktami żywnościowemi $ 3933 milj. Do tego trzeba dodać bierność bilansu handlowego w zakresie surowców. Wynosi ona $ 4190 milj., razem więc bierność Europy A w zakresie środków żywności i surowców wynosi $ 4847 milj. Suma ta balansuje się przez czynny bilans wywozu produktów fabrycznych $ 4119,8 milj., przewóz towarów i dochody banków operujących z krajami leżącemi poza granicami Europy A, zwiedzanie przez cudzoziemców wszystkich części świata, wielkich miast i kurortów.

Wywóz Europy w 1925 wynosi. około $ 7400 milj. Europa B uczęstniczy w odbiorze towarów Europy A w 27,5%, Europa zamorska w 38,4%, pod Europą zamorską autor rozumie kraje skolonizowane przez ludność Europy, zasilone przez jej kapitały i wiedzę dla eksploatacji jej bogactw naturalnych. Stany Zjednoczone, Kanada, Argentyna, Transwaal, Australja, są to kraje według autora Europy zaoceanowej, będące dziś niebezpiecznymi współzawodnikami Europy A w przemyśle, Europy B w rolnictwie.

Właściwie ciążące nad rolnictwem Europy A i B 13% wywozu Europy idzie do Azji i Oceanji, 13,1% do Azji nieruchomej *(sédentaire)*, składającej się z Indyj, Chin i Japonji, 7,6% do świata muzułmańskiego. W rezultacie 72,5% wywozu stanowi wywóz zaoceanowy.

Azja na Dalekim Wschodzie rewoltuje się, uprzemysławia się i ciąży jako współzawodnik.

Europa zaoceanowa, będąca głównym rynkiem jej zbytu, zwraca się przeciwko nam. Stany Zjednoczone, które w ciągu stulecia były największem polem ekspansji europejskiej, są uprzemysłowione, koń parowy i elektryfikacja uzyskały tam rozwój nadzwyczajny. Obecnie one zamykają podwoje przed ludźmi Starej Europy, otaczają swój rynek taryfą celną coraz bardziej wysoką, nie dość na tem, są eksporterami swoją drogą nietylko jako dostarczyciele środków żywnościowych i surowców, lecz i produktów fabrycznych i zdobywają rynki zewnętrzne. I oto w tym samym czasie gdy Kanada wytwarza przemysł metalurgiczny, Unja południowo-amerykańska przemysł tkacki, Australja ciąży na tkactwie i przędzalnictwie. Ratunkiem więc dla Europy A jest zwrócenie się do inwestycyj w Europie B i wspózawodnictwo z nią, co podniosłoby siły produkcyjne Europy B.

Jakkolwiek propagandę współzawodnictwa państw przemysłowych Europy z państwami mniej uprzemysłowionemi, do jakich zaliczyć należy Polskę

uważamy za wskazaną i leżącą w naszych interesach, jednak przesłanki, na których opiera się autor, wymagają w imię prawdy znacznych zastrzeżeń.

Państwa przemysłowe są najznaczniejszym rynkiem zbytu nietylko dla państw produkujących surowce, ale i dla państw przemysłowych, konsumcja bowiem na głowę rozrasta się w miarę rozwoju ekonomicznego. Każda gałęź przemysłu, wymagając instalacyj, stwarza rynki zbytu dla szeregu gałęzi przemysłu. Stany Zjednoczone w miarę swego rozwoju gospodarczego, są coraz to znaczniejszym konsumentem wyrobów europejskich. Import Europy do Stanów Zjednoczonych od 1910 przedstawia się jak następuje:

| Lata | Import |
|---|---|
| 1900—1909 . . . . . . . . | 473 milj. dol. |
| 1910—1914 . . . . . . . . | 637 ,, |
| 1915—1920 . . . . . . . . | 836 ,, |
| 1921—1925 . . . . . . . . | 1049 ,, |

Uprzemysłowiona Japonja posiada znaczniejsze obroty handlu zewnętrznego i znaczniejszy handel z Europą niż Chiny, wielekroć liczniejsze, lecz mniej uprzemysłowione. Postępy uprzemysłowienia Chin w okresie wojny światowej i powojennym podnoszą obroty tego państwa z Europą pomimo nawet zamieszek i wojen domowych, jakie niemal stale przeżywa to państwo.

Uprzemysłowienie Europy B nie zaciąży na Europie A. Uprzemysłowienie to staje się coraz bardziej możliwem w miarę gdy motory parowe coraz bardziej zastępują się motorami elektrycznemi, co da możność ośrodkom przemysłowym odsunąć się od złóż węglowych.

W. Brytanja, należąca do Europy A, będzie wbrew nawoływaniom autora do powrotu do Europy bardziej inwestowała się w swych dominjach niż w Europie B. Książka p. Delaisi ze względu na żywość wykładu, przejrzystość zestawień statystycznych zdobyła powodzenie i stanowi zajmującą lekturę ekonomiczną.

Dr. Wilhelm Gürge. *Paneuropa und Mitteleuropa.* Drugie wydanie. Wydawnictwo B. Staar's. Berlin 1925.

Książka dr. Wilhelma Gürge w sprawie Europy i Paneuropy w krótkim czasie wyszła w drugiem wydaniu i zwróciła na siebie uwagę sfer politycznych i gospodarczych Niemiec. Jest ona uzasadnieniem koncepcyj Europy środkowej z punktu widzenia interesów niemieckich.

Do idei Paneuropy odnosi się autor krytycznie. Ideą hr. Coudenhove-Kalergi uważa za produkt literacki z uzasadnieniem literacko-duchowem; lecz nie realnem. „Europa nie jest naturalnym odrębnym kontynentem. Wszyscy europejczycy są spokrewnieni przez krew, ducha i wiarę. Narody europejskie są jak barwy spektru, w których przez pryzmaty językowe słońce ducha europejskiego przebija się. Pozorne różnice są niczem innem jak licznemi odcieniami tej samej rzeczy. Europejska dusza jest chrześcijańską w głębi, helleńską w rozwoju, niemiecką w duszy". W tych słowach twierdzi dr. W. Gürge zawiera się duchowe podłoże paneuropejskiego systemu bez wskazania

na naturalne podstawy europejskiego współżycia. Konsekwencją doktryny hr. Coudenhove-Kalergi jest francusko-niemiecki blok, będący punktem koncentracyjnym dla innych narodów.

Idea Paneuropy głoszona przez jego zwolenników wyznacza ostateczny cel rozwoju, lecz nie daje realnych dróg dla jej urzeczywistnienia.

Dla odkrycia tych dróg autor rozpatruje poszczególne wielkie polityczne jednostki, będące organizmami samowystarczalnemi. Klasycznym typem takiego organizmu są Stany Zjednoczone z ich rozwiniętemi siłami rolniczemi, bogactwami naturalnemi, odpowiednio ustosunkowemi do przemysłu i ludności. W innych częściach świata jednostkami samowystarczalnemi mogły być Rosja i Chiny. W Chinach panuje przedewszystkiem przemysł domowy. W Rosji brakuje przemysłu wskutek jej małej technicznej organizacyjnej zdolności. Rosja naśladowała przykład Niemiec gdy hr. Witte prowadził politykę uprzemysłowienia, nie otrzymując jednak skutków analogicznych z Niemcami. Bolszewicka rewolucja politykę tę uprzemysłowienia odnowiła. Współczesna forma rządu Rosji opiera się głównie na przemysłowym proletarjacie; chłopi byli niezadowoleni, gdyż Stołypinowska reforma agrarna nie dała odpowiednich rezultatów. Bolszewicka reforma agrarna była świadomym środkiem Sowietów użycia chłopów jako młota. Obok świadomości, że Rosja nie może prowadzić polityki światowej bez silniejszej samowystarczalności wojskowej jak dotąd, obecnie jej władcy postawili uprzemysłowienie jako główny punkt swego programu.

Rosyjski kompleks gospodarczy usiłuje świadomie oddzielić się od zachodu, żeby utrzymać monopolistyczne formy gospodarcze. Stąd nastąpiło przeniesienie głównego miasta z Petersburga do Moskwy w interesach centra przemysłowego samowystarczalności i posunięcia się na wschód. Najbardziej trudnym problematem dla Rosji jest finansowanie. Trudno znaleźć państwo, któreby w obecnych warunkach na dłuższy czas udzieliło Rosji kredytu. Zachodzi charakterystyczny wypadek. Rosja, jako posiadaczka instrumentu monopolu handlowego, jest największym kupcem świata i w roli *kundman*'a może faworyzować lub nie, z drugiej strony nie jest w stanie na swe uprzemysłowienie ściągnąć odpowiednich kapitałów zagranicznych.

Dla Niemiec Rosja może być dobrym *kundman*'em, lecz nie może je uzupełnić przez dostarczenie surowców w jednym związku celnym.

Taka kombinacja dla zachodnio-europejskiego organizmu Niemiec jest nie dopomyślenia.

Anglja, Francja i Italja, zdaniem autora, są bardziej związane z innemi częściami świata niż z Europą. Pozostaje więc środkowa Europa jako pewien kompleks gospodarczy, stanowiący podłoże dla gospodarczej ludności. Interes Niemiec zmusza je do wytworzenia zwartości gospodarczej tego kompleksu. W rozdziale „Niemcy i gospodarka światowa“ autor usiłuje wykazać ogromną różnicę zachodzącą między położeniem gospodarczem Niemiec przedwojennych i dzisiejszych.

Niemcy przed wojną były państwem, którego bogactwa zezwalały nietylko na zaspakajanie potrzeb swej ludności, lecz i w coraz znaczniejszym stopniu umieszczanie kapitałów zagranicą. Postępy techniki XIX stulecia były przez nie umiejętnie wykorzystane, co umożliwiało pomimo wzrostu wymagań

i ludności coraz lepsze zaspakajanie potrzeb. Znaczne koszty na wojsko, marynarkę oraz akcję kolonjalną nie dawały się szkodliwie odczuwać ludności. Przemysł przed wybuchem wojny zaopatrywał europejskie i zaoceanowe kraje w tak ważne przedmioty, że brak dostarczyciela niemieckiego w okresie wojny w wielu wypadkach był dotkliwie odczuwany. Przed wojną stawał się Berlin międzynarodowym i pierwszorzędnym rynkiem finansowym i głównym rynkiem dewiz dla południowej Ameryki. To świetne stanowisko w świecie Niemcy zdobyły i utrzymywały pomimo tego, że w ciągu lat 20 przed wojną ich bilans handlowy był bierny.

Autor konstatuje wzrost bierności bilansu handlowego Niemiec przedwojennych z roku na rok. W 1910 bierność bilansu handlowego — 987 miljonów, w 1911 — 1073 miljonów, w 1912 — 1472 miljonów, w 1913 — 1480 miljonów. Niemcy jednak przedwojenne, posiadając marynarkę, kapitały umieszczone zagranicą i t. d. posiadały czynny bilans płatniczy. Po wojnie okoliczności się zmieniły. Bierność bilansu handlowego Niemiec powojennych jest znaczniejsza niż przedwojennych. Uzasadnia to autor następującą tabelą:

| | | *obecna wartość* | *przedwojenna* |
|---|---|---|---|
| | 1913 | 1924 | 1924 |
| Przywóz . . . . | 10769,6 | 9082,8 | 6769 |
| Wywóz . . . . . | 10097,2 | 6551,6 | 5133,9 |

Gdyby jednak autor wziął późniejsze lata, okazałoby się, że bierność bilansu handlowego Niemiec uległa znacznemu zmniejszeniu i nosi charakter przedwojenny:

| | przywóz | wywóz |
|---|---|---|
| 1925 . . . . . | 13652 | 9964 |
| 1926 . . . . . | 11220 | 11101 |
| 1927 . . . . . | 15839 | 11746 |
| 1928 . . . . . | 15647 | 13248 |

Nie ulega wątpliwości, że bilans płatniczy Niemiec uległ pogorszeniu. Niemcy nie posiadają obecnie tych licznych przedsiębiorstw zagranicą co przed wojną, gdyż znaczna część przedsiębiorstw przedwojennych udegła konfiskacie. Marynarka handlowa niemiecka jakkolwiek w znacznej mierze już się odbudowała, jednak wobec zwiększonej konkurencji daje znacznie mniejsze dochody. Według obliczeń Urzędu Statystycznego Niemiec procenty od zagranicznych kapitałów umieszczonych w Niemczech wynoszą 400 miljonów marek. Ogólne zadłużenie Niemiec wobec zagranicy wynosi 10 miljardów marek. Niemcy są też obciążone reparacjami. Niemcy nie mogą stale pokrywać niedoborów swego bilansu płatniczego pożyczkami.

Niemcy, zdaniem autora, mogą znaleźć szerszą podstawę dla swej gospodarki i wzmocnić swe położenie w międzynarodowej walce o byt w stosunku do wielkich kompleksów gospodarczych tylko przez spotęgowanie zbliżenia gospodarczego ze środkową Europą. Autor zwraca uwagę na znaczenie Dunaju jako więzi środkowej Europy i znaczenie kanału Ren—Men—Dunaj. Nie żąda on zniesienia ceł oddzielających od siebie poszczególne państwa Europy, lecz

pragnie tylko zaprowadzenia tak zwanego *Zwischenzoll*, które od ceł preferencyjnych różni się tem, że ma być tymczasowe i przy wyrównaniu kosztów produkcji ulegać będzie zmniejszeniu aż do zupełnego zaniku.

Analizie stosunków gospodarczych innych państw środkowej Europy i korzyściom, jakie mogłyby one uzyskać w tym związku nie poświęca autor w swej pracy znaczniejszego miejsca. O Polsce wspomina, przypominając, że podczas wojny światowej Naczelny Komitet Narodowy stanął na gruncie bloku gospodarczego środkowej Europy.

Henning Richard. *Geopolitik. Die Lehre vom Staat als Lebewesen* mit 64 karten im text. Verlag und druck von B. G. Teubner. Leipzig und Berlin 1928.

Książka, którą usiłujemy tu zanalizować, wydaną jest starannie, nazwisko samego wydawcy jest zresztą tego gwarancją. W objętość 388 stron wtłacza natomiast autor materjał kolosalny, siłą więc rzeczy operuje w niektórych działach fragmentami, rzucając tu i ówdzie szkice najrozmaitszych przejawów życia państwowego, przytaczając na poparcie swych dowodów różne fakty historyczne, łącząc to wszystko ściśle z geografją polityczną, badaniami Ratzel'a, Supan'a, Vogel'a, Dix'a, Sieger'a i Maull'a.

Bazując na geografji politycznej swe wywody, stara się jednak autor, może niesłusznie, przy nadaniu swej koncepcji nazwy Geopolityki, wyodrębnić ją w gałęź najmłodszą ludzkiego poznania.

Zresztą należy się wprzód zastanowić w ramach bardzo ogólnikowych nad samą treścią powyższego dzieła. Osiem podstawowych rozdziałów składa się na całość pracy. W rozdziale pierwszym hołdując teorji biologicznej zajmuje się autor narodzinami, życiem i zakresem funkcji organizmu państwowego, wreszcie jego śmiercią, wyprowadzając jednocześnie porównania pomiędzy państwami żyjącemi a państwami umarłemi, czyli sięgając do czasów średniowiecza.

W drugim rozdziale rozpatruje autor rolę czynników, składających się na kształtowanie się państwa, nadając im nazwę czynników geopolitycznych, wtłaczając w to elementy czysto geograficzne, decydujące o rozwoju i potędze organizmu państwowego. Czynnikami takiemi są: bogactwa kopalne, wpływ klimatu, szata roślinna i zwierzęca, wreszcie rzeźba terenu związana z położeniem geograficznem względem wielkich zbiorników wód i szlaków komunikacyjnych. Tym, szczególnie ostatnim zagadnieniom, poświęca autor zaledwie 40 stron, dając jedynie szkic tak ciekawych zagadnień geograficznych, nie wnosi tu nic nowego, to też ogranicza się do skompensowania rzeczy dobrze znanych i uprzednio sklasyfikowanych przez licznych badaczy w dziedzinie geografji politycznej.

Rozdział trzeci przynosi problem zwiększania się obszarów terytorjalnych poszczególnych państw, przyczem wyłania się ściśle związane z tem zagadnienie rozwoju granic; analizuje powyższe autor w państwach starożytnych, przystępuje pozatem do klasyfikacji granic z punktu widzenia strategicznego, matematyczno-geograficznego, gospodarczego i wreszcie narodowościowego. W tem ostatniem zagadnieniu nie może się autor powstrzymać od skrętów i wykolejeń w dziedziny polityczne: wytyka wszystkie plebiscyty, które się

odbyły na dawnych terenach wchodzących w skład państwa niemieckiego, a na str. 136, powołując się na p. Korfantego, uważa, że Górny Śląsk nie jest niczem innem dzisiaj dla Polski, jak li tylko kolonją, którą się eksploatuje, rzuca nawet zdanie, że gdy się dalej sięgnie, opierając się o jednostronne traktowanie kwestyj narodowościowych, to może Polska zechce mieć pretensje do Berlina i Westfalji, kończąc, „iż tam przecież też można znaleźć Polaków“.

Wstrzymamy się od wszelkiej polemiki z autorem, gdyż wybrał on w danym wypadku przykład nie wytrzymujący żadnej krytyki, konstatujemy jedynie z żalem, iż wywody powyższe spadły z parkanu naukowego, grzęznąc w błocie dziennikarskiem, czego w pracy roszczącej sobie tytuł naukowy, nie powinno się spotykać. Zgodni znowu jesteśmy zupełnie, iż wszelkie plebiscyty powinny się opierać na badaniach osób trzecich i przy udziale czynników niezainteresowanych, zwracamy jedynie uwagę, iż tych idealnych warunków, w poplątanych życiowo stosunkach polityczno-gospodarczych Europy nie da się częstokroć znaleźć.

Granice gospodarcze posiadają w dobie obecnej ogromną rolę w życiu państwowem, niesłusznie jednak są popierane przez autora przykładami Gdańska, co do którego na str. 149 stwierdza autor, że: „Polska posiada Gdańsk, jak pająk swą ofiarę, którą zdołał usidłać, ale nie może jej strawić“...

W rozdziale czwartym porusza autor ciekawe problemy urbanistyczne, a w szczególności, przytaczając przykłady wielkich portów i stolic, analizuje ich położenie w stosunku do całości terytorjum państwa i ich ogólnego znaczenia światowego.

Problem przeludnienia traktowany jest w rozdziale piątym, poparty ciekawemi grafikami i mapkami, reasumuje badania poprzedników, rzucając światło na stan obecny; co do przewidywań na przyszłość należy podkreślić, że wyliczenia wszelkie w tej dziedzinie mogą być bardzo zawodne. Nie ulega jedynie kwestji, że obawa przed przeludnieniem, wyłaniająca problem wyżywienia ludności, w pierwszym rzędzie musi znaleźć swe rozwiązanie w należytym wyzyskaniu obszarów położonych w strefie chłodnej przez podniesienie wydajności terenów będących w uprawie; zalegają także odłogiem obszary klimatu gorącego, które w przyszłości mogą mieć doniosłe znaczenie dla gospodarki światowej.

W rozdziale szóstym, traktującym o terenach politycznego tarcia ze względu na głód ziemi, daje autor trzy ciekawe przykłady tendencji: ciśnienia państw nadbrzeżnych na terytorja przeciwległe. Takie *Mare-nostro* było dążeniem państwa bizantyjskiego w XII wieku, rozprzestrzeniało się ono po przez półwysep bałkański na morze Egejskie, sięgało terytorjów położonych na wybrzeżu Małej Azji. Drugi przykład zaczerpnięty z wieku XVII odnosi się do potęgi państwa szwedzkiego, zmierzającego w owym wieku do zamknięcia w obrębie swych wpływów a i posiadaniu całego wybrzeża Bałtyku. Wreszcie Ocean Indyjski przedstawia do dzisiaj *Mare nostro* imperjum brytyjskiego.

Należy tu przytoczyć przykład analogiczny, przez autora zapomniany, a mianowicie: dążenia państwa niemieckiego do utworzenia *Mare nostro,* dotyczące Bałtyku, sięgające swojemi początkami wieku XIII, spotęgowane w wiekach XIV i XV, odżyłe w dobie wojny światowej. W dalszym ciągu rozdziału prze-

chodzi autor do państw „buforowych“ i terenów objętych współwładaniem *(condominium).*

Rozdział siódmy jest najdłuższy i może nieproporcjonalny do całości pracy; dotyczy on raczej całokształtu historycznego polityki kolonjalnej i po przez zaczątki kolonizacji greckiej, później hiszpańskiej, portugalskiej i holenderskiej przechodzi do rzeczy nowszych, skreślając jednocześnie problem zaludnienia. Ostatni rozdział, ósmy, ukształtowany jest pobieżnie, a zdawaćby się mogło, iż ze stanowiska geopolityki musiałby sam w sobie stanowić osobną dużą całość. Rozdział ten roztrząsa preblomy umiędzynarodowienia dróg wodnych, zaczepia o międzynarodowy splot stosunków gospodarczych w nowoczesnem życiu, snuje doktrynę Monroego w życiu gospodarczem, a kończy się frazesem poetyckim, zaczerpniętym z Goethego, o szczęściu w osobowości...

Całość pracy wkracza w dziedzinę geografji politycznej i historji, nie stanowi jednak osobnej nauki. Trudno się zgodzić z autorem, aby geopolityka stanowić miała fundament naukowy sztuki i aktywności politycznej w walce o egzystencję, o formy życia państwowego, opartego na terytorjum. Warto też wspomnieć o zdaniu Passarg'a, wypowiedzianem w jednym z zeszytów *Petersmanns Mitteilungen,* gdzie ten uczony przestrzega przed rozszerzaniem geografji w niewłaściwym kierunku, eliminując badania geopolityczne z badań naukowych.

Geopolityka jest umiejętnością młodą. Sam termin został lansowany w 1905 przez szwedzkiego profesora R. Kjellena w pracy *Geopolitische Betrachtungen über Skandinavien,* podchwycony następnie przez Haushofer'a, Hennig'a, a później Obst'a, a dzisiaj przez liczne rozprawy i specjalne czasopismo geopolityczne. Wzięcie ma on jedynie w Niemczech i to w sferach polityków, dziennikarzy i wojskowych, a najmniej wśród geografów. Kierunek geopolityczny nie posiada rzeczowości i spokoju w stopniu, jaki cechuje inne nauki, jest natomiast kierowany zmysłem wybujałego nacjonalizmu i polityczno-gospodarczej ekspansji.

Naukowcy Francji, Anglji, Italji, Stanów Zjednoczonych nie okazują dla dziedziny geoplityki żadnego zainteresowania, a ostatnio w pracach geograficznych Koła Geografów z Liège. J. Halkin zupełnie słusznie zaznaczył, iż nowoutworzona dyscyplina geopolityczna nie wchodzi i nie może wejść do nauk geograficznych oraz nie rozwinie się naukowo, jeżeli nie będzie ściśle spojoną z geografją polityczną, regjonalną i gospodarczą. Jednakże geopolityka, zahaczająca kwestje najbardziej życiowe, a żywo każdy naród obchodzące, musi być ściśle i uważnie obserwowaną, gdyż w wielu wypadkach, pod pozorem nauki, dąży do celów praktycznych polityki bieżącej i wprzęga się w służbę interesów, które warto jest mieć na oku.

Opoczensky Jan. *Konec Monarchie Rakousko-Uherské.* Wydawnictwo Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych Republiki Czeskosłowackiej. Praga 1928, XIV — 802.

Jest to obszerna historja kilku miesięcy roku 1918, w ciągu których dokonała się tragedja Austro-Węgier, zakończona katastrofą dynastyczną potężnej tak jeszcze niedawno monarchji i państwową obydwóch w niej panujących na-

rodów — niemieckiego i madziarskiego. Autor omawianego dzieła wykazuje w sposób przekonywujący, że nawet pod koniec wojny, w 1918, żadne z państw. walczących z obozem Ententy, nie znajdowało się w położeniu, względnie tak pomyślnem, jak właśnie monarchja Habsburska. Istotnie, jedyny jej przeciwnik nieprzejednany, który szukał urzeczywistnienia swych celów wojennych na gruzach Austro-Węgier, to jest Rosja, został już właściwie wytrącony z szeregów walczących. Inni antagoniści wojenni Austro-Węgier traktowali je nie tyle jako wroga bezpośredniego, co jako sojusznika największego, najgroźniejszego, najbardziej niebezpiecznego nieprzyjaciela — Niemiec. To też Ententcie chodziło nie tyle o ostateczne pognębienie Austro-Węgier, co o oderwanie ich od aljanta niemieckiego. Stąd ustawiczne próby skłonienia Austro-Węgier do odrębnego pokoju, podejmowane w rozmaity sposób przez różne czynniki Ententy. Monarchja austro-węgierska ma wpływowych zwolenników w sferach konserwatywnych, wśród finansjery, oraz w kołach katolickich. Ich zabiegi wobec Austro-Węgier nie ustają niemal do ostatniej chwili. O zupełnem rozbiciu Austro-Węgier, tem bardziej zaś o likwidacji starej monarchji habsburskiej pierwotnie nie myśli się zupełnie wśród czynników rozstrzygających Ententy. Przeciwnie, raz po raz powstają tam projekty rekompensat Austro-Węgier za nieuniknione koncesje terytorjalne na rzecz Italji czy Serbji i pomysły ułatwienia Habsburgom wyjścia z opresji zapomocą reform wewnętrznych na korzyść ludów upośledzonych. Koncepcje trializmu, autonomji ziem czeskich, austrjackiego rozstrzygnięcia kwestji polskiej i t. p. znajdują bardzo długo dość wdzięczne echa w pewnych kołach Zachodu. I wszystkie te atuty Austro-Węgry tracą stopniowo, jak to stwierdza konsekwentnie w swem dziele p. Opoczensky, kreślący przebieg dziejów fatalnej dla Austro-Węgier jesieni 1918. Z jednej strony monarchja okazała się za słabą, aby uwolnić się z pod przemożnej preponderancji Niemiec, które już przy pierwszej poważniejszej próbie zabiegów o odrębny pokój, biorą słabszego sojusznika w sprężystą kuratelę. Z drugiej strony — nowe idee, płynące z Ameryki i głoszone przez potężną indywidualność Wilsona, idee demokracji i stanowienia ludów o własnym losie, wzmocnione wypadkami rewolucyjnemi na gruzach monarchji carskiej, stają w zupełnej sprzeczności z tradycjami monarchji Habsburgów i z poglądami jej kół rządzących. Pod wpływem tych nowych idej następuje stopniowa zmiana stanowiska Ententy wobec odśrodkowych dążeń ludów monarchji naddunajskiej, czemu towarzyszy i pewna ewolucja poglądów na te dążenia również Wiednia. Ale ta ostatnia napotyka na nieprzejednany opór ze strony Budapesztu, który wszelkim usiłowaniom ratowania monarchji zapomocą trializmu, czy to austro-węgiersko-polskiego, czy też austro-węgiersko-jugosłowiańskiego, przeciwstawia węgierską rację stanu opartą na wiekowych tradycjach. Przychylnie usposobionych dla siebie Polaków Austrja odpycha traktatem brzeskim z Ukrainą, przyznając jej Chełmszczyznę i Podlasie. Niezręczne wycofywanie się z zobowiązań wobec Ukraińców zraża tych ostatnich, nie naprawiając wszakże stosunków z Polakami. Tymczasem coraz przychylniejsze ustosunkowywanie się poszczególnych państw Ententy do separatystycznych programów rewolucyjnej emigracji słowiańskiej mnoży trudności wewnętrzne Austro-Węgier. Jak stwierdza p. Opoczeński:

Wszystkie programy polityczne reszty narodów austro-węgierskich można było uzgodnić z egzystencją monarchji austro-węgierskiej bodaj okaleczonej. W sprawie czeskosłowackiej nie było takiej możliwości. Pragnienia czeskosłowackiej emigracji rewolucyjnej stawiały mężów stanu, którzyby przecież chętnie dopuszczali w jakiejś formie dalszą egzystencję monarchji habsburskiej, wobec kwadratury koła. Kwestja czeskosłowacka wymierzała cios śmiertelny tak istnieniu monarchji austrjackiej, jak i dalszemu trwaniu dualizmu (str. 71—72).

Twierdzeniu temu, być może nieco przesadnemu w tej kategorycznej formie, niepodobna jednak nie przyznać zasadniczej słuszności. To też, im pewniejszy grunt zdobywały dla siebie czeskosłowackie sfery emigranckie u rządów Ententy, tem bardziej musiały słabnąć wysiłki ratowania monarchji Habsburgów. Wszystkie perypetje tej podwójnej ewolucji stosunków przedstawia nam p. Opoczensky w sposób dokładny, przejrzysty z uwypukleniem najbardziej znamiennych faktów tak w życiu wewnętrznem Austro-Węgier, jak i w sytuacji międzynarodowej, wyzyskując źródła już ogłoszone obok dostępnego sobie nieznanego dotąd materjału archiwalnego. Stanowisko czeskie, wyraźnie zaznaczające się w sprawach, które bliżej dotykają ojczyzny autora, nie przeszkadza mu traktować przebiegu wypadków objektywnie, ściśle rzeczowo i w sposób przekonywująco udokumentowany. Jesteśmy więc świadkami stopniowego upadku Austro-Węgier, odmalowanego na szerokiem tle ówczesnej sytuacji międzynarodowej-politycznej, wojskowej i dyplomatycznej. Śledzimy więc ze wzrastającem zainteresowaniem poszczególne etapy i epizody tego fatalnego procesu, który kończy się katastrofą wewnętrzną i zewnętrzną monarchji. Spraw polskich p. Opoczensky dotyka z natury rzeczy często i systematycznie, powołując się na źródła polskie (Biliński, Daszyński, St. Dąbrowski, Dmowski, Kumaniecki, Kutrzeba, L. Wasilewski), ale wydaje się, że głównie czerpie swe wiadomości z Rotha *Die Entstehung des Polnischen Staates*. Naogół sprawy polskie są przedstawione trafnie, bez jaskrawszych pominięć, choć może zbyt pobieżnie. Rażą natomiast błędy w nazwiskach i nazwach polskich, rzadko spotykane u pisarzy czeskich, bardzo pod tym względem skrupulatnych (stale Witosz, Szeptickij, Suwalki, Lomza, Włodclawsk, Nowy Sad zamiast Nowy Sącz, biełowieżski i t. d.). Dzieło p. Opoczensky'ego jest niewątpliwie cennym nabytkiem współczesnej historjografji czeskiej.

Edmund von Glaise-Horstenau. *Die Katastrophe*. Die Zertrümmerung Osterreich-Ungarns und das Werden der Nachfolgestaaten. Amalthea-Verlag. Zurych-Lipsk-Wiedeń. 8-ka, str. 526 z 96 portretami i 1 mapą.

Obszerne to dzieło poświęcone jest charakterystyce procesu rozpadnięcia się państwa Habsburgów i ułożeniu się na ruinach Austro-Węgier nowego, dziś istniejącego stanu rzeczy. Autor „Katastrofy" jest byłym wysokim wojskowym austrjackim, Niemcem z pochodzenia i uczuć, gorącym zwolennikiem — podczas wojny — sojuszu z Niemcami, żywiącym i dziś przekonanie,

że jego „obecna niemiecko-austrjacka ojczyzna ma tylko jedną drogę wyzwolenia: powrót do Rzeszy“. Mimo to zastrzega się w sposób stanowczy, że pisze nie ze stanowiska sojuszu z Niemcami i nie w interesie Prus-Niemiec, i tam, gdzie dopatruje się błędów czy uchybień ze strony Niemiec wobec Austro-Węgier, tego nie ukrywa. I istotnie stwierdzić należy, że w przedstawieniu spraw opisywanych i w charakterystyce najbardziej nawet bolesnych dla patrjoty austrjackiego faktów zachowuje rzadką rzeczowość i wielki umiar. Nawet w stosunku do Czechów, którzy w ciągu Wielkiej Wojny okazali się najbardziej nieprzejednanymi wrogami monarchji habsburskiej. Glaise-Horstenau nie schodzi ze stanowiska objektywnego i, posługując się ich własną literaturą, opiera swe wnioski na przytoczonych przez nich faktach. Należy podnieść, że autor omawianego dzieła zna i bardzo sumiennie opracował istniejące źródła. Pomoc — jak powiada w przedmowie — licznych osobistości, które same odgrywały rolę wybitną w przebiegu wypadków, przez niego opisywanych, dostarczyła mu koniecznych informacyj ustnych i piśmiennych. Ściślejszy zastęp współpracowników umożliwił jednocześnie korzystanie z literatury obcej. W przypisach mamy liczne powoływania się na dzieła i artykuły węgierskie, rosyjskie, czeskie, polskie, słoweńskie, pomijając już niemieckie, francuskie i włoskie.

Po treściwym rzucie oka na dzieje monarchji habsburskiej — aż do wybuchu Wielkiej Wojny — Glaise-Horstenau maluje nam szczegółowo, ale bardzo przejrzyście bieg wypadków, uwarunkowujących losy Austrji i Węgier oraz panującej w nich dynastji, traktowanej z głębokiem przywiązaniem. Dzieje wojenne są omawiane w jaknajściślejszym związku z rozwojem polityki wewnętrznej. Sprawy poszczególnych narodowości monarchji naddunajskiej uwzględniane są równomiernie z zupełną znajomością przedmiotu, ze zrozumieniem i wyczuciem wagi pewnych zagadnień dla tego czy innego narodu. Tak np. autor dobrze pojmuje znaczenie kwestji Chełmszczyzny dla Polaków, wobec czego trafnie krytykuje stanowisko w tej sprawie Czernina (str. 145—147), choć usiłuje winę jego błędów zwalić na gen. Hoffmanna. Jako patrjota austrjacki, nie ukrywa nigdzie swego niezadowolenia z rozmaitych pociągnięć Niemiec, ujemnie odbijających się czy to na interesach państwowych Austro-Węgier, czy to na losach ich domu panującego. Wobec Węgier i ich polityki ustosunkowuje się lojalnie, acz nie bezkrytycznie. Z przedstawienia obrazu stosunków austro-węgierskich przez Glaise-Horstenau'a widzimy wyraźnie, że trzy główne przyczyny pchały fatalnie Austro-Węgry do nieuniknionej katastrofy: ścisłe i coraz bardziej — w miarę ujawniania się ich słabości militarnej i wewnętrznej — pogłębiające się uzależnienie od Niemiec, egoistyczna polityka węgierska i — w znacznym związku z tą ostatnią będąca — niemożność rozwiązania kwestyj narodowościowych. Poszczególne momenty wewnętrznego rozkładu Austro-Węgier, rozmaite próby ratowania się — coraz to bardziej beznadziejne, rosnąca fala ruchów separatystycznych, wszystko to znajduje w dziele Glaise-Horstenau'a bardzo dokładną charakterystykę, rzuconą na tło wypadków międzynarodowych czasu wojny. Zwłaszcza tragiczny okres coraz szybciej postępującej likwidacji i państwa austro-węgierskiego i jego dynastji znajduje w autorze omawianej książki umiejętnego sprawozdawcę, starającego się trzymać na

wodzy wzbierające uczucie rozgoryczenia i rozczarowania. Dopiero w ostatnim rozdziale — „Nowe życie na ruinach“, gdzie omawia kształtowanie się nowych organizmów państwowych na rumowiskach dawnej monarchji Habsburgów, w rozdziale, gdzie autor występuje już nietylko jako spokojny, beznamiętny kronikarz, ale i jako historjozof-publicysta, żywem tętnem zadrgają jego tłumione dotychczas uczucia. Tu daje wyraz potępienia traktatów, które — zdaniem jego — więcej spowodowały klęsk od bezmyślnej wojny, tu opłakuje rozbicie Austro-Węgier jako kwitnącej gospodarczej i kulturalnej jednostki, której zniknięcie nie zmniejszyło sporów narodowościowych, tu oburza się na niedopuszczenie do połączenia się Niemców austrjackich, łącznie z czeskimi z Rzeszą, tu wreszcie wypowiada niedwuznaczną groźbę pod adresem Czechów:

> I byłoby ciężkim błędem sądzić, że sześć miljonów Niemców małego państwa austrjackiego pozostanie na uboczu, jeśli kiedyś Rzesza Niemiecka — do czego na razie niema powodów i przed czem niech nas Bóg ustrzeże — będzie zmuszona do nowej militarnej próby sił. Nietylko Niemcy alpejscy w tej godzinie potrzeby staną tam, dokąd ich powoła ich krew, ich honor, ich przeszłość i tysiącletnia wspólność losów. Prawdopodobnie jeszcze trzy miljony innych współplemieńców uznają za obowiązek pójść za tym przykładem i w ten sposób postąpić według nauki swego naczelnika państwa, który powiada, że istnieje tylko jedna zdrada stanu — popełniona wobec własnego narodu (str. 487).

Ta groźba wobec Czechów, poparta zdaniem prezydenta Masaryka, wymownie charakteryzuje stanowisko autora omawianej książki.

Sprawom polskim udzielił on odpowiednią uwagę. Ustępy, dotyczące nas, nie wymagają specjalnego omówienia, gdyż naogół nie zawierają ani w swem przedstawieniu ,ani w swej tendencji nic niezgodnego z prawdą. Conajwyżej możnaby wykazać drobne nieścisłości, jak np. przy omówieniu utworzenia się rządu lubelskiego, co wygląda u Glaise-Horstenau'a tak, jakby rząd ten był dziełem krakowskiej komisji likwidacyjnej, która w tym celu przeniosła się do Lublina. Wśród bardzo licznych i ładnie odbitych wizerunków najwybitniejszych osobistości, czynnych podczas wojny, spotykamy portrety marszałka Piłsudskiego (w rozmowie z królową rumuńską), Leona Balińskiego i Ignacego Paderewskiego.

Wiktor Sukiennicki. *Podstawa obowiązywania prawa narodów,* studjum prawnicze. Wilno-Warszawa, 1929, str. 95.

Młody uczony, wychowanek Wszechnicy Batorowej, doktór praw Uniwersytetu paryskiego, autor nagrodzonego przez ten Uniwersytet dzieła o suwerenności państw[1]), przyjętego nader przychylnie i ocenionego pochlebnie przez poważną krytykę europejską, z właściwą mu wielką sumiennością

[1]) *La souveraineté des États en droit international moderne.* Paris, 1927. Pédone, str. 423.

w wykorzystywaniu materjałów i źródeł, oraz umiejętnością posługiwania się niemi dla skonstruowania własnej koncepcji, stawia sobie za zadanie w swem ostatniem studjum prawniczem „wykrycie, jakie normy służą za podstawę obowiązywania pozytywnego prawa narodów“. Zdaniem bowiem autora studjum „każda norma (przepis postępowania) o tyle tylko ze stanowiska danego systemu prawnego może być uznana za legalnie obowiązującą normę prawną, o ile się ona opiera na normie wyższego rzędu tegoż systemu. Jeżeli zatem stosowane w praktyce międzynarodowej normy mogą być prawem obowiązującem, muszą wypływać z innych norm danego systemu, uznanego za obowiązujący“.

W tym celu autor studjum po „krótkim rzucie okiem uprzednio w przeszłość“, rozważa kolejno współczesne próby rozwiązania interesującego go problematu dostrzega je po wyczerpującej wytycznej analizie, jako wadliwe i niedostateczne. A więc najpierw konstrukcję prymatu prawa państwowego, stworzoną przez Jellinka, że, jeżeli chodzi o podstawy obowiązywania prawa narodów, niema żadnej różnicy pomiędzy prawem narodów, a prawem państwowem, ponieważ tu i tam podstawą obowiązywania jest wola państwa. Następnie, doskonalszą, zdaniem autora, konstrukcję „dualistyczną“ Triepela, że podstawą obowiązywania prawa narodów jest nie wola państwa, jak w prawie wewnętrzno-państwowem, ale szereg oświadczeń wól państw poszczególnych, wytwarzających wolę wspólną; konstrukcję, opartą na tem, że prawo wewnętrzno-państwowe i prawo międzynarodowe mają zupełnie różne źródła, ale i zasadniczo różny charakter — subordynacja i konstrukcja — dotyczą zgoła niewspółmiernych podmiotów — jednostek i państw suwerennych — i normują zasadniczo różne stosunki społeczne; i dochodzącą do wniosku, że te dwa różne systemy prawne nie mają ze sobą nic wspólnego, albowiem prawo narodów obowiązuje tylko państwa w ich stosunkach wzajemnych, zaś wewnątrz państw, w stosunkach pomiędzy jednostkami, a nawet pomiędzy jednostkami a organami państwa, nie ma mocy obowiązującej.

Autor studjum nie waha się, jak pisze, uczynić dalsze „zaledwie pół kroku“, na które „nie chciał się zdobyć“ Triepel, i przyjąć, po obszernem tego uzasadnieniu, że rzeczywistości międzynarodowej odpowiada najlepiej konstrukcja prymatu prawa międzynarodowego, która „wydaje się szczęśliwie rozwiązywać wszystkie wysuwane przez praktykę życia międzynarodowego problematy, na które nie mogły udzielić wystarczającej odpowiedzi rozpatrywane uprzednio hipoteza prymatu prawa państwowego oraz hipoteza dualistyczna“.

Autor studjum staje zatem na stanowisku, że „z chwilą powstania wspólnoty międzynarodowej, złożonej z państw poszczególnych, prawo tej wspólnoty może być uznane za dogmatyczną podstawę obowiązywania norm prawa wewnętrzno-państwowego, które znów będzie podstawą obowiązywania norm wszelkich innych systemów (organizacyj) prawnych, przez państwo uznawanych, to znaczy włączonych do państwowego systemu prawnego“; innemi słowy, że „prawo narodów służy za podstawę (czy też zakończenie) gigantycznej konstrukcji prawnej, — systemu, obowiązującego całość norm prawnych legalnie obowiązujących w t. zw. świecie cywilizowanym, t. j. objętym przez wspólnotę międzynarodowo-prawną“.

Zdaniem autora studjum, mylnem byłoby wyciąganie stąd wniosku, że podstawą obowiązywania prawa narodów jest wola tej wspólnoty, gdyż, jak to trafnie zauważa, „dla samego zaistnienia takiej „woli“ koniecznieby już były pewne przepisy, ustalające, w jaki sposób wola ta powstaje i się uzewnętrznia“. Szukając tedy *primae causae* obowiązywania systemu norm, uznanego przezeń za suwerenny, autor studjum rozważa z kolei teorje Verdrossa i Kelsena, z których pierwszy widzi podstawy obowiązywania prawa w objektywnie istniejącej zasadzie moralnej, przyjmując za podstawę obowiązywania prawa narodów zasadę „pacta sunt servanda“, będącej, według tego uczonego, jednocześnie normą prawa pozytywnego, oraz regułą etyczną, to jest „wartością oczywistą, czy też regułą, która się wywodzi logicznie z zasady bezwzględnej np. reguły suum cuique“, zaś drugi uważa za możliwe zakładać, jako podstawową, normę o dowolnej treści, z tem jednak zastrzeżeniem, że jako hipotetyczną normę podstawową można zakładać tylko taką normę, która będzie w stanie ugruntować „cały pojmowany, jako prawo, materjał“. Autor studjum, deklarując się jako konsekwentny pozytywista, uważa za niemożliwe przyjęcie dla siebie teorji Verdrossa i opowiada się w zasadzie za teorją Kelsena, podkreślając, że „dowolność przy wyborze normy podstawowej jest również ograniczona przez zadanie, jakie się tej normie stawia“, bowiem „istotą jej i jedynem zadaniem ma być ustanowienie najwyższego organu prawodawczego, najwyższego autorytetu, nadzielonego mocą tworzenia norm prawa pozytywnego“, a zatem treścią normy podstawowej może być tylko „X ma prawo stanowienia pozytywnie obowiązujących norm prawnych“.

W ten sposób, zauważa autor studjum, „dowolności jednostki przy wyborze hipotezy podstawowej zostaje pozostawiona tylko kwestja, komu, jej zdaniem, przysługuje najwyższa i nieograniczona kompetencja ustanawiania norm prawnie obowiązujących“. Jednakże „abyśmy pewien system norm prawnych mogli uznać za pozytywny“ trzeba jeszcze, aby „leżącą u jego podstawy normę hipotetyczną „założyli“ wszyscy, wchodzący w skład wspólnoty, mającej być regulowaną przez normy systemu prawnego, wypływającego z „zakładanej“ normy podstawowej“.

Kwestje, w jaki sposób i dlaczego jednostki wybierają te czy inne systemy norm obowiązujących, dlaczego całe masy jednostek „zakładają“ takie, a inne normy podstawowe, uznają za „najwyższe“ konkretne autorytety normotwórcze, wykraczają, zdaniem autora studjum, poza granice nauk prawnych „operujących w dziedzinie tego, co być powinno“. Wyjaśnieniem ich winny się zająć inne nauki, badające rzeczywistość psychologiczną, społeczną, gospodarczą i t. p.

Temi słowy zamyka autor swe studjum, stanowiące cenny przyczynek do rozważań nad najbardziej zawiłemi zagadnieniami w dziedzinie teorji prawa narodów.

Można się zgadzać lub nie z wywodami p. Sukiennickiego, trzeba jednak uznać ścisłą konsekwencję, z jaką uzasadnia swą ideę, oraz wszechstronność z jaką ujmuje przedmiot swych rozważań, — cechy prac istotnie naukowych.

# SZKOŁY WYŻSZE W EUROPIE W ZAKRESIE DYPLOMACJI, POLITYKI I EKONOMJI.

## ZESTAWIENIE I INFORMACJE

a) polskie:

### SZKOŁA NAUK POLITYCZNYCH.

Warszawa, ul. Wawelska, oddział ul. Senatorska 11.

Rok założenia: 1915, założyciel dr. Edmund Jan Reyman, szkoła utrzymywana jest przez Instytut Społeczny w Warszawie.

Dyrektor: Dr. Edmund Jan Reyman.

Organizacja: cztery wydziały (polityczny, społeczny, administracji państwowej i komunalnej, finansowo-ekonomiczny).

Główne przedmioty: historja polityczna Polski i Europy (prof. dr. Michał Sokolnicki, prof. Henryk Mościcki), historja dyplomatyczna (dr. Emil Kipa), geografja polityczna (prof. Jerzy Loth), prawo międzynarodowe (prof. dr. Juljan Makowski i dr. Leon Babiński), prawo handlowe (prof. dr. Jan Namitkiewicz), polityka socjalna (dr. E. J. Reyman), skarbowość (J. Weinfeld), służba konsularna (dr. Karol Bertoni).

Kurs nauk: 2 lata — 4 semestry, pozatem na każdym wydziale trzeci rok studjów uzupełniających.

Rok szkolny od 1 października do końca czerwca.

Warunki przyjęcia: dla słuchaczy rzeczywistych świadectwo dojrzałości państwowej szkoły średniej ogólno-kształcącej, bądź świadectwo uznane za równoważne.

Opłata wstępna 25 zł. za całokształt wykładów 250 zł. rocznie.

Egzaminy: semestralne, w końcu każdego semestru, końcowe egzaminy ogólne po 2 latach, dyplomowe po ukończeniu trzeciego kursu uzupełniającego.

### SZKOŁA NAUK POLITYCZNYCH.

Kraków, ul. Gołębia 20.

Rok założenia: 1910, do 1924 jako szkoła prywatna, od 1924 jako studjum uzupełniające przy wydziale prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Organizacja i plan nauk: dwuletnie kursy z dziedziny nauk politycznych (historja dyplomacji, prawo dyplomatyczne, nauka administracji, sprawy gospodarcze, handel międzynarodowy etc.).

Dyrektor: prof. dr. Michał Roztworowski.

Warunki przyjęcia: słuchacze zwyczajni 2 roku i lat wyższych wydziału prawa lub filozofji.

Opłata 130 zł. rocznie.

Dyplomy: po ukończeniu szkoły.

Publikacje: wydane przez sekcję wydawniczą Koła uczniów i byłych uczniów.

## WYŻSZA SZKOŁA HANDLOWA.

Warszawa, ul. Rakowiecka 6.

*Rok założenia:* 1924.
*Rektor* na rok 1929/30: Maurycy Chorzewski.
*Organizacja:* Szkoła jednowydziałowa, z możnością specjalizowania się od trzeciego roku studjów w pewnym kierunku pracy zawodowej, m. i. konsularnym.

*Główne przedmioty:* ekonomja polityczna (Lewiński J. St., Zawadzki Władysław, Brzeski Tadeusz, Krzywiński Ludwik); polityka ekonomiczna (Kasperski K., Tennenbaum H.); geografja (Sujkowski A., Loth I.); nauki historyczne (Lipiński E., Krzywicki Z., Arnold St., Kipa E.); nauki konsularne (Babiński L., Makowski J., Bertoni K., Loth I., Kipa E., Rongier P.).

*Czas trwania studjów:* 3 lata, 6 semestrów.

*Warunki przyjęcia:* dla studentów świadectwo dojrzałości jednej z państwowych szkół średnich ogólno-kształcących, względnie świadectwo uznane przez M-stwo W. R. i O. P. za równoważne, dla słuchaczów wolnych decyzja Senatu.

*Egzaminy:* ogólne, najwcześniej po przesłuchaniu III i IV semestru, dyplomowe, po zdaniu egzaminu ogólnego i zaliczeniu conajmniej po 16 godzin w V i VI semestrze.

## WYŻSZE STUDJUM HANDLOWE.

Kraków, ul. Sienkiewicza 4.

*Dyrektor:* prof. dr. A. Bolland.

*Organizacja:* możliwość specjalizacji m. i. w kierunku ogólno-handlowym, handlu towarowego i handlu ze Wschodem.

*Czas trwania studjów:* 3 lata, każdy rok stanowi etap dający pewną zwartą całość.

*Egzaminy:* po każdym roku studjów, ponadto egzamin dyplomowy.

*Warunki przyjęcia:* te same, co w Wyższej Szkole Handlowej w Warszawie.

## WYŻSZA SZKOŁA HANDLOWA

w Poznaniu.

*Organizacja:* Szkoła jednowydziałowa z możnością specjalizowania się m. i w kierunku konsularnym.

*Czas trwania studjów:* 3 lata, po trzy trymestry każdy.

*Egzaminy:* przy początku drugiego i trzeciego roku, po trzech latach studjów egzamin dyplomowy.

*Warunki przyjęcia:* te same co w Wyższej Szkole Handlowej w Warszawie.

### WYŻSZA SZKOŁA HANDLU ZAGRANICZNEGO.
Lwów, ul. Bourlarda 5.

*Organizacja:* przedewszystkiem kształcenie sił fachowych do handlu zagranicznego i służby konsularnej.
*Czas trwania studjów:* 3 lata.
*Egzaminy:* końcowe po każdym roku, egzamin dyplomowy po ukończeniu studjów.
*Warunki przyjęcia:* te same co w Wyższej Szkole Handlowej w Warszawie.

b) francuskie:

### ACADÉMIE DE DROIT INTERNATIONAL.
Haga, Pałac Pokoju.

Rok założenia: 1914, przy pomocy fundacji Carnegie.

Cel i organizacja: Studja nad publicznem i prywatnem prawem międzynarodowem, wykłady najwybitniejszych powag międzynarodowych w miesiącach letnich, kierownictwo naukowe w rękach kuratorjum z 12 członków.

Prezydent kuratorjum: prof. Ch. Lyon-Caen.

Warunki przyjęcia: otwarte dla wszystkich na podstawie pewnych znajomości prawa międzynarodowego, pobyt ułatwiony przez udzielane stypendja.

Publikacje: *Recueil des Cours de l'Académie de Droit International, Librairie Hachette, Paris,* ok. 5 tomów rocznie.

### INSTITUT UNIVERSITAIRE DE HAUTES ETUDES INTERNATIONALES,
Geneva, 5 Promenade du Pin.

Założony w 1927, jest wyższą uczelnią, niezależną od Uniwersytetu Genewskiego, mająca stanowić centrum studjów nad współczesnemi zagadnieniami międzynarodowemi, zarówno politycznemi i prawnemi, jak i gospodarczemi i społecznemi, przeznaczone w pierwszym rzędzie dla uczniów już przygotowanych i obznajmionych z pracą indywidualną.

Dyrektor Instytutu: prof. Paul Mantoux, były dyrektor sekcji politycznej w Sekretarjacie Ligi Narodów.

Instytut obejmuje zarówno kursy całoroczne, jak i półroczne oraz czasowe w kwestjach specjalnych.

Kursy całoroczne dotyczące zagadnień politycznych (prof. Mantoux) prawniczych (prof. Eugène Borol z Uniwersytetu w Genewie i prof. dr. Hans Wehberg) i ekonomicznych (prof. Mack Eastman).

Kursy trwają od października do lipca.

Warunki przyjęcia: dyplom uniwersytecki studjów prawniczych historycznych, lub ekonomicznych, względnie poświadczenie trzyletnich regularnych studjów uniwersyteckich. Wpisowe 100 fr. szw. za półrocze.

Dyplom po przedłożeniu oryginalnej pracy przyjętej przez odnośnego profesora i dyrektora.

Opłata za dyplom 100 fr. szw.

Zaświadczenie: po czynnem i zadawalniającem odbyciu przynajmniej jednego półrocza.

## LE BUREAU d'ETUDES INTERNATIONALES de GENÈVE.

Genewa, Conservatoire de Musique, place Neuve.

Rok założenia: 1924.

Cel: nauczanie zagadnień międzynarodowych, badanie polityki zagranicznej głównych państw świata oraz problemu międzynarodowych rządów.

Dyrektor: prof. Alfred Zimmern.

Organizacja: Kursy rozpoczynają się zazwyczaj w lipcu i trwają aż do końca zakończenia wrześniowego Zgromadzenia Ligi Narodów. Wykładają wybitni uczeni różnych narodowości.

Warunki przyjęcia: Kursy syntetyczne (cztero lub ośmiotygodniowe) dla słuchaczy trzeciego roku uniwersytetów, opłata 15 względnie 25 fr. szw. za kurs.

Kursy krótsze, 15-dniowe dla wszystkich, opłata 12 fr. szw. (za dwie serje 15 fr. szw.).

Poświadczenia: po odbyciu kursów syntetycznych i przedłożeniu opracowania na temat wybrany w porozumieniu z dyrekcją.

## INSTITUT DES HAUTES ETUDES INTERNATIONALES.
## UNIVERSITÉ de PARIS.

Paryż, V-e, 12 Place du Panthéon.

Założony w 1921 z inicjatywy A. Alvarez'a, P. Fauchille'a i A. de Lapradelle'a. Związany on jest z Fakultetem Prawa Uniwersytetu Paryskiego i ma za zadanie studja nad prawem międzynarodowem i pogłębianie wiadomości politycznych.

Dyrektor: prof. Albert de Lapradelle.

Instytut posiada trzy sekcje: prawną, polityczną i handlowo-finansową, z kursami ogólnymi i specjalnymi.

Kursy ogólne: prawo międzynarodowe (prof. Lapradelle, Negulesco, Niboyet), historja dyplomatyczna (prof. Renouvin).

Oprócz wykładów prace seminaryjne i wycieczki naukowe.

Czas studjów: dwa lata, każdy rok stanowi jednak odrębną całość. Wykłady od października do czerwca.

Warunki przyjęcia: imatrykulacja na wydziale prawnym Uniwersytetu Paryskiego, opłata roczna 600 fr. fr. płatnych w dwóch ratach.

Świadectwa: po roku studjów, zdaniu egzaminów i złożeniu pracy seminaryjnej.

Dyplomy: po dwuletnich studjach i złożeniu egzaminu dyplomowego

## L'ECOLE LIBRE DES SCIENCES POLITIQUES.

Paryż, 27 Rue Saint Guillaume.

Założona w 1871 przez słynnego publicystę i polityka prof. Emila Boutmy, Szkoła Nauk Politycznych postawiła sobie za zadanie wykształcenie praktyczne przyszłych dyplomatów, konsulów i urzędników służby wewnętrznej. Przy pomocy wybitnych fachowców z dziedziny życia politycznego i gospodarczego, przygotowuje Szkoła swych wychowanków do życia czynnego, posługując się metodą historyczną, szukającą w przeszłości uzasadnienia teraźniejszości. Dzięki wybitnym siłom naukowym, które umiała skupić (Albert Sorel, Anatole Leroy-Beaulieu, Emile Bourgeois), Szkoła Nauk Politycznych rozwijała się bardzo pomyślnie i osiągnęła w roku szkolnym 1927—1928 przeszło 400 uczniów.

Obecny dyrektor Szkoły: M. Eugène d'Eichtal.

Szkoła Nauk Politycznych składa się z pięciu sekcyj: dyplomatycznej, administracyjnej, ekonomiczno-finansowej, ekonomiczno-społecznej i ogólnej

*Wybitniejsi wykładowcy w poszczególnych sekcjach w roku szkol. 1929-1930.*

I. Sekcja dyplomatyczna: E. Bourgeois (historja dyplomatyczna od 1713—1848) Chr. Schefer (historja dyplomatyczna od 1848 do dni dzisiejszych) Réné Pinon, M. Escoffier.

II. Sekcja administracyjna: G. Pichat, I. Romieu, P. Matter (historja konstytucyjna europejskich państw kontynentalnych), A. Aupetit, C. Colson, I. Girard.

III. Sekcja ekonomiczno-finansowa: M. Boulloche, J. Percerou, H. De Peyster (finanse zagraniczne), A. Siegfried, A. Liesse, E. Lebée (banki i operacje bankowe), P. de Rousiers (nowoczesny wielki przemysł), J. Hitier (kwestja agrarna z ekonomicznego punktu widzenia).

IV. Sekcja ekonomiczno-społeczna: E. Halévy, A. Moreau-Névet, A. Liesse.

Czas trwania studjów: Dwa lata, w sekcji ogólnej jeden rok dla kandydatów z ukończonym 25 rokiem życia i stopniem uniwersyteckim. Rok szkolny trwa od 4 listopada do 30 czerwca 1930.

Warunki przyjęcia: Dla przyjęcia jako uczeń na całość sekcyj lub jako słuchacz (na pojedyńcze przedmioty) wymaganych jest conajmniej 17 lat życia i zgoda prezydenta lub Rady Administracyjnej.

Zapis ogólny wynosi 1200 fr. fr. rocznie, płatnych na życzenie w 2-ch ratach półrocznych po 650 fr. fr. Zapis na pojedyńcze kursy wynosi 250 fr. fr. Taksa egzaminacyjna przy końcu 200 fr. fr.

Egzaminy i dyplomy: (tylko dla uczniów), z końcem pierwszego roku ustne kollokwia z pojedyńczych kursów lub całości, z końcem drugiego roku egzamin ogólny, dwa wypracowania pisemne, egzamin ustny oraz z jednego z żyjących języków.

Publikacje: *Revue des Sciences Politiques* kwartalnik, wydawca: *F. Alcan, 108, Bd. St. Germain, Paris*, rocznie 25 fr.

## ECOLE DES SCIENCES POLITIQUES ET SOCIALES UNIVERSITÉ LIBRE DE BRUXELLES.

Bruksela, parc Léopold et avenue des Nations.

Dyrektor: prof. Eugène Dupréel.

Organizacja: Wydziały społeczny, polityczny, administracyjny, ekonomiczny i kolonjalny.

Wykłady: ogólne, obowiązkowe i specjalne, fakultatywne, pozatem prace seminaryjne.

Czas studjów: 2 lata. Rok szkolny od października do czerwca.

Warunki przyjęcia: świadectwo dojrzałości oraz ukończone 3 lata Uniwerstytetu; w ich braku egzamin wstępny.

Egzaminy przy końcu roku, po dwóch latach studjów, za złożeniem egzaminów i prac otrzymuje się licencjat odpowiedniego wydziału.

## INSTITUT DES HAUTES ETUDES DE BELGIQUE.

Bruksela, 65 rue de la Concorde.

Zadaniem Instytutu jest szerzenie wiedzy w różnorodnych dziedzinach, organizuje on corocznie kursy wykładów i konferencyj.

Udział bezpłatny i bez ograniczeń.

c) angielskie.

## LONDON SCHOOL OF ECONOMICS AND POLITICAL SCIENCE.

Londyn, Houghton Street, Aldwych, W. C. 2.

Założona w roku 1895, jako szkoła Uniwersytetu Londyńskiego.

Posiada osobny departament nauk międzynarodowych i dyplomatycznych (departament of international and diplomatic studies).

Dyrektor: Sir William H. Beveridge.

Główne przedmioty wykładane w Departamencie nauk międzynarodowych i dyplomatycznych: Stosunki międzynarodowe (Philip Noel Baker), Historja międzynarodowa (A. J. Toynbee), Prawo międzynarodowe (Herbert A. Smith), Umiejętności polityczne (Harold J. Laski), Handel zagraniczny (R. B. Forrester), Historja gospodarcza (Eileen E. Power i R. H. Tawney), Geografja historyczna (L. G. Robinson).

Czas trwania studjów: dwa lata, względnie ograniczony kurs jednoroczny. Rok szkolny od 8 października do końca czerwca, podzielony na trzy okresy (jesienny, wiosenny i letni).

Warunki przyjęcia: Uczniowie zwyczajni, nadzwyczajni i badacze. Wymaganych skończonych 18 lat życia, z wyjątkiem imatrykułowanych już w Uniwersytecie Londyńskim.

Opłata roczna £ 27 S. 6, za jeden okres, £ 10 S. 10, pozatem oddzielna opłata za niektóre kursy.

Dyplomy: Po dwu, względnie jednorocznej nauce i zdaniu rocznych egzaminów otrzymuje się poświadczenie odbytych studjów (A. wzg. B.) za opłatą taksy rocznej £ 36 S. 15, względnie okresowej £ 13 S. 13.

Publikacje: Kalendarz Szkoły, cena S. 3 d. 6.

*Economica,* pismo perjodyczne, opłata roczna S. 7 d. 6.

d) niemieckie:

DEUTSCHE HOCHSCHULE FÜR POLITIK.

Berlin, Schenkelplatz 6.

Rok założenia: 1920, założyciel prof. Dr. Ernst Jackh.

Przewodniczący kuratorjum: prof. Dr. Simons.

Organizacja: A. Kursy główne (Dział akademicki, trzy półrocza i dział seminaryjny cztery półrocza). B. Seminarja specjalne (geopolityczne, społeczno-polityczne i dla młodzieży).

Warunki przyjęcia: słuchaczy zwyczajnych dla działu seminaryjnego: odpowiednia dojrzałość i ogólne wykształcenie (świadectwo lub prace), do działu akademickiego: ukończenie działu seminaryjnego, względnie studjów uniwersyteckich.

Opłata: wpisowe: 5 Rm. dla gości, 10 Rm. dla słuchaczy zwyczajnych, pozatem 3 Rm. od godziny wykładu w tygodniu za półrocze dla gości, 20 Rm. dla słuchaczy zwyczajnych.

Egzaminy: po ukończeniu działu seminaryjnego i akademickiego.

Dyplom: po zdaniu egzaminu końcowego w dziale akademickim.

Publikacje: *Berichte der Deutscher Hochschule für Politik,* pozatem oddzielne wydawnictwa książkowe.

KONSULAR - AKADEMIE.

Wiedeń IX Boltzmanngasse 16.

Założona w 1754 przez cesarzową Marję Teresę jako *Orientalische - Akademie,* w 1898 zreformowana pod nazwą Akademji Konsularnej, po rozpadnięciu się monarchji habsburskiej utrzymana jako uczelnia akademicka polityczno-gospodarcza.

Dyrektor: Antoni Winter, b. szef. sekcji Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Działy: gospodarczo-handlowy, historyczno-polityczny i prawny, oraz dział języków.

Wykładający: Dr. Rudolf Kobatsch, Dr. Wiktor Mataja, Anton Schmid, Dr. Richard Schüller, Dr. Maximilian Hussarek, Dr. Alfred Bordross etc.

Czas trwania studjów: dwa lata.

Warunki przyjęcia: świadectwo dojrzałości szkoły średniej oraz początki jezyka niemieckiego i francuskiego.

Wpisowe 50 sh., opłata roczna (wraz z mieszkaniem i utrzymaniem) 3.000 sh., płatne w dwóch ratach z góry.

Egzaminy: roczne, po upływie każdego roku, po zdaniu obu egzaminów dyplom.

e) czeskie:

SVOBODNA ŠKOLA POLITICKÝCH NAUK.

Praga III, Letewska ul. 5.

Rok założenia: 1928.

Organizacja: Dyrektor Dr. Wiktor Dvorsky.

Wykłady z dziedziny socjologji, nauk politycznych, historji, ekonomji społecznej, polityki socjalnej, prawa międzynarodowego i polityki zagranicznej, dziennikarstwa.

Czas studjów: dwa lata.

Warunki przyjęcia: 18 lat życia oraz świadectwo dojrzałości, względnie wymogi zastępcze.

Opłata: 100 k. cz. za trymestr.

Dyplomy: po ukończeniu studjów.

## KSIĄŻKI OTRZYMANE W REDAKCJI.

### a) *polskie.*

### Historja.

Józef Kostrzewski, *Kultura przehistoryczna Województwa Pomorskiego*. Toruń 1929, Nakładem Instytutu Baltyckiego str. 38, 16 ilustracyj.

Maciej Loret, *Życie polskie w Rzymie w XVIII wieku*. Rzym, 1930, str. 384, 34 ilustracyj.

Mikołaj Rudnicki, *Charakterystyka językowa i nazwy geograficzne Pomorza*. Toruń, 1929, Nakładem Instytutu Baltyckiego, str. 86.

Adam Fischer, *Zarys etnograficzny Województwa Pomorskiego*. Toruń, 1929. Nakładem Instytutu Baltyckiego, str. 70, 45 ilustracyj.

Praca zbiorowa pod redakcją Józefa Borowika, *Obrona Pomorza*. Toruń, 1930. Nakładem Instytutu Baltyckiego, str. 236, tablic XLII, mapek i wykresów XIV.

Jan Starzewski, *Józef Piłsudski* Warszawa, 1930. Nakładem księgarni F. Hoesicka, Tom I, str. 395.

Józef Piłsudski, *1926—1929. Przemówienia, wywiady, artykuły*. Warszawa, 1930. Nakładem Tow. Wydawniczego „Polska Zjednoczona" str. 285.

Jan Rogala, *Mumje i mandaty*. Warszawa, nakładem Gebethnera i Wolffa. Str. 207, ilustracyj 41.

### Prawo.

Prof. Bohdan Winiarski. *Zachód zagrożony, umowa polsko niemiecka z 31. X.1929*. Warszawa, 1930. Nakładem Tow. Opieki nad Kresami. Str. 20.

Dr. Marek St. Korowicz. *Traktaty Polski o arbitrażu i koncyljacji*. Kraków, 1930. Str. 80.

*Zbiór dokumentów urzędowych dotyczących stosunku Wolnego Miasta Gdańska do Rzpltej Polskiej*. Gdańsk, 1930, wydane przez Komisarjat Gener. Rzpltej Polskiej w Gdańsku, część V. 1929, str. 38.

### Ekonomja.

Inż. Aleksander Ringman, *Stan gospodarczy Rosji Sowieckiej*. Warszawa, 1930, str. 195.

Jan Zagleniczny. *Jak pracują Ministrerstwa Przemysłu i Handlu u nas i zagranicą*. Warszawa, 1929. Nakładem Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska", str. 72, tablic III.

Wojciech Stopczyk, *Handel Międzynarodowy na Bałtyku*. Toruń, 1928. Nakładem Instytutu Bałtyckiego, str. 187, tabl. LXXI.

B. Rzepecki, *Zatarg gospodarczy polsko-niemiecki*. Warszawa, 1930. Str. 195.

Wieńczysław Krzywicki, *Światowa Polityka a Rozejm Celny*. Warszawa, 1930. Tom V, str. 43.

Obce.

Rom Landau, *Pilsudski the hero of Poland*, Jarrolds Publishers, London, str. 286, 16 ilustr.

Augustin Podhorski, *La Pologne, Son histoire, Ses guerres*, Tom I, Paris, Société Francaise d'Imprimerie 1929, str. 101.

F. Alexander, M. A. (Oxon), *From Paris to Locarno and after*. London et Toronto, J. M. Dent et Sons Ltd., str. 246.

H. Wilson Harris, *Naval Disarmament*, London, Georg Allen et Unwin Ltd., str. 124.

Jean-Serge Debus, *De Lille à Varsovie*, Edition de l'Alliance Franco-Polonaise, Lille, 1929, str. 37.

Carlyon Bellairs, *The naval conference and after*, Criterion Miscellany Nr. 10, Faber et Faber, London, str. 47.

William Martin, *Les hommes d'Etat pendant la guerre*, Paris, 1929. Edition des horizons de France, str. 382.

REDAKTOR *MICHAŁ SOKOLNICKI*. WYDAWCA *Z. ŁAZARSKI*.

WYDAWNICTWA

# MINISTERSTWA SPRAW ZAGRANICZNYCH

**Documents Diplomatiques № 1 — 4 Relations Polono-Lithuaniennes:**

**Conférence de Koenigsberg** Tome I. Warszawa 1928. str. 109. . . , . . . . . zł. 8

**Conférence de Koenigsberg** Tome II. Warszawa 1928. str 133. . . . . . . . . „ 8

**Conférence de Koenigsberg.** Tome III. Warszawa 1928. str. 103. . . . . . . . „ 8

**Conférences de Copenhague et de Lugano** Tome IV. Warszawa 1929. str. 108. . . . „ 8

**Materjały i Źródła Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej № 1:**

**Sprawozdanie Komisji Ekonomicznej Międzynarodowej** Warszawa 1929. str.79 „ 8

**Zbiór Przepisów Konsularnych** Część I Warszawa 1929 str. 170 opr. . . . . . „ 24
nieopr. . . . . . „ 20

**Dyplomacja Dawnej Polski,** ilustracja archiwalna w dziale M. S. Z. na Powszechnej Wystawie Kraj. w Poznaniu 1929. „ 15

W DRUKU:

ROCZNIK MINISTERSTWA SPRAW ZAGRANICZNYCH

WYDAWNICTWO

# KOMISARJATU GENERALNEGO W GDAŃSKU

**Zbiór Dokumentów Urzędowych Dotyczących Stosunku Wolnego Miasta Gdańska do Rzeczypospolitej Polskiej** — Zebrane i wydane przez Komisarjat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Gdańsku.

Część I. — 1918 — 1920 Gdańsk, 1923. str. VIII — 140 — 141 . . . . . . zł. 18

Część II. — 1921 — 1923 Gdańsk, 1924. str. XI — 268 — 268 . . . . . .

Część III. — 1924 — 1926 Gdańsk, 1928. str. VIII — 233 — 233. . . . . „ 20

Część IV. — 1927 — 1928 Gdańsk, 1929. str. VI — 138 — 138 . . . . . . „ 15

Część V. — 1929 — Gdańsk, 1930. str. III—38. „

# Wydawnictwa
# PREZYDJUM RADY MINISTRÓW

## KOMISJA ANKIETOWA:

T. 1. Budownictwo, *wyczerpane*. T. 2. Cegła, *wyczerpane*. T. 3. Cement, *wyczerpane*. T. 4. Drzewo. T. 5. Węgiel. T. 6. Przemysł piekarski. T. 7. Młynarstwo. T. 8. Przemysł i handel mięsny. T. 9. Przemysł cukrowniczy. T. 10. Nawozy sztuczne. T. 11. Przemysł mleczarski. T. 12. Nafta. T. 13. Przemysł metalurgiczny. T. 14. Przemysł włókienniczy. T. 15. Przemysł garbarski. Przegląd życia gospodarczego Polski. Przyszłość eksportu węgla w Polsce.

## Pisma Profesora D-ra Kazimierza Bartla

Rząd Pracy i przemówienia wygłoszone 19 lipca 1920 . . . *wyczerpane*
Exposé z 30 lipca 1926 . . . . . . . . . . . . . . . „
Przemówienie wygłoszone na posiedzeniu Sejmu 14 lutego 1927 . „
Streszczenie przemówienia wygłoszonego 12 maja 1928 w Krakowie . . . . . . . . . . . . . . . . . . . „
Niedomagania parlamentaryzmu . . . . . . . . . . . „
Dwie polskie rzeczywistości . . . . . . . . . . . . . „
Wykresy charakteryzujące rozwój życia gospodarczego Polski . „
„ „ „ „ „ „ T. II

## Pisma D-ra Kazimierza Świtalskiego

O rewizję Konstytucji, odczyt wygłoszony 19 listopada 1929 .
Dwa dni w Sejmie, odczyt wygłoszony 14 grudnia 1929 . .

Ukazało się w druku

DZIEŁO PRZEDSTAWIAJĄCE ROZWÓJ DYKTATUR

pod tytułem

# Prozess der Diktatur

Wydawca: Otto Forst - Battaglia

**430 str., 16 ilustr. broszur 12 RM, oprawne 15 RM.**

Współpracowały przodujące osobistości umysłowej elity europejskiej
Politycy, uczeni, poeci i duchowni:

**Maurice Bedel**
Laureat nagrody Goncourt

**Prof. L. Bernhard**
Uniwersytet Berliński

**Prof. E. Bodrero**
b. włoski sekretarz stanu i rektor Uniwersytetu w Padwie

**Prof. A. Einstein**
Berlin

**Prof. G. Ferrero**
Florencja

**Juljusz Kaden - Bandrowski**
Warszawa

**Kurt Koehler**
Nakładca

**Paul Loebe**
Przew. niem. parlam.

**André Maurois**
Paryż

**Prof. G. Mehlis**
Genua

**Walter von Molo**
Przew. niem. Akademji poetów

**Anatole de Monzie**
b. franc. min. i senator

**Prof. Friedrich Muckermann S. J.**
Uniwersytet w Münster w W.

**Prof. F. A. Ossendowski**
Warszawa

**Conde de Romanones**
b. hiszpański premjer

**Jules Seurwein**
„Matin" Paryż

**Wickham Steed**
Londyn

**Robert de Traz**
„Revue de Genêve"

**Emile Vandervelde**
minister belgijski

**Prof. H. Wendel**
Frankfurt n/M

**Baron J. Wlassics**
Przew. Węgierskiej Izby Magnatów

**Konieczność konsolidacji Zachodu Europy wysunęła w niektórych państwach z przyczyn kulturalnych i gospodarczych problem dyktatury na czoło zagadnień politycznych. Problem ten obchodzi każdego**

Do nabycia we wszystkich księgarniach oraz u nakładcy

# Amalthea-Verlag

Zurych - Lipsk - Wiedeń

# SPRAWY OBCE

PISMO KWARTALNE

Cena w prenumeracie rocznie . . . Zł. 32
Cena zeszytu . . . . . . . . . . „ 10

**DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH**

August Zaleski

## PRZEMOWY i DEKLARACJE

Str. 252 Cena Zł. 10

Dr. Juljan Makowski

## ZOBOWIĄZANIA MIĘDZYNARODOWE POLSKI 1919 — 1929

Str. 313 Cena Zł. 18

Dr. Juljan Makowski

## PRAWO MIĘDZYNARODOWE

Wydanie drugie, uzupełnione

Str. 352 Cz. I Cena Zł. 25

J. J. Jusserand

## SZKOŁA AMBASADORÓW

tłomaczył
Dr. MARJAN HENZEL

Str. 59